

# NA DRUGĄ STRONĘ

Anna Kendall

ANNA KENDALL

NA DRUGĄ STRONĘ

Przełożył  
Michał Jakuszewski

---

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

---

*Dla Jacka*

# 1

Pierwszy raz przeszedłem na drugą stronę w dzień targowy. Byłem małym chłopcem, dopiero co skończyłem sześć lat, i rozlałem kozie mleko na pól sukno, które ciotka Jo tkła od kilku tygodni, by je sprzedać na jarmarku. Hartah zbił mnie do nieprzytomności i przeszedłem.

Nie. To nieprawda. Musiało mi się to zdarzać już wcześniej, w snach. Na pewno bywały chwile, gdy spałem, niespokojny, dręczony gorączką od jakiejś dziecięcej choroby czy bólem głowy, brzucha albo gardła. To wszystko, czego potrzeba — zatracenie się, jak we śnie, oraz ból. Niewielki ból, ale Hartah w to nie wierzy. A może po prostu lubi mnie bić.

Ten pierwszy raz, osiem lat temu — plama mleka na jaskrawozielonej wełnie, westchnienie mojej ciotki, jej mąż odrywający spojrzenie od stołu z tym wyrazem w oczach. I ja...

— Roger — odezwał się teraz. — Dzisiaj przejdiesz.

Tym razem również uniósł głowę, spoglądając na mnie znad kufła z tym swoim kwaśnym ale.

Moją szyję i kręgosłup ogarnął chłód.

Słońce dopiero co weszło. Siedzieliśmy sami w głównej sali gospody gdzieś przy trakcie do Stonegreen. Lokal nie wyglądał zbyt imponująco. Trzy stoły z nieheblowanego drewna ustawione na kozłach na brukowanej podłodze, dwie drabiny prowadzące do „pokojów” na górze, w rzeczywistości będących jedynie stryszkami z brudną słomą służącą jako posłanie. Belki pod sufitem były tak poczerńiałe i zaniedbane, że sadza sypała się na stoły. Mimo to nocą moje serce wypełniła radość, gdy nasz

wóz wjechał na dziedziniec stajenny. Latem niemal nigdy nie spaliśmy pod dachem. Teraz jednak, gdy pierwsze liście zaczynały już zmieniać kolor i powietrze pachniało deszczem, Hartah na pewno zakamuflował gdzieś kilka groszy albo je ukradł, by mieć czym zapłacić oberżystcie.

— Dziś w Stonegreen jest święto plonów — oznajmił. — Przejdiesz na drugą stronę.

Nim zdążył powiedzieć więcej, drzwi się otworzyły i do gospody weszło czterech mężczyzn. Śmiali się i żartowali głośno, ale zgiełk wypełniający mi głowę był głośniejszy.

Nie zrobię tego. Nie. Nie. Nie mogę...

Wiedziałem jednak, że to zrobię.

— A więc przyprowadziłeś swojego barana, Farlowe? — zapytał jeden z nowo przybyłych. — Jest maleńki. Idę o zakład, że nie zdobędziesz nagrody!

— Waży jak nic siedemnaście kamieni!

— Siedemnaście kamieni obwisłej skóry i słabych kości!

Zabrzmiał ochryply męski śmiech.

— Ale! — wołali. — Ale przed świętem!

Z kuchni wyszła żona oberżysty. Ciotka Jo szła potulnie za nią, niosąc śniadanie dla Hartaha. Nie patrzyła mi w oczy. Wiedziała, do czego jej mąż mnie dzisiaj zmusi i jakich sposobów do tego użyje.

— Ale! Ale >przed świętem!

— Dostaniecie je — zapewniła żona oberżysty. W obu rękach trzymała po pienistym kuflu, a dwoma następnymi balansowała na mięsistych przedramionach. — I śniadanie też, jeśli macie pieniądze, wy kłamliwe nieroby! Dzień dobry, Tom, Philip, Jack... Henry, jak tam ta twoja nowa ładna żona? Kiedy byłam w jej wieku, nigdy nie leżałam w łóżku sama przed świętem plonów. A może zdążyłeś ją zmęczyć przed świtem?

Najmłodszy z mężczyzn zaczerwienił się, ale minę miał dumną. Pozostali ryknęli śmiechem i zaczęli się z niego nabijać. Kobieta postawiła kufle na stole. Była gruba, wesola i rumiana na twarzy — całkowite przeciwieństwo mojej ciotki. Ciotka Jo postawiła przed Hartahem drewniany półmisek z chlebem i serem — bez mięsa — a potem wycofała się pośpiesznie. Była tak zastraszona, że nawet nie zdawała sobie sprawy, że raczej jej nie uderzy na oczach ludzi, wśród których miał dziś zamiar rozbić namiot na jarmarku. Jej chude ciało zadrżało.

Nie czułem litości. Nigdy nawet nie próbowała mnie przed nim bronić. Ani razu. Dla mnie nie było chleba ani sera. Najwyraźniej ukradzione przez Hartaha pieniądze starczyły tylko dla jednego.

Najstarszy ze śmiejących się mężczyzn spojrzał na mnie i od niechcienia rzucił na stół grosz.

— Hej, chłopcze, napój mojego konia i jego ładunek, to ten z żółtymi wstążkami, dobra?

Pieniążek wylądował między Hartahem a mną. Widziałem, że napiął potężne mięśnie barków, jakby chciał sięgnąć po monetę, ale starszy mężczyzna patrzył na nas, Hartah więc skinął tylko głową, jakby udzielał mi pozwolenia. Jakby był jakimś łaskawym lordem. Hartah! W moich oczach zapłonęła nienawiść. Złapałem grosz i wyszedłem na dwór.

Dzień był pogodny, na niebie widać było jeszcze ślady żłotopomarańczowej jutrzeńki, a trawa pachniała padającym w nocy deszczem. Nabrałem wody ze studni na dziedzińcu, tyle, żeby wystarczyło dla konia i dla przywiązanego na wozie barana o rogach ozdobionych żółtymi wstążkami. Przybyły kolejne wozy. Wieśniacy zjeżdżali się na święto. Koła skrzypiały pod ciężarem warzyw, owiec, koszy i dzieci.

— Nadjeżdża karawana! Widziałem ją! — rozdarł się jakiś dzieciak, wychylając się z wozu tak bardzo, że omal z niego nie wypadł. —

Widziałem!

— Bądź cicho — skarciła go młoda matka pełnym sympatii głosem. Miała lawendową suknię, a we włosach wstążki tego samego koloru. Poruszyła nieświadomie ręką, by pogłaskać chłopca po miękkich włosach.

Gorycz wypełniła mi usta niczym wymiociny.

Hartah każe mi to zrobić. Zmusi mnie do przejścia, gdy będę leżał ukryty wewnątrz naszego wyblakłego, sfatygowanego namiotu. Po to właśnie przyjechaliśmy. By to mogło się stać. Najpierw mnie pobije, tak samo jak zawsze.

Nie miałem już sześciu lat. Miałem czternaście i dorównywałem mu wzrostem. Byłem jednak chudy — jak mogłoby być inaczej, skoro dawał mi tak mało jeść? I wąski w ramionach. Hartah mógł unieść na obu barkach po beczułce świeżego ale i nawet się nie spocić. Ale teraz miałem grosz. Czy to wystarczy, żeby uciec? Grosz i wspomnienie nieżyjącej matki w lawendowej sukni?

Nie. To niemożliwe. Dokąd miałbym pójść?

Nie przestawałem jednak marzyć o ucieczce. Czasami zerkałem na Hartaha i przerażała mnie siła mojego pragnienia uczynienia mu krzywdy. Jednakże opowiadał mi i ciotce Jo o tym, że na traktach Reginokracji znajduje się ciała samotnych wędrowców, których zbójcy obrabowali i wypruli im wnętrzności. Wysłuchawszy takich opowieści, kuliłem się pod cienkim kocem i nigdzie się nie wybierałem.

Zaburczało mi w brzuchu. Poszedłem z groszem do kuchni i zamieniłem go na śniadanie, które pożarłem, stojąc na dziedzińcu.

O studnię opierała się jakaś dziewczyna. Widziałem też inne dziewczęta, schodzące z wozów albo podążające za rodzinami do gospody. Wszystkie wdziały najlepsze stroje, wełniane spódnice barwy zielonej, czerwonej albo niebieskiej, zarzucone na pasiaste halki, a także czarne

gorsety zasnurowane ciasno na białych haftowanych sukienkach, a we włosy wplotły wstążki. Dziewczyna przy studni nie była ładniejsza od innych, a jej oczy nie błyszczały bardziej. Nie była też lepiej ubrana, choć miała na dłoniach czarne koronkowe rękawiczki o jednym palcu. Przyglądała mi się jednak. Inne dziewczęta patrzyły przeze mnie na wskroś, jakbym był pustym powietrzem, albo mrużyły powieki i wykrzywiały z niesmakiem różowe usta. Brudny. Słaby. Bezdomny.

Ta jednak obserwowała mnie uważnie. Ciężkie wiadro z wodą zwisało z jej dłoni, ciągnąc bark w dół. Przemknęło przeze mnie coś promiennego i przerażającego. Wiedziała.

Oczywiście, to był nonsens. Nikt o mnie nie wiedział, poza ciotką i sukinsynem, za którego wyszła. Myślę, że nawet ona nie dowierzała. Co potrafi? Czy tylko udaje? Ale ciotka Jo mówiła bardzo niewiele, usługując Hartahowi w pełnym strachu milczeniu, i nie sposób było odgadnąć, co myśli, poza tym, że nie jest zadowolona, że przyszedłem do niej po śmierci jej siostry. Owo pragnienie łatwo było zauważyć w każdej chwili każdego dnia, ale i tak żałowałem tego znacznie goręcej niż ona.

Niemniej nie miałem dokąd pójść. Moja matka umarła, a ojciec zaginął tak dawno, że nawet go nie pamiętałem. Ciotka Jo nie chciała mi nic o nich powiedzieć, nawet kiedy ją o to błagałem. A teraz, po tych wszystkich latach, nadal nie miałem dokąd pójść.

Dziewczyna skinęła do mnie głową i oddaliła się z ciężkim wiadrem. Jej długie, krucze warkocze kołysały się z boku na bok, a ładna sylwetka kurczyła się, w miarę jak była coraz dalej. Wyglądało to tak, jakby rozpuszczała się w łagodnym świetle poranka.

— Tu jesteś — dobiegł mnie zza pleców głos Hartaha. — Jesz śniadanie, tak? Świetnie. Po południu będziesz potrzebował siły.



Odwróciłem się ku niemu. Uśmiechał się. Usta miał pełne połamanych zębów, a oczy lśniły mu przyjemnością na myśl o tym, co wydarzy się później. Powoli uniósł gruby palec i otarł mi z ust okruch chleba, delikatnie, prawie jak kobieta.

## 2

W południe jarmark rozkręcił się na dobre. Nie wiedziałem, że Stonegreen jest takie duże. Gospoda, w której spaliśmy, leżała pięć mil od wioski, a przy błoniach można było znaleźć znacznie lepszą, podobnie jak kowala, szewca oraz wielki omszały gład, któremu osada zawdzięczała swą nazwę. Kamień sięgał mi do barku. Ktoś posadził wokół niego męczennicę. Powolna rzeka o porośniętych drzewami brzegach meandrowała między podmurowanymi chatami krytymi strzechami, również zielonymi od mchów i porostów. Przy chatach rosły malwy, ostróżki, róże, bluszcz, a także jabłonie i wiśnie. Za nimi widziałem ogrody zielne, studnie, kurniki i wędzarnie — wszystkie źródła dobrych rzeczy, które można znaleźć tam, gdzie kobiety sprawują rządy nad dobrze prosperującymi gospodarstwami. Czuję woń pieczonego chleba oraz słodko-kwaśny odór grzanego ale.

Jarmark urządzano na polu położonym na drugim końcu wioski. Ustawiono tam stragany i namioty, w których miejscowi sprzedawali płody rolne, zwierzęta gospodarskie, pasztety, galarety, tkaniny utkane przez ich żony i córki, ale, wstążki i strugane z drewna zabawki. W innych straganach kupcy, przybywający nawet z samej Glorii, stolicy Reginokracji, oferowali na sprzedaż cynowe talerze, narzędzia rolnicze albo guziki. Trzecia grupa, ci, którzy nie byli miejscowi ani nie pochodzili z Glorii, przybyła tu karawaną pomalowanych na czerwono i niebiesko wozów, podróżującą przez całe lato z jednego wiejskiego jarmarku na drugi. Widziałem już takie karawany. Będą w niej połykacze ognia, marionetkarze, żonglerzy, skrzypkowie, cyrk pcheł, iluzjonista oraz zapaśnik, gotowy zmierzyć się z każdym chętnym. Dzieci biegały między

straganami, a pary prowadziły się pod rękę. Muzycy grali na skrzypkach i bębnach, handlarze głośno zachwalali swe towary, a przeznaczony na sprzedaż inwentarz beczał, muczał i gdakał. Nie widziałem żadnych żołnierzy, co oczywiście było dobrą wiadomością.

— Tutaj — zdecydował Hartah. Zabrałem się z ciotką za ściąganie namiotu z wozu.

Nasze stoisko, w przeciwieństwie do większości pozostałych, było zamknięte ze wszystkich stron. Poplamiony, wyblakły namiot zdobiło jedynie wyobrażenie małej grupki gwiazd, tworzących gwiazdozbiór Płaczącej Kobiety. Czasami ludzie włączali do środka, sądząc, że to jakaś kaplica, ale Hartah potrafił ich rozpoznawać i odsyłać, nie zdradzając niczego. Inni, którzy znali starożytny układ gwiazd i jego sekretne znaczenie, wchodzili do namiotu pojedynczo. Rozmawiali z Hartahem, a potem wracali po odpowiedź, również samotnie. Hartah nie umiał czytać ani rachować, ale nie był głupi. Potrafił zachować ostrożność i minęło wiele czasu, odkąd ostatnio oskarżono nas o czary. Ludzie nie byli zdesperowani. To biedni i pełni desperacji, przyzwyczajeni do niebezpieczeństw, najbardziej się boją tego, czego nie widzą.

Choć oczywiście nie byliśmy nawet czarownikami.

Ciągnąc ciężką tkaninę namiotową, ponownie pomyślałem o ucieczce. To było możliwe. Chłopcy w moim wieku uciekali — czyż nie tak? Znajdowali zajęcie na roli, w stajni albo jako żebracy. Ale ja nic nie wiedziałem o pracy na roli, niewiele o koniach i bałem się nie tylko zbójców, lecz również głodu. A za kilka miesięcy miała nadejść zima. Gdzie żebracy spędzają zimę?

Prawda wygląda tak, że byłem tchórzem.

— Ruszaj się, Roger! — warknął Hartah. — Twoja ciotka pracuje szybciej od ciebie!

Miał rację. Ciotka Jo zapychała jak chude tornado, obawiając się męzowskich pięści.

Gdy już rozbiliśmy namiot, Hartah wepchnął mnie do środka. W rogu stał nieheblowany stół, nakryty opadającym na ziemię dywanikiem. Ukryję się pod nimi i przez wiele godzin będę słuchał kolejnych gości przybywających ze swymi życzeniami. Nie przyjdą do nas szczęśliwi mężczyźni, kobiety i dzieci, niosący prezenty, pijący ale i wygrywający nagrody za ważące siedemnaście kamieni barany. To będą ludzie innego rodzaju, spotykani w każdej wiosce, w każdym mieście, w każdej ozdobionej kwiatami chacie w każdej reginokracji. Ludzie, których ci szczęśliwi starają się nie zauważać, żeby nie popsuli im zabawy. Ci, którzy byli udęczeni, pogrążeni w żałobie i pełni lęku. Moi ludzie.

I wszystko zacznie się od nowa.

\*

Kiedy po raz pierwszy przeszedłem na drugą stronę, miałem sześć lat. Teraz skończyłem już czternaście i wszystko wyglądało tak samo. Zawsze tak samo.

Cały ranek spędziłem, leżąc skulony pod stołem i słuchając. Potem, w południe, gdy słońce silnie nagrzewało ciężkie namiotowe płótno, Hartah zawiązał poły i wyciągnął mnie spod stołu.

— Jesteś gotowy, chłopcze? — zapytał z uśmiechem.

— Hartah...

Nienawidziłem swego drżącego głosu, nienawidziłem się również za to, że uniosłem słabo rękę, by osłonić twarz, że za bardzo się bałem, by się bronić. Walnął mnie pięścią w brzuch. Całe powietrze uciekło mi z płuc. Westchnąłem z bólu. Uderzał mnie raz po raz, w pierś, a potem w krocze, we wszystkie miejsca zasłonięte przez ubranie, żeby nie było widać

siniaków. Dźwięki skrzypek i bębnow oraz wrzeszczące dzieci zagłuszały moje krzyki. Nie jestem już niemowlęciem zdolnym zatracić się bezmyślnie. Muszę to wybrać świadomie. Ból plus wybór. Zapraǳnałem tego i, gdy moje ciało osuwało się na ziemię, stało się.

*Ciemność...*

*Chłód...*

*Ziemia wypełniająca mi usta...*

*Robaki w moich oczach...*

*Gleba więżąca moje odarte z ciała ręce i nogi...*

Ale tylko na moment. Przecież nie umarłem naprawdę. Smak śmierci utrzymywał się tylko przez krótką chwilę przejścia, opadania przez barierę, której nikt inny nie potrafił przeniknąć, nawet sami Umarli. To była potężna bariera, lita i wielka jak sama Ziemia. Nieprzenikniona dla wszystkich, poza mną — z jakichś niezrozumiałych dla mnie powodów.

Znowu spróbowałem krzyknąć, ale nie byłem w stanie, bo usta wypełniała mi ziemia. Spróbowałem poruszyć rękami, ale nie mogłem, bo na moich nagich kościach nie było mięśni. Nagle było po wszystkim. Ziemia zniknęła, a moje kości wróciły do normy. Byłem w krainie Umarłych.

Kilku z nich siedziało na ziemi, zajmując się tym, czym zajmują się Umarli. W pobliżu widziałem blask tafli wody... To mogła być rzeka, nad którą leżało Stonegreen.

Kraina Umarłych przypomina naszą, ale jest dziwnie rozciągnięta, a gdzieniegdzie również wypaczona. Kilka kroków w Stonegreen mogło się równać połowie mili tutaj albo dwóm milom czy pięciu. Albo kilku krokom. Czasami nasze rzeki, lasy i wzgórza tu istniały, a w innych przypadkach nie. Kraina Umarłych jest większa od naszej i mam wrażenie, że zmienia się z czasem, tak samo jak nasza, ale nie w ten sam sposób. Jest

naszym cieniem obróconym w ciało. Podobnie jak cień kurczy się i rozszerza, ale pod wpływem czegoś niewidzialnego, co nie jest słońcem. Tu nie ma słońca.

Ale jest tu światło, zawsze słaby blask, jak w pochmurny dzień. Niebo niezmiennie jest nisko, szare i jednolite. Powietrze jest nieruchome. Mogłem tu oddychać swobodnie, ból w mojej piersi zniknął. Ból nie podąża za mną na drugą stronę. Jest tylko ceną przejścia.

W chłodnym, łagodnym świetle krainy ruszyłem ku wodzie. Zanim do niej dotarłem, natrafiłem na wielki omszały głaz po drugiej stronie, leżący na wiejskich błoniach. Wyglądał identycznie, choć nie otaczały go chaty, sklepy i pola Stonegreen. Traktu również nie było. Tu nie ma żadnych dróg, tylko niezdeptana trawa bezkresnego lata. Stopy Umarłych nie zostawiają śladów.

Pięciu z nich siedziało ze skrzyżowanymi nogami wokół głazu, łącząc ręce w zamknięty krąg. Lubią to robić. Zawsze trudno mi przyciągnąć ich uwagę, ale gdy utworzą jeden z tych swoich kręgów, staje się to niemożliwe. Siedzą tak bardzo długo — dniami, latami — nigdy nic nie mówią, a twarze mają spokojne, wyrażające skupienie niczym oblicze mężczyzny celującego z łuku albo kobiety pochylonej nad trudną robotką. Ominąłem ich i szedłem dalej w stronę rzeki.

Siedziała tam stara kobieta, samotna pod wielkim drzewem o zwisających nisko konarach. Miała na sobie prostą brązową suknię i biały fartuszek, a siwe włosy wsunęła pod staromodny czepek z długimi białymi wyłogami. Tylko starzy Umarli chcą — albo mogą — ze mną rozmawiać, a najchętniej robią to stare kobiety. Usiadłem obok niej na brzegu.

— Dzień dobry pani.

Cisza. Jeszcze nie zauważyła, że tu jestem. Co widzą Umarli, kiedy na mnie patrzą? Smuzkę, migotanie w powietrzu? Nie potrafię odpowiedzieć

na to pytanie. Uścisnąłem mocno jej rękę tuż nad łokciem.

— Dzień dobry pani! — zawołałem głośno.

Odwróciła powoli głowę i przymrużyła powieki zapadniętych niebieskich oczu.

— Kto tu jest? — zapytała.

— Jestem Roger Kilbourne. Do usług.

To ją rozbawiło. Zachichotała.

— A jakie właściwie usługi mógłbyś mi wyświadczyć? Przeszedłeś na drugą stronę, żeby zawracać nam głowę, prawda?

— Tak, proszę pani.

— Czego chcesz, do diabła? Wracaj, chłopcze, to nie twój czas. Jeszcze nie.

— Wiem — odparłem z pokorą. — Ale chciałbym zadać ci kilka pytań, szlachetna pani.

Znowu zachichotała.

— Nie jestem szlachetnie urodzona. Mów mi pani Ann Humphries, chłopcze.

Uśmiechnęło się do mnie szczęście. Przed niespełną godziną — jeśli czas płynął tu tak samo, w co raczej wątpiłem — leżałem pod stołem i słuchałem płaczącej kobiety, która nazywała się tak samo.

— Moja matka... los zabrał ją nam ostatniej zimy... płuca... wiem, że to niegodne, ale tak bardzo mi jej brak... tylko ją jedną obchodziło, co się stanie ze mną i z moimi dziećmi... ten nierób, mój mąż... pijaństwo i długi i... moja matka, moja matka, moja matka.

A co z moją matką w jej lawendowej sukni? Tu jej nie znajdę. Umarli nie oddalają się zbyttno od miejsc, gdzie przeszli na drugą stronę, a ani Hartah, ani ciotka Jo nie chcieli mi powiedzieć, gdzie umarła ani jak to się

stało. O ojcu moja ciotka nie chciała mówić w ogóle. Dałem już sobie spokój z pytaniami.

— Pani Humphries — zacząłem — spotkałem dzisiaj pani córkę i imienniczkę, Ann.

— Tak? — zapytała, mącąc wodę zwiędłymi stopami. — Popatrz na te białe kamienie na dnie. Wydaje się, że zmieniają kształt.

Tego właśnie żywi nie wiedzą o Umarłych i nigdy nie wolno mi im tego powiedzieć. Umarli, chyba że przeszli dopiero przed chwilą, w ogóle nie interesują się tymi, których zostawili.

Pamiętają żywych, tak jest. Wspomnienia przechodzą na drugą stronę nietknięte. Umarli wiedzą, kogo zostawili i kim sami są. Świetnie pamiętają życie, po prostu już się nim nie interesują. To tak, jakby było ono opowieścią o jakimś znajomym znajomego, którą kiedyś słyszeli i która zapadła im w pamięć, ale nie miała z nimi nic wspólnego. Nie budziła w nich żadnych uczuć.

A co interesuje Umarłych? Choć przechodziłem na drugą stronę tak wiele razy, nadal tego nie wiem. Oczywiście, nigdy nie spędzam tu zbyt wiele czasu i tylko najstarsi ze mną rozmawiają, odnoszę jednak wrażenie, że Umarli są zaabsorbowani czymś, o czym nigdy nie mówią, nawet między sobą, chyba że słowa takie jak te, które wypowiedziała pani Humphries, znaczą więcej, niżby się zdawało. „Popatrz na te białe kamienie na dnie. Wydaje się, że zmieniają kształt”.

Umarli całymi latami gapią się na kamienie. Na drzewa, kwiaty albo na pojedyncze źdźbło trawy. Co się zmienia pod powierzchnią niewyobrażalnej wody ich umysłów?

Pani Humphries zapomniała o mnie. Uszczypnąłem ją mocno. Gdybym wrócił do Hartaha bez żadnych informacji, zbiłby mnie jeszcze dotkliwiej.



Uszczyplenie nie zabolalo pani Humphries — Umarli nie czuja bolu — ale przypomnialo jej, ze tu jestem.

— Co znowu, chlopcze? — warknela.

— Opowiedz mi o tym, jak bylaś dziewczynka.

Wstrzymałem oddech.

Wspomnienia z dzieciństwa to jedyne, co niekiedy skłania starszych Umarłych do mówienia. Ich dorosłe jaźnie, długie życie, rodziny, które zostawili po drugiej stronie — wszystko to nic już dla nich nie znaczy. Ale oni sami jako małe dzieci: to czasami ich porusza. Czasami. Być może dlatego, że małe dzieci w swej prostocie zbliżają się do tego, czym Umarli są teraz. Nie wiem. Żadne z prawdziwych dzieci, które tu widziałem, nigdy ze mną nie rozmawiało. Chyba mnie nawet nie zauważały.

Pani Humphries znowu zachichotała. W jej starych oczach pojawił się błysk.

— Byłam okropną urwiską, tak jest! Pewnie mi nie uwierzysz, chlopcze, ale byłam ładnym dzieckiem, o włosach przypominających świeżo odlane złoto. Mimo to chciałam mieć czarne włosy, jak moja przyjaciółka Catherine Littlejohn i dlatego...

Ta rodzinna opowieść, z pewnością powtarzana wiele razy, zaprowadziła ją do innych historii. Littlejohnom ukradziono nagrodzoną kurę i zarżnięto na święto Przesilenia Zimowego. Szlachcic, niejaki lord William Digby, przejeżdżał kiedyś przez Stonegreen i dał Ann, tej ładnej dziewczynce, monetę złotą jak jej włosy. Słuchałem uważnie, przyglądając się kamieniom zmieniającym kształt pod wodą. A cały ten czas w moim sercu narastał gniew na Hartaha, który zmuszał mnie do tego, kazał przychodzić w to miejsce i z wielką uwagą słuchać banalnych opowieści kobiety od miesięcy spoczywającej w grobie. Kobiety, której nigdy już nie

zobaczę. Kobiety, która nie żyła, choć ja nie umarłem. Ale czułem się martwy. W paru miejscach.

# 3

Zwlekałem z powrotem tak długo, jak tylko mogłem. Zawsze się bałem ziemi w ustach, nagich kości, robaków, zimna i ciemności. Co, jeśli za którymś razem to wszystko nie minie? Co, jeśli zostanę uwięziony w tym straszliwym momencie między życiem a śmiercią i aż po kres wieków będę czuwał w wypełnionym zgnilizną grobie?

Nie chciałem też wracać do Hartaha. Bałem się zostać i bałem się odejść.

Dlatego zwlekałem przy omszałym głazie, obserwując Umarłych i próbując skłonić jeszcze któregoś do porozmawiania ze mną. Żaden nie chciał tego zrobić. Siedzieli w kręgach i trzymali się za ręce albo samotnie gapili się na źdźbła traw. Jeden z nich, dżentelmen, być może nawet lord, odziany w aksamitne spodnie i kubrak, z krótkim mieczem u pasa, leżał na plecach i wpatrywał się w jednolicie szare niebo. Nie mrugnął ani razu. Miałem ochotę go kopnąć, ale co by było, gdyby ten jeden jedyny kopniak poirytował młodszego Umarłego? Miecz był tak samo rzeczywisty i dotykalny, jak wszystko tutaj.

Niektórzy z Umarłych nosili dziwne stroje, jakich nigdy nie widziałem podczas wędrówek z Hartahem. Proste futrzane bluzy. Zbroje z hełmami o dziwnych kształtach, ozdobionych czerwonymi kitami. Długie białe szaty. Dawni Umarli mówią językami, których nie znam, jeśli w ogóle się odzywają. Ale bez względu na to, kiedy zakończyli życie, wszyscy zachowują się tak samo.

Słuchają.

Patrzą.

Czekają z niewyobrażalną cierpliwością. Nie wiem, na co czekają, co widzą ich spokojne oczy, a oni nie chcą albo nie potrafią mi tego powiedzieć.

Czekałem tak długo, jak tylko się odważyłem, aż wreszcie wyjąłem z kieszeni ostry kamień. Wsparłem lewą dłoń o głaz ze Stonegreen i uderzyłem w nią kamieniem ze wszystkich sił, silniej, niż było to konieczne. Powrót nie wymaga tak wiele bólu jak przejście, chciałem jednak zadać komuś ból, a skoro Hartah był poza moim zasięgiem, skaleczyłem się w dłoń i wróciłem do krainy żywych.

— ...i ufarbowała sobie włosy na czarno, żeby wyglądać jak jej przyjaciółka, Catherine Littlejohn — zakończył Hartah. Siedząca w namiocie kobieta zalała się łzami.

Znowu leżałem pod stołem, ale wiedziałem, że tym razem nie jestem potrzebny.

— Och, to naprawdę była moja matka! — łkała kobieta. — Nikt inny nie mógłby tego wiedzieć, znać tych wszystkich szczegółów, nie tak... Och! I powiedziała, że jest bezpieczna i szczęśliwa...

— Tak. I że bardzo cię kocha — zapewnił Hartah. W takich okazjach używał tonu, który ja i ciotka Jo rzadko słyszeliśmy — powolnego, spokojnego i całkowicie pozbawionego typowej dla niego złości. Siadał daleko od kobiet — przeważnie to kobiety przychodziły do nas — żeby ich nie niepokoić swym potężnym ciałem, a także po to, by przydać sobie aury tajemniczości. Nienawiść do niego wypełniła mi usta smakiem zgniłego mięsa.

— Moja dobra matka! Och, dziękuję panu, nic nie mogłoby wyrazić mojej wdzięczności! Ofiarował mi pan dar, który nie ma ceny.

Oczywiście, musiała zapłacić umówioną cenę. Hartah wyegzekwował ją razem z obietnicą milczenia od pani Ann Littlejohn, z domu Humphries. Tak samo postąpił z Catherine Carter z domu Littlejohn i z Joan St. Clare oraz z jej młodym kuzynem, Geoffreyem Mortonem. Wszyscy oni całe życie mieszkali w Stonegreen — Humphriesowie, Carterowie, Littlejohnowie i St. Clare'owie — podobnie jak ich rodzice i dziadkowie przed nimi. Dzielili ze sobą rodzinne tajemnice, i nieżyjąca pani Humphries znała je wszystkie.

— Dobra robota — powiedział mi Hartah, gdy ostatnia klientka opuściła namiot. Miał na myśli swoją robotę, nie moją. Zapomniał już o tym, jak pobił mnie rano. Wymazał to ze swej pamięci tak dokładnie, jak grób wymazuje miłość ze wspomnień Umarłych.

— Czy mogę już sobie pójść? — zapytałem, starając się, by nie usłyszał w moim głosie gniewu i strachu.

— Tak, tak, idź, nikt już cię nie potrzebuje.

Jarmarczne namioty i stragany rzucały na ziemię długie cienie. Na horyzoncie gęstniał mrok, łagodny, granatowy i pachnący nadchodzącą nocą. Przybysze kierowali swe wozy, lżejsze o to, co sprzedali, i cięższe o to, co kupili, ku traktowi do Stonegreen, by wrócić do domów. Mieszkańcy wioski kręcili się jeszcze przy pozostałych straganach i przy namiocie z ale, nie chcąc, by krótkie święto się skończyło. Grupa osób — mężczyzn i kobiet — była pijana. Zataczali się, śmiali i śpiewali. Ich wesołość przenosiła się echem z grupy na grupę. Znalazłem ciotkę siedzącą w cieniu wozu Hartaha. Nie miała pieniędzy i nie mogła się bawić, zapewne więc przesiedziała tu większą część dnia. Spojrzała na mnie bez słowa.

— Dobrze zarobiliśmy — oznajmiłem. — Będziemy jeść.

Nie uśmiechnęła się. Już przed wielu laty zapomniała o uśmiechach. Splotła jednak dłonie na chudym brzuchu, jakby odmawiała dziękczynną modlitwę. Nie mogłem na to patrzeć. Modlitwa w podziękowaniu za kawałek chleba i plasterek sera! Oddaliłem się ku rzece i znalazłem się pod tym samym wielkim drzewem, pod którym w krainie Umarłych rozmawiałem z panią Humphries.

Pod drzewem stała dziewczyna, którą rano spotkałem na dziedzińcu. Dziewczyna o długich czarnych warkoczach. Wpatrywała się w plamiste cienie na rzece.

— Wróciłeś — stwierdziła. Zamarłem w bezruchu.

— Gdzie się podziewałeś przez cały dzień? — ciągnęła. — Nie widziałam cię na jarmarku.

Szukała mnie. Naprawdę mnie szukała. I nie wiedziała, gdzie byłem. Dlaczego więc chciała mnie znaleźć? Nie wiedziałem, co powiedzieć, stałem więc bez słowa jak głąb, którym przecież jestem.

— Ojej! — zawołała nagle. — Co ci się stało w rękę?

Miałem na niej ślad po uderzeniu ostrym kamieniem. Rana trochę krwawiła, ale krew już zakrzepła, a czerwone obrzęknięte ciało wokół strupa szybko robiło się sine. Jak głupi spróbowałem ją ukryć drugą dłonią, splatając obie przed sobą. Potem sobie uświadomiłem, że dokładnie taki sam gest widziałem u ciotki i skrzywiłem się wściekle.

Dziewczyna tego nie zauważyła. Podbiegła do mnie, złapała mnie za dłonie i rozłączyła je. Zdjęła czarne koronkowe rękawiczki, które nosiła rano, a długie białe rękawy bluzki opadły jej na ramiona.

— Czy się skaleczyłeś o... ojej!

Natychmiast schowała lewą rękę za plecami, ale zdążyłem zobaczyć.

— Nie mów nikomu — wyszeptała jak dziecko. Strach w jej oczach rozwiązał mi język skuteczniej, niż mogłoby to zrobić cokolwiek innego.

Strach rozumiałem.

— Nie powiem — zapewniłem. — Nigdy bym tego nie robił. Ale powinnaś bardziej uważać. Chociaż to nic nie znaczy, daję słowo! Nie dla mnie! Zupełnie nic!

Skinęła głową z nieszczęśliwą miną. W oczach miała łzy. W ciemnobrązowych oczach. Ciemne oczy, czarne włosy; powinna wyglądać bezbarwnie, jak obraz, z którego odpłynęły kolory, ale dla moich oczu gorzała jasnym płomieniem — piękna dziewczyna z jedną maleńką skazą, która nic nie znaczyła. A dla niektórych wszystko.

Bredziłem od rzeczy, próbując znaleźć jakieś słowa, które by ją uspokoily.

— Tylko ciemni, przesądni ludzie wierzą, że to ma jakieś znaczenie. Słyszałem, że królowa Caroline też ma taki znak, a przecież jest królową!

— Królowa to dziwka — oznajmiła bez ogródek dziewczyna. Zamrugalem. Z pewnością wypowiadała się śmiało. Wypowiadała się śmiało i nie starała się zbytnio ukryć maleńkiego szóstego palca na lewej dłoni, znaku takiego samego, jakim ponoć naznaczono królową Caroline. Znaku czarownicy.

— Uważaj! — wygarnąłem i rozejrzałem się wkoło, by sprawdzić, kto jeszcze słyisał, że nazwała królową dziwką. W pobliżu nie było nikogo. — Musisz uważać, pani!

— Nie jestem szlachetnie urodzona — odparła, uśmiechając się do mnie identycznie jak pani Humphries w podobnej sytuacji. Czy wszystkie kobiety zawsze będą reagować podszytą zadowoleniem wesołością, gdy spróbuję okazać im szacunek? Ale ja nie chciałem go okazywać wszystkim kobietom. Tylko tej jednej, która stała przede mną, trzymając moją zranioną łapę w swej białej rączce. — Nazywam się Catherine Starling — dodała. — Cat.

— Jestem Roger Kilbourne.

— Mój ojciec ma gospodarstwo w Garraghan.

Nie miałem pojęcia, gdzie leży Garraghan, i nie chciałem zdradzać żadnych informacji o ciotce i o Hartahu. Nie musiałem jednak nic mówić.

— Zresztą nie wierzę w czarownice! — zawołała Cat, potrząsając kruczymi warkoczami.

— Musisz uważać, komu to mówisz.

— Wiem. Jestem ostrożna. Rano natychmiast zauważyłam, że mogę ci zaufać. Ty też nie wierzysz w czarownice, prawda, Roger? Wszystkie te głupoty, rzucanie klątw na ludzi, sprowadzanie chorób na bydło i rozmawianie z umarłymi! Też coś!

Milczałem.

Wyjęła lewą rękę zza pleców i złączyła ją z prawą, nie wypuszczając mojej dłoni.

— Powiem ci, w co wierzę, Roger — ciągnęła ze swym cudnym uśmiechem. — Wierzę w gwiazdy, kwiaty, słodycze i moją lalkę!

Wtedy to zrozumiałem. Wprowadziła mnie w błąd jej uroda, a także ładny głos. Nie jąkała się, jak to biedne stworzenie, które Hartah kopnął w poprzedniej osadzie, jej głowa nie była za duża, a spojrzenie puste. Mimo to była niespełna rozumu, umysł w jej głowie był młodszy niż ciało prawie dorosłej kobiety. Nie gardziłem nią jednak z tego powodu. Pragnąłem się nią zaopiekować, uchronić ją przed tymi, dla których jej dziecinne słowa i szósty palec stałyby się pretekstem, by ją skrzywdzić.

Nim zdążyłem jej odpowiedzieć, usłyszałem inny głos, pełen strachu.

— Cat! Gdzie jesteś! — wołał. Spomiędzy drzew wypadła starsza kobieta. — Tutaj! Wiesz, że nie wolno ci... oddaliła się, mam nadzieję, że nie sprawiła panu kłopotów.

Ujrawszy, że Cat trzyma moją rękę, kobieta stanęła jak wryta.



Była matką Cat: te same brązowe oczy, czarne włosy i ładne rysy, choć ta kobieta włosy chowała pod czepkiem, a jej twarz była pełna niepokoju.

— Nawet najmniejszych, proszę pani — zapewniłem ją pośpiesznie. — Tylko rozmawialiśmy. Nic jej się nie stało.

Pani Starling przesuwała spojrzenie między córką a mną, starając się ocenić sytuację. Widziałem, że zauważyła moje stare ubranie, za krótkie rękawy i nogawki, brudne włosy oraz dziurę w jednym bucie, i zdecydowała, że cokolwiek mogłem zobaczyć, nikt się ze mną nie będzie liczył i w związku z tym nie byłem groźny. Okazała mi jednak dobroć.

— Dziękuję panu. Cat, musimy już wracać do domu. Chodź, córko.

— Pa, pa, Roger — odezwała się dziewczyna. — Do zobaczenia!

Wiedziałem, że już się nie spotkamy. Nie tylko dlatego, że Cat była córką bogatego rolnika, lecz również dlatego, że przynajmniej jedno z rodziców ją kochało i zrobi wszystko, by zapewnić jej bezpieczeństwo. Odprowadzałem ją spojrzeniem, a w mojej piersi kłębiła się dziwna mieszanka żalu, zazdrości i pożądania. Chciałem, żeby Cat została. Chciałem pójść z nią. Chciałem nią się stać, pomimo jej szóstego palca i całej reszty.

Mnie trapiło coś znacznie gorszego niż szósty palec i słaby umysł.

Oddaliłem się powoli od zielonego brzegu i wróciłem do wozu Hartaha.

## 4

Noc spędziliśmy w tej samej taniej gospodzie pięć mil od Stonegreen. Choć raz wszyscy troje zjedliśmy kolację. Pożerałem łapczywie chleb i ser, nie wiedząc, kiedy będę mógł dostać więcej. Nawet ciotka Jo dobrze się najadła. Siedziała na drewnianej ławie możliwie najdalej od Hartaha i spuszczała wzrok. Jeden jej policzek lśnił różowo w blasku ognia. Przy jej chudej, pomarszczonej twarzy wyglądało to groteskowo. Czy moja matka, gdyby żyła, również by tak wyglądała? Nie. W dziecińczych wspomnieniach, jakie o niej zachowałem, była piękna.

„Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć gdzie i w jaki sposób umarła, ty żałosna kobieto?” — pomyślałem, spoglądając na ciotkę Jo. Uniosła głowę i przez moment patrzyła mi w oczy. Potem odwróciła wzrok.

— Dobre żarcie — stwierdził Hartah i beknął.

Rankiem zrobiło się znacznie zimniej. Za kilka tygodni na trawie pojawi się szron. Ku mojemu zdziwieniu Hartah skierował się na południe. Słońce świeciło jasno i wkrótce zrobiło się cieplej, co wprawiło go w bardzo dobry nastrój. Zaczął pogwizdywać niemelodyjnie. Jechałem z tyłu trzęsącego się wozu, siedząc na złożonym namiocie, i przyglądałem się pchle łązącej po karku Hartaha. Po kilku godzinach milczenia odważyłem się zadać pytanie, skierowane do pleców jego i ciotki.

— Dokąd jedziemy?

— Nad morze. — Roześmiał się w głos. — Mam chętkę na morską kąpiel.

Bardzo rzadko się kąpał. Czułem jego smród, gdy tylko powiał wiatr.

Przez kilka następnych dni jechaliśmy na południe. Było tam coraz mniej wiosek i w związku z tym niewielkie szanse na jarmark. Okolica zrobiła się dziksza i mniej żyzna. Pola zżętego zboża ustąpiły miejsca łąkom, na których pasły się owce, a potem, gdy stoki stały się bardziej strome i skaliste, kozy. Później nasz powolny, poskrzypujący wóz skręcił na wschód. Po raz ostatni spędziliśmy noc w gospodzie — nieprzyjemnym lokalu pełnym niemiłych ludzi, którzy nie wyglądali na rolników ani pasterzy. Kobiet nie było tu w ogóle. Hartah wydał resztę pieniędzy na maleńką izbę pod okapem i zostawił mnie tam z ciotką Jo.

— Zaryglujcie drzwi — rozkazał — i nie otwierajcie nikomu, dopóki się nie upewnicie, że to ja.

Potem zszedł na dół i nie wracał przez wiele godzin. Ciotka spała niespokojnie na zapadającym się łóżku. Leżałem na podłodze, owinięty w koc, i słyszałem jej ciche westchnienia. W blasku gwiazd wpadającym do środka przez maleńkie okienko widziałem, jak jej ciało drży. Czy miała sny, takie same jak ja?

Proszę, niech dzisiaj nic mi się nie śni.

Moje życzenie się spełniło, a rankiem Hartah był w radosnym nastroju.

— W takim miejscu można się wiele dowiedzieć!

Ciotka Jo spojrzała na niego i zaraz odwróciła wzrok.

Dalej nie było już gospód. Spaliśmy na wozie albo pod nim, a żywiliśmy się zapasami kupionymi przez Hartaha w Stonegreen. Dobry nastrój go opuścił, ustępując miejsca niespokojnemu napięciu, którego powodów nie rozumiałem. Nie bił jednak ani mnie, ani ciotki Jo. Prawie nas nie zauważał, aż wreszcie którejs nocy, przy ognisku rozpalonym przy skalnym osypisku, ledwie osłaniającym nas przed chłodnym wichrem, spojrzał prosto na mnie. Jego oczy lśniły czerwonożłotym blaskiem w świetle ogniska, jak u zwierzęcia.

— Chciałbyś być bogaty, Roger? — zapytał.

Z jakiegoś powodu natychmiast pomyślałem o Cat Starling i jej bogatym gospodarstwie. O jej czystych kruczonych warkoczach i starannie wyprasowanej halce. Nic nie powiedziałem.

— Przestraszyłem cię, tak? — Hartah uśmiechnął się szyderczo. — I bardzo dobrze. Czeka nas paskudna robota, ale wszyscy podzielimy się zyskami. Tak będzie sprawiedliwie. A ty bardzo lubisz sprawiedliwość, prawda, Roger?

Każda odpowiedź mogłaby go sprowokować. Wpatrywałem się w ogień. Hartah pociągnął kolejny łyk brandy ze Stonegreen.

— Tak jest, lepiej milcz, chłopcze. Milczenie jest tym, czego potrzebujemy, zapamiętaj sobie moje słowa. Będiesz milczał albo zawiśniesz razem z nami, tak? Przekonasz się. Wiem, co mówię.

Ja nie miałem pojęcia, o czym on gada i nic mnie to nie obchodziło. Grunt, żeby dał mi spokój i ścisnął w łapskach brandy, zamiast okładać mnie pięściami. Gdy znowu uniósł butelkę do ust, wsunąłem się pod koc, by ułożyć się do snu.

Ale wtedy zobaczyłem twarz ciotki Jo. W jej szeroko otwartych oczach malowało się przerażenie, a zwiędłe usta otwierała w bezgłośnym krzyku.

Następnego dnia poczułem w wietrze zapach morza, choć jeszcze go nie widziałem. Opuściliśmy główny trakt i ruszyliśmy błotnistym szlakiem, wspinającym się na jeszcze dziksze wzgórza, pełne głębokich jarów i skalnych rumowisk. Stara szkapa męczyła się straszliwie. Bałem się, że biedne zwierzę padnie w zaprzęgu, ale Hartah nie przestawał go poganiać. Koła wozu skrzypiały, mimo że ładunek składał się wyłącznie z woźnicy. Ciotka Jo i ja szliśmy z tyłu, zapasy już się skończyły, pomijając pół bochna twardego chleba, a podarty namiot Hartah cisnął do żlebu.

— Bogacze nie potrzebują takich marnych schronień! — odparł ze śmiechem, gdy odważyłem się go zapytać, dlaczego to zrobił.

Osiągnęliśmy najwyższy punkt szlaku. Szkapą jeszcze żyła, ciągnęła wóz przez gęsty las pełen starych dębów i wypaczonych przez wiatr sosen. Zapach soli był tu bardzo silny. Na polanie przy wartkim górskim strumieniu stała prosta drewniana chata o dachu z kłód uszczelnionym smołą.

— Hallooooo! — zawołał Hartah. Z chaty wyszło dwóch mężczyzn, jeden w jego wieku, a drugi młody. Starszy wspierał się na drewnianej lasce, bo jedną nogę miał krzywą i bezużyteczną.

— A więc się zjawiliście.

— Tak — potwierdził Hartah.

— Czy to twój chłopak?

— Tak.

— Zobaczymy, czy zrobi, co do niego należy.

— Zrobi.

Młodzieniec łypnął na mnie spode łba. Wyglądał na jakieś siedemnaście, osiemnaście lat, miał szerokie bary i był przystojny. Zastanawiałem się, czy spodobałby się Cat Starling, czy zgodziłaby się go pocałować.

— No to chodźcie — rzucił starszy mężczyzna.

— A reszta...

— Wkrótce się zjawią.

— Rozbijcie obóz — rozkazał ciotce Jo Hartah. — Tutaj, pod drzewami przy strumieniu. Nie zbliżajcie się do chaty, bo pożałujecie. Ty też, chłopcze.

Wszedł do środka ze złotowłosym chłopakiem. Kulawy mężczyzna kuśtykał za nimi.

Wyciągnęliśmy z ciotką wóz spod drzew, przywiązaliśmy i napoiiliśmy konia, a potem rozpaliliśmy ognisko. Nie mieliśmy nic do ugotowania. Gdy gryzłem swoją porcję chleba, twardego i zapleśniałego, na polanę przybyło trzech kolejnych mężczyzn. Żadnemu nie towarzyszyła rodzina. Wszyscy zniknęli w chacie.

Ciotka podała mi swój kawałek chleba. Nawet go nie tknęła. Spojrzałem na nią ze zdziwieniem i wciągnąłem nagle powietrze. Nigdy jej takiej nie widziałem. Twarz miała białą jak śnieg, a oczy nieruchome i wybałuszone z przerażenia.

— Ciociu... co...

Odwróciła raptownie głowę i zwymiotowała na trawę. Z jej ust ciągnęły się wąskie pasma brązowozielonej żółci. Prawdę mówiąc, dziwiłem się, że w ogóle coś z nich wypłynęło. Ostatnio jedliśmy bardzo niewiele. Co jeszcze dziwniejsze, wymiotowanie dodało jej odwagi, a przynajmniej pozwoliło odzyskać mowę.

— Uciekaj, Roger. Natychmiast. Oni zamierzają... nie możesz... uciekaj!

Gapiałem się na nią nad dogasającym ogniskiem. Nigdy dotąd nie namawiała mnie do ucieczki od Hartaha ani nie próbowała mnie przed nim bronić.

— Co oni planują? Co się wydarzy?

— Uciekaj. Uciekaj. Uciekaj.

Skomlała jak zwierzę w pułapce, kołysząc się w przód i w tył na chudych biodrach. Jak mógłbym ją teraz porzucić? Była moją ciotką, siostrą mojej matki, i nie mogłem zostawić jej samej z tym, czego się tak bardzo bała...

Nie. To nie była prawda. Ta była brutalniejsza i bardziej wstydliva. Bałem się uciec. Gdybym wyruszył w głąsę bez broni, pieniędzy i zapasów... a Hartah groził... jeśli ruszy w pościg i mnie złapie...

Wstydzilem się własnego strachu i ten wstyd przerodził się w gniew.

— Oszalałaś? Nie mogę uciec. Bądź cicho albo...

Umilkłem przerażony. Mówilem jak Hartah.

Ciotka Jo również się uspokoiła. Przestała się kołysać i zawodzić. Osunęła się na koc, odwracając ode mnie twarz. Znieruchomiła. Jednakże z drugiej strony ogniska dobiegło mnie jeszcze jedno zdanie, klarowne i zimne jak morskie powietrze.

— Twoja matka umarła w Hygryll, na Wrzosowisku Duszorośli.

Struchlałem. Miałem wrażenie, że na całym świecie zapadła cisza: liście nie szeleściły, wiatr nie szumił, węgielki nie potrzaskiwały w popiołach dogasającego ogniska. W Hygryll na Wrzosowisku Duszorośli. A przez tyle lat nie chciała mi nic powiedzieć o rodzicach. Moja matka.

— Gdzie leży to Wrzosowisko? — zapytałem. — I jak zginęła?

Ciotka Jo nie odpowiedziała ani słowem. Była nieruchoma jak kamień.

— Jak? I co z moim ojcem... ciociu Jo!

Ale ona nie chciała już nic powiedzieć. Leżała sztywna i obojętna, jakby to ona, nie jej siostra, umarła w tym nieznanym miejscu. Teraz go nie znałem, ale je znajdę. Miałem już nazwę, i mogłem je odszukać. I po raz pierwszy w życiu z chęcią przejdę na drugą stronę.

Moja matka w lawendowej sukni...

Minęło wiele czasu, nim zdołałem zasnąć. Wpatrywałem się w gwiazdy widoczne między konarami drzew. Obserwowałem zasłaniające je od czasu do czasu chmury. Przed świtem zaczęło padać i wczołgałem się pod wóz. Zimny deszcz nie miał znaczenia. Jutro ucieknę. Ciotka kazała mi to zrobić i teraz miałem też powód, miejsce, do którego pragnąłem się udać. Jutro

ucieknę, odnajdę wrzosowisko, na którym umarła moja matka, przejdę na drugą stronę i wreszcie ją spotkam.

Ale potem Hartah mnie obudził i wszystko się zawaliło.

— Chłopcze! Wstawaj, niech cię szlag, wstawaj!

Obudziłem się gwałtownie i usiadłem tak szybko, że wyrznąłem głową o dno wozu. Rozległ się ostry trzask, mózg przeszyły mi snopy światła. Hartah złapał mnie za ramię i wyciągnął spod pojazdu.

Małą polanę ogarnęło zamieszanie. Mężczyźni biegali jak szaleni, przeklinali, próbowali zaprząć starą szkapę Hartaha do wozu, który przybył tu najwcześniej przed kilkoma godzinami. Wciąż siąpiła zimna mżawka, wnikała w moją wełnianą bluzę. Za szarymi zasłonami deszczu widziałem słaby blask lamp trzymanyh przez mężczyzn. Ich światło padało to na jakąś wykrzywioną w niespokojnym grymasie twarz, to na ukryty pod brezentem ładunek.

— Chodź! — ryknął Hartah, wlokąc mnie za sobą.

— Przypłyńcie za wcześnie! — wrzeszczał ktoś pośród potoku przekleństw tak gwałtownych, że mogłyby stopić skałę. — Przypłyńcie za wcześnie!

Ominęliśmy chatę i dalej biegliśmy przed siebie. Była tam druga ścieżka, prowadząca stromo w dół. Gdy gnaliśmy nią po ciemku z Hartahem, cały czas patrzyłem na błotnistą, spływającą wodą ziemię, rozpaczliwie wypatrując w świetle niesionej przez niego lampy pewnych punktów oparcia dla nóg. Zapach soli stawał się coraz ostrzejszy. Z tyłu dobiegał mnie turkot toczącego się wozu. Ktoś prowadził konia. Gdy wyszliśmy spośród drzew, wiatr uderzył we mnie tak silnie, że omal się nie przewróciłem. Nagle usłyszałem łoskot fal.



Szlak schodził na wąziutką kamienistą plażę. Niebo było czarne jak smoła, ale gdy ludzie z lampami zeszli na dół, zobaczyłem, że plaża leży między wysokimi klifami a morzem. Pośród małych kamyczków widać było potężne głazy, a jeszcze większe sterczały ze wzburzonego morza. Ciemne fale rozbijały się o nie, a bryzgi niekiedy docierały aż do urwiska. Ciągłe lało.

— Tam!

— Śpieszcie się, do cholery!

— Przypłyńcie za wcześnie! Za wcześnie!

— Może się nam jeszcze udać...

Co może się nam udać? Jasnowłosy młodzieniec odepchnął mnie na bok, tak mocno, że aż padłem na kamienie. Podniosłem się chwiejnie. Kręciło mi się w głowie. Chyba nic sobie nie złamałem, lecz mimo to wcisnąłem się trwożnie w urwisko, rozglądając się rozpaczliwie wkoło. Nie było innej drogi powrotu do chaty poza tą jedną ścieżką, a na niej stali mężczyźni z kołyszącymi się na wietrze lampami.

Żółtowłosy ściągnął brezent z wozu i przewrócił go. Cóż za siła! Na plażę wysypał się wielki ładunek suchych szczap. Ktoś zapalił nasączoną olejem pochodnię i rzucił ją na stos, który natychmiast zapłonął. Wysuszone, polane olejem — ktoś przygotował drewno bardzo starannie. Płomienie strzeliły wysoko ku niebu. Potężne ognisko rozpałiło się na silnym wicherze.

I natychmiast ujrzałem światło, daleko na ciemnym wzburzonym morzu.

„Przypłyńcie za wcześnie! Może się nam jeszcze udać...”

Nie. Nie. Oni chcieli...

Słyszałem o takich sprawach, ale nie chciałem w nie wierzyć. To było jak czarownice albo zsyłanie na ludzi chorób, zbyt potworne, by to

zaakceptować. Ale teraz mój własny wujek...

Na ciemnym morzu rozbłysły trzy światła, szybko jedno po drugim. Mężczyźni na plaży zaczęli krzyczeć.

— Widzą nas!

— Podpłyną...

— Przygotować się!

Ludzie na statku myśleli, że ognisko to światło przewodnie, jakie zapala się, by wskazać statkom drogę do bezpiecznego portu. Żeglowali na oślep pośród szalonego sztormu, a ten ogień skieruje ich prosto na skały. Jak daleko od brzegu sięgały... kiedy kapitan się zorientuje, co się dzieje?

Nie miałem pojęcia. Nigdy nie płynąłem statkiem. I nic nie mogłem zrobić.

Mijał czas. Nie wiem, jak długo to trwało. Lały się na mnie strugi deszczu. Kulilem się pod ścianą urwiska, a na morzu statek walczył ze sztormem. Miałem wrażenie, że jego światła to się zbliżają, to znowu oddalają. Deszcz i ciemność uniemożliwiały mi ocenę odległości. Nie wiedziałem, co się właściwie dzieje.

Po pewnym czasie chmury na wschodzie, nad szczytem urwiska, pojaśniały i poczułem przypływ nadziei. Wkrótce zrobi się wystarczająco jasno, by ludzie na statku dostrzegli niebezpieczeństwo.

Tak się nie stało. Pomimo łoskotu fal usłyszałem trzask rozdzieranego przez skały kadłuba. Światła statku zakołysały się szaleńczo, a po paru chwilach zgasły.

Mężczyźni czekający na plaży zakrzyknęli z radości.

Nastał świt. Gdy wzeszło ukryte za gniewnymi chmurami słońce, moim oczom ukazała się cała przerażająca scena. Statek leżał na boku ćwierć mili od brzegu, rozpadając się stopniowo pod naporem fal. W falach przyboju szamotali się próbujący dotrzeć do brzegu członkowie załogi. Niektórzy

znikali we wzburzonej wodzie, by już więcej nie wypłynąć. Inni docierali na brzeg, mokrzy, zmęczeni i posiniaczeni, w ubraniach podartych o skały. Ludzie mojego wujka popędzili im na spotkanie.

Widziałem, jak złotowłosey złapał marynarza za szyję, obalił go na ziemię i wbił mu nóż w plecy.

Nie było mowy o walce. Na każdego rozbitka czekał na plaży zabójca. Płynąca krew mieszała się z deszczem, nadając basenom pływowym czerwoną barwę. Napastników ogarnął szal. Wbijali noże w żywe ciała w absolutnym milczeniu, co czyniło tę scenę jeszcze straszliwszą.

Po chwili nikt już nie wychodził na brzeg.

Potem na plażę zaczął wypływać ładunek, wielkie skrzynie i drewniane pudła, obijające się po drodze o skały. Mężczyźni porzucili broń — dno było śliskie i noże, miecze oraz włócznie mogłyby się okazać niebezpieczne — i weszli do wody, by wyławiać skrzynie, zanim się rozbiją. Potykali się, przeklinali i łapali śliskich skał, gdy tylko mogli, aż wreszcie wyciągnęli, ile tylko zdołali, pół dźwigając ładunki, a pół ciągnąc je po wodzie. Niewidoczne za chmurami słońce wznosiło się coraz wyżej. Na walającej się na ziemi broni widziałem lepkie czerwone plamy.

— Hej, ty! — ryknął na mnie Hartah. — Pomóż nam! Wciągaj ładunek na brzeg!

Kołysząca się na falach skrzynia uderzyła o skałę zaledwie kilka jardów od brzegu. Drewno pękło i ze środka wyspały się tkaniny, natychmiast nasiąkając słoną wodą. Czerwone, złote, niebieskie — cenne jedwabie, aksamity i brokaty wirowały w wodzie albo lepiły się do skał, jak moje ubranie do ciała. Barwniki zaczęły spływać, nadając wodzie barwy nigdy niewidziane w żadnym morzu: czerwoną... złotą... kobaltową... lawendową... Wlokłem się ku brzegowi, aż wreszcie ktoś złapał mnie za rękę i zatrzymał.

— Roger! Uciekaj!

Na plaży zmaterializowała się ciotka Jo. Gdy wszyscy opuścili chatę, z pewnością zeszła na dół błotnistą ścieżką, by mi powiedzieć, gdzie znaleźć matkę... Nie byłem w stanie myśleć. Gapiłem się na nią tępo, wsparty plecami o urwisko, pośród szczątków, deszczu oraz tkanin barwiących kamyczki na fantastyczne kolory.

— Uciekaj!

Wepchnęła mi coś w rękę i przyjąłem to bez zastanowienia. Nóż Hartaha, podniesiony z zakrwawionego piasku. Chciała, żebym go zabrał i uciekł, dopóki jeszcze miałem szansę. Szansę, by odnaleźć miejsce śmierci matki, przejść na drugą stronę i ujrzeć ją znowu.

Moje nogi wreszcie się poruszyły.

Usłyszałem gromki krzyk. Stał przed nami Hartah. Lepiły się do niego fragmenty zniszczonej tkaniny ze statku. Ociekający wodą niebieski aksamit zwisał mu krzywo z ramion niczym parodia peleryny. W rękach trzymał drewnianą skrzynkę z metalowymi okuciami.

— Uciekać! Żołnierze! — zawołał ktoś gdzieś z tyłu.

Twarz Hartaha wykrzywiła się w grymasie wściekłości. Uniósł głowę, wypatrując żołnierzy na szczycie urwiska. Deszcz spływał mu po czerwonym nosie i po siniaku na policzku. Jak zwykle, jego gniew musiał znaleźć jakieś ujście.

— Mówiłem ci, żebyś została na górze! — wrzasnął na ciotkę Jo. Potem uniósł pudełko i walnął ją nim mocno w głowę.

Wątle ciało kobiety osunęło się na kamienie.

Bez zastanowienia wbilem mu nóż między żebra i obróciłem go.

Masywne ciało mężczyzny zeszywniało. Uniósł rękę, próbując mnie złapać, ale cofnąłem się, wyciągając nóż. Z boku Hartaha natychmiast trysnęła krew. Tak wiele krwi! Zbierała się między kamieniami, mieszała

z deszczem, tryskała na boki. Mój wujek osunął się na kolana, a potem — po długiej przerażającej chwili, gdy wydawało się, że czas się zatrzymał — padł na twarz obok ciotki Jo.

Nóż wysunął się z moich bezwładnych palców.

— Żołnierze! — zawołał znowu ktoś. W blasku deszczowego świtu zobaczyłem, jak schodzą ścieżką, ślizgając się na błocie. Były ich dziesiątki. Z plaży nie było żadnej innej drogi ucieczki, chyba że na morze, gdzie statek rozpadał się coraz bardziej z każdym uderzeniem fal. Niektórzy rozbójnicy próbowali walczyć, ale nie mieli szans. Tylko dwóch spośród nas wzięto do niewoli — mnie i jasnowłosego młodzieńca.

Cat Starling z całą pewnością nie zechciałaby pocałować żadnego z nas.

## 5

Leżałem na polanie nad plażą, zwrócony twarzą ku ziemi. Ręce i nogi miałem związane, a usta wciśnięte w mokrą glebę. Jasnowłosy rozbójnik spoczywał obok, skrępowany podobnie jak ja. Deszcz osłabł. Odziani w mokre niebieskie mundury żołnierze kręcili się w pobliżu, pokrzykując nieustannie na konie — była wśród nich stara szkapa Hartaha — ciągnące na górę wozy. Od czasu do czasu któryś z mężczyzn kopał mnie w nogę albo w brzuch. Unosiłem z wysiłkiem związane ręce, starając się jak najlepiej osłonić głowę.

Co zrobią ze mną żołnierze królowej?

Całe życie słuchałem Hartaha opowiadającego o żołnierzach torturujących więźniów, pomimo strachu wiedziałem jednak, że tortury mi nie grożą. Nie musieli wymuszać z nas przyznania się do winy. Powieszają nas na podstawie tego, co widzieli na własne oczy.

— Kapłana! — wołał żółtowłosy. — Mam prawo przed śmiercią zobaczyć się z kapłanem!

Dwie pary butów zatrzymały się na błotnistej ziemi, kilka cali do mojej głowy.

— On ma rację — stwierdził czyjś głos. — Tak mówi prawo.

— A czy oni przejmowali się prawem, kiedy skierowali na skały „Frances Ormund”? — sprzeciwił się drugi mężczyzna, mówiący z silniejszym akcentem. — Z całym szacunkiem, poruczniku.

„Frances Ormund”. Z pewnością to była nazwa statku. Znowu ujrzałem przed oczami leżące na plaży ciała, pełne krwi baseny pływowe, Hartaha i jego towarzyszy, pokrzykujących triumfalnie, gdy wyciągali łupy na

brzeg. I zabójstwa. Ja również zabiłem. Nóż wsunął się między żebra Hartaha z wielką łatwością, jak masło w dziury w serze... A chwilę przedtem ciężkie drewniane pudełko rozbiło głowę mojej ciotki...

Mój umysł zadrżał pod wpływem obu tych wizji. Uświadomiłem sobie, że jestem mordercą. Nie żałowałem jednak, że to zrobiłem. Zdumiała mnie ta myśl. Nie chciałem zabić nawet szczura, który zakradł się do wozu, czy węża w naszym domu, gdy jeszcze mieliśmy dom. To była prawda. Powinienem był już dawno załatwić Hartaha. A teraz nie powinienem bać się śmierci. W końcu kto jak kto, ale ja z pewnością wiedziałem, że za grobem czeka nas bytowanie w spokojnej krainie Umarłych.

Nie chciałem jednak do niej trafić. Nie na zawsze. Co mi powiedziała pani Humphries? „To nie twój czas. Jeszcze nie”.

— Mnie jednak prawo obowiązuje, Enfield — stwierdził pierwszy z mężczyzn.

— Poruczniku, te bydlaki nie zasługują na łaskę prawa! Wybacz, poruczniku... dziesięciu ludzi zginęło, tylko dwoje ocalonych! I na pokładzie była kobieta, żona kapitana!

— Domagam się kapłana! — wrzasnął jasnowłosy młodzieniec. Kopnięto go mocno w bok. Westchnął i szarpnął się gwałtownie na ziemi.

— Enfield — odezwał się oficer, ale w jego głosie nie było ostrzeżenia. Żołnierz złapał mnie za ramię i podniósł na nogi.

— Poruczniku, niech przynajmniej zobaczy, co uczynił, zanim zawiśnie! Niech się spotka z ocalonymi!

Oficer nie zgłaszał sprzeciwu. Enfield pociągnął mnie do chaty. Po drodze jakiś inny żołnierz splunął mi w twarz. Dwaj kolejni przerzucili dwa sznury z pętlami przez konar wielkiego dębu.

W chacie było ciemno. Paliła się tylko jedna lampka, ustawiona na małym stoliku. Siedziało przy nim dwoje ludzi. Mężczyzna miał głowę

nieumiejętnie owiniętą bandażem. Jęczał, skrywając twarz w dłoniach. Druga osoba była kobietą.

Nie wyglądała ani młodo, ani staro. W pokrytych skorupą soli włosach miała smużki siwizny. Woda skapywała z nich na podartą suknię. Twarz miała obrzękniętą od urazów albo od łez. Żałoba pozbawiła jej oczy wyrazu. Enfield obalił mnie przed nią na kolana.

— Pani Conyers, oto, kto zabił twojego męża i rozbił „Frances Ormund”!

Popatrzyła na mnie. Przygotowałem się na uderzenie.

— To tylko chłopiec — rzekła jednak kobieta ze smętym zdumieniem.

— Był jednym z rozbójników, pani. To najpodlejsza hołota... Zawisnie razem z tym drugim.

Zmarszczyła boleśnie czoło. Widziałem, że wszystko to jeszcze do niej nie dotarło: katastrofa, śmierć męża, jej szczęśliwe ocalenie. Była jak ci, którzy przed chwilą trafili do krainy Umarłych: oszołomiona tym, gdzie się znalazła, niezdolna jeszcze zrozumieć tej nowej okolicy.

— Ile masz lat, chłopcze? — zapytała.

Natychmiast odzyskałem głos. Chciałem żyć. Na polanie kołysały się dwie pętle, a ja nie czułem się jeszcze gotowy zamieszkać w tej drugiej krainie. Byłem też bardzo chudy i niedożywiony i mimo sporego wzrostu wyglądałem na młodszego niż w rzeczywistości.

— Jedenaście, pani. Ja nie rozbiłem statku! Wujek mnie tam przyprowadził. Kazał mi przyjść. Nie wiedziałem! Nie wiedziałem!

— Nie tylko zbójca, ale jeszcze beksa i tchórz! — warknął Enfield. Złapał mnie, ale wyrwałem mu się, nie wstając z kolan.

— Błagam, pani. Przysięgam, że nie wiedziałem! Moja ciotka też tam była i wujek ją zamordował. Poszukajcie ciała! Była chuda i wątła... nie



wchodziła do morza, nie zabił jej nikt z wychodzących na brzeg... była siostrą mojej matki!

Enfield złapał mnie znowu, tym razem silniej, ale oszołomiona, pogrążona w rozpacz wdowa uniosła rękę.

— Nie, zaczekaj, proszę... proszę.

— Pani, on powie wszystko, żeby się wyłgać! To kłamca!

— Czy... czy... — Trudno jej było uporządkować myśli. — Czy na plaży znaleziono ciało kobiety?

Myślałem, że Enfield skłamie, ale pod żądzą zemsty kryła się w nim prawda. Była ona również w mojej opowieści, gdyby tylko ją znał.

— Znaleziono — przyznał po długiej chwili.

— Zamordowano ją?

— Rozbito jej głowę — przyznał z niechęcią żołnierz. — Ale ten skurczybyk mógł sam to zrobić!

— Nie — zaprzeczyłem.— Tylko ciotka Jo okazywała mi dobroć.

Dopiero teraz, gdy już nie żyła, uświadomiłem sobie, że to prawda. Ciotka nigdy nie broniła mnie przed Hartahem, co to, to nie. Ale dzieliła się ze mną jedzeniem, które miała, i kazała mi uciekać z polany. Straciła życie dlatego, że zeszła na plażę, by skłonić mnie do ucieczki. Uciekaj, Roger. Natychmiast.

A ja okazywałem jej gniew i pogardę, bo za bardzo się bałem Hartaha, by skierować te uczucia na niego.

Oczy zaszczyły mnie od łez. Nad ciotką Jo, nad utraconą matką, nad sobą. Nagle zalał mnie wstyd. Czternaście lat to za dużo, by płakać! Nawet jedenaście byłoby za dużo. Mogłem jedynie zwiesić głowę, ale i Enfield, i pani Conyers to zauważyli.

— Darujcie mu życie — zażądała ze znużeniem w głosie. — To tylko dziecko.

— Nieprawda! On tylko gra! To tchórz, kłamliwy...

— Darujcie mu życie. To moje prawo.

Enfield podniósł mnie na nogi z głośnym rykiem i wywlókł na zewnątrz. Nie zamierzał jej słuchać. Powiesi mnie. On jednak przytrzymał mnie tylko mocno i odwrócił twarzą w stronę wielkiego dębu.

Jedna ze zwisających pętli była pusta. Drugą założono na szyję jasnowłosego młodzieńca, który drżał i wybałuszał oczy. Spróbował coś krzyknąć, ale jego słowa nie miały sensu. Trzej mężczyźni pociągnęli za drugi koniec sznura i młody rozbójnik uniósł się nad ziemię.

Miotał się i machał rozpaczliwie nogami. Wydawało się, że trwa to wieczność. Sznur wrzynał się w korę, skazaniec próbował zaczerpnąć oddechu, wykrzywił twarz w straszliwym grymasie i kołysał się, wierzgając bez końca...

Aż wreszcie przestał wierzgać.

Enfield wyciągnął nóż i przeciął mi więzy. Potem obalił mnie na ziemię. Leżałem na plecach, spoglądając na niego.

— Uciekaj — rozkazał. — Rzeczywiście ma takie prawo.

Ale jasnowłosy młodzieniec miał prawo do kapłana, a oni i tak go powiesili. Wyczytałem z twarzy Enfielda, że nim przebiegnę dwadzieścia stóp, on czy któryś z jego towarzyszy przeszyje mnie mieczem. Albo gorzej. A pani Conyers o niczym się nie dowie.

Jej suknia mogła być podarta i przemoczona, ale wykonano ją z bogato haftowanego aksamitu.

Była żoną kapitana statku.

Enfield jej słuchał, dopóki go widziała.

Wstałem, ale zamiast pobiec do lasu albo w stronę ścieżki, popędziłem do chaty i padłem do stóp pani Conyers.

— Pani! Błagam, jeśli spróbuję odejść, żołnierze mnie zabiją! Zabierz mnie ze sobą!

Gniew wreszcie przywrócił kolor jej twarzy.

— Jak śmiesz! Mój mąż...

— Mogę ci przynieść wieści od niego z krainy Umarłych!

— Straż! Straż!

Pozostało mi tylko jedno. Rzuciłem się z całych sił na stół, celując czołem w jego kant. Ból wypełnił mnie niczym ogień, przesywając mi głowę ostrymi błyskawicami. Zrobiło się ciemno.

Przeszedłem na drugą stronę.

## 6

Stałem na tej samej polanie, ale chata zniknęła. Dziewięcioro Umarłych siedziało ze skrzyżowanymi nogami, trzymając się za ręce, a ja pojawiłem się w środku utworzonego przez nich kręgu. Ignorowali mnie, nie widzieli albo było im wszystko jedno. Przeszedłem nad nimi i ruszyłem ku ścieżce prowadzącej na plażę.

Nie było tu żadnej ścieżki.

Na dole rozciągało się morze, szare i niezmacone pod wiecznie spokojnym niebem. Stałem na szczycie klifu, znacznie bardziej stromeego niż ten w krainie żywych. Na skalistej plaży poruszały się maleńkie postacie, ale nigdzie nie było śladu statku — czy to unoszącego się na falach, czy rozbitego o skały.

Czy jedną z tych sylwetek był Hartah? A drugą ciotka Jo?

Odepchnąłem od siebie tę myśl. Inaczej nic nie mógłbym zrobić. Musiałem szybko zejść na dół. Umarli przechodzą przez okres dezorientacji, podczas którego można z nimi rozmawiać i odpowiadają na pytania. Ów okres trwa jednak bardzo krótko. Musiałem zejść na plażę, dopóki Umarli z „Frances Ormund” pozostaną oszołomieni, nie zadomowią się w swej nowej ojczyźnie. W przeciwnym razie nie było szans, by któryś z nich chociażby mnie zauważył. To byli młodzi marynarze, nie stare plotkary. Przedzierałem się gorączkowo przez las na skraju urwiska. Nigdzie nie było żadnych ścieżek. Wreszcie plaża zniknęła mi z oczu i powlokłem się z powrotem na polanę.

Drzewo, na którym mieli mnie powiesić, stało przede mną. Jego liście nie poruszały się w bezwietrznym powietrzu. Zadrzałem.

— Gdzie jest zejście na dół? — zawołałem do kręgu Umarłych. Żaden z nich nawet nie uniósł wzroku.

Pobiegłem z powrotem na brzeg urwiska. Dwaj nowo Umarli wyleźli na kamienie i usiedli na nich ze skrzyżowanymi nogami, spokojnie kontemplując wodę.

Zaczynało mi brakować czasu. Jeśli rzucę się z urwiska, z pewnością zginę, zakładając, że śmierć w tym miejscu była możliwa. Jeśli jednak wkrótce nie zejść na dół, Enfield równie niezawodnie zabije mnie w kraju żywych.

Wydałem z siebie głośnie, niosące się echem wycie rozpacz. Jedna z maleńkich postaci na plaży spojrzała na mnie, osłaniając twarz dłonią. W następnej chwili mężczyzna uniósł się w powietrze i wylądował obok mnie na szczycie klifu.

Nie wiem, kto się bardziej zdziwił, on czy ja. To był prosty marynarz, miał brązową kamizelkę, skórzany pas i podarte pantalone. Krzyknął, wyciągnął nóż zza pasa i pobiegł ku mnie.

— Stój! — zawołałem, nim sobie uświadomiłem, że chcę cokolwiek powiedzieć. Posłuchał mnie.

— Jak to zrobiłeś? Jak tu mnie przeniosłeś? — zawołał. — I gdzie jestem?

Jeszcze nie dotarło do niego, że nie żyje. Czy właśnie dlatego mógł wzbić się w górę i wylądować na szczycie urwiska? Nigdy nie widziałem, by któryś z Umarłych zrobił coś takiego. Co jeszcze potrafili?

Mój umysł pracował szybciej niż kiedykolwiek dotąd. To stwarzało mi szansę, być może jedyną.

— Gdzie jestem? — powtórzył.

— W mojej reginokracji! — odpowiedziałem.

Przyjrzał mi się. W jego oczach walczyły ze sobą strach i zwątpienie.

— Nie wyglądasz na księcia!

Moje ubranie było tak samo nędzne jak to, które miał na sobie, i niewiele suchsze.

— Pewnie, że nie wyglądam. Jesteś w... w Kraju Czarowników, a ja uczę się na czarownika. Dlatego potrafiłem cię przenieść na szczyt.

Strach zatriumfował nad zwątpieniem. Marynarz padł przede mną na twarz pośród zielska i kamieni.

— Oszczędź mnie, panie... och, panie... błagam!

— Daruję ci życie, jeśli opowiesz mi wszystko o statku, na którym tu przypląnąłeś, o jego rejsie i o kapitanie.

Marynarz, nadal leżący na brzuchu, spojrział na mnie z miną psa, który spodziewa się bicia. Uświadomiłem sobie coś, co powinienem był zauważyć natychmiast. Większą część jego twarzy zakrywała broda, ale płaski nos, wielka głowa, niewyraźna wymowa i fakt, że trzy pytania zadane po kolei zbiły go z tropu... Był taki sam jak Cat Starling, tyle że bez jej urody. Miał umysł dziecka i jak dziecko nie potrafił pojąć, gdzie jest, co się stało ze statkiem i dlaczego zabójcze morze w jedno uderzenie serca się uspokoilo.

— Wstań — rozkazałem tonem tak władczy, jak tylko mogłem. — Świetnie. A teraz powiedz mi, jak się nazywał twój statek.

— „Frances Ormund”. — Skierował wzrok ku morzu i skrzywił się ze zdumienia. — Gdzie on się podział?

Nie chciałem, żeby myślał, przypominał sobie, rozumiał.

— Spójrz na mnie. Nie tak, prosto na mnie. Świetnie. Kto nim dowodził?

— Kapitan James Conyers.

— W porządku. Dokąd płynęliście?

— Do zatoki Carlyle.

Wyraźnie się uspokoił, gdy zadawałem mu pojedyncze proste pytania, na które mógł udzielać jasnych odpowiedzi. Strach nie zniknął z jego pokracznej twarzy, nadal też trzymał nóż, wyczuwałem jednak, że dopóki będę skupiał na sobie jego uwagę, nie wpadnie w panikę. Nóż był zakrzywiony i straszliwie ostry, a jego drewnianej rękojeści nadano kształt otwierającej paszczę ryby.

— Ilu ludzi na nim płynęło?

— Jedenastu marynarzy, kapitan i pani Conyers.

— Co przewoziliście... nie, nie patrz w dół... co przewoziliście?

— Złoto z Benili i tkaniny z... zapomniałem.

Zwiesił głowę.

— Nic nie szkodzi — uspokoiłem go. Tkaniny i złoto. Cenny ładunek, mały statek, nieliczna załoga. Wymarzony cel dla morskich rozbójników.

— Och! — rozpromienił się nagle. — Płynął też z nami człowiek z Benili. To był waśniak. Miał na piersi medale!

Głodne morze pożarło go razem z jego znaczeniem i medalami.

— Jak masz na imię?

— Gacek.

— I to wszystko?

— Tak, panie. Nie dali mi innego.

— A jakim kapitanem był James Conyers, Gacek? Czy był sprawiedliwy?

To pytanie okazało się zbyt trudne. Gacek popatrzył na mnie bezradnie.

— Czy kapitan Conyers kiedyś cię wychłostał?

— Kiedy wypuściłem linę, dał mi trzy baty. Ale były lekkie. Powiedział, że... że staram się najlepiej, jak mogę. To była prawda.

— A czy...

Ale Gacek rozgadał się na dobre.

— Kiedyś kazał wychłostać bosmana za kradzież. Potem wysadziliśmy go na ląd w Yantadze, tak jest. Nie dostał też zapłaty. Miał szczęście, że go nie wsadzili. A kiedy nadszedł wielki sztorm, kapitan stał na pokładzie i nie pozwalał nikomu zejść ze stanowiska. Potem powiedział...

Dowiedziałem się wszystkiego o tym, co kapitan powiedział, co zrobił i kim był. Słaby na umyśle mężczyzna w zniszczonym, pokrytym warstwą soli ubraniu namalował mi obraz idola, człowieka, jakiego przynajmniej ja nigdy w życiu nie spotkałem. Sprawiedliwego. Dobrego. Inteligentnego. Potrafiącego wszystko. Ile w tym było prawdy, a ile ślepego uwielbienia?

— Ale gdzie on jest teraz? — zakończył Gacek. — Nie mogę zejść ze stanowiska! — Zawładnęła nim panika. — Czy go zaczarowałeś?

Krzywy nóż w jego dłoni zadrżał lekko.

— Nie zaczarowałem go. — Kolejne sylwetki wychodziły z morza, by wędrować bez celu po plaży. Mógł być wśród nich kapitan Conyers. — Gacek, chodź ze mną.

Starłem się, żeby mój głos zabrzmiał możliwie władczo. Ja, chudy, przerażony morderca walczący o własne życie w krainie, w której właściwie niemal nie istniało. Gacek podążył jednak za mną.

Zaprowadziłem go do pniaka znajdującego się w połowie drogi między klifem a polaną.

— Usiądź tu i czekaj na mnie, na kapitana albo na pierwszego oficera. Któryś z nas się zjawi.

— Tak jest.

Usiadł. Nie wątpiłem, że będzie tu czekał aż po kres czasu, jeśli okaże się to konieczne. Oddaliłem się.



Minąwszy gęste zarośla, spróbowałem polecieć, jak zrobił to Gacek. Pomyślałem życzenie, podskoczyłem, zamknąłem oczy i spróbowałem utrzymać się w powietrzu siłą woli. Nic z tego. Najwyraźniej nie wystarczyło tu być. Trzeba też było umrzeć.

Ugryzłem się w język. Ból wystarczył, by wrócić.

\*

— Budzi się — usłyszałem głos kobiety. Leżałem na klepisku chaty. Pani Conyers pochylała się nade mną ze znużoną twarzą, pełną żałoby i niesmaku. — Straże, wyprowadźcie go i wypuście.

— Nie, zaczekaj! — Nie dbając już o wstyd, uczepiłem się mokrego obrąbka jej aksamitnej sukni. — Wysłuchaj mnie! Ja...

— Won! — zawołała głosem przerażającym się we wrzask. Wyczuwałem, że nie jest kobietą skłoną do krzyków, ale w takiej chwili... Jej mąż utonął we wzburzonym morzu, jego statek rozbił się o skały, jej życie legło w gruzach. Jeden z żołnierzy pochwycił mnie brutalnie.

— Kapitan Conyers kupił ci róże w Yantadze! — zawołałem. — Kiedy zawinęliście do portu, żeby wysadzić bosmana na ląd za kradzież... żółte róże, całą masę żółtych róż!

Żołnierz ciągnął mnie już ku drzwiom.

— Zaczekaj — odezwała się pani Conyers.

— Pani...

— Zaczekaj — powtórzyła. — Skąd wiesz o tych różach? — zapytała mnie.

Wiedziałem tylko tyle, ile usłyszałem od Gacka. Ale jej twarz już zbielała i oczywiście było też coś więcej. Z kobietami zawsze tak się dzieje.

Szukałem na oślep w pamięci czegoś, co mógłbym powiedzieć, co mógłbym jej ofiarować, żeby ocalić życie.

— Róże były... darem. Między wami dwojgiem. Za coś ważnego.

Jej oczy wypełniły łzy.

— Zostaw nas — poleciła żołnierzowi.

— Pani, to może być niebezpieczne...

— Zostaw nas!

W jej głosie zabrzmiał władczy ton, który próbowałem osiągnąć w rozmowie z Gackiem, ale nigdy mi się to nie udało ani w tej krainie, ani w tamtej. Urodziła się po to, by przemawiać tym głosem.

Żołnierz puścił mnie i wyszedł sztywnym krokiem.

— Kim jesteś? — zapytała. — Skąd wiesz to wszystko?

Gapiliśmy się na siebie w ciemnym wnętrzu, oświetlonym tylko przez jedną lampę oraz szare światło wpadające do środka przez małe okienko. Drugi ocalały rozbitek jęczał w kącie. W chacie cuchnęło męskim potem, odchodami gryzoni oraz moim strachem. Nie miałem jednak wyboru.

— Nazywam się Roger Kilbourne. Wiem to wszystko, ponieważ przed chwilą, kiedy leżałem nieprzytomny, usłyszałem to od twego męża, pani. Uwierz mi, pani, proszę, pozwól, bym cię przekonał. Mogę ci powiedzieć więcej o twoim rejsie na „Frances Ormund”, znacznie więcej... Nie! Proszę, wysłuchaj mnie! Nie kłamię, nie próbuję cię oszukać ani wykorzystać twojej żałoby. Nie wiem, dlaczego taki jestem, i nie pragnę niczego poza ocaleniem życia. Proszę, wysłuchaj mnie. Potrafię...

Nigdy nie przyznałem się do tego na głos nikomu poza Hartahem i ciotką, a i im tylko wtedy, gdy byłem małym dzieckiem i nie wiedziałem, że o niektórych sprawach lepiej nie mówić.

— Potrafię podróżować do krainy Umarłych.

## 7

Uwierzyła mi. Hartah zawsze powtarzał, że tylko wieśniacy wierzą w moje umiejętności, nigdy zaś ci, którzy urodzili się w mieście albo stoją wyżej od nas w hierarchii społecznej. Przekonałem się, że to prawda, ale pani Conyers była rzadko spotykaną osobą, jedną z tych, które przyglądają się uważnie zaprezentowanym im dowodom, ważą je starannie i potrafią zaakceptować nawet to, co nieprzyjemne albo przerażające, jeśli wszystko wskazuje na to, że to prawda. Kiedy jej powtórzyłem to, co usłyszałem od Gacka, pani Conyers uwierzyła, że potrafię przejść na drugą stronę. Uwierzyła też w to, że jeśli chce ocalić moje życie, musi mnie zabrać od żołnierzy pałających żądzą zemsty za „Frances Ormund”. Uwierzyła mi, zabrała mnie ze sobą, choć nie zносиła mnie serdecznie z dwóch następujących powodów:

Czarownik.

Dziecko morskich rozbójników.

Wyruszyliśmy późnym popołudniem. Deszcz przestał padać, a morze nie było już wściekłe, a tylko naburmuszone. Te ciała, które udało się odnaleźć, leżały pod mokrymi kocami na wozach, razem z wyłowionym z wody ładunkiem. Pani Conyers i ja jechaliśmy w wozie, w którym nie było trupów. Trzymałem się blisko niej. Żołnierze w mokrych niebieskich mundurach spoglądali na mnie z żądzą mordy w oczach. Ciało kapitana Conyersa nie znaleziono. Wdowa i ja nie rozmawialiśmy ze sobą.

Trzymaliśmy się blisko wybrzeża, jadąc szczytem urwisk, które stawały się coraz niższe w miarę, jak oddalaliśmy się od gór. Po zmierzchu wczesnojesiennego dnia dotarliśmy do wielkiej przybrzeżnej gospody.

Wysłaliśmy przodem jeźdźca. Czekala tam na nas liczna grupa ludzi, którzy zmuszali wierzchowce do maksymalnego wysiłku, by przybyć tu równocześnie z nami. Okazało się, że przybyli tu z posiadłości brata kapitana Conyersa, położonej gdzieś w głębi lądu. Niebiescy żołnierze królowej opuścili nas, być może chcąc rozbić gdzieś własny obóz. Zabrali ze sobą drugiego rozbitka z „Frances Ormund”. Z ulgą patrzyłem, jak się oddalają. Ci nowi ludzie również nosili broń i ciężkie buty, ale nie mieli powodu, by mnie nienawidzić. Chyba że pani Conyers im go da...

Czy powinienem teraz zwać, wymknąć się w zapadającą noc? Dokąd miałbym pójść, co jeść, jak żyć? Tu dobrze mnie karmiono, pierwszy raz w moim życiu. Głowa nadal mnie bolała, w miejscu, gdzie uderzyłem się o stół, ale ranę owiązano mi czystym bandażem. Aż za dobrze pamiętałem też opowieści Hartaha o zbójcach, rabusiach, którzy wypruwali wnętrzności samotnym wędrowcom i porzucali ich, by skonali na szlaku.

Dlatego stałem w ciemnym kącie stajni, w miejscu, gdzie drewniana ściana gospody stykała się z wysokim murem z polnych kamieni, i obserwowałem zamieszanie. Mężczyźni wnosili do stajni kufry z „Frances Ormund”. Nie wątpiłem, że będą dziś w nocy pilnie strzeżone. Trupy pozostawiono na wozach, te zaś zaciągnięto za gospodę. Wśród nowo przybyłych była kobieta, która najwyraźniej jechała równie szybko jak mężczyźni. Miała płócienną torbę. Weszła do środka tymi samymi drzwiami co pani Conyers. Wszystkie konie drżały po straszliwym wysiłku i zlewał je pot. Napojono je, wytarto i nakarmiono, a potem zaprowadzono do stajni, a gdy zabrakło w niej miejsca, do okólnika. Kołowrót studni poskrzypywał nieustannie, gdy na górę wyciągano kolejne wiadra. Słudzy z gospody biegali jak szaleni, pokrzykując do siebie. Nikt mnie nie zauważał.

Wreszcie wilgotne powietrze przesycały smakowite zapachy posiłku. Było już zupełnie ciemno. Poszedłem do kuchni i zatrzymałem się przy stole, uginając kolana, by wyglądać na niższego.

— Czego chcesz? — warknęła na mnie zaganiana posługaczka.

— Jestem paziem pani Conyers — oznajmiłem z taką godnością, na jaką było mnie stać. Z pewnością moje ubranie nie wyglądało gorzej niż szaty wdowy. Było podarte i pokrywały je plamy soli.

Mina kobiety natychmiast złagodniała.

— Och, bardzo przepraszam, panie. Nie wiedziałam... czy zajrzesz do głównej sali? Matty przyniesie ci coś... Matty! — zawołała głosem tak donośnym, że mógłby wystraszyć kamienie.

— Wolę zjeść tutaj — odparłem wyniośle. — Z dala od żołnierzy.

— Oczywiście, jak sobie życzysz, panie.

Dygnęła. Paziowie w bogatych domach z reguły byli szlachetnie urodzeni. Pośpiesznie ustawiła mały stolik przy ogniu i podała mi posiłek, jakiego nie jadłem od... Nie. Nigdy takiego nie jadłem.

Gęsta zupa, w której pływały małe chrupiące klopsiki. Ciepły chleb ze świeżym masłem. Złociste ale. I jabłecznik z grubą kruszonką. Do jabłek dodano miodu i korzeni. Pozałem wszystko. Kiedy skończyłem, brzuch miałem pełny, a krew krążyła mi szybko w żyłach.

— Panie — rzekła nieśmiało posługaczka — skoro już skończyłeś, może zechciałbyś zanieść kolację swej pani? Matty oświetli ci drogę.

Znowu dygnęła.

Wziąłem w ręce ciężką tacę i zobaczyłem, że moja kolacja, która wydawała mi się tak wspaniała, była warta guzik z pętelką w porównaniu z tą, którą przeznaczono dla pani Conyers. Pieczona gęś o chrupkiej skórce pachniała tak smacznie, że ledwie czułem dżem porzeczkowy, czerwone

wino i tuzin innych dań. Większości nie potrafiłem nawet nazwać. Nieważne, już nasyciłem głód.

Szedłem za Matty, unoszącą wysoko lampę. Kroczyliśmy przez ciemne korytarze, a potem w górę po schodach. Kobieta zapukała do masywnych drzwi, pod którymi siedział mężczyzna w zbroi. Drzwi otworzyła służąca, która przyjechała z ludźmi Conyersów.

Pani Conyers siedziała na rzeźbionym dębowym krześle przy kominku. Miała na sobie suche ubranie — pozbawioną ozdób czarną suknię oraz czepek tego samego koloru. Jakiś czas temu płakała, ale teraz jej twarz zastygła w nieprzejeźdnym wyrazie.

— To ty! — zawołała, zobaczywszy, kto przyniósł jej kolację.

— Kucharka prosiła, żebym ci to zaniósł, pani — wyjaśniłem. Nie mogłem się jej pokłonić, bo wypuściłbym tacę. — Jako twój paż.

— Nie jesteś moim paziem! — warknęła tak gwałtownie, że służąca aż się poderwała. — Zostaw nas, Alice.

Kobieta wyszła pośpiesznie, zamykając za sobą drzwi. Izba była skromnie urządzona, ale czysta. Szerokie łoże robiło wrażenie wygodnego, a jego zasłony były wyprane i barwne. Stół, dwa krzesła i buzujący na kominku ogień, który przeganiał wilgoć i chłód. Nie miałem pojęcia, gdzie będę dziś spał. Postawiłem tacę na stole, a potem znieruchomiałem, nie wiedząc, co robić dalej. Ręce zwisały mi bezwładnie u boków. Pani Conyers przejęła kontrolę nad sytuacją.

— Nie wiem, kim jesteś — zaczęła. — Czarownikiem, szarlatanem czy łotrem. Nie mam pojęcia, jak się dowiedziałeś tego wszystkiego o moim mężu ani dlaczego byłeś z ludźmi, którzy rozbili... którzy rozbili...

Odwróciła twarz, ale po chwili odzyskała panowanie nad sobą.

— Nie wiem, czy rozmawiałeś z moim Jamesem, czy nie. Był...

— Rozmawiałem z nim! Powiedziałem, że bardzo cię kocha, pani!

Wykorzystywałem jej żalobę. Wcale nie byłem lepszy od Hartaha.

— ...dobrym człowiekiem — ciągnęła, jakbym w ogóle się nie odezwał. — Najlepszym z ludzi i nie musisz mi mówić, że mnie kochał ani że jego dusza mieszka teraz w lepszym miejscu. Chcę, żebyś mnie opuścił, chłopcze. Nie wiem, czy jesteś winny, czy nie, ani czy jesteś czarownikiem, ale pragnę, byś zniknął mi z oczu. Nie mogę na ciebie patrzeć. Odejdź.

— Dokąd pójdę? Nie mam rodziny i mam tylko jedenaście lat...

— Nieprawda.

Przyjrzała się mojemu pokrytemu meszkiem podbródkowi oraz grdyce. W ciemnej chacie nie zauważyła tych szczegółów. Moje kłamstwo wyszło na jaw, dowodząc, że jestem łgarzem.

— Ale nie mam dokąd pójść! — zawołałem. — Nie mam rodziny, zawodu ani pieniędzy...

— A więc tego ode mnie chcesz? Pieniądzy?

Błąd, błąd.

— Dam ci je — oznajmiła pogardliwym tonem. — A potem odejdź.

— Pani, jeśli dasz mi pieniądze, zabiorą mi je ludzie w pierwszej gospodzie, w której się zatrzymam, albo pierwsi zbójcy napotkani na trakcie. A co pocznę, gdy je utracę? Pani, błagam, przez wzgląd na litość...

— Litość? Taką samą, jaką okazałeś mojemu mężowi i jego załodze?

— To nie byłem ja!

Przyjrzała mi się. Być może uważała, że moja desperacja również jest udawana. Przedtem zawsze chroniły mnie potężne pięści Hartaha, nawet jeśli niekiedy zwracały się przeciwko mnie. Chronił mnie jego gotowy do użytku nóż, jego kontakty z innymi podobnymi łotrami, jego talent do oszustwa i kłamstwa, fałszerstwa i kradzieży. Cóż ta rozpieszczona kobieta przekonana o swej moralnej wyższości mogła wiedzieć o życiu, jakie byłem

zmuszony prowadzić? Jej bezpieczeństwo zapewniały pieniądze i pochodzenie. W owej chwili byłem gotowy ją znienawidzić.

— Wierzę, że to nie ty jesteś winien katastrofy statku i wszystkich nieszczęść, które na nas ściągnęła — zapewniła. — Mimo to nie chcę cię widzieć na oczy.

— W takim razie znajdź mi pracę w jednym ze swych majątków. Jakieś skromne zajęcie, byś nigdy nie musiała mnie oglądać!

Roześmiała się tak gorzko, że aż byłem zdumiony.

— Nie słuchasz, co do ciebie mówię, prawda, Roger? Rozbójnicy twojego wujka odebrali mi wszystko, co miałam. Jeśli nie będę ostrożna, stanę się tak samo biedna jak ty. Nie mam żadnego majątku.

— Nie rozumiem...

Wstała, napełniła kielich przyniesionym przeze mnie winem i odsunęła się, zwracając się plecami do kominka. Jej twarz skryła się w cieniu. Jasne włosy, umyte teraz i wsunięte pod czepek, okalały jej niedostrzegalne lico.

— Jesteś bardzo młody — stwierdziła cichym, pełnym znużenia głosem. — Widzę też, że nie znasz wielkiego świata. Mój mąż jest... był... czwartym synem pomniejszego barona. Wszelkie „majątki” odziedziczyli jego starsi bracia. James musiał radzić sobie sam. Wszystko, co miał, zainwestował we „Frances Ormund”. Towary z Benili i Tenwarthanal plus opłata za przewóz od szlachcica, którego zabraliśmy do Reginokracji, pozwoliłyby nam wynająć jakiś dom, kupić drugi statek i sfinansować kolejny rejs. Jestem zrujnowana.

— Ale ładunek... Widziałem skrzynie wnoszone...

— Odrobina złota, wystarczy na spłacenie długów. Reszta to były tkaniny i korzenie. Morze wszystko zniszczyło.

— A twoja rodzina...



— Wyrzekli się mnie dziesięć lat temu, gdy poślubiłam Jamesa wbrew ich woli. Brat, który jest teraz jej głową, może z niechęcią dać mi parę groszy. Jest człowiekiem starej królowej. Teraz rozumiesz, jak wielkie zniszczenia spowodował twój wujek? I dlaczego nie chcę na ciebie patrzeć?

Zapadła długa cisza.

— Tak — wyszeptałem wreszcie.

Podeszła bliżej i ujrzałem wyraźnie jej twarz. Malowały się na niej smutek i zdumienie, a także coś jeszcze, to samo, co widziałem u niej w gospodzie. Ta kobieta, bez względu na osobistą żalobę, po prostu nie potrafiła być niesprawiedliwa. Przyjrzała mi się uważnie w migotliwym blasku ognia.

— Naprawdę potrafisz wędrować do krainy Umarłych? — zapytała po chwili.

— Tak.

— Mogą cię za to spalić jako czarownika.

— Tak.

Moje serce zabiło mocno.

— To straszliwa śmierć. Gorsza niż utonięcie.

— Tak.

Znowu nastąpiła długa przerwa.

— Powiem ci, co zrobię — podjęła kobieta. — Jutro wyrusza stąd kurier na dwór królowej, ponieważ o wszystkich morskich katastrofach trzeba meldować królewskim doradcom oraz zapisywać je w Biurze Morskich Rejestrów. Wyślę cię z nim. Dostaniesz list do mojej dawnej służącej. Nie jest ważna ani wpływowa, ale może znajdzie ci jakieś zajęcie. Jeśli jesteś mądry, nikomu nie wspomnisz o swej „zdolności” ani nie spróbujesz jej tam używać. To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić.

— Dziękuję, pani!

Byłem zachwycony. Nikt dotąd nie okazał mi tak wiele dobroci. Niezgrabnie — nigdy tego nie robiłem — opadłem na jedno kolano, próbując wykonać dworski ukłon.

— Och, wstawaj — rzekła ze znużeniem w głosie. — Jest z ciebie tak samo kiepski dworak jak więzień. Pójdę teraz napisać list, by nigdy już nie musieć oglądać cię na oczy. Poproś Alice, by zeszła na dół po pióro i inkaust.

Otworzyłem masywne drzwi. Alice czekała za nimi. Gdy zbiegła na dół, zastanowiłem się, co się z nią stanie, jeśli pani Conyers rzeczywiście wszystko straciła. Jak bardzo biedny może być ktoś, kto wysyła służbę po pióro i inkaust. Dla niej to słowo znaczyło co innego niż dla mnie.

Siedząca za stołem pani Conyers znowu kazała Alice wyjść, po czym przestała skrobać piórem po papierze i spojrzała na mnie.

— Umiesz czytać?

— Nie, pani.

— A rachować?

— Tylko trochę, w głowie.

— A czy w ogóle potrafisz robić coś użytecznego?

Gdybym odpowiedział „nie”, mogłaby wycofać ofertę pomocy. Szukałem pośpiesznie w myślach czegoś wiarygodnego, co nie wymagałoby umiejętności, a tylko siły mięśni.

— Umiem... umiem robić pranie, pani.

— Pranie? Chłopak?

— Tak.

— Znakomicie. — Skończyła pisać list i, ponieważ nie miała pieczęci, złożyła go ciasno. — Moja dawna służąca nazywa się Emma Cartwright.

Służy teraz u jednej z dam dworu królowej Caroline. — Rozciągnęła usta w smętnym uśmiechu, przywołanym przez jakieś miłe wspomnienie z utraconej przeszłości. — Nie napisałam o tobie nic poza tym, że jesteś pracowity, posłuszny i silny.

Spojrzała na mnie niepewnie.

— Jestem silny, chociaż na to nie wyglądam!

— Tak. No cóż. Na dworze trzymaj się z dala od rodziny królewskiej, w mało prawdopodobnym przypadku, gdyby wasze drogi kiedyś się skrzyżowały. W dzisiejszych czasach na dworze dzieje się wiele dziwnych rzeczy. Nie brak tam takich, którzy uznaliby cię za czarownika. Nic nikomu nie mów, w tym również kurierowi, który cię tam odwiezie. Nazywa się Kit Beale.

— Jak mam go znaleźć?

— Śpij w stajni. On znajdzie ciebie.

— Pani, dziękuję za wszystko, co dla...

— Nie pragnę twojej wdzięczności. Wystarczy mi, że nigdy więcej cię nie zobaczę. Idź już.

— Tak jest, pani. Ale... dokąd ty się udasz?

Odwróciła się i wpatrzyła w ogień na kominku.

— Jeszcze nie wiem. Zresztą to nie twój interes.

— To prawda, pani. Po prostu chciałem... życzyć ci wszystkiego dobrego.

— Idź już!

Tym razem ton rozkazu był łatwy do rozpoznania. Poszedłem sobie, ściskając w dłoni list, którego nie umiałem przeczytać, list, mający mnie ocalić przed zebraniem na niebezpiecznych traktach, mający ocalić mi życie.

Tak przynajmniej wówczas sądziłem.

## 8

Spałem w stajni, jak mi kazano, razem z kilkunastoma sługami Conyersów. Leżeliśmy na stryżku, na wielkich stertach świeżo zżętego siana albo między nimi. Z dołu dobiegało nas tupanie koni, a ich woń mieszała się z zapachami siana, wełny, wyprawionej skóry oraz męskiego potu. Wolałbym miejsce pod pochyłą ścianą, ale wszystkie były zajęte. Dlatego leżałem między ludźmi i słuchałem ich posępnych rozmów.

— Pan pewnie mnie zwolni. Obiecał oddać mnie kapitanowi Conyersowi, po jego powrocie.

— Dokąd pójdziesz?

— A dokąd ona pójdzie?

— Mój kuzyn w gospodzie przy...

— Mój ojciec mógłby cię przyjąć...

— „Frances Ormund”...

— Katastrofa...

— Mąż mojej siostry ma gospodarstwo pod Garraghan...

— „Frances Ormund”...

Usiadłem nagle, próbując dojrzeć po ciemku, kto wspomniał o Garraghan. Ojciec Cat Starling również tam gospodarzył. Nie wiedziałem jednak, kto wymienił tę nazwę. Zresztą nawet gdybym to wiedział, co z tego? Cat Starling nie mogła mi pomóc, nawet gdyby ów mężczyzna mnie do niej zaprowadził, czego z pewnością by nie zrobił. A człowiek „obiecany kapitanowi Conyersowi” dzięki Hartahowi i jego rozbójnikom stracił przysłego pana i spodziewane źródło utrzymania.

Położyłem się. Dręczyły mnie myśli o Hartahu i ciotce Jo, o marynarzu Gacku, który nie zdawał sobie sprawy, że nie żyje, o tym, co wiedziałem... że popełniłem morderstwo. Moim ciałem zawładnęło jednak zmęczenie i w końcu zasnąłem — tylko po to, by się obudzić, gdy człowiek leżący obok zaczął potrząsać moim ramieniem. Inni przeklinali w mroku.

— Co jest? Co jest?

Na wpół przytomny, uniosłem rękę, by się osłonić przed ciosem Hartaha.

— Krzyczałeś przez sen — oznajmił z niesmakiem mężczyzna. — Uciekaj stąd, chłopcze. Muszę odpocząć! Jazda!

Inni również na mnie krzyczeli. Uciekaj, uciekaj, uciekaj — od ciotki, od pani Conyers, a teraz również od tych ludzi. Na tej Ziemi — na tej drugiej również — nie było nikogo, kto chciałby mnie mieć przy sobie. Wymacałem w ciemności drabinę i wsparłem nogi o szczebel. Narzekający pod nosem mężczyźni ułożyli się z powrotem na sianie.

— A co mówiłem? — wyszeptałem do tego, który mnie obudził.

— „Gacek”. Bałeś się nietoperzy. Idź już! Daj mi zasnąć!

Gacek. Wykrzyczałem imię zabitego marynarza. Być może mi się przyśnił. Nigdy dotąd nie krzyczałem przez sen. Hartah zbiłby mnie, gdybym nie dawał mu spać. Czyżby po jego śmierci mój śpiący umysł poczuł się swobodniejszy? A może od czasu katastrofy dręczyło mnie więcej koszmarów? Co jeszcze mogę wykrzyzczeć następnym razem? I kto mnie usłyszy?

Zszedłem na dół. Nocą chmury się rozproszyły i przez otwarte drzwi do stajni wpadał blask bliskiego pełni księżyca. Było zimno i rześko, ciszę mąciło jedynie niespokojne tupanie koni. Położyłem się w kącie, na stercie niezbyt czystej słomy, ale sen nie chciał już przyjść.

O świcie jeden z mężczyzn z gospody wszedł do stajni i stanął nade mną.

— Jesteś Roger Kilbourne?

— Tak.

Rzucił mi kawał chleba i mięsa.

— Zjedz śniadanie. Wkrótce wyjeżdżamy na dwór królowej. Fe, chłopcze, śmierdzisz! Umyj się przy studni, bo ze mną nie pojedziesz.

— Tak jest, panie.

Zrobiłem, co mi kazał, i wróciłem pośpiesznie do stajni. Kurier właśnie skończył siodłać wierzchowca.

— Przynajmniej nie obciążysz zbyt konia, chłopcze. Tylko kości i oczy. Masz, włóż to. Nie możesz pojechać na dwór w podartych, zakrwawionych łachach. Co ci się stało?

To była bluza z zielonej wełny, czysta i cała. Pewnie należała do niego. Był równie chudy jak ja, ale jakieś cztery, pięć cali niższy. Bluza była za krótka, ale poza tym dobrze pasowała.

— Dziękuję, panie — wyjąkałem, oszołomiony tym zwyczajnym dobrym uczynkiem.

— Nie jestem panem, tylko kurierem. Nazywam się Christopher Beale. Mów mi Kit. Cholera, nic nie wiesz o dworskim życiu, prawda?

— Tak, panie... Kit.

— Jedno niebo wie, co się tam z tobą stanie. Wsiadaj.

Wskoczył lekko na siodło i wyciągnął do mnie rękę. Prawda wyglądała tak, że nigdy dotąd nie jechałem konno. Wyczuwałem jednak, że będę się musiał nauczyć wielu nowych rzeczy, złapałem więc jego dłoń i pół włożyłem, pół dałem się wciągnąć na koński grzbiet za plecami kuriera. Omal nie westchnąłem z wrażenia. Byłem bardzo wysoko.

Kit odwrócił się w siodle i spojrzał na mnie.

— Nigdy nie jeździłeś we dwójkę?

— N... nie.

Od wysokości kręciło mi się w głowie. Ścisnąłem go mocno w pasie.

— A kim masz być na dworze?

— P... praczką.

Gapił się na mnie jeszcze przez chwilę. Potem potrząsnął głową i pogalopowaliśmy przed siebie. Trzymałem się go rozpaczliwie, ale po kilku minutach kołysanie wierzchowca zaczęło mi się wydawać nieco bardziej naturalne, a strach przed upadkiem osłabł, choć nie zniknął do końca.

Jechaliśmy przez cały dzień, aż wreszcie dotarliśmy do szerokiej rzeki. Była tam wioska rybacka, duża i bogata, ale nie zatrzymaliśmy się w niej. Kit skierował konia na zachód, na szeroki, uczęszczany trakt biegnący wzdłuż rzeki. Tuż za wioską zsiadliśmy z konia, by pozwolić mu się napić. Kolana wyginały mi się na zewnątrz, a kiedy spróbowałem chodzić, omal się nie przewróciłem. Kit uśmiechnął się szeroko.

— Przyzwyczaisz się do tego. A może nie. Mówisz, że będziesz praczką?

— Tak. Czy... czy dwór leży na wybrzeżu?

Wiedziałem, że tak nie jest, ale chciałem skłonić Kita Beale'a do mówienia, by dowiedzieć się od niego jak najwięcej. Potrząsnął głową i uśmiechnął się z wyższością.

„Mógłbym ci wiele opowiedzieć o krainie Umarłych i wtedy to ty byłbyś ciemniakiem”.

— Nie, chłopcze — odpowiedział Kit z sympatią w głosie. — Czy nie znasz geografii Reginokracji? Własnej ojczyzny? Popatrz. — Wydobył miecz i zaczął rysować nim na ziemi. — Wybrzeże jest tutaj. Jedziemy



z południa, od dzikiego brzegu, tuż przy granicy z Ziemią Niczyją. Ta rzeka... — narysował ją sztychem miecza — nazywa się Thymar. Pałac znajduje się w stolicy, Glorii, na wielkiej wyspie leżącej daleko w górę rzeki, tuż przed miejscem, gdzie Lynmar wpada do Thymaru. Reginokracja jest jedną wielką doliną. Od południa i zachodu otaczają nas góry, od północy wzgórze, a na wschodzie jest morze. Cała dolina jest płaska i żyzna. Dobry teren do konnej jazdy.

— A gdzie leży Hygryll?

— Hygryll? Nie znam tej nazwy, ale sądząc po brzmieniu gdzieś na południu. Może w górach na Ziemi Niczyjej.

— Na Wrzosowisku Duszorośli.

Jego oczy natychmiast stały się zimne.

— A co cię obchodzi Wrzosowisko Duszorośli?

— Nic. Po prostu słyszałem kiedyś tę nazwę.

— Lepiej by było, gdybyś jej nie słyszał. Żaden człowiek nie powinien odwiedzać tego miejsca, chłopcze.

— Dlaczego?

Kit schował miecz do pochwy.

— Ruszajmy. Za długo już zwlekaliśmy.

— Dlaczego żaden człowiek nie powinien...

— Cicho — warknął. Posłuchałem go.

Nie odezwał się już do mnie przez całą noc ani przez następny dzień drogi do stolicy. Ani słowem. Straciłem jedyne źródło informacji.

Wiedziałem, że Gloria, stolica Reginokracji, leży w głębi lądu, ale to jeszcze nie znaczy, że potrafiłem sobie wyobrazić to miasto. Hartah odwiedzał z nami tylko wioski, małe i izolowane, gdzie szanse napotkania żołnierzy były niewielkie. Gdy jednak zbliżaliśmy się z Kitem do stolicy,

ona również przypominała mi wioskę, ogromną wioskę, gdzie chaty były kryte strzechami, a liczne błonia oddzielały od siebie pola, na których trudzili się teraz żniwiarze. Nigdzie nie widziałem żadnych sklepów. Zgodnie z tym, co narysował na ziemi kurier, na południu i zachodzie dostrzegałem odległe góry. Te na zachodzie były wysokie i rysowały się ostro na tle błękitnego nieba, natomiast te na południu skrywała delikatna mgiełka. Ku północy teren stopniowo się podnosił, przechodząc w zaokrąglone wzgórza.

W gruncie rzeczy Reginokracja składała się z szeregu pierścieni, jeden umieszczony wewnątrz drugiego. Największym był odległy łuk gór i pagórków, otaczający wszystko z trzech stron. Drugim rozległy krąg równin, pól, pastwisk oraz — choć w tej chwili ich nie widziałem — mniejszych wiosek, po których zwykł wędrować Hartah. Bliżej znajdowała się sieć połączonych ze sobą osad, w dziwny sposób pozbawionych sklepów i piwiarni, otaczająca wyspę na szerokim Thymarze. A na tej wyspie zbudowano miasto stołeczne.

Całą ją otaczał kamienny mur, wysoki i gruby, zbudowany na samym brzegu. Jego szczyt patrolowali żołnierze. Wprawiono weń olbrzymie żelazne bramy, ale wszystkie kraty były teraz uniesione. Brzegi rzeki łączyły z wyspą wysokie kamienne mosty. Przy innych bramach nie było mostów, lecz porty, do których zawijały pływające po spokojnej rzece barki. W niektórych miejscach otaczający wyspę mur zdawał się wysuwać nad taflę rzeki. Nie rozumiałem tego.

Jedynym, co widziałem po drugiej stronie miejskich murów, była wysmukła wieża, wznosząca się kilka pięter wyżej i usiana wąskimi oknami. Na otwartej sekcji tuż pod szczytem zawieszono potężne dzwony. Nad nimi był płaski dach otoczony balustradą.

— Nie gap się jak głupi — skarcił mnie Kit. — Nawet jeszcze nie wjechaliśmy do miasta.

Zatrzymano nas przy wjeździe na most. Wartownik w niebieskim mundurze przeczytał dokument, który wręczył mu Kit. Żołnierz popatrzył złowieszczo na zieloną bluzę kuriera, a potem na jego twarz. Kit odwzajemnił mu się równie groźnym spojrzeniem. Gdy wjechaliśmy na kamienny most, obejrzałem się za siebie. Żołnierz pożegnał nas gestem tak plugawym, że w każdej wiosce spowodowałby walkę na śmierć i życie.

Niebiescy i Zieloni. Nawet na wsi o tym słyszeliśmy. Opowiadano na ten temat skandaliczne plotki na wszystkich jarmarkach i we wszystkich piwiarniach.

— Kit, co... — zacząłem, ale mój głos zagłuszyły dzwony na wieży. Śpiewały słodką pieśń, ale było to okropnie głośne. Kiedy umilkły, przejechaliśmy już pod żelazną kratą i zapomniałem o pytaniu, które chciałem zadać, oszołomiony widokiem Glorii.

Nigdy nawet sobie nie wyobrażałem czegoś takiego.

Kolejny pierścień, ale w niczym nieprzypominający okalających Glorię wiosek. Kamienne mury przeszywały miasto, dzieląc je na szaloną układankę małych przestrzeni gęsto wypełnionych namiotami. W namiotach byli ludzie, sklepy, zwierzęta gospodarskie, piwiarnie — wszystko, co widziałem na całym świecie wepchnięte w przestrzeń za małą, by mogła to pomieścić. Mnóstwo wrzasku i smrodu. Rozkrzyczane dzieci biegały między nogami dorosłych. Kury gdakały. Ptaszki śpiewały w malowanych klatkach, dorośli pokrzykiwali do siebie, skrzypek grał, a u jego stóp stało drewniane pudełko na monety. Wydawało się, że wszystko tu jest na sprzedaż: jedzenie, wyroby miedziane, żywe kaczki, tkaniny, nocniki, artykuły skórzane oraz ale. Co najmniej połowa towarów śmierdziała.

— Zupa paprykowa! Świetna zupa paprykowa, gotowana dziś rano!

— Kurczaki! Żywe kurczaki!

— Puść mnie, Gregory, to nie twoja kolej!

— Lawenda i zioła!

— To był mój garnek, ty głąbie! Mój!

— Chcesz tu opróżnić nocnik, tak?

— Zboże na chleb!

— Ja zobaczyłem go pierwszy!

— Zupa paprykowa!

Moje zmysły ogarnął zamęt.

— Zalało ci mózg, chłopcze? — zapytał z uśmiechem Kit. — Zaraz będziemy wewnątrz.

Wewnątrz czego?

— Czy tu wszędzie tak jest?

— Wszędzie poza pałacem. Prawo mówi, że w promieniu dziewięciu mil od Glorii nie wolno niczym handlować poza miejskimi murami. Na wyspie nie ma zbyt wiele wolnego miejsca, a stara królowa zabroniła wznoszenia tu jakichkolwiek budowli z drewna albo z kamienia. Poza samym pałacem, oczywiście.

To tłumaczyło te wszystkie namioty. Widziałem teraz, że kamienne mury, zapewne otaczające pałac, łączą się ze sobą, tworząc jedną ogromną strukturę o sekcjach rozprzestrzeniających się we wszystkich kierunkach — jakby ogromna, sztywna, szara roślina wypuszczała z siebie kamienne konary. Niektóre z nich były krótkie i szerokie, inne długie i wąskie, jeszcze inne zakrzywiały się wdzięcznie na podobieństwo witek albo łączyły się z innymi konstrukcjami, okrągłymi, pudełkowatymi bądź trójkątnymi. Nie było tu żadnego ładu, żadnego planu. Nigdzie też nie widziałem okien. Ani

jednego. Pałac był kolejnym pierścieniem, aczkolwiek straszliwie nieregularnym, ukrytym wewnątrz miasta. Co kryło się wewnątrz, w sercu tego wszystkiego?

Kit przepychał się przez wąskie zatłoczone alejki, prowadząc konia, który ledwie się w nich mieścił, ale sprawiał wrażenie przyzwyczajonego do ciasnoty, smrodu i hałasu. Ludzie krzyczeli na kuriera, a on odwzajemniał się tym samym.

— Większa część tej hołoty opuszcza na noc wyspę! — zawołał do mnie, oglądając się przez ramię. Nie odpowiedziałem, oszołomiony hałasem, smrodem i brakiem miejsca.

Zmierzaliśmy ku drewnianej bramie wprawionej w mur pałacu. Kit pokazał swoje papiery kolejnemu wartownikowi, tym razem noszącemu zieloną kurtkę. Brama się otworzyła i weszliśmy do pałacu.

Zamrugąłem. Wszystko wyglądało tu inaczej.

## 9

Staliśmy na wielkim dziedzińcu stajennym pod otwartym niebem. Było tu bardzo czysto i cicho. Grube deski bramy powstrzymywały napływające z miasta hałasy. Nawet brukowce wyglądały, jakby je wyszorowano, usuwając codzienny brud. Chłopiec stajenny podbiegł do nas, ujął wodze i zaprowadził konia do zamkniętej stajni z boku dziedzińca. Ruszyliśmy z Kitem na drugi koniec podwórza. Stukot naszych butów uderzających o bruk był jedynym dźwiękiem mącącem ciszę. Potem przeszliśmy przez drugą, mniej warowną bramę.

Za nią znajdował się kolejny dziedziniec, obsadzony kwiatami. W otaczające go kamienne mury wprawiono wiele drewnianych drzwi, przez które przechodzili liczni służący.

— Mam list polecający do niejakiej Emmy Cartwright, która służy... — zacząłem nieśmiało.

— Nigdzie nie pójdziesz, dopóki się nie wykąpiesz — przerwał mi z niesmakiem Kit. — Jesteś prawdziwym dzikusiem, prawda? Tam, na lewo, są łaźnie dla robotników. Kiedy skończysz, będę tu na ciebie czekał — oznajmił i opuścił dziedziniec przez drzwi po prawej stronie. Omal nie pobiegłem za nim. Co pocznę, jeśli zostanę sam w tym niezwykłym miejscu? Posłuchałem go jednak i przeszedłem przez drzwi po lewej.

Kolejne niezwykłości! Pomieszczenie — być może więcej niż jedno — zbudowano na brzegu rzeki. Podłogę usunięto, poza tylko szeroką półką pod wszystkimi czterema ścianami, zastępując ją nową, drewnianą, wspartą na kamiennych palach, która znajdowała się dwie stopy poniżej poziomu wody. Dzięki temu przez salę przepływała rzeka. W czystej wodzie kąpało

się kilku nagich mężczyzn. Przypomniałem sobie, że mijaliśmy odcinek, na którym wody Thymaru nagle stawały się brudne i cuchnące. Z pewnością spływały tam nieczystości z miasta. Tutaj, w górze rzeki, woda była wystarczająco czysta, by się w niej kąpać. Być może jeszcze wyżej można ją było nawet pić. To było pomysłowe rozwiązanie.

Zdjąłem ubranie i położyłem je na półce pod ścianą. Na innych półkach leżały kawałki mocnego mydła. Wyszorowałem się do czysta, wdziałem bluzę otrzymaną od Kita i umyłem buty. Nie mogłem znieść myśli o włożeniu śmierdzącej bielizny, zwinąłem ją więc w kłębek i zostawiłem w kącie. Obejdę się bez niej. Nie mogłem też nic zrobić w sprawie brudnych spodni, ale bluza sięgała mi do bioder, ukrywając najgorsze. Ponieważ nie miałem grzebienia, pracowicie przeczesalem mokre włosy palcami, aż się rozplątały.

Kit czekał na dziedzińcu. Miał na sobie czyste ubranie. To nie był strój do konnej jazdy. Wdział bluzę z zielonego aksamitu, białe jedwabne rajtuzy oraz zielone buty. Jego ciemne włosy lśniły, a w lewym uchu błyszczał srebrny kolczyk. Zdałem sobie sprawę, że pomimo niskiego wzrostu jest przystojny i męski.

Omiótł mnie spojrzeniem.

— Pewnie to będzie musiało wystarczyć — stwierdził z westchnieniem.  
— Chodź.

Kolejne dziedzińce. Byłem coraz bardziej oszołomiony, aż wreszcie pomyślałem, że moje oczy i mózg nie przyjmą już więcej wrażeń.

Każdy podwórzec był wspanialszy od poprzedniego. Rozległe, ciche, pełne zielonych drzew i późnoletnich kwiatów, otoczone kamiennymi budynkami pomalowanymi na szaro. Potem budynkami wyłożonymi gładkim białym marmurem. A na koniec ozdobionymi mozaikami z pereł i kwarcu, o subtelnych białokremowych odcieniach, tworzących

wyrafinowane wzory, zmieniające się zależnie od kierunku padającego światła. Pojawiły się małe fontanny. Woda tryskała z nich w czarujących, szemrzących łukach. Wszędzie było cicho i spokojnie. Nie miałem pojęcia, że na świecie istnieje tak zrównoważone i pełne wdzięku piękno. Nawet ludzie, których mijaliśmy, odziani w piękne zielone szaty, poruszali się z cichą gracją. Kilku z nich pozdrowiło Kita skinieniem głowy.

— Trzymaj głębę na kłódkę, Roger — odezwał się kurier. Sprawiał wrażenie coraz bardziej podenerwowanego, w miarę jak zbliżaliśmy się do... dokąd właściwie szliśmy?

Niemalże wolałbym wrócić do naszego wozu, do Hartaha i ciotki Jo. To miejsce było zbyt niezwykle, zanadto odmienne. Nigdy nie będę się tu czuł jak w domu.

— Tu cię zostawię — oznajmił Kit. — Komnaty dam dworu królowej Caroline są tam, za tą bramą. Pokaż wartownikowi swój list polecający. Ja muszę zameldować w Biurze Morskich Rejestrów o zatonięciu „Frances Ormund” i przekazać wiadomość o powieszeniu jedyne ocalałego rozbójnika. Oby ich dusze płonęły przez całą wieczność.

Mógłbym mu powiedzieć, że tak się nie stanie. Mógłbym mu powiedzieć, że rozbójnicy i ich ofiary siedzą razem na plaży i kontemplują spokojne morze. Mógłbym mu powiedzieć, że wiara wykształconych ludzi, mówiąca, że dusze płoną albo idą do raju, jest znacznie dalsza od prawdy niż wierzenia wieśniaków, przekonanych, że dusze zostają blisko miejsca śmierci. Nie powiedziałem jednak nic.

— Co za pech, że to musiałem być ja — poskarżył się Kit z przygnębieniem w głosie. — Nigdy nie można znaleźć niebieskiego kuriera, kiedy jest potrzebny.

Po raz pierwszy wspomniał o niezwyklej sytuacji, jak wiedziałem — jak wiedzieli wszyscy w Reginokracji! — panującej na dworze. Potem się



oddalił. Ściskając w spoconych dłoniach list od pani Conyers, ruszyłem ku znużonemu wartownikowi, by spotkać nieznaną Emmę Cartwright, trzymającą w rękach mój los.

Była znacznie starsza od pani Conyers, tęga i pomarszczona. Nie ulegało wątpliwości, że urodziła się sługą, tak samo jak ta druga kobieta urodziła się damą. Emma Cartwright miała na sobie prostą suknię z matowozielonej tkaniny, a siwe włosy związała sobie zgrabnie w warkocze owinięte wokół głowy. Jej oczy miały jednak przeszywający wyraz.

— Czytałeś ten list, chłopcze?

— Nie umiem czytać, pani.

— Ach. Pani Conyers uważa, że powinieneś pracować w pałacowej pralni.

— Tak.

— Chłopiec. Jako praczka.

Milczałem. Co mogłem powiedzieć? Czy powinienem paść na kolana? Kit mnie wyśmiał, gdy spróbowałem przed nim uklęknąć. Czy to było to samo? Wstydziłem się własnej ignorancji.

Byliśmy w małej, radosnej komnacie. Na ścianie wisiał gobelin przedstawiający szlachetnie urodzonych podczas polowania. Na ładnym rzeźbionym stole stała butelka wina, kilka cynowych kielichów oraz kwiaty w wazonie. Na trójnożny stolik rzucono raczej kiepsko wykonaną robótkę. Za drzwiami znajdowała się sypialnia. Zauważyłem w jej rogu malowany wachlarz wrzucony za mosiężne wiadro na wodę.

Pani Cartwright westchnęła.

— Jak sobie życzysz. Zapytam Joan Campford, która kieruje zieloną pralnią, chociaż nie rozumiem, dlaczego Lettice zainteresowała się twoimi

sprawami...

Byłem zdumiony, słysząc, że służąca mówi o pani Conyers po imieniu. A więc nazywała się Lettice. Nagle zrozumiałem, w czym rzecz. Emma Cartwright z pewnością знаła panią Conyers, gdy ta była jeszcze małą dziewczynką. Może nawet była jej niańką. Dlatego pani Conyers jej ufała. W związku z tym...

Drzwi otworzyły się nagle i do środka wpadła jakaś dziewczyna.

— Emmo, musisz mi pomóc!

Zamarłem w bezruchu na dłuższą chwilę, a potem opadłem na kolana. To z pewnością była szlachetnie urodzona dama. A do tego najpiękniejsza dziewczyna, jaką w życiu widziałem.

Była drobna, miała długie ciemne włosy o barwie cynamonu zmieszanego z miedzią, gałką muszkatołową, spizem... więcej lśniących odcieni, niż potrafiłem zliczyć. Jej włosy wypływały spod małego, ozdobionego klejnotami czepka, a oczy były bardzo duże i jaskrawozielone. Spódnice sukni z zielonego jedwabiu o niskim dekolcie i pełnych rękawach ścisnęła w obu dłoniach. To znaczyło, że biegła. Jej ostro zakończona broda drżała. Dziewczyna nie zwracała na mnie uwagi.

— O co chodzi, pani? — zapytała Emma.

— Książę! Nie... och, zaraz tu będzie! Powiedz mu, że jestem chora, umarłam, cokolwiek!

Wpadła do sypialni i zatrzęsnęła za sobą drzwi. Niemal natychmiast w wejściu pojawił się jakiś młodzieniec. Emma dygnęła nisko.

— Pani Cartwright, proszę, zawołaj Cecilie.

Natychmiast go zniechęciłem za rozkazujący ton, bogate ubranie i przystojną, nadąsaną twarz. Miał tylko kilka lat więcej ode mnie, ale był znacznie lepiej zbudowany. To zrozumiałe. Skurczybyk całe życie dobrze się odżywił!

Nagle sobie uświadomiłem, że przeklinam w myślach księcia. Krew napłynęła mi do twarzy. Jak śmiałem? Pochyliłem głowę jeszcze niżej, ale nie miałem powodu się przejmować. Księżę zwracał na mnie tyle uwagi, co na mebel.

— Wasza Wysokość, zawołałabym ją, ale poczuła się niedobrze i wymiotuje w swej komnacie — odparła pani Cartwright.

Zasepił się jeszcze mocniej.

— Wymiotuje? Widziałem ją przed chwilą i czuła się świetnie!

— Tak, Wasza Wysokość. Złapało ją nagle i popędziła tutaj, żeby nie zhańbić się przed tobą. Obawiam się, że zjadła na kolację za dużo pieczonego łabędzia. Lady Cecilia ma delikatne trawienie.

Zerknąłem z ukosa na księcia. Miał niepewną minę.

— Gdyby Wasza Wysokość zechciał zaczekać, aż lady Cecilia się umyje, włoży czystą suknię i wypłucze usta... — ciągnęła pani Cartwright.

— Och, nieważne! Niech sobie odpocznie. Ale powiedz jej, że ma przyjść na bal maskowy!

Odwrócił się i wyszedł dumnym krokiem. Pani Cartwright cicho zamknęła za nim drzwi. W tej samej chwili drugie drzwi się otworzyły i lady Cecilia podbiegła do swej służącej.

— Och, dziękuję!

— Co się stało? — zapytała pani Cartwright z ponurą miną.

Lady Cecilia zanosła się wysokim perlistym śmiechem, który trwał trochę zbyt długo.

— Raz jeszcze spróbował mnie pocałować. Spoliczkowałam go i uciekłam!

— Czy go zachęcałaś, pani? Czy znowu z nim flirtowałaś?

— Może troszeczkę — przyznała z najbardziej czarującym uśmiechem, jaki widziałem w życiu. Kąciki jej zielonych oczu opuściły się nieco, odsłoniła też białe ząbki. Cerę miała białą i delikatną jak łąbodzi puch. Zakręciło mi się w głowie. Musiałem się przy tym lekko poruszyć, bo nagle mnie zauważyła.

— Kto to jest? — zapytała.

— Nowy sługa. Pani, takie gierki z księciem Rupertem są niebezpieczne. Mówiłam ci o tym. Nie możesz...

— Och, Emmo, potrafię się zachować, i księżę Rupert też. To wszystko tylko zabawa. Wie, że na wiosnę musi wyruszyć w ślubną podróż, a ja służę jego matce, królowej. Nigdy nie pozwoliłby sobie na coś więcej niż pocałunek ani ja na coś więcej niż policzek. — Zachichotała, nie przestając się do mnie uśmiechać. — Wstań, nowy sługo. Jak się nazywasz? I co będziesz robił na dworze?

— Jestem Roger Kilbourne, pani. Mam zostać praczką.

— Praczką! Jakie to śmieszne!

Kiedy wstałem, byłem od niej znacznie wyższy. Natychmiast się ucieszyłem z tego, że bluza Kita zasłania mi okolice bioder. Mój członek zrobił się twardy jak kamień. I to z powodu szlachetnie urodzonej damy! Zawroty głowy jeszcze się wzmogły.

— Twoje uszy mają bardzo interesujący czerwony kolor, Roger — zauważyła. — Czyżbyś się rumienił? Ładnie byś wyglądał w kubraku takiego koloru.

To było niewiarygodne. Flirtowała ze mną, tak samo jak z księciem. Czy tak samo traktowała wszystkich mężczyzn? Najwyraźniej tak. Nie byłem przyzwyczajony do roli mężczyzny, z którym flirtują dziewczęta. Nie byłem przyzwyczajony do roli mężczyzny. W ogóle nie byłem do tego

wszystkiego przyzwyczajony... ja, niedożywiony niewolnik Hartaha. Jej oczy lśniły jak brylanty; nie, jak szmaragdy; nie, jak...

— Starczy tego, pani — odezwała się pani Cartwright. — Idź do swej komnaty i chwilę odpocznij. Podobno jest ci niedobrze, bo przejadłaś się pieczonym łabędziem. Roger, zaprowadzę cię teraz do Joan Campford.

— Do zobaczenia, Rogerze Czerwonouchy — rzekła lady Cecilia.

Nigdy już jej nie zobaczę. Jeśli nawet ujrzę ją przelotnie, to tylko z daleka, gdy będzie tańczyła, jeździła konno, ucztowała z damami dworu królowej albo flirtowała z księciem. Nie będzie pamiętała, jak mam na imię.

Podążyłem bez słowa za Emmą Cartwright do pałacowej pralni, gdzie miało się zacząć moje nowe życie.

# 10

Gorąco od ognia palącego się dniem i nocą na trzech kominkach. Żar bijący od żelazek. Para przesycająca powietrze. Mydło tak żrące, że robiły mi się od niego pęcherze na dłoniach i na rękach aż po łokcie, idące o lepsze z oparzeniami od nieumyślnych zetknięć z gorącymi żelazkami. Nieustanny ból w barkach od dźwigania zimnej wody z rzeki. Chłód i żar, mocne mydło i jeszcze mocniejsze plamy, ogień i woda. W tej pralni — w pałacu były też inne — prano i farbowano ubrania żołnierzy, sług oraz dworzan. Królowa Caroline, podobnie jak jej matka, dbała o zachowanie czystości. Obie z tego słynęły.

Pod koniec pierwszego dnia myślałem, że nie wytrzymam tej roboty. Pod koniec drugiego wiedziałem, że mogę ją wytrzymać, ale nie chcę. Pod koniec drugiego tygodnia pogodziłem się z losem. Nie było tu tak strasznie. Joan Campford, choć kierowała pralnią jak kapitan straży, nie była złą kobietą. Codziennie jadłem trzy porządne posiłki w kuchni dla służby. Rzadko dotąd bywałem tak syty. Inne praczki, bez wyjątku starsze kobiety, żartowały sobie z chłopaka wykonującego babską robotę, ale nikt mnie nie bił. Dlatego popadłem w rezygnację. To właśnie ma na celu ciężka, nieustanna praca: pozbawia człowieka energii, by nie mógł myśleć o innym życiu.

Ja jednak o nim myślałem. Taszcząc wodę, gotując przepocone bluzy i prasując ubrania, cały czas myślałem o Hartahu, o ciotce Jo, o „Frances Ormund”, o tym, co uczyniłem na wąskiej kamienistej plaży, o lady Cecilii i o matce, czekającej na mnie wśród Umarłych „w Hygryll na Wrzosowisku

Duszorośli”. Co gorsza, wszystko to również mi się śniło. I krzychałem przez sen, jak na stryszku w gospodzie.

— Obudź się! Obudź się, do cholery!

Chłopak śpiący na sąsiedniej pryczy w komnacie dla uczniów potrząsał mną brutalnie.

— To już drugi raz dzisiaj! Kto mógłby spać, słuchając takiego zawodzenia?

— Nie ja — poparł go drugi chłopak równie poirytowanym głosem. — Nie chcę już więcej słyszeć o Frances Ormund. To twoja ukochana czy co? Idź spać z nią, nie ze mną.

„Frances Ormund”. Ogarnął mnie strach. Co powiedziałem we śnie, i z czym mogę się zdradzić później, być może w pobliżu kogoś, kto zrozumie, co usłyszał? Odszukałem na oślep wyjście z komnaty i udałem się na poszukiwanie jakiegoś miejsca do spania. Najlepsze znalazłem w kuchni dla służby, pod długimi, ustawionymi na kozłach stołami, przy których jedliśmy posiłki. Po kilku godzinach niespokojnego snu znowu ktoś potrząsnął mnie za ramię.

— Co tu robisz? Tutaj nie wolno spać!

Nadal półprzytomny, uchyliłem powieki. Pod stołem przykucnęła jakaś dziewczyna. Pod wpływem snu czy jakiegoś szaleństwa wziąłem ją za Cat Starling. Nim się zorientowałem, co robię, przyciągnąłem ją do siebie i pocałowałem.

Zdzielila mnie mocno w nos.

— Jak śmiesz tak mnie wykorzystywać! Kim jesteś? Straż! Straż!

— Zaczekaj... proszę! — Mój nos płonął, a oczy zaszyły mi łzami z bólu. — Jestem Roger Kilbourne, praczka! Proszę, nie wołaj straży!

Odsunęła się na bezpieczną odległość.

— Chłopak jest praczką?

— Tak. Przepraszam... przepraszam, że cię pocałowałem. Coś mi się śniło i... Przepraszam!

Wcale jednak tego nie żałowałem. Pierwszy raz w życiu pocałowałem dziewczynę i pomimo bólu nosa — czyżby mi go złamała? — nadal pamiętałem dotyk jej miękkich ust. Była Cat Starling, była lady Ceciliją, była pomocą kuchenną w ciemnoniebieskiej sukni i białym fartuchu, widoczną w perłowym blasku świtu. Członek znowu mi zeszywniał. Czy to szaleństwo na punkcie dziewczyn nie opuści mnie do końca życia? Jak miałem to znieść?

— Co tu robisz? — zapytała. — Jeśli jesteś praczką, czemu nie śpisz w komnacie dla uczniów?

— Spałem tam, ale mnie przegonili. Krzyczę przez sen i to im przeszkadza. Nie chciałem cię skrzywdzić!

Przyjrzała mi się z powagą. Nie miała w sobie nic z prostoty Cat Starling ani upodobania do flirtów lady Cecilii. To była rzeczowa dziewczyna, przywykła do ciężkiej pracy. Była niebrzydka, ale nie można jej było nazwać piękną. Blond włosy splotła w węzeł, a jasnoszare oczy miały surowy wyraz. Na dłoniach miała pełno małych blizn i śladów po oparzeniach: skutki pracy w kuchni.

— Wierzę ci — stwierdziła. — A teraz idź stąd.

— Zaraz pójdę. Ale mój nos... Chyba go złamałaś.

— Należało ci się. No dobra, siedź spokojnie.

Przyniosła mi szmatkę umoczoną w zimnej wodzie. Uniosłem ją do nosa, nie przestając obserwować dziewczyny, która rozpałała ogień i zaczęła ugniatać chleb, zostawiony na noc, żeby urósł w ciepłej kuchni. Przyszli inni słudzy. Spoglądali na mnie, ale nie poświęcali mi większej uwagi. Potem zjawili się kilku mężczyzn ze stajni. Usiedli przy drugim końcu stołu, rozmawiając ze sobą leniwie i zaczepiając kobiety. Do śniadania



została jeszcze godzina. Uświadomiłem sobie, że poza pralnią w pałacu toczy się normalne życie.

— Jestem tu nowy — wyznałem dziewczynie, cały czas ugniatającej chleb silnymi, obnażonymi do łokci rękami. — Nazywam się Roger Kilbourne.

— Już mi mówiłeś.

— A ty jak się nazywasz?

— Po co ci to wiedzieć?

— Żeby móc powiedzieć królowej, kto mi złamał nos. Jak rozumiem, prowadzi rejestr wszystkich zbrodni.

Przerwała pracę, popatrzyła na mnie i po chwili się roześmiała. Zdumiało mnie moje zachowanie. Skąd wzięłem odwagę, by żartować z tej dziewczyny? Z jakiegokolwiek dziewczyny? Wobec Cat Starling chciałem być opiekuńczy, a w rozmowie z lady Cecilą zapomniałem języka w gębie jak ostatni głąb. Bystrością umysłu wykazywałem się tylko w kontaktach z Umarłymi.

— Co wiesz o królowej? — zapytała.

— Nigdy jej nie widziałem.

Wiedziałem tylko to, co wszyscy. Stanowczo za dobrze poznałem też umiłowanie porządku, jakim cechowała się ta wymagająca monarchini. Bezustanne pranie pościeli, umyty bruk, nieskazitelne komnaty, staranne rejestry katastrof morskich. Bezustanne pranie ubrań: zielonych dla domowników nowej królowej, niebieskich dla starej, brązowych dla stajennych, szarych dla tych, którzy zajmowali się w pałacu ogrodnictwem.

— Oby Jej Miłość żyła długo — rzekła dziewczyna. W jej oczach poruszyło się coś, co nadało tym zwyczajnym słowom niezrozumiały dla mnie sens. — A teraz daj mi pracować.

— Zgoda... ale czy najpierw mi coś powiesz?

— Być może.

— Jak się nazywasz?

— Maggie Hawthorne. Uciekaj już!

Kolejna osoba, która kazała mi uciekać.

— Maggie Hawthorne, czy ktoś mnie zbije, jeśli będę nocą spał pod tym stołem?

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem w oczach.

— Z pewnością nie. Ale ja przychodzę tu rano pierwsza i jeśli znowu będziesz niegrzeczny, sama to zrobię.

Nie wątpiłem, że byłaby do tego zdolna. Skinąłem z wdzięcznością głową, przyciskając szmatkę do bolącego nosa. Ponieważ nie kazała mi odejść po raz trzeci, czekałem tam na śniadanie.

W pałacu mieszkały dwie konkurencyjne królowe.

Oczywiście, nigdy nie widziałem żadnej z nich. Stara królowa Eleanor powinna była oddać tron córce, gdy księżniczka ukończyła trzydzieści pięć lat. Taki zwyczaj panował w Reginokracji. Żadna monarchini nie powinna sprawować rządów zbyt długo, by jej władza nie zakorzeniła się zbyt głęboko, co prowadziło do korupcji. Królowa zawsze abdykowała, gdy jej dziedziczka kończyła trzydzieści pięć lat.

Ale królowa Eleanor nie chciała tego zrobić. Oznajmiła, że księżniczka Caroline nie nadaje się do sprawowania władzy i odpowiedzialność związana z obowiązkami królowej nie pozwalała jej przekazać Korony Głorii córce, która była... kim właściwie była?

Nieźrównoważoną kobietą — mówiły niektóre pogłoski.

Czarownicą — szeptali inni.

Trucicielką — zapewniali jeszcze inni. Księżę małżonek zmarł nagle zaraz po narodzinach jej najmłodszego dziecka i dziedziczki, mimo że był

w pełni sił... Trucicielką i dziwką.

Nie — sprzeciwiali się ci, którzy byli lojalni wobec Caroline. To tylko próżność starej królowej i jej żądza władzy. Szuka pretekstu, by dłużej zachować tron.

Osiągnęła ten cel, ponieważ armia poparła ją przeciwko córce. Niebiescy należeli do królowej Eleanor. To nie powstrzymało księżniczki przed ukoronowaniem się, choć nie Koroną Glorii, którą nosiła jej matka. Stara królowa mogłaby usunąć córkę z pałacu, ale tego nie zrobiła. Monarchinie mieszkały w odrębnych częściach wielkiej budowli i obie utrzymywały własne straże, służbę oraz wiernych dworzan.

Plotki nie przestawały krążyć. W gospodach, szynkach i domostwach Reginokracji prości ludzie spierali się, chichotali albo po prostu czekali, co się wydarzy, wstrząśnięci i zafascynowani. „To całkiem jak bal maskowy” — mówili śmiali i nieznający szacunku. Żniwa od kilku lat były dobre, w krainie panował pokój, a stodoły, spiżarnie i składziki wypełniały zapasy na zimę. To, kto sprawuje rządy w Glorii, znaczyło niewiele w porównaniu z pełnym brzuchem, przytulną chatą i ciepłym ogniem na kominku. Niech obie królowe żrą się o to, która z nich zasiądzie na którym ze zdobnie rzeźbionych krzesel.

Ale w pałacu liczyło się tylko to jedno.

— Znowu tu jesteś? — przywitała mnie Maggie, jak co rano.

— Czemu mnie obudziłaś?

Wyczołgałem się spod stołu, rozczochrany i poirytowany.

— Krzyczałeś przez sen, Roger. Bałeś się gacka.

Gacek. Słaby na umyśle marynarz, który nie wiedział, że nie żyje. Zostawiłem go na szczycie nadmorskiego urwiska, by czekał na swego zaginionego kapitana. Znowu wróciły do mnie przerażające wydarzenia

owej nocy. Zobaczyłem, jak jasnowłosy młodzieniec kona z pętlą na szyi, dusząc się i wierzgając nogami w powietrzu. Zobaczyłem, jak czaszka ciotki pęka po uderzeniu drewnianym pudełkiem z mosiężnymi okuciami. Poczułem, jak nóż wnika w ciało mojego wujka, łatwo jak ptak prujący powietrze.

— Co się stało, Roger? Wyglądasz jak... sama nie wiem.

— To nic.

— Zawsze mi to mówisz. No wiesz, nietoperze nie zrobią ci krzywdy. Nie musisz się ich bać.

— Nie boję się nietoperzy!

— Przecież powiedziałaś...

— Czy nie powinnaś zająć się pracą?

— Właśnie się nią zajmowałam, kiedy zawołałaś: „Gacek! Gacek!” jak jakiś półgłówek.

— A czy ten półgłówek mógłby dostać śniadanie?

Przyniosła mi chleb prosto z pieca, gorący i chrupiący, a do tego świeże masło i gotowane jabłka. Siedziałem w ciepłej wonnej kuchni tak długo, jak tylko mogłem.

W pralni znowu czekała mnie mordercza praca, zauważyłem jednak, że przybieram na wadze, staję się coraz silniejszy i bardziej muskularny. Ciężka praca i dobre jedzenie wzmacniały mięśnie oraz kości. Joan Campford, która była dobrą kobietą, choć sprawiała wrażenie surowej poganiaczki niewolników, uszyła mi nowe spodnie i bieliznę. Nigdy nie widziałem lady Cecilii ani nikogo ze szlachetnie urodzonych. Nieustannie krążyłem między pralnią, kuchnią i łazienką dla służby. Cały czas trzymałem się wyznaczonej ścieżki, jak osioł w kieracie poruszającym kamieniem młyńskim.

Zaprzyjaźniliśmy się z Maggie. Spotykaliśmy się w kuchni wczesnym rankiem, gadaliśmy ze sobą i śmialiśmy się razem. Opowiedziała mi o swej starszej siostrze, zamężnej, pyskatej i zgorzkniałej, oraz o bracie, Richardzie, który był żołnierzem w Niebieskich.

— Ale ty jesteś u królowej Caroline i Zielonych...

— Cicho. — Maggie rozejrzała się pośpiesznie wkoło. Na wsi często rozmawiano o rywalizujących królowych, ale w pałacu ludzie byli bardziej dyskretni. Z łatwością potrafiłbym sobie wyobrazić, że oba obozy donoszą na siebie nawzajem. — Cieszyłam się, że w ogóle znalazłam miejsce w pałacu — wyjaśniła. — W przeciwnym razie musiałabym mieszkać z siostrą.

— Czy mogę dostać trochę sera, Maggie?

— Zawsze jesteś okropnie głodny.

— To prawda — przyznałem z pokorą. — Ale to między innymi dlatego, że robisz taki dobry ser.

— Ten ser zrobiła Katherine.

— Ale twój jest lepszy.

— Ja nie robię sera. Czy nie wiesz, na czym polega różnica między kucharką a mleczarką?

Uśmiechała się jednak i przyniosła mi pasztet, pikantny i smakowity.

Przyjaźń Maggie miała też jednak drugą stronę, którą była pałaca ciekawość wszystkiego, co robiłem, o czym myślałem i kim byłem.

— Kim jest pani Conyers? — zapytała pewnego ranka.

— Nikim.

— Każdy jest kimś, Roger. Wołałeś ją przez sen. Kim ona jest?

— Szlachetnie urodzoną kobietą, która kiedyś okazała mi dobroć.

— Szlachetnie urodzoną? Urodziłeś się na jej ziemiach?

— Nie, nie. Ona nie ma ziemi.

Popatrzyła na mnie podejrzliwie.

— Jest szlachetnie urodzona i nie ma ziemi?

— Straciła wszystko.

— Jak? Kiedy?

— Zadajesz za dużo pytań.

— Kto zawsze odzywa się do mnie pierwszy? — oburzyła się. —  
Prawie codziennie.

— Ja, Maggie — przyznałem pokornie. — Ale nic nie poradzę na to, co mówię przez sen. Mogę cię tylko prosić, żebyś nikomu o tym nie wspominała.

Usiadła powoli.

— Roger, czasami myślę, że nie jesteś tym, kim się wydajesz.

Na to nie miałem odpowiedzi.

Dlatego powiedziałem jedyną rzecz, której zapewne nie powinienem mówić, ale w ciągu minionych tygodni miałem to pytanie na ustach już kilkanaście razy.

— Maggie, co to jest Wrzosowisko Duszorośli?

Szybko omiotła kuchnię spojrzeniem. Pozostali służący, zajęci pracą, nie zwracali na nas uwagi.

— Nie mów tu o tym głośno! Coś jest z tobą nie tak czy co?

— Nie...

— Cicho!

Nigdy dotąd nie widziałem, żeby Maggie się bała. Zawsze była spokojna, kompetentna i panowała nad sytuacją.

— Przepraszam — wyszeptałem. — Nic nie wiem. Powiedz mi, proszę... Muszę to wiedzieć!

— Dlaczego?

— Tam umarła moja matka.

Maggie zesztyniała, a potem jej całe ciało zadrżało. Długi spazm przebiegł wzdłuż jej kręgosłupa, zaczynając od szyi. Gapiła się na mnie z przerażeniem, wzbogaconym domieszką smutku.

— Roger... nigdy nikomu o tym nie wspominaj. Nie powiedziałaś mi o tym. Nie słyszałam tego.

— Ale...

— Nie słyszałam tego!

Odwróciła się i odeszła ode mnie, zostawiając na stole nie do końca ugnieciony chleb. Maggie, która nigdy nie porzucała niedokończonej roboty. Złapałem ją za ramię.

— Maggie, nie odchodź!

Wyrwała się i przeszła mnie wściekłym spojrzeniem, ale nie odezwała się ani słowem.

— Musisz ze mną porozmawiać!

— Nic nie muszę.

Ludzie zaczęli się na nas gapić. Maggie znowu się odwróciła, ale coś ją powstrzymało.

— Roger, wiem, że nie możesz nic poradzić na swoją ignorancję. — Jej ton nie złagodniał, ale pojawiła się w nim jakaś dziwna nuta. — Nawet nie umiesz czytać, prawda? Postaraj się milczeć i wykonywać swoją robotę.

Moja robota. Żelazka, kadzie z barwnikiem, niezliczone wiadra wody. Tym tylko dla niej byłem: Rogerem Praczką. Nagle poczułem, że nie potrafię znieść jej niskiej opinii o mnie. Była moją jedyną przyjaciółką w pałacu, ale byłem dla niej tylko głębokatą praczką, o rękach często zielonych od barwnika. Nie chciała mi też nic powiedzieć o Wrzosowisku

Duszorośli, a ja musiałem poznać prawdę. Zmuszę ją, by mi ją zdradziła. Gniew, wstyd, rozpaczliwe pragnienia wyduszenia z niej odpowiedzi — wszystko to kłębiło się w mojej głowie, wypełniając ją papką, przyprawioną jednak moim instynktownym przekonaniem, że mogę ufać Maggie.

Podszedłem bardzo blisko i wyszeptałem jej do ucha:

— Potrafię przechodzić do krainy Umarłych.

Odsunęła się gwałtownie. Gapiła się na mnie z niedowierzaniem. Po chwili na jej twarzy pojawił się niesmak. Potrząsnęła głową.

— Nie myślałam, że jesteś kłamcą, Roger. Ciemniakiem tak, ale nie kłamcą.

Raz jeszcze potrząsnęła głową i oddaliła się, trzymając plecy bardzo prosto. Przez cały dzień trzymała się ode mnie z dala, a gdy następnego dnia przyszła do kuchni, towarzyszyła jej druga dziewczyna. Od tej pory było tak zawsze.

Nigdy w życiu nie czułem się bardziej samotny. Byłem sam w pałacu pośrodku tłumnego miasta otoczonego ogromną wioską, kręgiem pól, równiną, wzgórzami i górami. Zima przeszła we wczesną, rześką wiosnę. Spędziłem w pałacu sześć miesięcy, zajmując się szorowaniem, gotowaniem, prasowaniem, farbowaniem i noszeniem wody. Mogłoby to trwać wiecznie, ale ślub księcia zmienił wszystko po raz kolejny.



# 11

— Więcej wody! Więcej wody, chłopcze!

Dźwigałem wodę już od świtu i miałem wrażenie, że zaraz mi odpadną ramiona. Zbliżał się zmierzch, a Joan Campford ciągle domagała się więcej wody. Otwarty dziedziniec pralni wypełniał zbity tłum biegających kobiet. Wszystkie podwinęły spódnice, by nie dotykały mokrej kamiennej posadzki.

— Więcej wody! Potrzebujemy więcej wody!

Gary gotowały się na ogniu, ubrania powiewały na kapryśnym wietrze. Nigdy w życiu nie czułem się tak zmęczony. Co gorsza, wiosna ustąpiła miejsca nagłym, niezwykłym o tak późnej porze, chłodom. Woda, którą przynosiłem z rzeki, niemalże zamarzała, na dziedzińcu przy gotujących się na ogniu garach panowało straszliwe gorąco, a z zadaszonych pomieszczeń do prasowania buchały kłęby pary, jakby rzucano tam mokre drewno do świeżo rozpalonego ognia. Było mi albo za zimno, albo za gorąco. Znużenie wnikało mi do szpiku kości.

— Więcej wody!

— Nie daję już rady!

Nie spodziewałem się, że wypowiem te słowa. Były pełne bólu. Joan Campford zatrzymała się i popatrzyła na mnie naprawdę uważnie. Jej szeroka rumiana twarz złagodniała.

— To prawda, chłopcze. Wykonałeś dobrą robotę. Jadłeś coś dzisiaj?

— Nie.

— To idź do środka coś zjeść. Chwilowo poradzimy sobie bez ciebie.

— Dziękuję!

Popędziłem korytarzami do jadalni dla służby. Panował tam jeszcze większy ruch niż w pralni.

Narieczona księcia Ruperta, księżniczka Isabelle, przybyła przed dwoma dniami ze swej reginokracji, leżącej za górami na północy. Towarzyszył jej ogromny orszak żołnierzy, służby, dworzan i dam. Wszystkich trzeba było gdzieś zakwaterować, nakarmić, usługiwać im, a także prać ich ubrania, pościel, ręczniki i derki dla koni. Rzecz jasna, nie widziałem nikogo z przybyszy. Nie zaglądali do pralni. Regularne posiłki dla służby zawieszono, ponieważ wszystkie kuchnie razem wzięte ledwie nadążały z wykarmieniem świty księżniczki Isabelle oraz obsługą jej dworzan. Wszyscy łapaliśmy w przelocie coś do zjedzenia, a potem wracaliśmy do pracy. Nie mogłem też spać w kuchni dla służby. Kładłem się na swej starej pryczy w komnacie dla uczniów, licząc na to, że zmęczenie powstrzyma sny, które mogłyby mnie skłonić do krzyku.

Naprawdę pragnąłem, by królewska para znalazła się w krainie Umarłych.

Ten obłęd miał potrwać jeszcze tylko dwa dni. Jutro odbędzie się ślub, a pojutrze księżniczka Isabelle wyjedzie z nowym księciem małżonkiem do swej reginokracji, pomyślałem. Praczki plotkowały, że matka księżniczki jest umierająca i Isabelle wkrótce zostanie królową. To był korzystny ślub dla księcia Ruperta, nawet jeśli narieczona była całe sześć lat starsza od niego. Dzisiaj miał się odbyć wielki bal maskowy, co znaczyło, że niezliczone bele tkaniny trzeba było nie tylko wyprać, lecz również ufarbować na żółto — kolor noszony przez dworzan księżniczki. Iście brudna robota. Dłonie, twarz i włosy pokrywały mi żółte plamy. Nawet stopy miałem jaskrawożółte.

W kuchni dla służby trwały gorączkowe przygotowania do kolacji. Maggie łypnęła na mnie złowrogo. Jasne przetłuszczone włosy opadały jej na zabrudzoną mąką twarz.

— Roger! Czego tu szukasz?

— Umieram z głodu.

— Dlaczego jesteś zły?

— Od farby.

— A czemu chwiejesz się na nogach?

— Ze zmęczenia.

— Wszyscy jesteśmy zmęczeni. — Jej głos złagodniał jednak, brzmiał prawie tak samo jak wtedy, gdy jeszcze nie wspomniałem o „Wrzosowisku Duszorośli” i nie utraciłem jej chwiejnej przyjaźni. Porwała ze stołu kawałek pasztetu i rzuciła go mnie. — Masz. Nie mów nikomu. Wszystko to jest przeznaczone na stół Jej Brzydkości.

— To znaczy, że księżniczka jest bardzo brzydka?

— Tego nie powiedziałam. Nie powiedziałam. Idź już. Nie widzisz, że tu i tak jest za dużo ludzi?

Zbiegła się chyba połowa pałacu. Miotające się z krzykiem kucharki, służące i posługacze tłoczyli się gęsto jak kury w klatce. Byli też równie podekscytowani. Przypomniałem sobie miasto za murami pałacu, które widziałem tylko raz, podczas lata. Wydawało mi się, że to było bardzo dawno.

Pożarłem pasztet. Byłem zbyt zmęczony, by cieszyć się jego znakomitym smakiem. Potem zasnąłem w kącie zawalonym pustymi, pachnącymi warzywami skrzynkami.

Obudziła mnie muzyka. Zerwałem się na nogi i przez długą chwilę myślałem, że to sen. W pomieszczeniach dla służby takie rzeczy się nie zdarzały!

Panowie i damy napływali szeregiem do komnaty w towarzystwie muzyków. Poza tymi ostatnimi wszyscy nosili maski, ich twarze zakrywały fantastyczne wizerunki wykonane z piór, srebra, klejnotów, złotogłowiu, paciorków i futra. Śmiali się, pokrzykiwali, tańczyli, zataczali się... z pewnością byli pijani. Garstka sług posilających się resztkami z kolacji — która była godzina? Jak długo spałem? — zerwała się nagle i pokłoniła nisko.

— A więc stąd pochodzi ta paskudna tarta! — zawołał ktoś. Odpowiedziały mu dalsze krzyki, gwizdy i śmiech. Jaskrawe jedwabie, aksamity i atłasy wypełniały salę zielenią. Tylko zielenią. Zatem byli to domownicy młodej królowej. Jeden z dworzan złapał przerażoną posługaczkę i zatańczył z nią w rytm skrzypek i fletu.

— Nigdy nie widziałeś kuchni, Hal?

— Hal ogląda tylko sypialnie!

— Nigdy. Myślałem, że jedzenie rośnie... rośnie...

Mężczyzna odwrócił się w bok, zdjął maskę i zwymiotował na stół pełen świeżego chleba.

— Fe!

— Wsadźcie go do jednej z tych skrzyń!

— Wrzućcie go do gulaszu!

Te wypowiedziane po pijanemu słowa, których sensu nie rozumiałem, uciszyły niektórych dworzan i wszystkich służących. Twarze tych drugich wykrzywiły się w grymasie wstrętu bądź strachu, a potem natychmiast znieruchomiały. Nikt, nawet zarządca kuchni, nie wiedział, co powinniśmy zrobić. Muzyka, taniec, śmiechy i krzyki nie milkły.

— Dajcie Halowi jeszcze ale!

— Dajcie mu kuchenną dziewczkę!

— Ale! Ale!

— Królowa!

Muzycy natychmiast przestali grać. Dworzanie i słudzy uklękli. Cisza opadła na salę niczym gwałtowna ulewa. Do środka weszła stara królowa.

Towarzyszyła jej tylko osobista straż, złożona z dwóch Niebieskich. Królowa Eleanor miała sześćdziesiąt lat i sprawowała rządy od czterdziestu jeden, odkąd jej matka zginęła w wypadku na polowaniu. Miała na sobie suknię z jasnoniebieskiego jedwabiu, wyszywaną na obrąbku ciemnoniebieską nicią. Suknia — podobnie jak prosta srebrna korona Eleanor — była ascetyczna, skromna i kosztowna. Twarz królowej naznaczyły głębokie bruzdy, a jej włosy były białe jak skrzydło czapli. Była jednak wysoka i trzymała się prosto. Emanująca z niej władza przypominała ciepło bijące z pieca.

Nikt się nie ruszał ani nie odzywał.

Gdy stara królowa wreszcie przerwała ciszę, przemówiła bardzo cichym głosem, który mimo to docierał do wszystkich zakamarków komnaty i wszystkich słuchających uważnie uszu.

— Nikt z was nie ma prawa tu przebywać — oznajmiła, omiatając dworzan spojrzeniem.

Uświadomiłem sobie, że nadal stoję nieruchomo między skrzynkami po warzywach. Spróbowałem osunąć się na podłogę, nie przyciągając niczyjej uwagi.

— Caroline — zabrzmiał władczy głos królowej.

Szelest sukni przesuwający się ku przodowi; ta dama nie uklękła. Zdjęła maskę z zielonych piór naszytych na złotogłów.

— Słucham.

A więc to była młoda królowa!

— Zwłaszcza ty nie masz prawa tu przebywać.

— To mój pałac. I to moja zabawa. Żegnamy mojego brata, który będzie musiał nas opuścić.

Królowa Caroline miała trzydzieści siedem lat i była piękna. A także niebezpieczna, w jakiś sposób, który wyczuwałem, choć nie potrafiłem go zrozumieć. Pod jej ciasnym zielonym gorsecikiem kryły się rozkoszne krągłości, ale to samo można było powiedzieć o wielu innych damach. Niezwykłe były jej oczy, czarne ze srebrnymi iskierkami, jakby coś błyszczącego zanurzono w ciemnej wodzie. Niezwykły był zarys jej ramion i pięknych piersi, a także zdobna fryzura. Jej włosy, tak samo czarne jak oczy, splecione w warkocze, trefione i ozdobione klejnotami, kontrastowały z białymi gładkimi włosami starej królowej.

Dwie kobiety wpatrywały się w siebie. Wyraźnie widziałem twarze obu. Stara monarchini przyglądała się córce. Choć żadna z nich się nie skrzywiła, iskrzyła między nimi nienawiść. Nie opuściły jednak spojrzenia ani nawet nie mrugnęły.

— To dziwny rodzaj zabawy — stwierdziła lodowatym tonem królowa Eleanor. — Terroryzowanie służby kuchennej w przeddzień wesela brata.

— Taki wybrałam — odparła młodsza królowa. — Mam do tego prawo.

— Nie masz. Rupercie!

Książę zdjął maskę i wystąpił z grupy. Miał na sobie zielony strój, nie niebieski. Być może chciał pozostać niezauważony pośród domowników królowej Caroline. Nawet ja jednak wiedziałem, że noszenie kolorów starszej siostry, nie matki, równało się śmiertelnej zniewadze. Był równie przystojny jak wtedy, gdy uganiał się za lady Cecilią, przed wieloma miesiącami. Naburmuszony młodzieniec zatrzymał się obok siostry, wspierając dłoń na jej ramieniu.

— Rupercie, wracaj do narzeczonej — rozkazała stara królowa. — Czeka na ciebie na górze. Twoje maniery są godne pożałowania.

— Tak, mam — mruknął młodzieniec. To nie był władczy książę całujący damy dworu, ale nadąsany chłopak, któremu matka kazała być grzecznym, bo inaczej poniesie konsekwencje. Jakie konsekwencje? Nie miałem pojęcia.

Książę Rupert wymknął się chyłkiem z komnaty. Stara królowa i jej Niebiescy podążyli za nim.

— Zdejmijcie maski — rozkazała królowa Caroline milczącemu towarzystwu po ich wyjściu.

Wszyscy jej posłuchali, ale nadal nikt się nie odzywał, nawet ci najbardziej pijani. Widzieli, jak ich młodą królową skarcono na oczach jej dworzan i służby pałacowej. Nikt nie ośmielił się odezwać.

W czarnych oczach królowej Caroline pojawiły się błyski, nie wzdrygnęła się jednak.

— Moja matka nigdy nie rozumiała, co to zabawa — przemówiła silnym wyraźnym głosem. — Pomyślcie, jak musiał się nudzić mój ojciec, kiedy mnie płodził — dodała ze śmiechem.

Dworzanie również zarechotali lubieżnie. Udało się jej rozbroić wyniosłość królowej Eleanor, przedstawić ją jako komiczną, sztywną staruchę. Dworzanie ryczeli i chichotali. Młoda królowa stała między nimi z uśmiechem na ustach. Była niedaleko ode mnie i mimo woli poszukałem wzrokiem jej sławnego szóstego palca. Tak jest, miała go na lewej dłoni. To nie był cały palec, a tylko kikut. Zwracała go do wewnątrz, by był jak najmniej widoczny i wydawało się też...

W tłumie pozbawionych masek dworzan zauważyłem lady Cecilie.

Jej widok był dla mnie jak nagły cios. Wstałem i postąpiłem krok w jej kierunku. Ktoś nagle złapał mnie za rękę. Maggie pociągnęła mnie z powrotem na kolana.

— Co ty wyprawiasz? Nie pozwolila nam wstać!

Skąd się tu wzięła Maggie? Z pewnością przepchnęła się na kolanach między służącymi aż do moich skrzynek po warzywach. Jednakże ta myśl i świadomość obecności Maggie przemknęły tylko przez mój umysł, zamieniony w papkę widokiem lady Cecilii.

Ona również była odziana w zieleń. Suknia z miękkiego jedwabiu przechodziła w sztywniejsze, bogato haftowane spódnice. Lśniące ciemne włosy splotła w warkocze i utrefiła równie zdobnie jak królowa Caroline. Dekolt również miała podobnie niski. W jednej ręczce trzymała zdobną maskę z ufarbowanych na zielono piór. Królowa jednak była dojrzała i słodka jak gruszka, Cecilia zaś przypominała małą zieloną jagódkę. Na widok jej szczupłej talii i niewielkich piersi moje serce zabiło gwałtownie. Twarz miała poważną i opierała się o jakiegoś dworzanina, przystojnego młodzieńca, którego natychmiast znienawidziłem. Przesunęła po mnie spojrzeniem bez rozpoznania.

Inna para oczu wypatrzyła mnie jednak w skłębionym tłumie szlachetnie urodzonych. Królowa Caroline podeszła do mnie.

— Wstań — rozkazała.

Wśród klęczących sług zapanowały sprzeczne emocje. Nie byli pewni, czy oni również mają się podnieść. Kilku to zrobiło, ale królowa wszystkich ignorowała.

— Chłopcze, dlaczego jesteś żółty?

Moje gardło nie mogło wydać z siebie żadnych dźwięków.

— To kolor księżniczki Isabelle. Jesteś moim sługą, nie jej. W takim razie dlaczego masz żółtą twarz i ręce?

— Pra... pra...

— Chłopcze, czy chcesz mnie obrazić, nosząc kolor innego dworu?

— Nie, Wasza Miłość!

— Czy więc jesteś głupcem?



— Pra... pracuję w pralni! Farbowaliśmy tkaniny dla...

— Chyba rzeczywiście jesteście głupcami. Będzie z waszego świętego błazna.

— Skinęła na jednego z dworzaków, który podbiegł do niej natychmiast. — Robinie, o północy przyprowadź tego błazna do moich komnat.

— Tak jest, Wasza Miłość — odparł, ale nie miał zadowolonej miny.

— Znajdziesz go w pralni — dodała i klasnęła w dłonie. — Chodźmy zatańczyć! Słudzy, możecie już wstać. Dziękujemy wam za waszą gościnność. Zarządca da wam wszystkim ameliańskiego wina, żebyście wypili za ślub mojego brata!

Z ust młodszych służących wyrwał się ochrypły okrzyk radości. Ameliańskie wino było najrzadsze i najszlachetniejsze ze wszystkich. Kosztowało bardzo drogo. Dworzanie królowej opuścili salę.

— Och, Roger, czego ona od ciebie chce? — odezwała się Maggie.

Byłem zbyt zdumiony, by jej odpowiedzieć. W moim oszołomionym umyśle szalała tylko jedna myśl. Być może lady Cecilia również tam będzie, w komnatach królowej o północy.

# 12

— Gdzie jest nowy błazen królowej? — zapytał ktoś donośnym głosem w mrocznej komnacie dla uczniów. Chłopcy obudzili się i zaczęli przeklinać, ale potem zobaczyli, kto stoi w drzwiach, unosząc wysoko lampę. Niektórzy zwlekli się z łóżek i opadli na jedno kolano, choć nic nie wygląda głupiej niż ukłon wykonany w nocnej koszuli. Inni udawali, że śpią. Po całej sali poniósł się szept, cichy jak wiatr szemrzący w trawie i równie trudny do zlokalizowania:

— Lord Robert, faworyt królowej, lord Robert.

Podniosłem się z pryczy, nadal odziany w swe jedyne ubranie. Nie włożyłem nocnej koszuli, którą Joan Campford uszyła dla mnie ze starego prześcieradła. Leżała jednak zwinięta przy mnie, razem z bielizną na zmianę, drewnianym grzebieniem i nożykiem do golenia. To było wszystko, co miałem na świecie. Nie wiedziałem, czego się spodziewać tej nocy, a ujrawszy lorda Roberta, poczułem się jeszcze bardziej zagubiony. Dlaczego przyszedł tu sam zamiast wysłać pazia? Przynajmniej wiedział, że trzeba mnie szukać w komnacie dla uczniów, nie w pralni, jak kazała mu królowa Caroline.

— Tu jestem, panie! — zawołałem piskliwym głosem, nieprzypominającym mojego.

— Zatem chodź ze mną.

W jego głosie pobrzmiwała niecierpliwość, lecz również nuta wesołości. Nie widziałem w tej sytuacji nic zabawnego. Powlokłem się za nim, ściskając w ręce swe małe zawiniątko. Pozostali chłopcy odprowadzali mnie wzrokiem.

Na oświetlonym pochodniami dziedzińcu mogłem się uważnie przyjrzeć mężczyźnie. Gdy królowa i jej dworzanie opuścili już kuchnię, Maggie opowiedziała mi o lordzie Robercie Hopewellu. Wstrząśnięta faktem, że mnie wezwano, dziewczyna utraciła zwykły dla siebie spokój. Lord Robert miał około czterdziestu lat, był wysoki i dobrze zbudowany. Zalecał się do królowej Caroline, gdy oboje byli młodzi, ale ona wybrała na księcia małżonka innego lorda, znacznie mniej silnego, przystojnego i inteligentnego. Maggie nie powiedziała mi dlaczego, choć wyduła usta w sposób sugerujący, że ma na ten temat teorię. Maggie zawsze miała jakieś teorie. Księżę małżonek dał królowej dwóch synów, a potem córkę, która odziedziczy po niej tron. Księżniczka Stephanie miała teraz trzy lata. Wkrótce po jej narodzinach księżę małżonek zmarł na poty. Ze słów Maggie wywnioskowałem, że nikt go zbytnio nie żałował. O tym jednak również nie mówiono głośno. Po jego śmierci lord Robert znowu stał się faworytem królowej.

Opuściliśmy sekcję rozległego pałacu przeznaczoną dla służby i wyszliśmy na dziedzińce, które pamiętałem z czasów, gdy przed wieloma miesiącami odwiedziłem Emmę Cartwright. Gałęzie drzew i krzewów rosnących na szerokich, cichych podwórzach porastały pąki, ich kształty lśniły biało w zimnym świetle księżyca. Wokół wznosiły się budynki z pomalowanego na szaro kamienia. Potem budynki wyłożone gładkim białym marmurem, a na koniec ozdobione mozaikami z pereł oraz kwarcu i otoczone małymi fontannami. Tym razem nie widziałem tu żadnych ludzi. Dotarliśmy też dalej niż komnaty dam dworu — czy lady Cecilia spała w jednej z nich pod czujną opieką Emmy Cartwright?

Doszliśmy do dziedzińca młodej królowej.

Był wspaniały: jasno oświetlony pochodniami i wyłożony zielonymi mozaikami. W pięknych wysokich wazonach zielonego koloru stały tam

pozlacane gałazki czerwonych jagód. Stojący na straży żołnierze w zielonych bluzach otworzyli przed nami drzwi i przeszliśmy przez wielkie ciemne pomieszczenie, w którym nie było nic poza ustawionymi pod ścianami ławami. Potem była druga wielka sala. W niej również panowała ciemność, ale stały tu meble, a na ścianach wisały gobeliny. Wreszcie dotarliśmy do znacznie mniejszego pokoju, gdzie jasno paliły się świece i ogień na kominku. Królowa siedziała sama za bogato rzeźbionym stołem.

Nadal miała na sobie tę samą zdobną suknię o niskim dekolcie. Jej białe piersi lśniły w blasku ognia. Rozpuściła jednak włosy, opadające w gęstych ciemnych splotach na twarz i ramiona.

— Przeprowadziłem go — oznajmił lord Robert. — Ale nadal nie wierzę w to wszystko.

— Dziękuję, Robinie — rzekła królowa. Opadłem niezgrabnie na jedno kolano. — Wstań — rozkazała. — Boisz się, chłopcze?

— Pewnie, że się boi — stwierdził z uśmiechem lord Robert. — Przede wszystkim, jest pomalowany na żółto. Nikt nie mógłby się czuć swobodnie w takim kolorze.

— Ale on nie może nic na to poradzić — zauważyła słodko. Była teraz pełna słodyczy, w niczym nie przypominała gorejącej nienawiścią do królewskiej matki kobiety, którą widziałem wcześniej. — Musi robić to, co mu każą praczki. Prawda, Roger?

— T... tak, Wasza Miłość.

Wiedziała, jak mam na imię.

— Nie masz się czego bać. Nikt nie zrobi ci krzywdy.

Ile razy słyszałem te słowa od Hartaha? Potem zawsze dodawał: „Pod warunkiem, że zrobisz, co ci mówię”. Ona jednak nie musiała mówić nic więcej. Była królową. Wszyscy musieli jej słuchać.

— No cóż, skoro już tu jest, dajmy mu trochę wina — zaproponował lord Robert, napełniając swój kielich.

— Jeszcze nie — sprzeciwiła się. — Roger, ile masz lat?

— Czternaście, Wasza Miłość.

— Niewiele więcej niż mój najstarszy syn — stwierdziła królowa Caroline. — Percy ma jedenaście. Umiesz czytać, Roger?

— Nie, Wasza Miłość.

— A gdzie jest twoja rodzina?

— Wszyscy umarli, Wasza Miłość.

— Tak samo, jak załoga „Frances Ormund”.

O mało się nie zachwiałem i nie przewróciłem. Zdołałem jednak utrzymać równowagę, łapiąc się rogu stołu. Wiedziała. Skądś się dowiedziała o katastrofie... i o czym jeszcze?

— Mówisz przez sen — ciągnęła łagodnym tonem, ale jej spojrzenie orało mi twarz. — A ja mam ludzi, którzy donoszą mi o wszystkim, co się dzieje w pałacu. Wiedziałeś o tym, Roger?

— N... nie, Wasza Miłość. — Domyślałem się, że ma szpiegów, ale nie sądziłem, że informują ją o poczynaniach prostych praczek. Maggie? Joan? Nie, to musiał być jeden z uczniów, których sen zakłócałem co nocy. Co jeszcze mówiłem? Lord Robert rozwalił się na krześle z miną pośrednią między dezaprobatą a wesołością.

— Oczywiście, w normalnych warunkach nie zainteresowałby mnie fakt, że praczka, nawet chłopiec, krzyczy przez sen nazwę statku zatopionego przez morskich rozbójników. W końcu to było głośne wydarzenie, a wieści się rozchodzą. Ale mówiłeś też inne rzeczy, Roger. „Wrzosowisko Duszorośli”. „Hygryll”. „Lord Digby”.

Lord Robert uniósł nagle wzrok. Z jego twarzy zniknęła wesołość.

— Co wiesz o lordzie Digbym, Roger?

Stara pani Humphries, która siedziała pod drzewem nad rzeką w krainie Umarłych i opowiadała o swym dzieciństwie.

— Wasza Miłość, wiem tylko, że przejeżdżał kiedyś przez wioskę Stonegreen i dał dziecku złotą monetę.

— Bruce Digby nic nigdy nikomu nie dał — sprzeciwił się Robin.

— Lord William Digby!

W swym podnieceniu ledwie wiedziałem, co mówię. Z lica królowej zniknęły wszelkie ślady słodyczy. Królowa Caroline miała bardzo wiele twarzy, była zmienna jak pogoda. Teraz ani blask ognia, ani światła świec nie były w stanie przydać ciepła marmurowi jej oblicza.

— Dziadek? — zapytała. — A skąd o tym wiesz, Roger? Umarł na długo przed twoimi narodzinami.

— To dziecko mi opowiedziało! Kiedy było staruszką! To rodzinna historia!

— A co z Wrzosowiskiem Duszorośli? To też rodzinna historia?

Mogłem jedynie obrzucić ją pełnym rozpaczycy spojrzeniem.

— Myślę, że to nazwisko lorda Bruce'a Digby'ego wykrzyczałeś, Roger, nie lorda Williama. A...

— Nieprawda!

— Śmiesz mi przerywać? Myślę też, że nie przypadkiem wspominałeś o Wrzosowisku Duszorośli i o „Frances Ormund”, a także o lady Frahyll.

Przypomniałem ją sobie. To była kolejna gadatliwa staruszka na jeszcze jednym wiejskim jarmarku spędzonym przeze mnie w namiocie Hartaha. W tym miasteczku był jednak dwór, a matka jego pana niedawno umarła. Nieszkodliwa, bredząca od rzeczy kobieta, za stara i zbyt martwa, by

przejmować się różnicą w pozycji społecznej. Z radością opowiadała mi o miejscowych, co uratowało mnie przed zbiciem przez wuja.

— Frahyll to nie jest pospolite nazwisko — zauważyła królowa. — Zawiera udreżone sylaby typowych południowych nazw, wywodzących z Ziemi Niczyjej albo nawet z Wrzosowiska Duszorośli. Takich jak Hygryll. Albo Hartah. Często wzywasz Hartahą, Roger. Czy on również nie żyje?

Oniemiałem z przerażenia.

— Roger, czy potrafisz przechodzić do krainy Umarłych?

— To niemożliwe — sprzeciwił się lord Robert z niecierpliwością w głosie. — Powtarzałem ci to już wiele razy, Caro. Przechodzenie na drugą stronę to tylko przesąd wyznawany przez ciemnych wieśniaków, którzy wierzą, że plucie na żaby o północy powoduje burze z piorunami.

Królowa go zignorowała. Nie odrywała ode mnie spojrzenia czarnych oczu upstrzonych srebrnymi plamkami. Nie byłem w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Mogła wysłać mnie na tortury. Spalić jako czarownika.

— Dobrze się zastanów, Roger, zanim mi odpowiesz. Poznam prawdę. Istnieją sposoby, by ją z ciebie wydobyć. Nieprzyjemne sposoby. Nie chciałabym się do nich uciekać, ale...

— Na litość, Caro, to tylko chłopiec!

— ...ale zrobię to, jeśli będzie trzeba. Nie jestem okrutną kobietą, Roger. Jestem kobietą, która pragnie dobrze władać krajem. Która stoi w obliczu przeszkód, jakich nie potrafisz sobie nawet wyobrazić. Która robi wszystko, by być dobrą władczynią, dla wspólnego dobra i dla córki, która musi odziedziczyć po mnie władzę. Rozumiesz?

— T... tak.

— W takim razie zapytam cię raz jeszcze. Odpowiedz zgodnie z prawdą, z pełną świadomością konsekwencji. Nie jesteś głupi. Widzę to. Roger, czy potrafisz przechodzić do krainy Umarłych?

— Tak — odpowiedziałem.

— Pokaż mi.

— Caro... — sprzeciwił się lord Robert.

— Potrzebuję... — zacząłem z szaleństwem w głosie. Nie byłem w stanie tego powiedzieć, ale nie miałem innego wyjścia. — Potrzebuję bólu. Mogę to zrobić sam.

— No to zrób.

Położyłem swój tobołek na stole i rozwinąłem go. Lord Robert, który miał teraz demonstracyjnie znudzoną minę, uśmiechnął się protekcjonalnie na widok prostej koszuli nocnej uszytej z prześcieradła. Wyjąłem nożyk do golenia i wbiłem go sobie w udo. Wzdłuż moich nerwów przebiegł palący ból. Wykonałem konieczny wysiłek woli i w tej samej chwili usłyszałem krzyk królowej. Poczułem niejasno, że lord Robert, szybki jak kot, złapał moje upadające ciało.

*Ciemność...*

*Chłód...*

*Ziemia w ustach...*

*Robaki w oczach...*

*Gleba wiążąca moje odarte z ciała ręce i nogi...*

Po raz pierwszy od pół roku przeszedłem na drugą stronę.

Pałac zniknął. Została tylko rzeka, szeroka i spokojna jak w krainie żywych. Pierścienia skalistych gór na zachodzie również nie widziałem. Z pewnością leżały tu dalej. Wszystko się rozciągnęło. Wyspa była tak ogromna, że nie widziałem jej drugiego końca. Na bezkresnej równinie za rzeką, gdzie w krainie żywych były gospodarstwa i pola uprawne, dostrzegałem liczne drzewa. Drzewa, gaje, stawy oraz Umarłych.



Było ich tu znacznie więcej niż na wsi, ale gigantyczna równina nie sprawiała wrażenia zatłoczonej. Być może — ten pomysł nasunął mi się nie po raz pierwszy — sama Ziemia się rozszerzała, by pomieścić wszystkich, którzy zmarli. W porównaniu z wioskami, w których Hartah rozbijał swój namiot, więcej Umarłych było tu dobrze ubranych. Jedwabne suknie, polerowane zbroje, staromodne fortugały, aksamitne płaszcze i kubraki, a obok nich niezwykle białe szaty albo prosto uszyte okrycia ze skóry i futra. Ludzie mieszkali nad tą rzeką od bardzo dawna.

Osobliwie ubrani Umarli zachowywali się jednak tak samo jak inni: beczynn timer siedzieli w kręgach i gapili się na trawę albo na niebo. Potknąłem się o żołnierza w osobliwej zbroi barwy miedzi i runąłem na ziemię. Nie odezwał się ani słowem, cały czas wpatrywał się w jednorodne szare chmury. Wstałem i zobaczyłem krew na ręce w miejscu, gdzie skaleczyłem się o kamień. Miałem ją też na nogawicach, po dźgnięciu się nożem w udo. Tutaj tylko ja mogłem krwawić. Mimo to nie czułem bólu. On pojawi się dopiero po powrocie.

Biegałem jak szalony między milczącymi grupami, szukając kogoś starego, najchętniej kobiety, nowo przybyłego Umarłego, który zechce ze mną rozmawiać. Poznam prawdę. Istnieją sposoby, by ją z ciebie wydobyć. Nieprzyjemne sposoby...

Kilka jardów ode mnie zmaterializował się jakiś mężczyzna. W jednej chwili go nie było, a w następnej już był. Miał na sobie długą koszulę nocną z kremowego płótna dobrej jakości oraz wełnianą szlafmycę, a na pomarszczonym palcu zdobny pierścień z kutego złota, w który wprawiono trzy wielkie rubiny. Obrzucił mnie szalonym spojrzeniem.

— Gdzie jestem?

Zastanowiłem się pośpiesznie.

— Nic ci nie grozi, panie.

— Umarłem! Nie żyję!

— Tak, panie. A ja jestem twoim przewodnikiem, przysłanym, by cię przywitać.

— Nie żyję!

— Tak. A ja jestem twoim przewodnikiem. Musisz pójść ze mną.

Chyba to dziwny żółty barwnik na mojej twarzy go przekonał. Popatrzył na mnie, zadrżał i ruszył przed siebie.

Poprowadziłem go do małego, wyludnionego zagajnika. Przyjrzał się swojej ręce, wyschniętej, ale wolnej od bólu.

— Moja choroba zniknęła — stwierdził zdumiony.

— Już po niej, panie. Musisz mi odpowiedzieć na kilka pytań.

Skinął głową, nadal zbyt oszołomiony, by kwestionować mój fałszywy autorytet. Ten stan nie utrzyma się długo. Musiałem działać szybko.

— Jak się nazywasz, panie?

— Lord Joseph Deptford.

— A twoja pozycja na dworze?

— Dżentelmen sypialniany służący księciu Percy'emu. Ale odkąd zachorowałem... A kim ty jesteś, chłopcze?

— Już ci mówiłem, panie. Twoim przewodnikiem tutaj. Musisz odpowiedzieć na jeszcze kilka pytań, by można cię było sprawiedliwie osądzić. Na co ostatnio chorowałeś?

— Na słabość serca. To...

— Czy młody książę sprawia ci trudności?

— Był... hej, popatrz, chłopcze...

— Nie mogę cię zaprowadzić do mego pana, jeśli nie otrzymam tej informacji! Czy książę sprawia ci trudności?

— Jest okropny — odparł bez ogródek mężczyzna. — Ciągnie mnie za brodę, szepcze słowa zdrady przeciwko swej babci, wszystko, co pragnie usłyszeć jego matka, i... dość już tego! Chcę porozmawiać z twym panem osobiście! Koniec z tą impertynencją!

Zostawiłem go między drzewami, by mógł sam się przekonać, że dla niego wszelka impertynencja utraciła znaczenie. Za chwilę zawładnie nim spokój Umarłych. Nożyk zostawiłem w komnacie królowej, ale nad rzeką nie brakowało ostrych kamieni. Walnąłem się jednym z nich w dłoń w miejscu, gdzie oparzyłem się o gorący gar i wróciłem do krainy żywych.

Leżałem na dywaniku obok kominka, a królowa siedziała naprzeciwko mnie, otoczona kałużą zielonych jedwabnych spódnic. Jej rozpuszczone włosy wyglądały wspaniale. Lord Robert nadal siedział przy stole, popijając wino.

— Szybko ci poszło — stwierdziła królowa. — Czy to się wydarzyło?

— Tak, Wasza Miłość.

Usiadłem. Kręciło mi się w głowie. Jakaś część mojego umysłu myślała o tym, jakie to dziwne, że siedzę na podłodze z królową, jakbyśmy byli dwojgiem dzieci grających w kości.

Grających w śmierć.

— Opowiedz mi — zażądała. — Przekonaj mnie — dodała bardziej złowieszczym tonem.

— Rozmawiałem z lordem Josephem Deptfordem. Umarł przed chwilą, przed kilkoma minutami. Miał na sobie jasną koszulę nocną i niebieską wełnianą szlafmycę. Był dżentelmenem sypialnianym służącym księciu Percy'emu. Powiedział mi... — Czy rozsądnie będzie o tym wspominać? Żadne wyjście nie byłoby rozsądne. — ...że młody książę jest trudnym podopiecznym. Ciągnie starego lorda za brodę.

— To prawda — przyznał ze śmiechem lord Robert. — Ale takie plotki łatwo można usłyszeć w pałacu. A jeśli nawet ten stary dureń Deptford rzeczywiście umarł dziś w nocy, może po prostu udało mu się to zgadnąć. Wszyscy w pałacu wiedzą, że jest chory.

— Lord Robert może mieć rację — oznajmiła mi królowa. — Co jeszcze masz do powiedzenia?

— Tylko... tylko...

— Gadaj, Roger!

Samo powtórzenie tych słów mogło mnie kosztować życie. Ale jeśli ich nie wypowiem, zginę z pewnością. Zamknąłem oczy.

— Powiedział mi, że księżę szepcze słowa zdrady przeciwko swej babci. Dlatego, że jest przekonany, że to właśnie Wasza Miłość pragnie usłyszeć.

Kielich wypadł z ręki lorda Roberta. Wino splamiło spódnicę królowej. Caroline wypuściła powoli powietrze — aaaachchchchchch — jakby westchnęła. Potem pochyliła się i pocałowała mnie w policzek. To był matczyzny pocałunek, czuły, delikatny i przerażający jak pączki kwiatów na wiosnę.

Królowa podarowała mi dwa nowe komplety ubrań z zielono-żółtego aksamitu, ozdobione zielonymi wstążkami u kolan. Dała mi też miejsce do spania, maleńką alkowę obok jej komnaty audiencyjnej, gdzie nikt nie mógł usłyszeć moich krzyków.

— Nie możesz spać bliżej mnie, Roger — oznajmiła. — Jesteś jeszcze chłopcem, ale zbliżasz się do wieku męskiego, a ja jestem wdową. Nie chcę dawać swym wrogom pretekstu do wywołania skandalu.

Poczułem, że uszy mi płoną. Mówiła poważnie, mimo że cały dwór wiedział, iż sir Robert jest jej kochankiem. Nie próbował się ukrywać, wchodząc do jej prywatnej komnaty i opuszczając ją. Na jego twarzy widniał wówczas lekki uśmiezek, a czasami strzelał na mnie palcami albo gwizdał, jak na psa. Nie traktował mnie jednak źle, nie celowo.

— Musisz pamiętać, żeby cały czas mieć na twarzy żółtą plamę — poleciła mi królowa Caroline. — Ona odróżnia cię od innych błaznów. Co więcej, to wspinała drwina z tej upartej skromnisi, którą musiał poślubić mój brat. Żółty to kolor jej dworzan!

Brat królowej, książę Rupert, opuścił ze swą brzydką żoną dwór dzień po ślubie. Zapewne nie zobaczymy ich przez kilka dobrych lat.

— Wasza Miłość — odezwałem się z desperacją w głosie. — Nie starczy mi dowcipu, żeby być błaznem!

Trefniś musiał się trzymać blisko królowej i wygłaszać śmieszne, zgryźliwe uwagi na temat osobowości oraz poczynań rozmaitych dworzan. Ja nie znałem żadnego dworzanina. Nie potrafiłem też wygłaszać śmiesznych, zgryźliwych uwag. Nie miałem szans.

— Z pewnością ci starczy.

— Nie! Czy... czy mógłbym zostać paziem?

Z obowiązkami pazia jakoś chyba bym sobie poradził.

— Paziowie muszą być szlachetnie urodzeni, jak mój Alroy. Co więcej, mają po dziesięć lat. Musisz zostać moim błaznem.

— Jestem za mało dowcipny...

— To stań się dowcipniejszy — rozkazała ostrym tonem. — Potrzebuję jakiegoś powodu, by trzymać cię blisko siebie. Powodu, którego nikt nie zakwestionuje.

— Tak jest, Wasza Miłość.

Zostałem w swej alkowie, odsypiając zmęczenie po pracy w pralni, aż wreszcie nastał następny dzień. Po raz pierwszy włożyłem wtedy nowe szaty i towarzyszyłem królowej, gdy przyjmowała ludzi w komnacie audiencyjnej. Zająłem miejsce, które mi wskazała, na lewo i poniżej wysokiego, ustawionego na podium krzesła, na którym zasiadała. Siedziałem u jej stóp.

— Słuchaj wszystkiego — wyszeptała do mnie. — I ucz się, żebyś wiedział, do kogo się zwrócić i o co zapytać, gdy znowu wyślę cię na drugą stronę.

— To nie działa w ten sposób. Nie mogę...

Ona jednak nie chciała tego słyszeć. Skinęła dłonią i wartownicy otworzyli wielkie drzwi.

Byłem przerażony. Stań się dowcipniejszy.

Komnata audiencyjna była pierwszą salą w apartamencie królowej, a zarazem największą i najskromniej umeblowaną z nich. Był tu tylko tron na podwyższeniu oraz ławy ustawione pod ścianami. Za nią była komnata zewnętrzna, w której królowej usługiwały damy dworu. To również było duże pomieszczenie, bogato umeblowane stołami i krzesłami. Było tam też

miejsce na tańce oraz prezentację masek, tak bardzo lubiane na dworze. Dalej znajdowała się prywatna komnata, gdzie przeszedłem na drugą stronę na rozkaz królowej, ze swym zdobnie rzeźbionym stołem i zielonym dywanikiem, na końcu zaś sypialnia, której oczywiście nigdy nie widziałem. Caroline wszystkie oficjalne spotkania urządzała w komnacie audiencyjnej, ponieważ prawdziwą salą tronową pałacu nadal władała stara królowa. Moim oszołomionym oczom komnata audiencyjna wydawała się wystarczająco wspaniała. Jak musiała wyglądać sala tronowa?

Do komnaty weszli doradcy królowej, grupka trzech starych mężczyzn wlokących się za lordem Robertem. Kobiety, które tworzą życie, muszą władać, ale mężczyźni, którzy bronią życia, muszą doradzać. Tak zachowuje się równowagę świata. Obleczeni w zieleń doradcy królowej pokłonili się jej, a potem stanęli po obu stronach tronu. Żaden z nich nawet na mnie nie spojrział. Przykucnąłem u podstawy schodów z twarzą pomalowaną na żółto, odziany w zielono-żółty aksamit. Byłem tylko częścią umeblowania, jak same schody, tyle że mniej użyteczną.

— Niech wejdą suplikanci.

Nie było ich wielu. Pomyślałem sobie, że weselna uczta, bal maskowy i tańce zmęczyły wszystkich tak bardzo, że postanowili odłożyć na później wszelkie sprawy do królowej. Potem się dowiedziałem, że byłem w błędzie. Wszyscy suplikanci chodzili do sali tronowej, do starej królowej.

Gdzie była prawdziwa władza.

Królowa Caroline zaciskała usta.

— Dlaczego do mnie przychodzisz? — zapytała pierwszego błagalnika, ledwie je otwierając.

— Wasza Miłość, toczę spór o ziemię ze swą sąsiadką. Panią Susannah Carville.

— A na czym polega ten spór?

— Oboje rościmy sobie prawa do pól na prawym brzegu rzeki Marny.

— Wszystkie ziemie należą do królowej, chyba że są marne! — zawołałem.

Zapadła głucha cisza.

— Prawy brzeg oczywiście również należy do Waszej Miłości! — odezwał się po chwili mężczyzna. — Ale o prawo ich użytkowania toczymy spór z panią Carville.

— Mów dalej — rzekła królowa, obrzucając mnie pełnym niesmaku spojrzeniem. Nie byłem dowcipny. Zawiodłem.

Chyba wolałbym znaleźć się w krainie Umarłych.

\*

Z czasem stałem się trochę lepszym błaznem. Zdarzało się nawet, że ktoś się zaśmiał z mojego żartu. Bardzo krótko. Królowa jednak nie mogła się nauczyć przyciągania ważnych ludzi. Drobne spory o ziemię, nieistotne problemy prawne, kradzieże niewielkich sum na budowę małych domów. Królowa Caroline wszystkie spory rozsądzała mądrze i sprawiedliwie. Tej strony jej osobowości nigdy dotąd nie widziałem. W niczym nie przypominała kobiety, która groziła mi torturami, ani tej, która co rano pytała mnie słodko, czy dobrze spałem. Dla swych mieszkających poza pałacem poddanych była dobrą i sprawiedliwą władczynią.

Niemniej odnosiłem wrażenie, że właściwie trudno ją zwać królową. W pałacu roiło się od Niebieskich starej monarchini. Królowa Caroline miała własną zieloną straż, ale była ona bardzo nieliczna. Nikt też nie zwracał się do niej z żadną prośbą dotyczącą armii. Dworzanie plotkowali o nowej flocie — pierwszej w Reginokracji — którą budowano w zatoce Carlyle, u ujścia Thymaru, ale nigdy nie słyszałem, by w komnacie audiencyjnej wspomniano o jakichkolwiek okrętach. Słuchałem i uczyłem



się, ale tak naprawdę nic mnie nie obchodziły okręty, armia i niekończące się spory o ziemię.

Miałem co jeść i gdzie spać, a czasami dostawałem też ale albo wino do picia.

Królowa nie wysyłała mnie więcej do krainy Umarłych.

Moje żarty stawały się coraz celniejsze i bardziej zabawne.

A co najważniejsze podczas pracy — która w ogóle nie wydawała się pracą komuś, kto harował dla Hartaha i pocił się w pralni Joan Campford — przebywałem w towarzystwie dam dworu. W towarzystwie lady Cecilii.

— Znowu tu jesteś, Roger? Wiem, że tak. I to żółty jak zawsze!

I wtedy słyszałem jej perlisty śmiech, niezmiennie wyższy i radośniejszy od śmiechu innych dam królowej. Lady Cecilia zawsze chodziła szybciej, tańczyła z większym ożywieniem, uśmiechała się szerzej i grała na lutni z większą pasją, nim w końcu się znudziła i odrzuciła instrument na bok. A gdy damy szyły, jej igła szybciej przenikała przez kosztowną tkaninę, choć rezultaty często pozostawiały wiele do życzenia.

Tak właśnie spędzaliśmy dni na służbie Caroline: szyliśmy, czytaliśmy na głos, graliśmy muzykę albo spacerowaliśmy z królową po rozmaitych dziedzińcach ogromnego pałacu. Nie mam pojęcia, co robiły damy, gdy monarchini zajmowała się w swej komnacie audiencyjnej nielicznymi „sprawami państwowymi”, na jakie pozwalała jej matka. Siedziałem wtedy u stóp tronu, wygłaszając swe kiepskie żarty, a czas włókł się niemiłosiernie.

Wieczory wyglądały zupełnie inaczej.

Do dam dołączali wtedy mężczyźni, dworzanie w wysadzanych klejnotami zielonych jedwabiach, aksamitach i atłasach z rozcięciami. Królowa Caroline również była obecna. Wszyscy zbierali się w zewnętrznej komnacie, oświetlonej świecami osadzonymi w wielkich wieloramiennych

kandelabrach. Grano w karty i w kości, tańczono przy dźwiękach lutni, piszczałek i fletów, przymierzano i prezentowano maski. Pito wino i jedzono słodkie ciastka. A także flirtowano — och, jak flirtowano! Teoretycznie wszystkimi damami opiekowała się lady Margaret — starsza kobieta o pociągłej końskiej twarzy i smutnych inteligentnych oczach. Nie była ona jednak w stanie powstrzymać tłumu młodych, ładnych, bogato ubranych dziewcząt przed ciągłymi romantycznymi plotkami. Królowa czasami była poważna — gdy rozmawiała sam na sam z lordem Robertem albo którymś ze starszych mężczyzn w wąskim oknie czy przy ciepłym kominku — ale jej damom nie zdarzało się to nigdy. A szczególnie lady Cecili.

— Tak, pani. Nadal jestem zółty.

Jakże pragnąłem pokazać się jej w czymś innym niż błazeńska czapka i szalona, zielono-żółta szata!

— I nadal jesteś błaznem?

— Błaznem, który wszędzie za tobą chodzi, pani.

— To prawda! — Zaniosła się swym dźwięcznym, wysokim śmiechem. Tym razem jednak wyczuwałem w nim jakąś fałszywą nutę. Był za wysoki i zbyt dźwięczny. A jej oczy lśniły za jasno.

— Czy coś się stało, pani?

— A co miałyby się stać? — odparła. Uśmiech zniknął z jej twarzy. Po krótkiej chwili wrócił, ale nazbyt szeroki. — Nie bądź bezczelny!

— Przepraszam, pani.

— Masz powody! — Podrzuciła głowę. Jej duże zielone oczy spoglądały na mnie z błyskiem. Unosiła małą brodę. Wiedziałem jednak, że nie gniewa się naprawdę. Flirtowała ze mną, tak samo jak ze wszystkimi, od handlarza ryb aż po samego lorda Roberta. Była taka piękna! Jej włosy lśniły w blasku świec tak wieloma odcieniami, że nie potrafiłem ich

zliczyć: gałka muszkatołowa, melasa, spiz, cynamon i coś, co nie do końca było złotem. Ale twarz miała zbyt bladą.

— Gdzie się wszyscy podziali? — zapytała z niecierpliwością w głosie.  
— Komnata jest w połowie pusta!

— Nie wiem, pani.

Ja również zauważyłem ten fakt. Z tygodnia na tydzień przybywało tu coraz mniej dworzan. Domyślałem się, że przenieśli się do komnat jej matki, położonych w części pałacu, której nigdy nie widziałem. Czy dezerterzy ośmielili się przychodzić do królowej Eleanor odziani w zieleń jej córki, czy też zmieniali strój razem z lojalnością?

— Ledwie starczy ludzi do tańca — skarżyła się Cecilia. — Chcę zatańczyć!

— Musisz poczekać na rozkaz królowej.

— Oczywiście, oczywiście!

Wierciła się nerwowo na stołku. Był wczesny wieczór, niedługo po kolacji. Na dwóch wielkich kominkach na przeciwległych końcach komnaty jasno palił się ogień. Lady Cecilia i ja, razem z dwiema innymi młodymi damami, lady Sarah i lady Jane, siedzieliśmy na wyściełanych stołkach w pobliżu ognia. Reszta stała w małych grupkach, rozmawiając z dworzanami. Wszyscy czekali, aż królowa ogłosi początek wieczornej zabawy. Lady Margaret siedziała po drugiej stronie kominka, czytając książkę. Cecilia pokazała różowy język wielkiemu woluminowi, a potem spojrzała na mnie z ukosa i zachichotała.

Królowa siedziała w kącie na przeciwległym końcu sali w towarzystwie mężczyzny o skwaszonym spojrzeniu, którego nigdy dotąd nie widziałem. Był dobrze ubrany, w czarny aksamit z atłasową szarfą tego samego koloru, ale twarz miał ogorzałą, a włosy ostrzyżone niemodnie krótko. Nie wyglądał na żołnierza, doradcę ani dworzanina. Nigdy nie widziałem na

dworze nikogo, kto ubierałby się na czarno. Mężczyzna i królowa pochylali się ku sobie, pogrążeni w poważnej rozmowie. Lord Robert zerkał na nich od czasu do czasu, odrywając się od pogawędki z lordem Dearbornem.

— Cecilio, w życiu są jeszcze inne sprawy oprócz tańca — odezwała się lady Sarah.

— Ona chyba o tym wie — rzekła z przekąsem lady Jane. Lady Sarah roześmiała się ochryple. Nie rozumiałem tego żartu ani ostrej reakcji Cecilii.

— Trzymaj ten swój głupi jęzor za zębami, Jane Sedley! I ty też, Sarah!

— A kto mnie do tego zmusi? Twój żółty kawaler?

— Zielone drewno płonie jaśniej niż żółte — odezwałem się, próbując być dowcipny.

Lady Jane i lady Sarah popatrzyły na siebie i znowu wybuchnęły śmiechem, który z każdą chwilą stawał się coraz gwałtowniejszy. Trzymały się za boki, rechocząc wniebogłosy. Oczy Cecilii zaszyły łzami. Zerwała się na nogi i uciekła.

Mogła jednak pójść tylko na drugi koniec komnaty. Podążyłem za nią, nie rozumiejąc, co tak rozśmieszyło obie dziewczyny. Cecilia przystanęła w pustym oknie. Przyciskała twarz do szyby, wychylając się przez oparcie obitej aksamitem ławy. Na pusty dziedziniec padały nieliczne płatki niezwykle późnego śniegu.

— Lady Cecilio...

— Och, zostaw mnie!

— Jeśli czymś cię obraziłem...

— Z pewnością nie! Co ty gadasz? Jak mógłbyś mnie obrazić? — Odwróciła się ku mnie tak nagle, że musiałem się cofnąć. — Nie mam żadnego kawalera, zielonego, żółtego ani jaskrawopomarańczowego!

— Wiem o tym — odparłem. Nagle przypomniałem sobie księcia Ruperta, który stał w drzwiach z naburmuszoną miną, domagając się wezwania Cecylii.

— To czemu powiedziałaś, że go mam?

— Nie powiedziałem! To był tylko żart... zielone drewno... tylko żart.

— Nie był śmieszny.

— Wiem — przyznałem pokornie. — Wybacz mi, proszę.

Zacząłem opadać na jedno kolano, ale złapała mnie za rękę i pociągnęła w górę.

— Przestań! Nie możesz klękać przede mną, gdy w sali jest królowa! Ale ty o tym nie pomyślałeś, prawda? — Zerknęła na mnie. — Rzeczywiście jesteś tylko ciemnym dzikusiem.

Jej nastrój raptownie się zmienił. Z opóźnieniem uświadomiłem sobie, że te gwałtowne przeskoki mają w sobie coś z histerii.

— Wiem! Zostanę twoją nauczycielką! Nauczę cię być dworzaninem, grać na lutni, uprawiać hazard i... och, całej masy rzeczy! To będzie najlepsza zabawa!

— Pani...

— Zaczniemy już teraz! Od lutni! Chodź!

— Teraz nie możemy — odparłem z olbrzymią ulgą. — Królowa każe rozpocząć tańce.

Królowa Caroline uniosła rękę, wydając rozkaz czekającym posłusznie w kącie muzykom.

— Jereian! — zawołała. Damy ustawiły się w jeden szereg, a dżentelmeni w drugi, naprzeciwko nich. Ci, którzy nie zamierzali tańczyć, skupili się pod ścianami. Byłem wśród nich. Błazen królowej nie tańczył. Nawet lady Cecilia nie mogłaby być aż tak szalona, by sądzić, że jest

inaczej. Oddaliła się biegiem, by dołączyć do szeregu dam. Taniec się zaczął.

Jak wszystkie dworskie tańce był powolny, spokojny i majestatyczny. Bardziej pasowałyby do starej królowej niż do Caroline. Przypomniałem sobie pijanych, zamaskowanych dworzan, którzy wdarli się do kuchni w przeddzień ślubu księcia. Wiedziałem, że ci ludzie mają w sobie element szaleństwa, podobnie jak Cecilia. To było niepokojące. Czemu jednak królowa Caroline nie wprowadziła nowych, pełniejszych wigoru tańców? One istniały, widywałem je na jarmarkach w wykonaniu wieśniaków podekscytowanych świętem, ale i dniem wolnym od pracy.

Nie potrafiłem zrozumieć królowej. Zawierała w sobie labirynty. Sprytna, wyrozumiała, pełna pasji, bezlitosna, sprawiedliwa, podstępna — można w niej było znaleźć wszystkie te cechy. Jedynym, co nigdy się nie zmieniało, była jej determinacja w dążeniu do zdobycia tronu, który prawnie należał do niej. Nie wątpiłem, że zrobi niemal wszystko, by nim zawładnąć. Sama mi to kiedyś powiedziała.

Królowa postanowiła, że będzie się tylko przyglądać tańcom. Siedziała na wielkim, bogato rzeźbionym krześle przy kominku, lord Robert zaś przysiadł obok niej na stołku zwolnionym przez lady Jane Sedley. Nieznajomy o skwaszonej minie opuścił już komnatę, pośpieszyłem więc zająć miejsce u stóp królowej. Z tego miejsca mogłem obserwować lady Cecilie. Jej szczupłe, pełne wdzięku ciało kreśliło figury tańca, przesuwał się w przód i w tył, szczupła talia nie przestawała się kołysać, a zielone spódnice zmieniały kolor w migotliwym blasku ognia...

— Starczy tego — odezwała się nagle królowa. — Przekonałam się, że jednak nie mam ochoty na tańce. Czuję się zmęczona. Dobranoc.

Było jeszcze bardzo wcześnie. Dworzanie i damy wymieniali zdumione spojrzenia. Królowa się odwróciła, by przejść przez swe komnaty. Damy

sypialniane uniosły spódnice i popędziły za nią. Cecilia nie była jedną z nich. Stała z rozczarowaną miną pośrodku sali.

— Czy nie moglibyśmy i tak zatańczyć...

Oczywiście, nie mogli. Nie bez królowej. Niektórzy dworzanie, ci starsi, opuścili już salę, w tym również wyraźnie się ociągający lord Robert. Wiedziałem, że później wróci sam i królowa wpuści go do swych prywatnych pomieszczeń. Potem wyszła też lady Margaret, trzymając się jedną ręką za brzuch.

— Wybaczcie... ta wieprzowina na kolacji... młode damy, dlaczego również nie udacie się na spoczynek?

— Jest bardzo wcześnie — wyszeptała lady Jane.

— Bardzo wcześnie...

— Wcale nie czuję się zmęczona...

— Tak bardzo wcześnie...

Lady Margaret wyszła ze smutnym uśmiechem z komnaty, nadal trzymając się za bolący brzuch. W oczach młodszych dworzan pojawiły się błyski. Zostaną tu i to bez czujnego, inteligentnego spojrzenia lady Margaret. A także spojrzenia królowej.

Nie wiedziałem, jak powinienem się zachować. Z reguły królowa udawała się na spoczynek bardzo późno, jej damy opuszczały komnatę razem z nią, a ja kładłem się spać. Ale lady Jane miała rację. Było za wcześnie na sen. Czy powinienem tu zostać? Nie wiedziałem, co zrobić.

„Dowiedz się, ile tylko zdołasz — powiedziała mi kiedyś królowa. Błazna nikt nie zauważa”.

Zostanę. Chciałem zostać. Tu była lady Cecilia.

— Zagrajmy! — zawołała lady Jane i złapała za dwie kości do gry w złotym kubku.

— Zagram z tobą, śliczna Jane, ale nie o pieniądze — odrzekł lord Thomas Bradley.

— O cóż więc? — zapytała lady Jane, otwierając szeroko oczy w geście udawanej niewinności. — O pocałunek?

— Och, myślę, że o coś więcej.

— O ile więcej?

— Gra bez wysokich stawek nie jest ciekawa. Zagrajmy o wszystko.

Lady Jane uśmiechnęła się do niego nad skrajem wachlarza.

— Wszystko przeciw czemu? Co ty postawisz?

— Moją najlepszą klacz.

— Zgoda, mój lordzie!

Byłem wstrząśnięty. Gdy królowa była obecna, takie rzeczy się nie działy. Królowa Caroline lubiła hazard, świetnie grała w karty i w kości. Nigdy nie oszukiwała. Często obserwowałem Hartaha przy grze i potrafiłem wykryć oszustwo. Jeśli królowa przegrała, wypłacała z uśmiechem stawkę. Nie zabraniała też swym damom flirtów ani pocałunków. Przebywałem jednak na dworze już dostatecznie długo, by wiedzieć, że niezamężna dama musi pozostać dziewicą. Caroline mogła mieć kochanka, ponieważ była wdową i królową, jej damy musiały jednak zachować cnotę do chwili ślubu, by nikt nie miał wątpliwości, kto jest ojcem dziedziców ich mężów. Dlaczego więc lady Jane Sedley żartowała w ten sposób z lordem Thomasem i była gotowa grać z nim o wszystko? Czyżbym błędnie to zrozumiał?

Nie. Utworzyły się też inne pary dworzan i dam dworu, siedzących naprzeciwko siebie przy stolikach. Między nimi stały kubki z kośćmi. Te damy, które nie chciały grać albo nikt ich nie wybrał, skupiały się wokół grających, pełne podniecenia i zazdrości.



Lady Cecilia stała pośrodku sali. Jej twarz wyrażała nerwowość, ale poza tym nie dało się z niej nic wyczytać. Nie należała do dziewcząt, które zadowolilyby się staniem z boku i pozwoliły, by ominęła je rozrywka.

Zazdrość wypełniła mnie nagle z siłą huraganu. Jeśli zagra z którymś z młodych lordów o swą cnotę, a potem uda się z nim do jakiejś pustej komnaty... nie mogłem oddychać. Znowu poczułem w dłoni nóż Hartaha wbijający się w jego ciało. Wiedziałem, że zrobiłbym to samo każdemu, kto zagrałby z Cecilią o jej słodkie, nietknięte ciało. Głupie, irracjonalne, szalone... kim byłem, by nawiedzały mnie takie myśli? A jednak tak było.

Do Cecylii podszedł przystojny dworzanin niskiej rangi, lord Dillingham. U jego pasa lśnił miecz. Uśmiechnął się do dziewczyny, która choć raz nie próbowała flirtować. Podbiegła do mnie i złapała mnie za obie ręce.

— Roger! Zagram z tobą. O srebrną monetę ozdobioną podobizną Jej Miłości! Chodź!

Jane Sedley, siedząca naprzeciwko lorda Thomasa, uniosła wzrok i roześmiała się wzgardliwie. Nim zdążyłem się zorientować, co się dzieje, siedzieliśmy już z lady Cecilią przy jednym z małych stolików. Ludzie otoczyli nas ciasnym kręgiem, pragnąc obejrzeć tę nową atrakcję. Jedna z dam dworu królowej siada do gry z żółtogębym błaznem!

Cecilia spojrzała na mnie bez słowa, spokojna i poważna jak sama lady Margaret. Położyła na stole srebrną monetę.

— Zagramy do pięćdziesięciu punktów — oznajmiła. To była niewiarygodnie wysoka liczba, jedna gra mogła trwać całą noc. Zaczęliśmy. Cały czas była spokojna, prawie nic nie mówiła i patrzyła tylko na kości. Po chwili rozczarowani gapie odeszli do innych stolików. Nie doczekali się flirtu, nieprzystojnych żartów ani niedozwolonego przekraczania barier pozycji społecznej. Byliśmy zbyt nudni.

Oszołomiony tym wszystkim, rzucałem kości i liczyłem punkty, jak mi kazano. O co chodziło Cecilii? Czy, tak jak i ja, po cichu była wstrząśnięta rozwiązłością tych młodych dam i dżentelmenów, i dlatego wybrała ten sposób, by ocalić cnotę? Z pewnością mogła po prostu oznajmić, że nie chce grać, albo nawet udać się na spoczynek. Oprócz lady Margaret zrobiła to też inna dama. Co tu się działo?

Graliśmy. Cecilia ani razu na mnie nie spojrzała. Wtem przy jednym ze stolików rozległ się donośny krzyk. Ktoś wygrał. Albo przegrał. Cecilia nagle pochyliła głowę ku mnie.

— Roger, czy jesteś moim przyjacielem? — zapytała, wykorzystując zasłonę wypełniających salę głosów.

Jak odpowiedzieć na takie pytanie? Błazen królowej nie mógł się przyjaźnić z damą dworu. Pozwoliłem jednak, by serce odpowiedziało za mnie.

— Tak, pani.

— A przyjaciele wyrządzają sobie przysługi, prawda?

— Tak.

Nagle poczułem zimno w żołądku.

— Chciałabym, żebyś mi się przysłużył, Roger.

— Muszę towarzyszyć królowej...

— Nie zawsze. Nie w tej chwili. Proszę... proszę. To bardzo ważne.

Uniosła głowę i zobaczyłem łzy w jej zielonych oczach. Łzy i strach. Poszedłbym wszędzie i zrobiłbym wszystko, by przegnać ten wyraz z jej ślicznej twarzy.

— Wyjdź przez bramę kuchenną. Trafiłeś tu z kuchni, prawda? Królowa znalazła cię tam tej pamiętnej nocy. — Jakieś sekretne wspomnienie wykrzywiło jej twarz w grymasie żałoby. — Pójdź do miasta i zapytaj

o drogę do Matki Chilton. To niedaleko. Powiedz jej, że potrzebny ci posset szlachcianki. Musisz włożyć maskę i zwyczajne ubranie.

Zakręciło mi się w głowie od tych wszystkich instrukcji. Przyszło mi na myśl tylko jedno pytanie:

— Co to jest „posset szlachcianki”?

— Nieważne. To coś, czego potrzebuję. Och, Roger, nie możesz mnie zawieść!

— Masz przecież innych przyjaciół... mężczyzn noszących miecze...

— Nie mogę o tym wspomnieć żadnemu z nich! Och, na słodycz, uśmiechaj się, Sarah na nas patrzy... — Cecilia zaniósła się przenikliwym śmiechem. — Wygrałeś, ty świnió! — zawołała głośno i przesunęła ku mnie srebrną monetę.

Lady Sarah podeszła do nas nieśpiesznie ze złośliwym uśmiechem na ustach.

— A więc błazen wygrał! Całe szczęście, że nie grałaś z nim o to, co Jane, Cecilio, bo ona musi teraz zapłacić.

Lady Jane wstała, przewróciła stolik i tupnęła w podłogę wysokim obcasem. Nawet ja potrafiłem jednak dostrzec, że jej gniew nie jest autentyczny. Czy naprawdę pozwoli, by jej cnotę wygrano w kości? A może lord Thomas wcale nie był pierwszy?

Królowa, pomimo swej reputacji, nie tolerowałaby czegoś takiego. I druga królowa też nie.

Dworzanie otoczyli lady Jane i lorda Thomasa, żartując sprośnie. Lady Sarah zwróciła się w tamtą stronę. Poczułem, że w dłoń wsunięto mi drugą, większą monetę. Potem Cecilia pognała ku pozostałym.

— Jane! — zawołała. — Będę twoją damą sypialnianą!

Moneta, którą trzymałem w ręce, była złota.

Schowałem obie do kieszeni i wymknąłem się z sali przez drzwi do komnaty audiencyjnej. Jeśli nawet Cecilia to zauważyła, nic po sobie nie okazała. Zasuнаłem kotarę swej alkowy i stanąłem wewnątrz, drżąc w mroku. W maleńkiej niszy nie było kominka ani nawet świecy, ale z reguły nie robiłem tu nic poza spaniem, a królowa Caroline dała mi trzy ciepłe koce. Najchętniej schowałbym się pod nimi i nigdy stamtąd nie wyszedł.

Co miałem zrobić?

Nie mogłem znieść myśli, że Cecilia będzie nieszczęśliwa. Czy była chora i posset szlachcianki to jakieś lekarstwo? Ale w takim razie czemu nie wspomniała o tym królowej i nie poprosiła o lekarza? A może to było jakieś zioło dające chwilowe — choć złudne — szczęście? Wiedziałem, że takie rzeczy istnieją. Jednakże ale albo wino miały podobne działanie, jeśli wypilo się ich wystarczająco wiele, a nie kosztowały złotej monety. Nigdy dotąd nawet takiej nie widziałem.

Co miałem robić?

Powoli zdjąłem z siebie zielono-żółty strój błazna. W tej samej chwili uświadomiłem sobie prawdę. Bałem się iść do miasta sam.

Wciągnąłem stare wytarte portki i połatane buty.

Byłem tchórzem.

Potem włożyłem bluzę otrzymaną od Kita Beale'a.

Byłem nim zawsze. Kiedy znosiłem bicie Hartaha, błagałem panią Conyers, by pozwoliła mi zostać, a także gdy królowa Caroline zagroziła mi torturami, jeśli nie spełnię jej woli. Tchórz.

Odciąłem nożem kawałek koca, zrobiłem w nim dwie dziury, by służył jako maska, i wsadziłem go do kieszeni. Na koniec wdziałem płaszcz z kapturem, dar od królowej.

Pójdę do miasta, pomyślałem. Dla Cecylii.

Komnata królowej szybko opustoszała. Wszyscy lordowie i damy poszli odprowadzić lady Jane i lorda Thomasa do łoża. Nadal czułem się zszokowany całą tą sprawą — dama pozwoliła, by grano o nią w kości jak o jakąś dziwkę! Dwór wyglądał zupełnie inaczej niż niejasne wyobrażenia o nim wypełniające moją głowę w czasach, gdy przybyłem tu z Kitem Beale'em. Nawet królowa Caroline... dlaczego udała się na spoczynek tak wcześnie? Kim był skwaszony mężczyzna w czerni i dlaczego rozmowa z nim tak bardzo wzburzyła Jej Miłość?

Przekradłem się przez ciemną komnatę audiencyjną. Sięgnąłem ku klamce i nagle uświadomiłem sobie swój błąd. Pod drzwiami stali zieloni wartownicy. Jeśli błazen królowej odziany w prosty strój przejdzie obok nich, Caroline dowie się o tym za parę chwil. A potem wszyscy w pałacu, który był jedną wielką pajęczyną szpiegów. Jeśli królowa każe mnie przeszukać, znajdzie złotą monetę. I co się wtedy stanie z tajemnicą Cecylii?

Wróciłem do alkowy, przebrałem się w strój błazna, zwinąłem stare ubranie pod płaszczem i znowu ruszyłem w drogę. Tym razem otworzyłem drzwi.

— Dzień dobry, ludzie królowej! — zawołałem, wierzgając obiema nogami jak rozbrykany żrebak.

Jeden z wartowników uśmiechnął się do mnie.

— Jest już wieczór, błaznie.

— Jesteś pewien? — zapytałem ze zdumioną miną. — Nie, jest ósma rano. Słyszałem pianie koguta!

— Chyba masz w uszach pełno wosku.

— W ten sposób dźwięki lepiej wnikają do środka.

Roześmiał się i kopnął mnie żartobliwie, ledwie dotykając butem mojego tyłka. Drugi żołnierz łypnął na mnie z niezadowoleniem.

— Spadaj, błaznie. Nie lubię półgłówków.

— Ach, ale ja jestem tylko ćwierćgłówkiem, więc na pewno mnie lubisz! Przynieść ci śniadanie z kuchni?

— Powiedziałem, spadaj.

Usunąłem się poza zasięg jego nogi, udając strach, po czym wykonałem kilka gestów sugerujących skrajny głód i pomknąłem przed siebie.

Natychmiast zabłądziłem w pałacowym labiryncie. Nie pamiętałem trasy, którą przyprowadził mnie tu Kit Beale, a co więcej, od tygodni nie opuszczałem komnat królowej. Czy nigdy nie wyjeżdżała z pałacu do miasta albo na wieś? A może matka jej nie pozwalała?

Pytając służbę, znalazłem drogę do kuchni. Wiedziałem już, gdzie jestem. W tej części pałacu znajdowała się pralnia, a także komnata dla uczniów. Kolacja dawno już się skończyła i w kuchni zostało tylko kilka posługaczek, szorujących garnki albo przygotowujących posiłki na jutro. Była wśród nich Maggie, ugniatająca bochny chleba, by urosły przez noc.

— Roger!

— Cześć, Maggie.

— Rzeczywiście zostałeś błaznem królowej! Słyszałam o tym. — Jej głos nie w pełni wyrażał aprobatę. Pozostałe dziewczęta gapiły się na nas. — Wracajcie do roboty! — warknęła i posłuchały jej. To ona kierowała tu pracą, tak samo, jak kiedyś kierowała moim życiem. Karmiła mnie, śmiała się razem ze mną i była moją przyjaciółką. Cieszyłem się, że znowu ją widzę, mimo że spoglądała z dezaprobatą na moje żółte lico i dziwaczny strój.

Odgarnęła kosmyk włosów ze spoconej twarzy. W kuchni było bardzo ciepło.

— Co cię tu sprowadza, Roger?

— Muszę wyjść drzwiami, pod które kuchenne barki dowożą żywność z farm — odparłem cichym głosem.

— A po co?

— Muszę i tyle.

— Czy to sprawa królowej?

Ona również mówiła cicho. Jej twarz nic nie wyrażała, a silne ręce nie przestawały ugniatać chleba.

— Tak, ale nie mogę ci powiedzieć nic więcej. Ty też nie możesz nikomu mówić.

Przerwała pracę, ale tylko na moment.

— Och, Roger, w co się znowu wmieszałeś?

Nie odpowiedziałem. Niech sobie myśli, że wykonuję ważną misję na zlecenie królowej. Tym chętniej mi pomoże. Mój umysł wypełniała smutna twarz Cecylii.

— To nie ma nic wspólnego z flotą, prawda? — zapytała Maggie. — Proszę, powiedz, że nie wpakowałeś się w tę kabałę!

Jaką kabałę? Co się działo z flotą? Jak to możliwe, że pomoc kuchenna wiedziała więcej ode mnie o sprawach państwowych? Znałem odpowiedź na to pytanie. Królowa Eleanor starała się, by nic z tego, co dotyczyło wojska, nie trafiało na stronę pałacu należącą do jej córki. A lordowie i damy nie plotkowali o ważnych sprawach, bo ktoś mógłby ich podsłuchać i błędnie zinterpretować słowa. Zwykli słudzy mogli jednak plotkować o wszystkim, pod warunkiem, że robili to szeptem, ponieważ nikogo ze sprawujących władzę nie obchodziło, co mówią czy myślą. Słudzy pałacowi — wszyscy oprócz mnie — nieraz wiedzieli wszystko.

— To nie ma nic wspólnego z flotą — zapewniłem. — Ale potrzebny jest pośpiech. Muszę się też najpierw przebrać, żeby nikt mnie nie zauważył.

Westchnęła.

— Zaczekaj chwilkę. Usiądź i zjedz coś, jakby przygnał cię tu tylko sam głód. — Podeszła do paleniska i naląła mi miskę zupy pozostałej po kolacji dla służby. Była chłodna, a ja już jadłem, ale pochłonałem wszystko, jakbym był bardzo wygłodzony.

Gdy Maggie odesłała pozostałe dziewczęta, poszedłem do spiżarni i przebrałem się w stary strój. Okazał się stanowczo za ciasny. Odkąd zostałem błaznem królowej, przybrałem na wadze. Zakryłem twarz kocem, przesuwając otwory nad oczy i usta. Kiedy wróciłem do kuchni, Maggie wydała z siebie stłumiony dźwięk — coś pomiędzy gwałtownym śmiechem a chrząknięciem irytacji. Postawiłem kaptur tak, żeby zwisał mi nad czołem.

— Tędy — rzekła, potrząsając głową. Wyszliśmy na kolejny mały dziedziniec usytuowany pod gołym niebem, tym razem pełen pustych skrzynek oraz słoików i pachnący starymi warzywami. Chłód przyniósł mi ulgę po pobycie w ciepłej kuchni. Maggie otworzyła drzwi wprawione w mur i do środka napłynęła woń rzeki. Woda płynęła leniwie zaledwie kilka stóp ode mnie, a kamienne schody wiodły ku tyczkom, do których wiązano barki. Teraz jednak nie było tu żadnych łodzi. Między rzeką a murem pałacu biegła wąska ścieżka prowadząca w obie strony.

— Możesz iść w lewo albo w prawo — oznajmiła Maggie.

— Którędy do Matki Chilton?

Złapała mnie za rękę, wciągnęła do środka i zatrzasnęła drzwi.

— Dlaczego chcesz iść do Matki Chilton?



— Nie mogę ci tego powiedzieć — odparłem z tak wielką godnością, na jaką mogłem się zdobyć, to znaczy nie za dużą.

— Królowa nie chciałaby niczego od tej czarownicy!

— Matka Chilton jest czarownicą?

— Tak. Nie. Nie, oczywiście nie jest. Nie ma żadnych czarownic. Jest uzdrowicielką. Ale, Roger... co znowu zrobiłeś?

— Ja? Nic.

— Jeśli nie ty, to kto?

Spojrzenie jej szarych oczu było bardzo intensywne. Nie odpowiedziałem.

— Pójdź w lewo — odezwała się wreszcie. — Jak dojdiesz do trzeciego zaułka, skręć w prawo. Szukaj namiotu z dwoma czarnymi łabędziami narysowanymi blisko podstawy. Będziesz potrzebował lampy.

— Dziękuję, Maggie — rzekłem pokornie, gdy mi ją dała. — Nie poradziłbym z tym sobie bez ciebie.

— Myślę, że w ogóle nie powinieneś tego robić. Zaczekam tu, żeby cię wpuścić. Tylko się pośpiesz!

— Oczywiście.

Jak mogłem jej to obiecać? Nie wiedziałem, ile czasu będę potrzebował. Wyszedłem z zamku, unosząc lampę.

Jesienią Kit Beale powiedział mi, że nocą miasto jest prawie opustoszałe, bo właściciele sklepów i straganów wracają do rodzinnych wiosek. Teraz, zimną wiosną, nie widziało się tu nikogo. Namioty kiepsko chroniły przed chłodem. W kilku z nich paliły się jednak lampy i słyszałem też śmiech dobiegający z pomieszczenia, przypominającego piwiarnię. Nie chciałem jednak znaleźć się tu późną nocą, w towarzystwie ludzi chodzących po ulicach o takiej porze. Kiedy gnałem przed siebie, zęby mi dzwoniły, i to nie z zimna. Musiałem się schylać, by zauważyć dwa czarne

łabędzie, przedstawione u samej podstawy namiotu. To był prosty rysunek, udający dzieło psotnego dziecka. Cecilia beztriosko założyła, że mogę bez trudu spełnić jej życzenia, ponieważ była przyzwyczajona, że wszyscy je spełniają, ale bez Maggie nie miałbym najmniejszych szans znaleźć tego miejsca.

U wejścia wisiał sznurek od dzwonka. Pociągnąłem za niego. Czekałem kilka minut na przenikliwym chłodzie, aż wreszcie poła namiotu się odsunęła.

— No to włącz — zabrzmiał czyjś głos.

Wszedłem do środka.

W piecyku stojącym pośrodku namiotu palił się jasny ogień. Dym uchodził na zewnątrz przez dziurę w suficie, a ściany lśniły w migotliwym blasku płomieni. Pod ścianami stały dziesiątki wbitych w ziemię tyczek. Z wbitych w nie wielkich gwoździ zwisały rozmaite, powiązane sznurkiem przedmioty. Butelki, rośliny, pióra, skóry, kawałki drewna, wypełnione czymś płócienne torby wszelkich możliwych rozmiarów oraz inne rzeczy, których nazw nie znałem. Poza tyczkami było tu tylko miejsce na piecyk, siennik z kocami oraz stół z jednym krzesłem. Nie siedziała na nim starucha, jaką spodziewałem się ujrzeć, lecz kobieta, która nie była ani młoda, ani stara, ani gruba, ani chuda, ani ładna, ani brzydka. Miała na sobie szarą suknię oraz czepek tego samego koloru. Nie przyciągnęłaby niczyjego spojrzenia. Szczerze mówiąc, odnosiłem wrażenie, że właściwie w ogóle jej nie widzę. Mimo to była całkiem materialna. Siedziała na prostym krześle, a jej blada twarz błyszczała w słabym świetle.

— Czego chcesz? — zapytała dość uprzejmym tonem.

— Szukam Matki Chilton.

— Ja jestem Matka Chilton.

— Naprawdę?

— Tak — potwierdziła z bladym uśmiechem. — Czego pragniesz, chłopcze? Zdejmij maskę.

— Nie mogę. Przykro mi — dodałem bez sensu.

Wstała i podeszła do mnie. Miała teraz piecyk za plecami i jej twarz skryła się w cieniu. Złapała mnie mocno za podbródek, obróciła go w stronę ognia i spojrzała mi w oczy przez dziury w kocu. Jej tęczyki były zupełnie bezbarwne, miały jednolity połysk. Wyglądało to, jakby odbijały całe światło, nic w ogóle nie pochłaniając. Wciągnęła nagle powietrze w płuca.

— Kim jesteś?

— Już mówiłem, że nie mogę...

— Czy przychodzisz z Wrzosowiska Duszorośli?

To pytanie kompletnie mnie zaskoczyło. Wrzosowisko Duszorośli? Maggie skarciła mnie za samo wspomnienie o nim. Tam umarła moja matka.

— Czemu... — wydyszałem. — Czemu o nie pytasz?

— To znaczy, że są gotowi?

— Gotowi do czego? Pani, przyszedłem po posset szlachcianki!

Po długim milczeniu parsknęła śmiechem, gorzkim i wymuszonym.

— Rozumiem. Posset szlachcianki. — Puściła mój podbródek i odsunęła się. — Zmiataj stąd!

— Mogę zapłacić!

Grzebałem rozpaczliwie w kieszeniach w poszukiwaniu złotej monety. Wreszcie ją znalazłem i podsunąłem kobiecie.

— Posset szlachcianki — powtórzyła. — A ja cię zapytałam... no cóż, czemu by nie? W porządku. Czasami nikt z nas nie wie, kim jest. Albo

gdzie się znajduje. Usiądź.

Zrobiłem to, bojąc się okazać nieposłuszeństwo. Zaczęła krążyć szybko po namiocie, wydając z toreb różne składniki i ustawiając na stole buteleczki oraz miseczki. Zasłaniała przede mną ciało swe czynności. Po chwili poczułem ostry zapach, jakby jabłek, zmieszany z czymś jeszcze. Wręczyła mi zalakowaną buteleczkę.

— Każ jej wypić wszystko naraz. Przez cały dzień nie może nic jeść. Nie poczuje się od tego źle. Chyba nie muszę dodawać, że nie powinna z nikim spać co najmniej przez tydzień, tak?

Poczułem, że uszy zrobiły mi się ciepłe. Moja lady Cecilia nie sypiała z mężczyznami. Z dumą odmówiła uczestnictwa w dworskiej grze o łożo. Matka Chilton popatrzyła na mnie z rozbawieniem i wręczyła mi buteleczkę. Wyczuwałem jednak w jej wesołości skrywaną ciekawość i opuściłem jej namiot tak szybko, jak tylko zdołałem.

Maggie wpuściła mnie z powrotem i zamknęła za sobą drzwi.

— Dostałeś to, czego chciałeś?

— Tak.

— To dobrze. Chyba. Roger, uważaj na siebie. Nastaly dziwne czasy.

Sprawiała wrażenie mniej złej na mnie i zniecierpliwionej niż przedtem. Cieszyła się, że wróciłem bezpiecznie. To rozpałiło w moim sercu ciepły ogienek i odważyłem się ją zapytać:

— Dlaczego dziwne, Maggie?

— Czy nie powinienes o tym wiedzieć lepiej ode mnie? Ja dowiaduję się wszystkiego tylko z plotek albo od brata, który jest żołnierzem w Niebieskich. Ty towarzyszysz królowej.

— Siedzę u jej stóp — zacząłem z namysłem. — Żartuję ze spraw, których nie rozumiem, z rozpaczliwą nadzieją, że moje żarty okażą się celne chociaż w niewielkim stopniu. I choć trochę śmieszne. Maluję twarz

na żółto. Wykonuję bezsensowne ruchy, na przykład tańczę tyłem i udaję, że się przewracam. I cały czas się boję, że zrobię coś niewłaściwego, co spowoduje niezadowolenie królowej. Cały czas się boję, Maggie. Czasami chciałbym wrócić tutaj, nosić wodę do pralni i spać pod stołem w kuchni.

Ujęła mnie za rękę. Jej dłoń była ciepła i szorstka od pracy.

— Jesteśmy w tym samym wieku, a czasami wydaje mi się, że jestem znacznie starsza od ciebie.

Nie myślałaby tak, gdyby wiedziała, co widziałem i co uczyniłem. Katastrofa „Frances Ormund”, nóż wbijający się w ciało Hartaha... Ufałem Maggie, gdy chodziło o terażniejszość, ale nie śmiałem opowiedzieć jej o swej przeszłości.

— Muszę się dowiedzieć jak najwięcej, by mieć szansę przetrwać, a przecież nie wiem nic — rzekłem jej. — Ty dowiadujesz się w kuchni znacznie więcej od służących, którzy podają posiłki, czy flisaków przybywających spoza zamku, niż ja mogę usłyszeć od dworzan. Przy królowej trzymają języki za zębami, a ja zawsze jestem blisko niej. Powiedz mi, proszę, dlaczego czasy są dziwne?

— W pałacu są dwa rywalizujące ze sobą dwory — wyjaśniła Maggie cichym głosem. — To nie może trwać wiecznie. Krążą szeptaki... No cóż, szeptaki zawsze krążą, ale brat mówi mi, że plotki stają się coraz częstsze zarówno w armii, jak i w wioskach. Te stare plotki.

Przypomniałem sobie słowa Cat Starling. „Królowa to dziwka” — oznajmiła mi prosto z mostu.

— Dlaczego nasiliły się akurat teraz? Z powodu lorda Roberta?

— Nie. No, może w niewielkim stopniu. Rozumiesz, księcia małżonka Willa wszyscy kochali. Był bardzo hojny dla biednych i często wędrował po kraju, by słuchać, co mówią ludzie. Kiedy umarł, nie pracowałam

jeszcze na dworze, ale pamiętam, że wieśniacy szeptali, że królowa go otruła.

— Otruła? Własnego męża? Nie wierzę w to. Nie zagrażał jej panowaniu.

Nagle sobie uświadomiłem, że nasze słowa są zdradą. Jeśli ktoś je podsłucha... Byliśmy jednak tylko dwojgiem młodych sług na zimnym, bezludnym dziedzińcu kuchennym, pełnym skrzynek po warzywach i wiader na pomyje. Nie było tu nikogo poza nami.

— Niektórzy mówią, że już wtedy zadawała się z lordem Robertem i chciała się pozbyć męża — wyjaśniła Maggie.

— A czemu teraz go nie poślubi?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Może nie chce się dzielić władzą, nawet z księciem małżonkiem. Niektórzy powiadają, że planuje po śmierci starej królowej zawrzeć korzystniejszy sojusz małżeński z jakimś cudzoziemskim księciem. Jeszcze inni twierdzą... — Uniosła lampę, rozejrzała się trwożnie wokół i przysunęła usta do mojego ucha. — ...że jest czarownicą.

Wszystko ułożyło się w całość w mojej głowie jak elementy układanki. Królowa była gotowa uwierzyć, że potrafię przechodzić na drugą stronę, pomimo drwiącego niedowierzania lorda Roberta. Maggie się przeraziła, kiedy zapytałem w kuchni o Wrzosowisko Duszorośli. Pani Conyers ostrzegła mnie, bym nie przyciągał uwagi królowej... Wiedziałem jednak, że czarownice nie istnieją. Byłem tego absolutnie pewien. Przechodziłem do krainy Umarłych i rozmawiałem z jego mieszkańcami, w tym również ze starymi kobietami spalonymi za czary. Wcale nie były winne. Ale prości ludzie wierzyli w czarownice i bali się ich panicznie, a armia składała się z prostych ludzi. Nikt nie był bardziej przesądny od żołnierzy. Widziałem to

nieraz na jarmarkach. Zdawałem też sobie sprawę, że oskarżenie o czary nie musi mieć wiele wspólnego z prawdą, by ludzie w nie uwierzyli.

— Agenci starej królowej rozpuszczają pogłoski, że królowa Caroline jest czarownicą — rzekłem z namysłem. — Mam rację? Wśród żołnierzy i wieśniaków. Królowa Eleanor roznieciła ogień pomówień i strachu, by nie oddać korony córce.

— Skąd mam wiedzieć? — wyszeptwała Maggie. — Ale armia trzyma się blisko starej królowej jak pióra na kurze.

Teraz rozumiałem, dlaczego królową Caroline odwiedza tak niewielu suplikantów. Cóż za nienawiść i intrygi między matką a dzieckiem! Moja matka w lawendowej sukni, tak bardzo czuła i kochająca w nielicznych wspomnieniach, jakie o niej zachowałem...

— Maggie, co się kryje na Wrzosowisku Duszorośli?

Choć powiedziała mi już tak wiele, w pewne miejsca nie chciała jednak się zapuszczać. Popatrzyła na mnie bez słowa. Nagle się zorientowałem, że jej dłoń trzymająca moją zrobiła się zimna jak lód, a zęby zaczęły dzwonić.

— Okropnie zmarzłaś! Przepraszam, wracajmy do kuchni. Nie wiem, jak ci dziękować za pomoc. — Poprowadziłem ją do środka. — Jeszcze jedno. Co to jest posset szlachcianki?

Stała jak wryta przed zamkniętymi drzwiami kuchni i odrzuciła gniewnie moją dłoń.

— Posset szlachcianki! — wrzasnęła. Nagle przestała się bać podsłuchujących. — Czy po to poszedłeś do Matki Chilton? Po posset szlachcianki?

— Nie...

— Dla kogo? Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię! Dla kogo?

— Nie mogę tego powiedzieć.

— Pewnie, że nie możesz! I pomyśleć, że ci ufałam! Myślałam nawet... posset szlachcianki! Jesteś wstrętnym zwierzęciem!

— Maggie, nie...

— Nie mów mi, co mam robić! I zejź mi z oczu! Posset szlachcianki!

Otworzyła gwałtownie drzwi i wpadła do środka, zatraskując je za nami. Nim zdążyła uciec, złapałem ją za ramię.

— Do czego on służy? Do czego?

— Nie udawaj, że tego nie wiesz! Kto to był? Czy przyprowadzili ci jakąś dziwkę, ty głupio uwierzyłeś, że jest czysta, a potem się nad nią ulitowałeś? Czy tylko ty jeden ją miałeś? I pomyśleć, że ci pomogłam!

Wyrwała się z mojego uścisku i wybiegła z kuchni, zostawiając na stole nieugnieciony chleb.

Wreszcie zrozumiałem.

Lady Cecilia miała mszawicę. Spała z kimś i zaraziła się od niego. Mężczyźni przenosili chorobę, ale sami nie chorowali. Tylko kobiety. Nieleczona mszawica mogła nawet uczynić je bezpłodnymi. Sprośne żarty, które słyszałem na jarmarkach, powiedziały mi, że dziewczęta panicznie się boją tej choroby, powodującej zaczerwienienie i świąd ich...

Cecilia. Moja promienna pani.

Kim on był?

W spiżarni przebrałem się z powrotem w dworski strój. Ukradłem z kuchni lampę, zapaliłem ją i ruszyłem z powrotem przez labirynt dziedzińców, niemal ich nie zauważając. Płonęły we mnie gniew i nienawiść. Do niego, który ją wykorzystał. I do niej, która potraktowała mnie jak głupca, którym przecież byłem. Cały ten czas adorowałem ją, wielbiłem, byłem gotowy oddać życie za jeden jej pocałunek, a ona sypiała z jakimś dworzaniem, być może nawet pozwoliła, by wygrał ją w kości, jak lady Jane...



Nie. Prawda objawiła mi się tak nagle, że stanąłem jak wryty przy pustym po zimie klombie. Nogi wrosły mi w ziemię niczym drzewu, którego nagie konary miałem nad głową. To nie był jakiś przypadkowy lord Tom albo sir Harry. Gdyby tak było, Cecilia zrobiłaby to, co inne damy w podobnej sytuacji, cokolwiek mogło to być. To był ktoś, kogo imienia nie mogła wymienić. Książę.

Zobaczyłem oczyma duszy, jak owego dnia, gdy przybyłem na dwór, uciekła do Emmy Cartwright, by ukryć się w swoim pokoju przed księciem Rupertem. Myślałem wtedy, że naprawdę pragnie się przed nim schować, ale jeszcze jej nie znałem. Cecilia pragnęła tylko podziwu, rozpieszczania, miłości. Prowokowała go tak samo jak mnie. Ale książę Rupert z nią spał i inne damy o tym wiedziały. („Cecilio, w życiu są jeszcze inne sprawy oprócz tańca”. „Ona chyba o tym wie!” i Zielone drewno płonie jaśniej niż żółte” — książę ubierał się na zielono, by sprawić przyjemność siostrze). Emma Cartwright opuściła dwór wkrótce po moim przybyciu. Czy odesłano ją, bo za dużo wiedziała? Czy dobra pani Cartwright wiedziała, że książę Rupert jest nosicielem mszawicy i z pewnością zaraził nową żonę? Ta wiadomość mogłaby doprowadzić do odwołania ślubu z księżniczką Isabelle i zagrozić sojuszowi Reginokracji z jej bogatym krajem. Nic dziwnego, że Cecilia była bliska hysterii. Zaraziła się mszawicą od księcia, królewskie małżeństwo było zagrożone i mogła paść ofiarą gniewu dwóch królowych.

Właśnie wtedy, ciemną i zimną wiosenną nocą, uświadomiłem sobie, jak naprawdę wygląda życie na dworze. Nadal pozostawałem głupcem, ale teraz już znałem prawdę. Nic nie było takie, jakie się wydawało. Wszystko było na sprzedaż i wszystko osądzano na podstawie tego, jak wpływa na sieć władzy.

Ta nowo zdobyta wiedza skłoniła mnie do ostrożności. Zgasilem lampę. Dotarłem po ciemku do klombu, wyjąłem z kieszeni zawiniątko z buteleczką od Matki Chilton i zakopałem je. Łatwo było ułożyć zielone ozdobne kamienie tak, by zasłaniały świeżo poruszoną ziemię.

Stałem tam przez długi czas, pogrążony w myślach, aż wreszcie palce u moich stóp zeszywniały, a włoski w nosie zamarzły. Przeszedłem obok wartowników dzięki żartowi i ruszyłem przez pustą komnatę audiencyjną do swej alkowy. Odsunąłem zasłonę.

W mroku stała królowa. Czekwała na mnie.

— Gdzie byłeś, Roger? — zapytała.

# 15

— Gdzie byłeś, Roger? — powtórzyła królowa, gdy nadal jej nie odpowiadałem. Nie mogłem odpowiedzieć.

W świetle lampy z kuchni, zwisającej z mojej nagle obezwładnionej strachem ręki, ledwie widziałem jej twarz. Blask padał głównie na zielony atłas sukni.

— Po... poszedłem do kuchni. Byłem głodny!

— Tak powiedziałaś wartownikom. I co jeszcze? Nie, chwileczkę, nie tutaj. Chodź ze mną.

Powlokłem się za nią, zastanawiając się, czy prowadzi mnie do jakiegoś lochu, do jakichś narzędzi tortur, które...

Królowa powiodła mnie jednak do swej prywatnej komnaty, w której po raz pierwszy uczestniczyłem w jej audiencji. Drzwi do sypialni jak zwykle były zamknięte. W prywatnej komnacie, przy jasno palącym się na kominku ogniu, na zdobnym stoliku stały kielichy z winem.

Królowa zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Miała wyrozumiałą minę, a jej oczy lśniły ciepło. Uśmiechnęła się do mnie.

— A teraz, Roger, powiedz mi, gdzie byłeś i z kim rozmawiałeś. Nie pomijaj żadnego szczegółu.

Ile wiedziała? Musiałem chronić Maggie i Cecilię... Dlaczego Cecilię? Dlatego, że ciągle ją kochałem. Nie mógłbym wydać jej w ręce królowej, tak samo, jak nie mógłbym przybić żywego, szamoczącego się motyla szpilką do deski.

— Byłem głodny — powtórzyłem. — Poszedłem do kuchni coś zjeść. Mam tam przyjaciółkę, pomoc kuchenną i... leżeliśmy ze sobą. Na dziedzińcu, gdzie barki przywożą warzywa do pałacu.

Królowa stała w miejscu, z którego widziała i mnie, i lorda Roberta. Kącikiem oka zauważyłem, że mężczyzna skinął leciutko głową. Jej — czy może jego — sieć szpiegów sięgała dalej, niż mi się zdawało. Gdyby któryś z nich podsłuchał Maggie i mnie...

Królowa przyjrzała mi się z uwagą. Z jej pięknej, bezlitosnej twarzy nie zniknął miły uśmiech.

— Wierzę ci — stwierdziła wreszcie. — Wyrosłeś i nabrałeś ciała, odkąd wstąpiłeś na moją służbę, Roger. Potrafię uwierzyć, że spałeś ze służącą. Mimo to, gdy już udam się na spoczynek, lord Robert cię przeszuka, by się upewnić, że nie przynosisz nikomu żadnych wiadomości. Już nigdy nie opuszczaj moich komnat bez pozwolenia. Zrozumiano?

— Tak, Wasza Miłość.

Zalała mnie ulga tak potężna, że przez pełną wstydu chwilę bałem się, że się rozpłaczę.

Królowa podeszła nagle do mnie, ujęła moje dłonie i wpatrzyła mi się głęboko w oczy.

— W najbliższych dniach będziesz mi potrzebny, Roger — oznajmiła cichym, łagodnym tonem. — Nikt inny nie potrafi zrobić dla mnie tego co ty. Twój dar czyni cię bezcennym skarbem. Reginokracji grozi straszliwe niebezpieczeństwo. Jestem zdeterminowana ją obronić i pewnego dnia przekazać córce nietkniętą. Zrobię wszystko, co będę musiała, by ocalić ojczyznę. Wierzysz w to?

Wierzyłem. Jej ciemne oczy wpatrywały się we mnie bardzo szczerze... Królowa była piękna, ale wiedziałem, że to nie na jej urodę reaguję. Tę część mojego umysłu wypełniała Cecilia. Caroline była też zdolną aktorką,

ale nie sędę, by w owej chwili grała. Naprawdę się bała o przyszłość Reginokracji i była gotowa uczynić wszystko, co konieczne, by ją ocalić. Obdarłaby mnie ze skóry, gdyby to jej pomogło osiągnąć cel. Gdyby musiała, potraktowałaby tak nawet lorda Roberta... Czy on o tym wiedział?

W jedną noc mój umysł pokonał zbyt daleką drogę. Byłem oszołomiony, przerażony, zmęczony. Świat nie wyglądał tak, jak sobie wyobrażałem.

— Tak, Wasza Miłość — odparłem. — Wierzę, że leży ci na sercu dobro Reginokracji.

Puściła moje dłonie.

— Znakomicie. Robinie, daj mu trochę wina, przeszukaj go, a potem odeślij do łóżka. Chłopak jest bardzo zmęczony.

Lord Robert wstał. Królowa poszła do sypialni, ale zatrzymała się jeszcze w drzwiach i obejrzała na mnie przez ramię.

— Z tą dziewczyną z kuchni... czy to był twój pierwszy raz?

— Tak — odpowiedziałem. Uśmiechnęła się łobuzersko i zamknęła za sobą drzwi.

Lord Robert mnie przeszukał — szybko, brutalnie i bardzo dokładnie. W pewnej chwili uświadomiłem sobie, że on — lord Reginokracji, doradca i kochanek królowej — boi się mnie z powodu tego, co Caroline zwała „moim darem”. Ona się mnie nie bała, ale on tak.

Nie, świat z pewnością nie wyglądał tak, jak sobie wyobrażałem.

Lord Robert niczego przy mnie nie znalazł.

— Idź spać — warknął. — I już nigdy więcej tego nie rób.

Następnego dnia po południu Cecilia przyszła do zewnętrznej komnaty razem z innymi damami dworu. Królowa Caroline spędziła rano w wewnętrznej komnacie razem z lordem Robertem i zjawiającymi się

kolejno kurierami. Wszyscy oni sprawiali wrażenie, że pędzili, co koń wyskoczy, by dotrzeć do pałacu. Niektórzy nosili dziwne ubrania i nikt nie wiedział, skąd przybyli. Wczesnym rankiem Caroline rozesłała wiadomość, że damy nie muszą dziś jej towarzyszyć, nie było ich więc tam z nią. Mnie również nie. Cały poranek siedziałem sam w wielkiej komnacie audiencyjnej albo opustoszałej komnacie zewnętrznej, gapiąc się przez otwarte okno na dziedziniec. Nocą zimno w końcu ustąpiło i nadeszła wiosna. Ciepłe powietrze i słodkie zapachy nie wzruszały mnie.

Głód również nie. Nie śmiałem się wykraść do kuchni po coś do jedzenia — nie po ostrzeżeniu królowej — i nic mi też nie przyniesiono. Żołądek miałem skurczony i burczało mi w brzuchu. Królowej zaniesiono śniadanie i obiad. Wonie pieczystego i gorącej zupy sprawiły, że usta wypełniła mi ślina.

Podczas tych długich godzin spędzonych przy oknie coś sobie przysiągłem. Do tej pory w ogóle mnie nie interesowało dworskie życie. Teraz to się zmieni. Nawet jeśli nie mogłem sam wybrać swego losu, nie napotkam go nieświadomy. Będę obserwował, zadawał pytania i uczył się.

Wreszcie, gdy popołudnie już się kończyło, a na dziedziniec padły długie cienie, do komnaty wpadł tłum dam oraz towarzyszących im dworzan. Wszyscy gadali głośno, zmęczeni, ale szczęśliwi.

— Dojechaliśmy aż do gór, błaznie! — zawołała do mnie Cecilia. — To była cudowna wycieczka!

— Tak, pani — odparłem. Uśmiechała się, jej skóra była ciepła od słońca, a włosy nadal wilgotne po kąpieli. Nigdy nie wyglądała piękniej. Histeria gorzała w jej zielonych oczach niczym gorączka. Zaburczało mi w brzuchu.

— Teraz potrzebna nam muzyka! Muzyka i tańce!

Inni podjęli ten okrzyk:

— Muzyka! Tańce! Muzyka!

Caroline dopiero niedawno pozwoliła urządzać tańce pod jej nieobecność. Damy i dworzanie byli młodzi, pełni życia i nie obchodziło ich, czym zajmowała się królowa przez cały dzień, choć byli gotowi jej usługiwać, gdy tylko tego zażąda. Czy naprawdę byli tak beztroscy, lekkomyślni i krótkowzroczni, jak się zdawało? Wszyscy na dworze byli bardzo zdolnymi aktorami. Wszyscy oprócz mnie.

Wysłano po muzyków.

— Roger... — odezwała się do mnie Cecilia, wykorzystując zagłuszający jej słowa rwetes.

— Zakopałem go pod drzewem na dziedzińcu z fontanną z rybami, od strony fontanny. Jeśli urządzisz zabawę w chowanego albo w szukanie monety, znajdziesz go z łatwością. Wypij wszystko na raz, nic nie jedz przez cały dzień i nie śpij... — Głos mi się załamał. — ...z nikim przez tydzień.

— Och, dziękuję ci...

— Czy to był książę Rupert?

Zesztywniała nagle, a potem wstała i uciekła, zamiatając ałasowymi spódnicami. Ale po chwili wróciła.

— Nie myśl o mnie źle — wyszeptała, przysuwając usta tak blisko do mojego ucha, że czułem zapach wonnego mydła na jej wilgotnych włosach. — Nie mogłabym tego znieść.

Potem znowu się oddaliła.

Moja pierś zapadła się nagle. Musiałem się zmusić do oddychania. Dlaczego lady Cecilie miałoby obchodzić, co o niej sądzi błazen królowej?

Przyglądałem się jej, gdy wykonywała powolne ruchy dworskiego tańca. Jej niespokojny urok musiał się ograniczać do jednego kroku w przód, dwóch w tył i lekkiego pochylenia głowy. Nie tak, nie tak. To nie

był dla niej odpowiedni taniec ani odpowiedni partner. Kontrast między rozbawionymi dworzanami a złowrogą nieobecnością królowej również budził niepokój.

Gdy zapadł mrok, drzwi prywatnej komnaty się otworzyły i wyszła z nich królowa. Tancerze i muzycy natychmiast pokłonili się nisko. Caroline omiotła ich posępnym spojrzeniem. Miała na sobie zieloną suknię, tak ciemną, że wydawała się niemal czarna. W kontraście z nią skóra królowej była biała jak kreda. Caroline sprawiała przez to wrażenie starszej, niepodobnej do kobiety, która wypytywała mnie o północy, nie wspominając już o tej, która wtargnęła ze swym dworem do kuchni owego dnia, gdy mnie tam znalazła. Uświadomiłem sobie, że nigdy więcej nie widziałem, by z takim zapamiętaniem oddawała się zabawie ze swymi dworzanami.

Czy przyszła wówczas do kuchni tylko po mnie?

— Roger? — odezwała się. — Chodź, błaznie.

Wstałem i ruszyłem w stronę prywatnej komnaty, przechodząc obok szeregów klęczących dworzan.

— Możecie wznowić tańce — oznajmiła królowa Caroline. Potem uśmiechnęła się do wszystkich i zamknęła za nami drzwi.

— Przyszło mi na myśl, że na pewno od wczoraj nie miałeś nic w ustach, Roger — rzekła, zwracając się w moją stronę. — Siadaj i zjedz coś.

Znowu to samo: dobroć u kobiety, która groziła mi torturami, pamięć o drobiazgach wśród wielkich spraw zaprzatających jej uwagę. Lord Robert siedział u drugiego końca stołu, nakrytego teraz wyszywanym zieloną nicią obrusem, opadającym aż do samej podłogi. Miał minę równie smętną jak królowa. Oplatał luźno palcami nóżkę kielicha z winem. Kiedy



go uniósł do ust, zielone klejnoty w jego pierścieniach zalśniły w blasku ognia.

Wypełniłem talerz — w końcu to był rozkaz królowej — mięsem, owocami, chlebem i serem. Pożarłem wszystko. Wypiłem też dwa kielichy wina. Caroline i lord Robert rozmawiali tylko o trywialnych sprawach: zmianie pogody, podkowie zgubionej przez jego konia, przeziębieniu lady Margaret i ulubionej suce, która wkrótce miała się oszczeniść w psiarni. Ogień palił się słabo i w komnacie panował półmrok. Zjadłem ciężki posiłek, a moje myśli miały jeszcze większy ciężar, poczułem więc senność i oklapłem na krzesło.

— Roger, możesz już iść... — zaczęła Caroline.

Wtem drzwi otworzyły się z siłą huraganu i do środka wpadli żołnierze.

Niebiescy żołnierze, nie Zieloni ze straży królowej. Mieli niebieskie rękawy wystające spod zbroi, niebieskie wstążki na hełmach i herby na tarczach... a krótkie miecze wyciągnięte były z pochew. Nim się zorientowałem, że mam zamiar się poruszyć, zsunąłem się z krzesła i schowałem pod stołem, gdzie zasłaniał mnie długi obrus.

Lord Robert zerwał się na nogi, sięgając po miecz. Powstrzymał go jednak kobiecy głos.

— Caroline.

Znałem ten lodowaty ton, choć słyszałem go dotąd tylko raz. Stara królowa. Drzwi się zatrzasnęły. Spod obrusa widziałem tylko obrąbek jej niebieskiej sukni oraz ciężkie buciory żołnierzy. Poczułem, że lord Robert się zawahał. Potem okrążył stół, zatrzymał się między dwiema królowymi i uklęknął.

— Wasza Wysokość — rzekł, zwracając się do niej tytułem należnym członkom rodziny królewskiej, nie panującej monarchini.

Zignorowała go.

— Caroline, co ty zrobiłaś? — zapytała.

— Nic — odparła głosem, w którym pobrzmiwało równie wiele lodu i znacznie więcej gniewu.

— Myślę, że coś — sprzeciwiła się królowa Eleanor. — Twój kurier odwiedził port w zatoce Carlyle, a z zachodu przybyli inni dziwni posłańcy. Natomiast twój kochanek... — Nie sposób opisać pogardy pobrzmiwającej w tych trzech słowach. — ...odwiedził samego lorda wielkiego admirała.

— Chcę wiedzieć, co się dzieje w mojej Reginokracji — odparła królowa Caroline.

— To jest moja Reginokracja, Caroline. Nie jesteś godna, by nią władać, a nawet gdybyś objęła rządy, nie potrafiłabyś ich utrzymać.

— Koronowano mnie przed ponad rokiem!

— Bez mojej obecności i bez Korony Glorii to był tylko pozór i świetnie o tym wiesz. Oddałabym ci władzę, gdybym wierzyła, że potrafisz utrzymać tron, ale przecież tak nie jest.

— Dlatego, że zwróciłaś armię przeciwko mnie. Wiedziałaś, że mogę sprawować rządy, ale chciałaś zachować całą władzę dla siebie!

— I zachowam ją, dla dobra Reginokracji. Nie dopuszczę do wojny domowej. A ty trzymaj swoje paluszki, wszystkie jedenaście, z dala od mojej floty. Zrozumiano?

— Matko, czy zamierzasz rozkazać armii i nowej flocie zaatakować Benile? — zapytała ze spokojem młoda królowa. — Wciągnąć Reginokrację w wojnę?

Zapadła martwa cisza.

Słyszałem o Benilach, tylko gdzie? Nagle sobie przypomniałem. Głos Gacka w krainie Umarłych, gdy opowiadał o „Frances Ormund”: „Złoto z Benili i tkaniny z... zapomniałem”. Czy wśród towarów przewożonych

przez kapitana Jamesa Conyersa były też informacje? Może to wcale nie był przypadek, że Niebiescy starej królowej dopadli rozbójników Hartaha. Żołnierze czekali w tym odludnym miejscu na coś, co się nie wydarzyło, ponieważ ludzie mojego wujka zniszczyli statek i kapitan Conyers utonął.

— Caroline, jeśli będziesz się wtrącała w sprawy, które cię nie dotyczą, pożałujesz tego — oznajmiła królowa Eleanor.

— A jeśli wciągniesz Reginokrację w wojnę, której nie mamy szans wygrać, ty tego pożałujesz.

Zastanawiałem się, siedząc pod stołem, która z dwóch kobiet potrafi silniej nienawidzić.

— Trzymaj się swojej muzyki, młodego, szalonego dworu i bezsilnego kochanka, córko — rozkazała stara królowa. — Od dzisiaj nie będziesz przyjmować żadnych gości poza nimi. Ustawię wartowników pod drzwiami twojej komnaty audiencyjnej. Ponieważ zamknięcie cię w pałacu nie wystarczyło, wprowadzę też ograniczenia dotyczące gości, których wolno ci przyjmować. Rzekłam.

Odwróciła się, zamiatając niebieską suknią. Drzwi zatrzasnęły się za plecami jej żołnierzy.

— Nie... — zaczęła młoda królowa.

— Cicho, Caro — odezwał się lord Robert głosem, który uciszyłby trzęsienie ziemi. — Najpierw musisz odesłać swego błazna, zanim usłyszysz jeszcze więcej. Roger, idź.

Wylazłem spod stołu, podobnie jak wiele razy robiłem to w namiocie Hartaha podczas jarmarków. I podobnie jak wtedy, posiadałem informacje, których nie pragnąłem. Podjąłem jednak szybką decyzję.

— Wasza Miłość...

— Kazałem ci odejść! — zagrzmiał lord Robert.

— Wasza Miłość, wiem coś więcej o kapitanie Conyersie, „Frances Ormund” i Benilach. Dowiedziałem się tego od marynarza z załogi i od wdowy po kapitanie.

Gapiała się na mnie z pobielającą twarzą, nadal wykrzywiając usta z gniewu na matkę. Klęknąłem przed nią i powiedziałem, że Gacek mówił, iż na pokładzie był „ważniak”, który „miał na piersi medale”, a pani Conyers wspomniała o opłacie za przewóz od szlachcica, sugerując, że suma była wystarczająco duża, by zmienić położenie finansowe jej męża. Co więcej, w tym odległym zakątku Reginokracji już wcześniej pojawił się liczny oddział żołnierzy królowej Eleanor.

— Roger — odezwała się, kiedy skończyłem.

— Wasza Miłość?

— Wstań i spójrz na mnie.

Stojący po drugiej stronie komnaty lord Robert przypatrywał się nam z uwagą.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że przed chwilą się przyznałeś do uczestnictwa w celowym rozbiciu statku?

— Tak, Wasza Miłość.

— I że karą za taką zbrodnię jest śmierć przez powieszenie?

— Tak, Wasza Miłość.

Przypomniałem sobie jasnowłosego młodzieńca, który wierzgał nogami w powietrzu, gdy pętla zaciskała się na jego szyi.

— Dlaczego więc mi o tym powiedziałeś?

— Ponieważ pomyślałem, że chciałabyś to wiedzieć. Że to może... może się dla ciebie okazać użyteczne. Dlatego, że jesteś moją królową.

Milczała. Jej czarne oczy usiane plamkami srebra wpatrywały się we mnie z uwagą.

— I dlatego, że wie, że cenisz jego „dar” zbyt wysoko, żeby go zabić, a w przyszłości możesz pamiętać o tym, że pomógł ci dobrowolnie — zauważył z przekąsem lord Robert.

— To też — przyznałem.

Królowa się uśmiechnęła.

— Dobrze zrobiłeś, że mi powiedziałeś — rzekła. — Nie zapomnę tego. Roger, nie mów nikomu o tym, co dzisiaj usłyszałeś.

— Tak jest, Wasza Miłość.

— Możesz odejść.

W zewnętrznej komnacie natychmiast oblegli mnie dworzanie i damy.

— Co tam się wydarzyło, błaznie? Co powiedziała Jej Miłości stara królowa?

Co? Co? Co? To słowo niosło się echem w mojej głowie, jak wybijane na bębnie, a nie szeptane przez kilkanaście niecierpliwych gardeł. Byli jak kruki karmiące się padliną.

— Matka powiedziała królowej Caroline, że jej dwór kosztuje zbyt wiele — odparłem.

— Błazen kłamie — skwitował lord Thomas.

— Och, spójrzcie, wzeszedł księżyc w pełni! — zawołała nagle lady Cecilia. — Zagrajmy na dziedzińcu w znajdź monetę! To będzie świetna zabawa! Chodźcie wszyscy! Ja pierwsza pójdę ukryć pieniądze!

Złapała jedną ręką lorda Thomasa, a drugą lady Sarah. Za oknem rzeczywiście lśnił księżyc w pełni. Jego srebrzysty blask padał na promienną twarz dziewczyny oraz na twardą i gładką kamienną posadzkę.

# 16

Tydzień później siedziałem u stóp królowej w komnacie audiencyjnej i słuchałem nielicznych suplikantów, którzy przyszedli do niej, nie do jej matki. Wszyscy byli wieśniakami. Wpuszczono ich do środka dlatego, że stojący za drzwiami Niebiescy wartownicy uznali, że nie warto ich zatrzymywać. Skradziona krowa, spór o ziemię. Jeden z doradców królowej zasnął. Jego broda poruszała się w rytm cichego chrapania.

Wtem na dziedzińcu ktoś krzyknął. Mężczyzna.

Strażnicy królowej poderwali się nagle, zasłaniając podwyższenie. Niebiescy jednak nie zaatakowali. Ci, którzy stali pod drzwiami, byli tak samo zaskoczeni jak cała reszta. Rozległ się drugi krzyk — tym razem kobiecy — a potem ktoś coś zawołał. Dobięły nas odgłosy biegających, nawołujących się ludzi. Kapitan Zielonej straży wpadł do komnaty i podbiegł do królowej, nawet nie klękając.

— Nic ci się nie stało, Wasza Miłość?

— Nic, kapitanie. Co się dzieje?

Spojrzała ku drzwiom.

Do komnaty weszli kolejni Zieloni i zajęli pozycje wokół królowej. Niebiescy wartownicy popatrywali po sobie z wyraźnym zdziwieniem. Nie wydano im żadnych rozkazów. Dłonie trzymali na rękojeściach mieczy.

— Pytałam, co się dzieje?

Kapitan uklęknął. Kolejni Zieloni zamknęli drzwi komnaty audiencyjnej, wypychając Niebieskich wartowników na zewnątrz, i zaryglowali je.

— Wasza Miłość, królowa Eleanor... — zaczął kapitan. — Królowa nie żyje. Niech żyje królowa!

— Nie żyje?

— Tak, Wasza Miłość.

Nie unosił spojrzenia, ale ja przykucnąłem na najniższym stopniu podwyższenia i widziałem jego oczy. Nie dostrzegalem w nich strachu — był kapitanem straży — ale niepewność. Straszliwą niepewność.

— Czy to...

— Przed chwilą, Wasza Miłość. Towarzyszyli jej doradcy, gdy nagle osunęła się na podłogę. Są z nią teraz lekarze. Ona... ja... — Szukał wsparcia i znalazł je w poczuciu obowiązku. — W pałacu panuje zamieszanie, Wasza Miłość.

— Co z moimi dziećmi? — zapytała ostro królowa.

— Zabezpieczyłem już ich pokoje. Księżniczka i jej brat są bezpieczni. Musisz jednak pozostać tutaj, dopóki moi ludzie nie zaprowadzą porządku w całym pałacu. A jeszcze lepiej w prywatnej komnacie.

Wreszcie sobie uświadomiłem, dlaczego w prywatnej komnacie — i zapewne w sypialni również — nie ma okien.

— Pójdę do prywatnej komnaty — zgodziła się królowa — ale tylko po to, by się przebrać. Gdy tylko będzie to możliwe, udam się do sali tronowej, kapitanie. Ją oczyśćcie i zabezpieczcie w pierwszej kolejności. Jeśli możesz odesłać kilku ludzi do innych obowiązków, niech przyprowadzą tu moje damy sypialniane i lorda Roberta Hopewella.

— Tak jest, Wasza Miłość.

— Roger, chodź ze mną.

Opuściła komnatę audiencyjną, zostawiając w niej zbrojnych o zasępionych twarzach i nadal klęczących wieśniaków. Jeden z nich, zwrócony do mnie plecami, wyszeptał coś do towarzysza.

— Tam nie byłbyś bezpieczny — rzekła mi tylko królowa, gdy znaleźliśmy się w prywatnej komnacie. Potem poszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Nie wiedziałem, co robić. Zrobiło mi się zimno, potem gorąco, a później znowu zimno. Nie było tu wina. Usiadłem przy rzeźbionym stole, a następnie na podłodze. Poruszyłem pogrzebaczem w kominku, choć nie było to konieczne. Nie mogłem się uspokoić, nie byłem w stanie myśleć.

Nie. To nieprawda. Mogłem myśleć, ale tylko o jednym słowie. Tym, które wieśniak wyszeptał do swego towarzysza. Które odważył się wypowiedzieć w komnacie audiencyjnej królowej.

„Trucizna”.

„Królowa nie żyje, niech żyje królowa!”.

„Zrobię wszystko, co będę musiała, by ocalić ojczyznę”. Sama mi to powiedziała.

„Królowa nie żyje, niech żyje...”.

Wreszcie drzwi się otworzyły i do komnaty wszedł lord Robert. W tej samej chwili królowa wyszła z sypialni. Opadłem na kolana. Przebrała się bez pomocy dam, które... Właściwie co się z nimi stało? Coś je zatrzymało? Ukrywały się? Zamordowali je Niebiescy? Cecilia...

— Caro — wykrztusił lord Robert.

Nie odpowiedziała. Wyglądała wspaniale, odziana w suknię, której nigdy dotąd nie widziałem. Wyszyto ją zielonymi klejnotami tak gęsto, że ukryty pod spodem aksamit tego samego koloru był ledwie widoczny. Pełne spódnice ciągnęły się po podłodze, przechodząc w tren. Długie rękawy z atłasu i koronek sięgały niemal do koniuszków palców, ukrywając kikut dodatkowego. Nosła naszyjnik ze szmaragdów i kolczyki. Jej gęste czarne włosy opadały swobodnie na plecy, a nieosłonięta niczym głowa ostentacyjnie czekała na koronę.



Lord Robert zignorował to wszystko. Złapał ją za rękę. Rękawy opadły na białe ramiona.

— Caro... na słodki pałac niebios, Caro, co ty uczyniłaś?

„Trucizna” — powiedział wieśniak.

— Zaprowadź mnie do sali tronowej, lordzie Robercie — rozkazała. Jej ton sprawił, że mężczyzna poderwał się nagle i — wreszcie, z opóźnieniem — uklęknął.

— Królowa nie żyje — rzekł głosem równie pozbawionym wyrazu jak głos królowej Eleanor. — Niech żyje królowa.

— Roger, ty zostaniesz tutaj — dodała. — Będziesz mi później potrzebny. Zarygluj drzwi i nie otwieraj nikomu poza mną i lordem Robertem. Zrozumiałeś?

— Tak, Wasza Miłość.

— Otwórz drzwi, lordzie Robercie.

Zrobił to i wyszedł za nią z komnaty. Dzwony na wielkiej wieży zaczęły bić — tonem powolnym i majestatycznym jak dworskie tańce tak lubiane przez starą królową — niosąc Reginokracji wieści o śmierci, zmianie i triumfie.

Nie wiedziałem, ile mam czasu.

Jeśli Zieloni żołnierze nie zdołają opanować pałacu, to czy królowa wróci do prywatnej komnaty, czy zaczeka w komnacie audiencyjnej? Czy zaprosi tu damy dworu, by zapewnić im bezpieczeństwo, jeśli zbrojni je przyprowadzą? I co najważniejsze, od jak dawna nie żyła stara królowa?

Jeśli miałem to zrobić, to tylko teraz. Nim zdążyłem zmienić zdanie, wziąłem leżący na stole nóż i wbiłem go sobie w ramię. Wzdłuż moich nerwów przebiegł ból. Wypuściłem nóż z ręki i nakazałem sobie przejść na drugą stronę.

Tym razem znalazłem się nad rzeką, prawie w wodzie. Wielka grupa żołnierzy siedziała razem na trawie, jakby wszyscy zmarli jednocześnie. Nosili takie same skórzane zbroje i proste sandały. Podobnie jak reszta Umarłych nie byli ranni ani okaleczeni. Cała grupa mnie ignorowała. Staromodny strój sugerował, że siedzą tu już od dawna. Dla mnie mogliby tu tkwić od zawsze.

Góry na zachodzie zniknęły całkowicie, jakby dolina się rozciągnęła od czasu mojej poprzedniej wizyty. Rzeka sprawiała wrażenie jeszcze szerszej i bardziej leniwej. Niemniej nadal przebywałem na wyspie. Pobiegłem wzdłuż jej brzegu, mijając kolejne gaje. Szukałem starej królowej. Kręgi Umarłych, Umarli leżący na trawie albo gapiący się na skały — gdzie była?

Znalazłem ją, gdy wychodziła z rzeki, ociekająca wodą i wściekła. Krople skapywały z jej niebieskiej jedwabnej sukni i z korony, prostego srebrnego diademu, który najchętniej nosiła na białych włosach. Królowa Eleanor cechowała się przerażającą godnością, nawet gdy była mokra. Nawet gdy była wściekła. Nawet gdy była martwa.

Opadłem na jedno kolano.

— Wasza Miłość!

— Kim jesteś? Gdzie jestem? — Przerwała na chwilę. — Umarłam.

Tej kobiety nie było sensu okłamywać.

— Tak, Wasza Miłość.

— A ty jesteś... jesteś błaznem mojej córki! Z tą głupią żółtą farbą na twarzy!

— Tak, Wasza Miłość.

— Co się stało, chłopcze? Czy ty też nie żyjesz?

Zastanowiłem się pośpiesznie.

— Tak, Wasza Miłość.

— A to jest kraina Umarłych.

Odwróciła się z zamyśloną miną. Zauważyłem na jej twarzy początki kontemplacyjnej izolacji charakterystycznej dla Umarłych. Za parę chwil mogę już nie być w stanie do niej dotrzeć.

— Wasza Miłość, czy cię otruto? — zapytałem zdesperowany.

To przyciągnęło jej uwagę.

— Słucham?

— Czy otruła cię twoja córka, królowa Caroline? Czy nocą albo rankiem odwiedził cię jakiś posłaniec, czy w twoich komnatach była jakaś obca osoba, czy wydarzyło się coś, co mogło oznaczać otrucie?

Nie wiedziałem, czego szukam.

— Caroline — powtórzyła z roztargnieniem w głosie, jakby próbowała sobie przypomnieć to imię. Oddalała się od żywych. To działa się na moich oczach. Nie obchodziły jej już dawne miłości, dawne nienawiści, dawne więzy.

— Twoja córka, nowa królowa! Mogła cię otruć, a teraz odziedziczyła władzę nad Reginokracją! Wasza Miłość!

Usiadła z gracją na trawie i wpatrzyła się w kwiat. Straciłem ją. Tej starej kobiety nie skłonię do opowiadania wesołych historii z czasów dzieciństwa.

Walnąłem się pięścią w udo. Całe to ryzyko na nic. Muszę wracać. Muszę...

Nieopodal zmaterializowali się dwaj żołnierze, noszący niebieskie stroje królowej Eleanor. Moje ciało zasłaniało królową przed ich wzrokiem.

— To błazen Dziwki! — zawołał jeden z nich. — Łap go!

Ruszył ku mnie, wyciągając miecz. Drugi, mniej bystry, rozejrzał się wokół z oszołomioną miną. Odsunąłem się na bok.

— Wasza królowa! — zawołałem, wskazując na Eleanor.

To powstrzymało atakującego żołnierza. Osunął się na kolana i pochylił głowę.

— Wasza Miłość! Jesteś bezpieczna!

Królowa rzecz jasna mu nie odpowiedziała. Milczała przez długą chwilę, a potem uniosła głowę i spojrzała na mnie.

— Tak — powiedziała tylko i zaraz znowu zapadła w spokój Umarłych.

Drugi żołnierz podszedł do mnie niepewnie.

— Co to za miejsce? Co... mówili, że królowa Eleanor nie żyje...

Wtedy to do niego dotarło. Popatrzył na własny brzuch, jakby spodziewał się zobaczyć, że przeszył go miecz Zielonego. Potem znowu spojrzał na mnie. Nie mogłem nie poczuć się wzruszony jego dezorientacją.

Kłęczący żołnierz podniósł się.

— Nie próbuj żadnych błazeńskich sztuczek, chłopcze! Gdzie jesteśmy? Jakie czary na nas rzuciła?

Oto była moja historia — ta sama, którą opowiedziałem Gackowi. Żołnierz podał mi ją jak mięso na złotym talerzu. Jeśli dzięki niej przekonam obu mężczyzn, że nie jestem sprzymierzeńcem królowej Caroline, lecz jej ofiarą, może nie zrobią mi krzywdy.

— Tu mnie masz! — zawołałem pośpiesznie. — Tak, młoda królowa użyła czarów, by przenieść nas do Kraju Czarowników. Widziałem, jak to zrobiła! Zagięła szósty palec, wyrecytowała zaklęcia, a potem wzbija się w powietrze i przeniosła nas tutaj. Mnie również, za to, że powiedziałem wierszyk, który się jej nie spodobał... Zaczarowała królową Eleanor! Spójrzcie, królowa oddycha, ale nie może mówić, nic nie widzi...

Mężczyzna krzyknął z wściekłości i przesądneho strachu. Pomachał nagim mieczem, ale nie było tu nikogo, kogo mógłby przeszyć. Aż do chwili, gdy nad rzeką pojawili się trzej Zieloni żołnierze.

W pałacu z pewnością doszło do walk. Ginęli ludzie. A teraz walki wybuchną również i tutaj.

Dwaj Niebiescy pognali ku Zielonym, którzy wyciągnęli miecze i ruszyli do kontrataku. Zobaczyłem coś, co uważałem za niemożliwe: Umarłych, którzy próbowali się nawzajem zabijać. Ale to się nie zdarzyło, nie mogło się zdarzyć. Jeden z żołnierzy zdobył przewagę i ciął brutalnie w głowę przeciwnika. Klinga przeniknęła przez ciało i kości czaszki, a żołnierzowi nic się nie stało.

To powstrzymało wszystkich.

Nie śmiałem podejść bliżej. Ich nie można już było skrzywdzić, ale mnie tak.

— W Kraju Czarowników nie można umrzeć! — zawołałem, stojąc przy królowej. — Spójrzcie, ilu ludzi już tu wysłano! Caroline może nas przywołać z powrotem, gdy tylko zechce. Już mi to kiedyś zrobiła!

Niebiescy żołnierze rozglądali się wkoło z szaleństwem w oczach. Trzech Zielonych oddaliło się już poza zasięg słuchu. Wkrótce zawładną nimi spokój i bezruch. Niebiescy nic nie rozumieli, ale wierzyli mi. W obliczu bezsensu ludzie czepiają się każdego przekonania, które obiecuje sens.

— Byłeś tu już przedtem, błaznie? — zapytał niepewnie mniej bystry z Niebieskich.

— Tak. Chodź tu, do swej królowej. Tylko ty!

Podszedł bliżej.

— Co jej się stało? — zapytałem bardzo cicho. — Czy coś zjadła, wypła albo...

— Nie wiem. Nie było mnie tam. Ale mój kapitan powiedział, że złapała się za brzuch i zawołała: „Truczna! Moja córka!”. Mówisz, że to nie była trucizna tylko czary? Nie wiem...

— To były czary — zapewniłem stanowczo. — Spójrz na nią! Nie umarła, oddycha i siedzi, podczas gdy ty chodzisz i mówisz... Wygnano cię do Kraju Czarowników, ale można cię sprowadzić z powrotem. Podobnie jak pozostałych. — W rzece pojawiło się dwóch kolejnych Niebieskich. Ociekający wodą mężczyźni brnęli ku brzegowi. — Musisz im wszystko powiedzieć! Mam nadzieję, że nie...

Celowo przerwałem w pół zdania, ugryzłem się w język i wróciłem do krainy żywych.

Krew wypełniała mi usta. Miotalem się na dywaniku, aż wreszcie z oczu popłynęły mi łzy. Czy jednak płakałem z bólu, czy z powodu wiedzy?

Szczerze mówiąc, nie miałem pewności. Stara królowa zawołała, że ją otruto, ale mogłaby to zrobić, nawet jeśli przyczyną śmierci był atak serca. I tak mogłaby się złapać za brzuch, wierząc, że córka kazała ją otruć, bez względu na to, jak wyglądała prawda. A „tak”, które usłyszałem od starej królowej — ostatnie słowo, jakie miała kiedykolwiek powiedzieć — mogło znaczyć cokolwiek.

Byłem jednak przekonany, że królowa Eleanor odpowiedziała na moje pytanie. Tak. Tak, zamordowano ją i królowa Caroline rzeczywiście była trucicielką, jak twierdziły plotki.

Królowa nie żyje. Niech żyje królowa.

Nie wiem, jak długo leżałem przy kominku. Moje myśli wypełniał chaos. Królowa Caroline zawsze budziła we mnie sprzeczne emocje. Strach. Podziw. Gniew. Szacunek. Teraz jednak pragnąłem tylko jednego. Przeżyć jej mecenat.

W końcu wstałem i wypłukałem krew z ust chłodną wodą. Po chwili zza drzwi dobiegł głos lorda Roberta.

— Błaźnie! Otwieraj!

Odsunąłem rygiel. Za drzwiami stali lord Robert i królowa Caroline. Damy dworu i dworzanie tłoczyli się na drugim końcu prywatnej komnaty. Niektórzy wyglądali na przerażonych, inni zaś triumfowali. Gdy królowa weszła do środka, opadłem na kolana.

— Tylko parę chwil, Wasza Królewska Mość — rzekł lord Robert. — To pilne.

— Masz rację. Zamknij drzwi, Robercie. Roger, wstań. Dlaczego masz krew na brodzie?

— Ugryzłem się w język, Wasza Miłość.

Moje słowa zabrzmiały niewyraźnie i bełkotliwie.

— To bardzo nieostrożnie. A na rękawie?

— Skapnęła z języka, Wasza Miłość.

Ujęła moją twarz w dłonie. Musiałem wyteńczyć wolę, by nie wzdrygnąć się przed jej dotykiem. Trucizna.

— Chcę, żebyś przeszedł do Umarłych. Musisz znaleźć człowieka zwanego Ospreyem, pałacowego ślusarza. To niski, zezowaty mężczyzna, który zmarł dziś wieczorem. Nosi na piersi pieczęć Reginokracji. Zapytaj go, gdzie jest klucz do żelaznego sejfu, w którym przechowuje się Koronę Glorii. Muszę znaleźć ten klucz, Roger. Natychmiast. Kiedy pójdę do sali tronowej, chcę mieć na głowie koronę, którą nosiły moje babki, gdy czas był jeszcze młody.

Gapiałem się na nią.

— Wasza Miłość, to niemożliwe. Umarli nie...

— Czego nie robią? — zapytała ostro. — Nie rozmawiają z tobą? Zapewniałeś, że rozmawiają. I udowodniłeś mi, że to prawda. W czym tkwi problem?

— To... to jest kraina Umarłych! — odpowiedziałem z nutą desperacji. — Jest ogromna i... i dzika. Trudno w niej znaleźć konkretną osobę. Zapewne nie natrafiłbym na tego Ospreya, nawet gdybym go szukał całymimi dniami, a przecież powiedziałaś, że potrzebujesz Korony Glorii natychmiast...

— Spróbuj — rozkazała.

Jedno słowo, za którym ukrywało się tak wiele innych, których nie wypowiedziała. To, co widziałem w jej oczach, usprawiedliwiało moje przerażenie.

Hartah mówił mi, jak wyglądają narzędzia tortur i co mogą zrobić bezbronnemu ciału. Dlatego po raz drugi skaleczyłem się w ramię wysadzonym klejnotami nożem królowej i — o dziwo — znalazłem Ospreya. Ale nic mi to nie dało. Nie żył już od dość dawna i nie był stary. Nie mogłem do niego dotrzeć. Krzyczałem mu do ucha, szarpałem go za ramię, a wreszcie podniosłem go, zawlokłem do rzeki i wrzuciłem do wody. Wyrwał mi się, położył na trawie i wpatrzył w niebo. Nie chciał mi nic powiedzieć.

— To znowu ten błazen królowej — stwierdził żołnierz Niebieskich. — Wiedźma przenosi go w tę i we w tę.

— Aha, i targa boleśnie jego kości — dodał drugi. — Biedny przygłup.

Martwych żołnierzy było teraz więcej. Niektórzy strzegli niczego nieświadomej starej królowej na brzegu wyspy. Inni kręcili się po okolicy i rozmawiali, trzymając w rękach wyciągnięte miecze. Nie wiedzieli, że nie żyją. Wzięli za dobrą monetę, kiedy im powiedziałem, że są w Kraju Czarowników, i powtórzyli to następnym, którzy uwierzyli w to z wielką chęcią. Jasne, że młoda królowa była czarownicą. Czyż nie opowiadano o tym od lat? Jasne, że wysłała ich do Kraju Czarowników. Z tego właśnie



powodu byli wyjątkowo ożywieni — tak bardzo ożywieni, jak kiedykolwiek będzie to dla nich możliwe.

Co ja uczyniłem?

— Nie zbliżaj się, błaznie — ostrzegł mnie jeden z nich. — Przykro mi, chłopcze, ale wiedźma trzyma cię mocno w garści, prawda?

— Tak.

— W takim razie nie podchodź bliżej!

Nie zrobiłem tego. Nieopodal na ziemi spokojnie leżał Zielony żołnierz. Niebieski zauważył, że na niego spoglądam.

— Widzisz, błaznie, jak podła jest nierządna czarownica, której jesteś zmuszony służyć? Nawet trupy własnych ludzi wysyła do Kraju Czarowników. Nie śmie dopuścić do tego, by krewni zauważyli na ich ciałach jej znak, bo wtedy jej czary wyszłyby na jaw. Nie dotykaj go. Nie wiemy, czy to zatruta pułapka, czy coś gorszego.

Nie zamierzałem dotykać Zielonego ani w ogóle niczego tutaj. Ogarnęła mnie desperacja. Przeszedłem na drugą stronę i spojrzałem w twarz królowej Caroline. Z rany na moim ramieniu sączyła się krew, lepiąca się do aksamitu.

— Wasza Miłość, nie, przykro mi... nie zdołałem znaleźć Ospreya. To... to bardzo wielkie miejsce! Zabrakło mi czasu!

Stała zwrócona plecami do kominka i wlepiała we mnie twarde spojrzenie.

— Wasza Miłość! — zawołał z niecierpliwością w głosie czekający za drzwiami lord Robert. Omal nie zemdlałem ze strachu. Przeszyje mnie jego miecz albo spalą mnie żywcem bądź też... Wiedziałem, że istnieją jeszcze gorsze rodzaje śmierci. Zawiodłem królową.

— Naprawdę tam przeszedłeś? — zapytała cicho. — Do krainy Umarłych?

— Tak! — Szukałem panicznie w pamięci czegoś, co mogłoby ją przekonać. — Widziałem starą królową!

Caroline podeszła szybko do mnie i złapała mnie za ramię.

— Co ci powiedziała?

— Nie... nic, co...

— Nie kłam, Roger! Co ci powiedziała ta stara jędza?

Moje życie zależało od tego, co jej odpowiem. Tylko szczerść mogła przekonać młodą królową, która świetnie potrafiła wykrywać wykrety. Czy samą sugestią, że mogła popełnić morderstwo, można już było uznać za zdradę? Będę zgubiony, jeśli powiem prawdę, i zgubiony, jeśli skłamię.

— Powiedziała, że... — wykrztusiłem zdesperowany. — Że ją otrułaś. Że poczuła truciznę w żołądku, złapała się za brzuch i umarła. Przeklęła cię.

Królowa zaniósła się śmiechem, wysokim i histerycznym. O zgrozo, przypominał mi on śmiech lady Cecylii. Ale ona nie była Cecilią. Po krótkiej chwili wzięła się w garść, po raz kolejny błyskawicznie zmieniając nastrój.

— Rzeczywiście tam byłeś. Wybacz, że wątpiłam w twe słowa. Takie właśnie kłamstwa wymyśliłaby ta stara suka, moja matka. Nie musisz się tak bać, Roger. Nikt cię nie skrzywdzi. Wiem, że zrobiłeś, co mogłeś. Przed tobą kolejne zadania i na pewno sobie z nimi poradzisz. Na razie wszystko jest w porządku, mały błażnie. Chodź ze mną, pozwolę ci zobaczyć, jak odzyskam władzę nad pałacem.

Pogłaskała mnie szybko i uśmiechnęła się. Potem otworzyła drzwi przed lordem Robertem i zapomniała o mnie.

Tak oto, nie mając odwagi postąpić inaczej, podążyłem za młodą królową.

W pałacu panował spokój. Wydawało się, że Zielonych jest teraz więcej niż przedtem. Ten fakt mnie dziwił, dopóki nie przyjrzałem się uważniej bluzom żołnierzy. Niektóre sprawiały wrażenie zupełnie nowych, inne zaś były wyraźnie niedopasowane. Z pewnością miałem przed sobą byłych Niebieskich. Albo zwerbowano ich potajemnie przed śmiercią królowej Eleanor, albo przeszli na drugą stronę dziś po południu.

Po raz pierwszy ujrzałem na własne oczy pałacową salę tronową. Nie była wspanialsza niż dawna komnata audiencyjna królowej Caroline i równie pusta, ale za to nieporównanie większa. Zastanawiałem się, jak może się pomieścić w pałacu. A więc to dlatego całą resztę miasta wciśnięto w wąski krąg zatłoczonych uliczek i rozbijanych tymczasowo namiotów. Przyczyną była ta ogromna sala o gładkiej kamiennej posadzce, kopulastym sklepieniu dwa piętra nad nami i ścianach obwieszonych kandelabrami tak licznymi, że pozbawiona okien komnata była wypełniona światłem. Mimo zmiany pogody w sali tronowej było zimno. Żadne paleniska nie mogłyby wygnać chłodu z tak rozległej przestrzeni. Jedynym meblem był tu tron, stojący na usytuowanym na końcu sali podwyższeniu. Królowa narzuciła na zieloną suknię białą futrzaną pelerynę i zasiadła na tronie, by przyjmować nowych poddanych.

Damy dworu królowej Caroline stały z lewej strony podwyższenia, gapiąc się na wszystko z pobladłymi twarzami. Dworzanie zajęli pozycję po prawej stronie. Doradcy starej królowej przechodzili jeden po drugim przez ogromną pustą salę, klękali przed tronem i zdejmowali niebieskie szaty. Każdy kolejno mówił:

— Przysięgam wierność królowej Caroline, i wyłącznie jej, aż po śmierć.

Potem drżącym z zimna doradcom wręczano nowe, zielone szaty, które wkładali na bieliznę. Nie było ich zbyt wielu. Tych, którzy odmówili

złożenia przysięgi, z pewnością uwięziono. Podejrzewałem, że do jutra wszyscy będą martwi.

Na znak królowej lord Robert wszedł na podwyższenie i klęknął. Uśmiechnęła się do niego, ale jej twarz była bardzo blada. Tylko ja usłyszałem słowo, które do niego wyszeptała:

— Armia?

— Nie — odparł.

Jej twarz nie zmieniła wyrazu. Mogę jedynie sobie wyobrazić, jak wielkiego wysiłku woli to wymagało. Lord Robert wrócił na swoje miejsce i orszak doradców ruszył na nowo.

— Przysięgam wierność królowej Caroline, i wyłącznie jej, aż po śmierć.

Niebieska armia nie przysięgła wierności. Uświadomiłem sobie, co to oznacza. Kapitan nazwał królową Caroline trucicielką i armia wierzyła, że to prawda. Niebiescy nie uważali jej za naturalną dziedziczkę Eleanor, lecz za nienaturalną morderczynię ich królowej. I będą walczyć, by ją pomścić. Zieloni zdołali przejąć kontrolę nad pałacem jedynie dzięki temu, że większa część armii starej królowej stacjonowała poza miastem. Wielkie bramy zamknięto i zaryglowano, a na murach rozmieszczono łuczników. Nikt nie mógł wejść do pałacu ani go opuścić.

Zaczęła się wojna. Byliśmy oblężeni.

Procesja ciągnęła się bez końca. Po doradcach przyszła kolej na damy oraz dworzan królowej Eleanor. Oni również byli znacznie mniej liczni niż zapewne jeszcze niedawno. Niektórym słowa przysięgi wyraźnie stawały w gardle. Za nimi byli lekarze, muzycy, zarządcy, kurierzy i paziowie. Chłopcy — najmłodszy mieli tylko osiem lat — klękali przed królową, mającą na głowie tylko prosty złoty diadem. Jutro jej ludzie w końcu

otworzą sejf po wielu godzinach cierpliwej pracy i wydobędą Koronę Glorii, ale dzisiaj przysięgi składano mimo jej braku. Zdobywano lojalność podobnie, jak zdobyto pałac. Oba te triumfy mogły się okazać równie niepewne.

— Przysięgam wierność królowej Caroline, i wyłącznie jej, aż po śmierć.

Służący, pokojówki, ogrodnicy. Jak długo Zielona straż zdoła bronić stolicy przed całą armią Niebieskich? Dzisiaj jednak królowa siedziała na tronie i słuchała, jak wszyscy w pałacu przysięgali, że zginą za nią, jeśli będą musieli.

— Przysięgam wierność królowej Caroline, i wyłącznie jej, aż po śmierć.

Na koniec przyszli kucharze, praczki, krawcowe, stajenni i pomoce kuchenne. Wszyscy klękali grupowo, by przysiąc wierność. Widziałem Joan Campford o szorstkich czerwonych dłoniach, obrzękłych od zimowych odmrożeń. A potem Maggie, która opadła na kolana z wdziękiem i godnością niemal dorównującym demonstrowanym przez samą królową. Zastanawiałem się, co się stało z bratem dziewczyny, Richardem, który był żołnierzem Niebieskich, ale nie mogłem nic wyczytać z jej twarzy.

— Przysięgam wierność królowej Caroline, i wyłącznie jej, aż po śmierć.

Wreszcie się skończyło. Była już prawie północ. Damy dworu i dworzanie królowej przynosili swoje rzeczy do komnat sąsiadujących z salą tronową, należących dotąd do Eleanor. Wszędzie panował straszliwy ruch i zamieszanie. Znalazłem zapłakaną Cecilie, która szła za zagonionym zarządcą do swych nowych pokojów.

— Och, Roger, wszystko tu jest zupełnie inne! Nie wiem, co robić! Gdyby tylko stara królowa...

— Cicho — przerwałem jej pośpiesznie. — Wszystko w porządku, pani.

— Dlaczego twój głos tak dziwnie brzmi?

— Ugryzłem się w język.

— Ledwie cię rozumiem. Och, cóż teraz zrobię?

— Będziesz chodziła tam, gdzie ci każą, i służyła Jej Miłości, jak zawsze.

— Tak. — Rozejrzała się szaleńczo wokół. — Mam dzielić komnatę z Jane Sedley. Damy po... po tej stronie pałacu nie miały komnat tylko dla siebie, bo było ich za dużo. A teraz są z nami i niebieskie, i zielone.

— Wszystkie są teraz zielone — przypomniałem jej.

— Tak, oczywiście. Ale to... to takie dziwne!

— Pani — odezwała się służąca Cecylii, młoda nieśmiała dziewczyna, która zastąpiła Emmę Cartwright. Dźwigała całe naręczce sukni. — Gdzie mam je położyć?

— Wszystko mi jedno! Roger, co się teraz stanie? Mówią, że armia starej królowej stoi pod bramami i weźmie nas głodem! Albo i gorzej!

— Idź spać, pani. Rano Jej Miłość będzie cię potrzebowała.

— Nie...

— Dobranoc, pani.

— Dobranoc.

Posłuchała mnie. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że wydałem rozkaz damie. Ja, błazen królowej.

Nikt nie pomyślał o przydzieleniu mi miejsca do spania. Znalazłem nową komnatę audiencyjną królowej. W porównaniu z salą tronową

wydawała mi się mała. Znałem jedyne wartownika stojącego pod drzwiami. Miał ponurą minę i nie chciał odpowiadać na moje pytania, ale wpuścił mnie do opustoszałej komnaty zewnętrznej. Tu nie było strażników. Zapewne wszystkich odesłano do obrony pałacu, na wypadek ataku Niebieskich. W żadnej z tych sal nie było zasłoniętej kotarą alkowy, ale ktoś podczas tego straszliwego dnia rozpałił na kominku wielki ogień i węgielki nadal dawały trochę ciepła. Położyłem się obok. Bolał mnie język. I ręka.

I serce.

Minęło wiele czasu, nim wreszcie zdołałem zasnąć. Śniła mi się podróż na Wrzosowisko Duszorośli. Wyglądało tak samo jak kraina Umarłych. Moja matka odziana w lawendową suknię siedziała nieruchomo i bezgłośnie obok starej, martwej królowej.

— Zabraknie nam jedzenia.

— Armia zabrała wszystkie konie.

— Spalą nas razem na wielkim stosie, żeby wszyscy wieśniacy mogli to zobaczyć.

— Słudzy będą ukrywać przed nami żywność.

— Będziemy musieli jeść szczury, jak podczas oblężeń w dawnych czasach.

— Zdobędą miasto i spalą nas za zdradę...

Damy i dworzanie szeptali między sobą. Nie było teraz tańców, gier ani flirtów. Na obu brzegach rzeki obozowała armia Niebieskich. Tak przynajmniej mówili ci, którzy wspięli się po schodach na wietrzne szczyty miejskich murów. Ja tymczasem towarzyszyłem królowej. Całe ranki spędzała z doradcami, a po południu chodziła po pałacu.

— W kuchniach zabrakło mięsa — szeptali do siebie ludzie.

— Służba ukrywa gdzieś żywność.

— Matka na pewno się o mnie boi. Mieszka sama w wiejskim domu...

— Ojciec...

— Mój syn z rodziną...

— Spalą nas żywcem...

— Nie ma już owoców...

Tylko królowa była w pogodnym nastroju. Nie wprowadziła racjonowania żywności pozostałej jeszcze w spiżarniach, spichrzach i piwnicach. Do kuchennego nabrzeża nie przybijały barki, a po zimie



zapasów zawsze brakowało. Piątego dnia oblężenia został nam tylko chleb, ser i ale, niemniej wszyscy jedliśmy do syta. Nikt nie rozumiał dlaczego, a już z pewnością nie ja. Dlaczego królowa nie kazała policzyć zapasów i nie wprowadziła racjonowania? Wkrótce zabraknie nam żywności, ponieważ służba z pewnością coś ukryła na wypadek głodu. Sam bym tak zrobił. Miałem nadzieję, że Maggie tak zrobiła.

Wtedy właśnie po raz pierwszy ujrzałem piwnice, a także inne części pałacu. Każdego popołudnia towarzyszyłem królowej.

— Miej oczy otwarte, Roger — rozkazała mi. — Zapamiętaj wszystko. Nie wiem, czego mogę od ciebie potrzebować w przyszłości.

Nie żądała już ode mnie, bym zachowywał się jak błazen i wygłaszał dowcipne komentarze. I całe szczęście, bo wszelki dowcip mnie opuścił.

Dokądkolwiek poszliśmy, wspaniale ubrana królowa występowała w towarzystwie eskorty wysokich, przystojnych Zielonych, uśmiechała się do nowych poddanych i przyglądała się im z uwagą, przekazując bez słów, że to ona jest teraz władczynią. Do spiżarni. Do pralni. Do kuchni. Do wartowni, stajni i sal dla służby, których było tu znacznie więcej, niż mi się zdawało. Do apartamentów dworzan. Pomimo oblężenia murarzem rozkazano zrywać niebieskie płytki na królewskich dziedzińcach i zastępować je zielonymi. Gdy zaczęło im brakować zielonych, mieszały je z białymi albo kremowymi, tworząc wymyślne wzory. W pralniach niebieskie tkaniny farbowano na zielono: zasłony łóżek, obrusy stołowe, liberie, poszewki, końskie derki. Krawcowe trudyły się gorączkowo, by uszyć wystarczająco wiele szmaragdowych bluz, sukni i kubraków. Nawet talerze z niebieskiego szkła w królewskiej jadalni, sprowadzone z jakiegoś dalekiego kraju, zapakowano, owinąwszy je w słomę, i zastąpiono delikatną białą zastawą ozdobioną pięknymi zielonymi pnączami. Królowa — pełna

wdzięku, uśmiechnięta i nieustrudzona — czuwała nad tym wszystkim, a ja jej towarzyszyłem.

Chodziliśmy też do królewskich pokojów dziecinnych, gdzie po raz pierwszy ujrzałem dziedziczkę tronu, trzyletnią księżniczkę Stephanie, oraz jej sześcioletniego brata. Starszego syna królowej, księcia Percy'ego, odesłano zimą do domu jakiegoś Zielonego szlachcica, gdzie zgodnie ze zwyczajem miał służyć jako paż. Mała księżniczka była chuda i blada. Poważna, szarooka dziewczynka nie odziedziczyła urody po matce. Miała pociągłą twarz i wydatną zuchwę po babci. Szczerze mówiąc, wyglądała zupełnie jak chorowita, miniaturowa wersja umarłej królowej. Zdumiałem się na jej widok. Co na temat sądziła królowa Caroline? Nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie. Całowała dzieci, przytulała je i bawiła się z nimi, a ja nie umiałem określić, czy to szczerza macierzyńska miłość, czy też dbałość mistrza gry w szachy o pionki.

Nie byłem w stanie odgadnąć, co myśli królowa. Jak zwykle była pełna sprzeczności. Zachowała pogodę w obliczu wojny domowej, oblężenia i groźby głodu. Przyglądała się swemu nowemu władztwu z wyrachowaniem w oczach. Była uprzejma dla ludzi w pałacu, wszystkich tych przerażonych służących, którzy kłaniali się jej nisko z szacunkiem, choć zapewne wierzyli, że otruła ich monarchinię. Jedynym miejscem, którego nie odwiedzałem z królową Caroline, były lochy, o ile takowe rzeczywiście istniały. Ale jeśli ich nie było, gdzie się podzieli wszyscy doradcy i żołnierze, którzy odmówili złożenia przysięgi wierności? Czy przebywali już w krainie Umarłych?

Tak jest, nie rozumiałem królowej. Była piękna, okrutna, dobra, ambitna, a nade wszystko niewzruszona — nawet w chwili, gdy zaczynało nam brakować żywności, na obu brzegach rzeki stacjonowała armia Niebieskich, a przerażone damy dworu szeptały między sobą:

— Wezmą nas głodem...

— Spalą wszystkich...

— Co ona robi?

Wreszcie, szóstego dnia, lord Robert znalazł nas podczas popołudniowego obchodu. Przechodziliśmy przez piękny dziedziniec, jeden z większych w pałacu. Były na nim trzy okrągłe klomby. Z czarnej gleby wyłaniały się już maleńkie zielone pędy. Wiał słodki, delikatny wietrzyk. Królowa zdjęła futro, a ja płaszcz z kapturem. Rankiem tego dnia świeżo pomalowałem sobie twarz na żółto. Moje żarty nie były już potrzebne, ale wygląd błazna królowej pozostawał użyteczny. Lord Robert miał na sobie pełną zbroję.

Uklęknął.

— Już tu są — oznajmił, prostując się.

— Gdzie? — zapytała ostro.

— W zasięgu wzroku od pałacu, oczywiście, skoro obserwator na wieży już ich zauważył. W przeciwnym razie, skąd mógłbym o tym wiedzieć?

— Nie mów do mnie takim tonem, mój lordzie!

— Błagam Waszą Miłość o wybaczenie.

Napięcie przepływało między nimi niczym fale ciepła.

— Wasza Miłość, czy mogę... — zaczął.

— Nie. Nie możesz. Jesteś potrzebny tutaj.

— Wasza Miłość, jestem dowódcą armii! Powinienem być na zewnątrz i prowadzić ją do boju!

— Nikt nie może wyjść na zewnątrz, dopóki oblężenie się nie skończy, i świetnie o tym wiesz! Poza tym twoje miejsce jest przy mnie. Wracaj na wieżę, obserwuj bitwę i przynieś mi raport z jej przebiegu.

Bitwę? Jaką bitwę? Co się działo?

Lord Robert pokłonił się sztywno i odszedł.

— Chodź, Roger — rzekła królowa. — Wracamy do moich komnat.

— Wasza Miłość...

— Tak? O co chodzi?

Szła tak szybko, że ci, których mijaliśmy, ledwie nadążali z klękaniem. Padali nagle na kolana jak skoszone zboże.

— Prosiłaś o raport z przebiegu bitwy. Kto z kim walczy pod pałacem?

Zerknęła na mnie przelotnie, ani na moment nie zwalniając kroku.

— A jak myślisz?

To ja zacząłem tę rozmowę i ja musiałem ją zakończyć.

— Nie nasi Zieloni z Niebieskimi. Mamy za mało żołnierzy. W takim razie...

— Tak?

Weszliśmy do komnaty zewnętrznej. Damy dworu królowej opadły na kolana, otoczone kałużami zielonego jedwabiu.

— Musimy mieć sojuszników, którzy walczą dla nas?

— Budzisz się, Roger. Lucy! Catherine! Potrzebuję was!

Damy sypialniane zerwały się na nogi i poszły za królową do prywatnej komnaty. Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, opadła mnie reszta kobiet.

— Roger! — zawołała Cecilia. — Co się dzieje?

— Trwa bitwa — odpowiedziałem.

— Czy zaatakowano pałac?

Zielone oczy Cecylii zrobiły się tak wielkie, że w jej twarzy niemalże nie zostało miejsca na nic innego. Była chuda, prawie wynędzniała, a gdy uścisnąłem jej dłoń, poczułem, że jest lodowata.

— Jeszcze nie, pani.

— Cecilio, chodź tu natychmiast — odezwała się lady Margaret. — Błazen nie potrafi nam nic powiedzieć. Co więcej, wydano nam rozkazy.

— Jakie... — zacząłem.

— Mamy wdziać najlepsze suknie i udać się do sali tronowej — wyjaśniła Cecilia, gdy lady Margaret zaczęła pouczać inne damy. — Paź przyniósł nam to polecenie, ale nie powiedział dlaczego. Czy królowa skapitułuje? Czy Niebiescy wezmą nas do niewoli?

— Nie, pani.

Ale czy na pewno?

— Cecilio! Chodź!

Damy oddaliły się pośpiesznie. W zewnętrznej komnacie zostali tylko dwaj Zieloni wartownicy, wyglądający na równie zaniepokojonych jak ja. Czekałem, jak już wiele razy przedtem. Niekiedy odnosiłem wrażenie, że całe moje życie w pałacu składa się z czekania i ze strachu. Albo z obu jednocześnie.

Jeśli królowa rzeczywiście wezwała sojuszników, mogli to być jedynie ludzie jej szwagierki, królowej Isabelle. Matka Isabelle zmarła wkrótce po ślubie córki, która odziedziczyła koronę. Ilu żołnierzy wysłała? Jeśli Niebiescy ich pokonają i zdobędą pałac, co się stanie ze mną? Czy dojdą do wniosku, że warto zadawać sobie trud, by powiesić błazna? A co zrobią z królową? Mogą ją zamordować i posadzić na tronie księżniczkę Stephanie, wyznaczwszy lojalnego Niebieskiego doradcę, który sprawowałby rządy w imieniu dziecka. Pod warunkiem, że jacyś lojalni Niebiescy doradcy pozostali przy życiu. A co się stanie z lady Cecilią? Z pewnością żołnierze nie postawią w stan oskarżenia dziewczyny tak głupiutkiej, niewinnej i kochanej jak moja... To tak, jakby zabili małego kotka.

Ale ludzie zawsze zabijali niechciane kotki.

Otworzyły się drzwi prywatnej komnaty. Królowa miała na sobie wyszywaną zielonymi klejnotami suknię, tę samą, którą włożyła przed sześcioma dniami, by odebrać przysięgi wierności. Tym razem jednak jej głowę zdobiła Korona Glorii, wydobyta z żelaznego sejfu Ospreya. W kute złoto wprawiono klejnoty o wszystkich możliwych kolorach, tęcza barw reprezentujących wszystkie królowe, które kiedykolwiek włądały Reginokracją. Szmaragdy, szafiry, rubiny, ametysty, diamenty. Onyksy, beryle, opale, topazy. I inne, których nazw nie znałem. Ani kamieni, ani kolorów. Jak smukła szyja królowej mogła utrzymać taki ciężar? Jakoś go jednak utrzymywała. Caroline przeszła obok mnie. Damy dworu pośpiesznie złapały długi aksamitny tren, a strażnicy zajęli pozycje przed nią i za nią. Sprawiała wrażenie, że porażka i kapitulacja nigdy nie będą dla niej możliwe.

— Chodź, Roger — rzuciła do mnie przez ramię. — To już nie potrwa długo.

Czekaliśmy w sali tronowej. Z twarzy obecnych łatwo było wyczytać, kto wie, co ma się wydarzyć, a kto się tylko tego domyśla.

Doradcy wiedzieli. Stali na prawo od tronu, odziani w długie zielone szaty — grupka starych mężczyzn o twarzach starannie skrywających wszelkie uczucia i oczach pełnych niepokoju. Dworzanie i damy nie wiedzieli. Młodzi mężczyźni i kobiety w strojnych szatach stojący po lewej stronie tronu wyglądali jak stadko czujnych pawi. Cecilia była z nich najpiękniejsza. Jej szata z zielonego jedwabiu odsłaniała większą część małych jędrnych piersi. Dziewczyna drżała, ale nie z zimna. W ogromnej sali tronowej jak zwykle było chłodno, ale pod podwyższeniem z pewnością zapalono piecyki. Od tronu buchał żar, jakby sama królowa była pełna ognia. Siedziała z wyprostowanymi plecami i uniesioną wysoko głową. Czekala.

I czekała.

I czekała.

Zesztywniałem, przykucnięty na stopniu podwyższenia. Suknia Cecylia kołysała się i szeleściła, gdy dziewczyna przestępowała z jednej małej stópki na drugą. Wreszcie drzwi otworzyły się gwałtownie i do sali wszedł lord Robert w pełnej zbroi. Zbroja, podobnie jak jej właściciel, była czysta i świeża. Nic nie wskazywało na to, by lord Robert brał udział w bitwie. Wydawało się, że będzie wiecznie szedł przez gigantyczną komnatę. Nie było słyhać nic poza stukotem jego butów o posadzkę. Królowa Caroline zaczęła się podnosić, ale potem znowu opadła na tron we władczej, królewskiej pozie. Lord Robert uklęknął.

— Wstań.

— Wasza Miłość, twoje przewidywania się sprawdziły. Okolica otaczająca zamek należy do nas. Niebiescy wycofali się po krótkiej walce, a tamci stoją przy zachodnim moście.

Nie poruszyła się ani nic nie powiedziała, ale coś w niej rozbłysło, jak niewidzialna błyskawica.

— Jako dowódca mam obowiązek ci powiedzieć — ciągnął lord Robert — że odwrót Niebieskich ma charakter tymczasowy. Ich armia jest zaskoczona i zmieszana, stracili też żołnierzy w potyczkach na mostach, ale większości oddziałów tu nie było. Przegrupują się i będą kontynuowali oblężenie. Jeśli wpuszczymy tamtych do środka...

— Zróbcie to — rozkazała królowa. — Otwórzcie zachodnie bramy miasta i pałacu.

Lord Robert strzelił palcami. Kurier natychmiast zerwał się do biegu. Wybiegał z sali tronowej, odwracając się plecami do królowej! Caroline jednak milczała. Jej oczy błyszczały tak samo jasno jak korona. Lord Robert dołączył do doradców. Wyglądał na ich tle dziwnie: zakuty w zbroję

żołnierz w sile wieku wśród starców w zielonych szatach. Zauważyłem, że zacisnął w pięści wielkie, stwardniałe dłonie.

Nic nie rozumiałem — zachodnia brama? Armia królowej Isabelle przybyłaby z północy. Na zachodzie były tylko wioski, a dalej wysokie skaliste góry. Jeśli za nimi były jakieś reginokracje, nigdy nawet nie słyszałem ich nazw. Pamiętałem jednak obcych odwiedzających dawne komnaty królowej Caroline podczas długich tygodni poprzedzających śmierć jej matki. Wszyscy sprawiali wrażenie, że pokonali długą drogę, nawet jeśli niektórzy — z pewnością kurierzy — właściwie byli jeszcze chłopcami...

To właśnie taki chłopiec pierwszy wszedł do sali tronowej.

Nie był starszy ode mnie, ale wysoko unosił głowę, idąc samotnie przez ogromną komnatę. Nikt się nie odzywał, nie poruszał, a chyba nawet nie oddychał. Jedynym słyszalnym dźwiękiem był stukot jego butów o kamienną posadzkę. To były ciężkie buciory, z dziwnymi metalowymi kołpakami na noskach. Nie miał płaszcza — chyba że zostawił go przed wejściem — a tylko bluzę i spodnie z szorstkiej brązowej tkaniny, a na głowie wieniec z zeschniętych gałązek, wyglądający jak parodia kwiatnych wianków noszonych przez dziewczęta w dzień święta lata. Nie miał miecza ani żadnej innej broni. Gdy podszedł bliżej, wszyscy zauważyliśmy na jego czole niezwykle znaki namalowane czerwoną farbą.

Podszedł do samej podstawy schodów i nie uklęknął.

Wśród dworzan rozległ się szept jak wiatr dmący w polu. Chłopak zwrócił się ku nim. Lady Cecilia, stojąca najbliżej, skuliła się trwożnie. Poczułem, że moje mięśnie się napinają. Byłem gotowy skoczyć, gdyby jej dotknął. On jednak odwrócił się, przeszedł na lewą stronę podwyższenia i odwrócił plecami do tronu. A potem zaczął śpiewać.



Jego głos wypełniał całą komnatę. Był potężny i słodki, ale gardłowy. Niezwykłe słowa pieśni wznosiły się ku kopulastemu sklepieniu:

*Ay-la ay-la mechel ah!*

*Ay-la ay-la mechel ah!*

*Bee-la kor-so tarel ah!*

*Ay-la ay-la mechel ah!*

W drzwiach pojawiły się dwie kolejne sylwetki. To już nie byli chłopcy, lecz mężczyźni. Wojownicy. Mieli na sobie bluzy z kosmatego futra, buty o metalowych noskach i hełmy ozdobione gałązkami. W rękach trzymali pałki grube jak moja noga, a na plecach nosili dziwne metalowe kije. Za skórzane pasy zatknęli noże, ale nie mieli mieczy. Ruszyli przed siebie, śpiewając razem z chłopcem niskimi niemelodijnymi głosami i uderzając po drodze pałkami o posadzkę.

*Ay-la ay-la mechel ah!*

*Ay-la ay-la mechel ah!*

*Bee-la kor-so tarel ah!*

*Ay-la ay-la mechel ah!*

W połowie drogi wojownicy oddalili się od siebie. Jeden skierował się ku lewej ścianie, a drugi ku prawej. Następnie ruszyli wzdłuż nich, zatrzymując się w odległości kilkunastu stóp od podwyższenia. Pojawili się dwaj następni, potem jeszcze dwaj i kolejni. Wszyscy śpiewali tę samą gardłową pieśń, walili pałkami w posadzkę i zatrzymywali się pod ścianami. Zjawiało się ich coraz więcej, aż wreszcie na całej długości ogromnej komnaty pod ścianami stali wojownicy. Wciąż jednak napływali następni.

I następni.

I następni.

Ustawili się w dwa szeregi pod ścianami, a potem w trzy i w cztery. Hałas był ogłuszający. Doradcy królowej zerkali na siebie z ukosa. Wciąż zjawiali się nowi wojownicy.

*Ay-la ay-la mechel ah!*

*Ay-la ay-la mechel ah!*

*Bee-la kor-so tarel ah!*

*Ay-la ay-la mechel ah!*

W komnacie było pełno mężczyzn walących pałkami o posadzkę i śpiewających dziką nieokrzesaną pieśń. Zostało tylko wąskie przejście biegnące od drzwi do tronu. Ruszyło nim sześciu kolejnych chłopców z koronami z gałązek i czerwonymi tatuażami na czołach. Trzej walili w bębny, a trzej grali na instrumentach strunowych, brzmiających tak, jakby ktoś dusił koty. Za nimi podążali w dwóch szeregach mężczyźni w krótkich pelerynach z szarych piór. Ci nosili noże za zdobnymi pasami z paciorków. W długie włosy również wpletli koraliki. Muzycy — jeśli można ich tak było nazwać — dołączyli do stojącego przed dworzanami królowej śpiewaka, a kapitanowie wojowników rozeszli się do swoich ludzi. Śpiew przybrał jeszcze na intensywności, kocia muzyka lutni zwiększyła tempo, a pałki uderzały o posadzkę dwukrotnie szybciej.

*Ay-la ay-la mechel ah!*

*Ay-la ay-la mechel ah!*

*Sol-ek see-ma taryn ah!*

*Ay-la ay-la mechel ah!*

W drzwiach pojawił się samotny mężczyzna. Gdy zmierzał ku tronowi, wojownicy padali przed nim na jedno kolano. Przed królową tego nie zrobili. Twarz lorda Roberta pociemniała. Jego ręka powędrowała do uchwytu miecza. Wódz był prawdziwym olbrzymem o ogorzałej od słońca skórze i ciemnych, siwiejących włosach. W warkocze wplótł sobie paciorki, a jego pelerynę wykonano z piór wszystkich możliwych ptaków o wszelkich wyobrażalnych barwach. W chwili, gdy dotarł do podwyższenia, hałas ucichł.

Wódz spojrział na królową i opadł na jedno kolano. Nie pochylił jednak głowy. Patrzył jej prosto w oczy, pełen dumy i witalności. Miał najbardziej niebieskie oczy, jakie w życiu widziałem, jakby w głowę wprawiono mu skrawki firmamentu. Nie mogłem oderwać spojrzenia od tego błękitu. Przez dłuższą chwilę Caroline również nie była w stanie tego zrobić. Między tym dwojgiem przepływały całe rzeki.

Wreszcie wódz wstał i powiedział coś w swym gardłowym języku. Zza tronu wyszedł jakiś mężczyzna. Poznałem go: niski człowieczek o skwaszonej twarzy, w czarnym stroju z aksamitu. Ten sam, który odwiedził królową przed wieloma tygodniami. Nie miał teraz weselszej miny.

— Wasza Miłość, Solek, syn Taryna, przybywa na twój dwór, zgodnie z ustaleniami, by ofiarować ci usługi swej armii w zamian za uzgodnioną cenę.

— Powiedz mu, że jest mile widzianym gościem na dworze Reginokracji — odparła królowa Caroline.

Niski człowieczek przetłumaczył jej słowa.

— Lord Solek jest...

— Oni nie używają tego tytułu, Wasza Miłość — poprawił ją niski mężczyzna.

Przerwał królowej. Tego nigdy się nie robiło. Ona jednak pominęła to milczeniem, nie przestając wpatrywać się w oczy cudzoziemca.

— Przebywa teraz w mojej reginokracji i będzie nosił taki tytuł, jaki zechcę mu przyznać. Powiedz mu, że dla niego i jego kapitanów przygotowałam kwatery w pałacu, ale z głębokim żalem przyznaję, że nie jestem w stanie pomieścić całej jego armii.

Po przetłumaczeniu cudzoziemiec ryknął donośnym śmiechem. Ten dźwięk w sali tronowej budził zdumienie, jakby wtargnął tu rozjuszony niedźwiedź. Potem gość wygłosił krótką mowę.

— Wódz mówi, że jego ludzie oczywiście będą obozowali poza wyspą, a on razem z nimi.

Pomyślałem o otaczających wyspę wioskach z ich schludnymi chatami, małymi błoniami, owcami, kurami i ładnymi dziewczętami. Ci dzicy wojownicy — tak bardzo liczni, a na zewnątrz mogło ich czekać jeszcze więcej — byli najgroźniej wyglądającymi mężczyznami, jakich w życiu widziałem. Ledwie przypominali ludzi ze swymi kosmatymi futrami, pałkami uderzającymi o posadzkę niczym kopyta, pelerynami z piór i hełmami. A czym były te metalowe kije, które nosili na plecach?

— Eammons... — zaczęła królowa głosem tak cichym, że nawet ja, choć siedziałem bliżej niej niż ktokolwiek poza lordem Robertem, musiałem wyteżać słuch, by ją usłyszeć. — Czy jest jakiś uprzejmy sposób, by mu powiedzieć, że chaty wieśniaków — i ich kobiety — są dla nich nietykalne?

— Nie — odparł Eammons z niezadowoleniem w głosie. — Nie ma takiego sposobu. To byłaby straszliwa zniewaga.

— Te dzikusy nie przydadzą się nam, jeśli pokonają Niebieskich, ale zwrócą poddanych królowej przeciwko nam! — oznajmił tłumaczowi lord

Robert. W jego głosie pobrzmiwała dziwna satysfakcja, co z kolei rozgniewało królową.

Wstała z tronu i zeszła z podwyższenia. Natychmiast wszyscy z nas opadli na oba kolana. Żaden z dzikusów jednak tego nie zrobił. Królowa stanęła obok wodza, a tren zielonej sukni ciągnął się za nią po schodach.

— Nie ściskaj jego ręki, Wasza Miłość! — wysyczał tłumacz. — Na niebiosia, nie dotykaj go!

Nie zrobiła tego. W porównaniu z nim wydawała się maleńka, choć była wysoką kobietą.

— Przetłumacz to, co teraz powiem, dokładnie, Eammons — rozkazała cichym, kameralnym głosem. — Dokładnie, słowo w słowo. „Lordzie Soleku, będę mówiła szczerze. Wybacz mi nieznajomość waszych zwyczajów. Twój żołnierz jest silny i męski. Moi wieśniacy są łagodni. Czy dyscyplina i powściągliwość twoich żołnierzy dorównuje ich sile i umiejętnościom wojennym?”

— Wasza Miłość...

— Tłumacz!

Eammons wykonał rozkaz. Niebieskie oczy lorda Soleka pociemniały. Jego twarz przybrała twarde wyraz. Cofnąłem się o krok przed jego spojrzeniem. Dłoń lorda Roberta powędrowała ku rękojeści miecza. Królowa jednak się nie wzdrygnęła. Skierowała na dzikusa spojrzenie o wyrazie, jakiego nigdy nie widziałem na jej twarzy — bezbronnej, nagiej kobiecości. A potem dygnęła.

Z ust doradców i dworzan wyrwało się westchnienie. Lord Robert wyciągnął rękę, jakby chciał ją podnieść z pozy hołdu wobec obcego — była królową! Ona jednak zdążyła się już wyprostować, choć z jej wpatrzonych w lorda Soleka oczu nie zniknął błagalny wyraz. Dzikus odrzucił głowę do tyłu i znowu roześmiał się wniebogłosy. Następnie

zwrócił się ku swoim kapitanom i wygłosił długą przemowę. Kiedy skończył, każdy z mężczyzn uniósł lewą pięść i nie opuszczał jej przez chwilę.

— Zapewnił, że jego ludzie będą się trzymać z dala od twoich wiosek — zameldował Eammons.

Lord Solek powiedział znacznie więcej. Czy zagroził swym dzikusom karą, jeśli go nie posłuchają? Albo zapewnił, że otrzymają nagrodę, jeśli to zrobią? I co właściwie obiecała im królowa Caroline, żeby sprowadzić tu ich armię?

— Powiedz lordowi Solekowi, że o zachodzie słońca zapraszam go na kolację do moich komnat. Może przyprowadzić tylu dowódców swej armii, ilu zechce. Mamy wiele spraw do omówienia.

Czarne oczy królowej i błękitne oczy dzikusa nadal wpatrywały się w siebie. Żadne z nich nie odwracało wzroku.

Zamieszanie panujące wokół kolacji było olbrzymie. Okazało się, że królowa zaplanowała wszystko jeszcze przed oblężeniem i rozkazała zachować pewne artykuły na tę okazję. Wiosna jednak dopiero się zaczynała i nie mieliśmy świeżych warzyw i owoców, a jedynie suszone. Nie mieliśmy też świeżego mięsa, jedynie solone lub wędzone. Przerażonym kucharkom dano na przygotowania tylko kilka godzin.

— Co oni jedzą? — zawodziła jedna z nich. — To dzikusy!

— Słyszałam, że jedzą pieczone kamienie — oznajmiła drżącym głosem pomoc kuchenna. Kucharka ją spoliczkowała.

Królowa kazała mi załatwić w kuchni pewną sprawę. Zamknęła się w prywatnej komnacie z lordem Robertem i trzema najważniejszymi doradcami. Żaden z mężczyzn nie wyglądał na zadowolonego. Lord Solek wymaszerował z komnaty ze swoimi ludźmi. Po drodze wszyscy śpiewali i walili pałkami w posadzkę, tak samo jak poprzednio. Wszystkich paziów zagarnął zaganiany zarządca, który próbował ustawić stoły, zorganizować jakąś rozrywkę oraz ustalić kolejność rang w ciągu tych samych kilku godzin, które tak podenerwowały kucharzy. Damy, dworzanie i muzycy w jednej chwili przerodzili się z ofiar oblężenia w uczestników maskarady, którą trzeba było natychmiast przygotować. Pałac kipiał gorączkową aktywnością. Wszyscy snuli przerażające przypuszczenia na temat „dzikusów”. Mnie zaś wysłano do kuchni, żebym powiedział głównej kucharce, że tłumacz, Eammons, ma delikatny żołądek i może zjeść tylko kilka kawałków kurczaka oraz odrobinę chleba z trzy razy mielonego ziarna.

— Kurczaka! Nie mamy już kurczaków, chłopcze! I skąd wezmę chleb z trzy razy mielonego ziarna?!

Wyciągnęła rękę, by zdzielić mnie w ucho, zapewne dlatego, że nie mogła tak potraktować Eammonsa. Uchyliłem się zgrabnie i poszedłem poszukać Maggie.

Gdy ją znalazłem, lała pośpiesznie wino na suszone jabłka, a drugą ręką ugniatała ciasto na kruche ciasteczka.

— Jak mam zrobić deser bez cukru?

— Poradzisz sobie. Czy...

— Zostaw mnie, Roger. Nie mam dla ciebie czasu. Nie, zaczekaj... jakie wieści? Nie, zaczekaj, dlaczego te jabłka są takie mączyste?

Wiedziałem już o dziewczynach więcej niż kiedyś. Zawdzięczałem to lady Cecilii. Odepchnąłem Maggie łokciem na bok i sam zacząłem ugniatać ciasto, pozwalając jej się skoncentrować na dodawaniu przypraw do jabłek.

— Dzikusy rozbiły obóz na północnym brzegu rzeki, w Fairfield i dalej — zacząłem. — Wszyscy mieszkańcy opuścili wioskę, żołnierze na murach widzieli ich ucieczkę. Jak dotąd dzikusy nikogo nie skrzywdziły. Niebiescy obozują na równinie za Darton Ford, ledwie ich widać nawet z samego szczytu wieży. Wszyscy uważają, że do dalszych walk może dojść najwcześniej jutro rano. Co z twoim bratem?

— Jest z armią Niebieskich.

— Słyszałaś coś więcej niż to, co ci powiedziałem?

— Nie ugniataj tak mocno, Roger! To ciasto, nie kamień! Wiem tylko, że pierwsza bitwa właściwie nie zasługiwała na tę nazwę. Dzikusy nadeszły i gdy Niebiescy łucznicy wypuścili strzały, wystrzelili ze swych kijów ognistych i...

— Z czego?



— Nie przestawaj ugniatać! Czy nigdy nie robiłeś chleba? Dzikusy mają nową broń. Z końca ich metalowych kijów wypada ogień. Ogień i małe metalowe pociski, które nazywają „kulami”. Kilku ludzi zginęło, a reszta Niebieskich uciekła.

Nigdy nie słyszałem o takiej broni. Maggie również nie, sądząc po jej minie. Ubijała śmietaną z taką pasją, jakby chciała ją ukarać za jakiś grzech. Jej twarz zastygła w wyrazie zachwyty i strachu. Niemniej, jak to Maggie, nie przestawała mówić.

— Wszyscy powtarzają, że Niebiescy się przegrupują. Powiedz mi, co królowa obiecała dzikusom w zamian za pomoc w zdobyciu tronu Reginokracji?

— Nie wiem.

Spojrzała prosto na mnie. Blond włosy opadały jej na twarz, a szare oczy miały poważny wyraz. Była ładna. Nie tak piękna jak moja Cecilia, oczywiście, ale...

Dlaczego w takiej chwili myślałem o dziewczęcej urodzie?

— Naprawdę nie wiem, co im obiecała — zapewniłem. — Ale mam być na kolacji i może się dowiem.

Przeszyła mnie spojrzeniem.

— Masz być na kolacji? Kolacji dla lordów dzikusów?

— Tak.

Znowu było między nami jak wtedy, gdy opowiedziałem jej o przechodzeniu na drugą stronę i o tym, że moja matka umarła na Wrzosowisku Duszorośli. Nie ufała mi. Poczulem, że się wycofuje, niepowstrzymanie jak szybki odpływ.

— Mam tu robotę, Roger.

— Już idę — odparłem szybko. A niech ją. Staralem się, jak mogłem. Teraz już wiedziałem, dlaczego królowa Caroline była tak pogodna podczas

oblężenia. Wiedziała, że jej dzicy sojusznicy władają nową, potężną bronią. Miałem ochotę wbiec na mury, albo nawet wdrapać się na szczyt dzwonnicy, żeby sprawdzić, co się dzieje, ale nie śmiałem tego zrobić. Nadal było mi wolno chodzić tylko tam, gdzie wysyłała mnie królowa. Nadal byłem jej błaznem.

Kolację z lordem Solekiem i jego kapitanami urządzono w nowej komnacie audiencyjnej królowej. Pomieszczenie całkowicie zmieniło oblicze. Zniknęły chłodne — niebieskie i szare — barwy lubiane przez królową Eleanor. Zarządcy, biegający wkoło z krzykiem przez całe popołudnie, na nowo udekorowali komnaty królowej. Na ścianach, zawsze dotąd nagich, zawieszono zielone tkaniny, powiązane w draperie i girlandy ozdobionymi klejnotami wstążkami tego samego koloru. By pomieszczenie nie wywierało zbyt kobiecego wrażenia, między aksamitami i atłasami zawieszono tarcze. Stół na podwyższeniu nakryto zielonym adamaszkiem. Siedziała za nim królowa, lord Robert, trzech najbardziej zaufanych doradców, lord Solek, trzech jego wodzów, tłumacz oraz — ku mojemu zaskoczeniu — trzyletnia księżniczka Stephanie. Jej kolorem był fiolet. Suknia dziewczynki była miniaturą tej, którą nosiła jej matka, tyle że miała znacznie płytszy dekolt. Białe dziecko miało poważną minę. Na zwisających w strąkach włosach dziewczynki spoczywał mały złoty diadem ozdobiony pojedynczym ametystem.

Reszta dworzan i dam dworu siedziała na niżej ustawionym stole, obok pośpiesznie wzniesionego podwyższenia, na którym miały się odbyć tańce. Ja stałem za stołem królowej, razem z Zielonymi strażnikami. Pogodziłem się już z myślą, że nie dostanę nic do jedzenia.

— Później będziesz mi potrzebny — oznajmiła królowa. — Słuchaj wszystkiego.

Okazało się jednak, że nie dowiedziałem się wiele. Królowa i jej doradcy zaczęli od zwyczajowych komplementów wobec gości, przetłumaczonych przez Eammonsa. Jednakże wyrazy uznania wyraźnie krępowały lorda Soleka i jego wodzów, nie odwdzięczyli się też w taki sam sposób. Królowa zaczęła potem zabawę polegającą na pytaniu o nazwy rozmaitych przedmiotów w języku dzikusów. Powtarzała je udatnie i w zamian uczyła lorda Soleka naszych słów.

— A jak nazywacie to, mój lordzie?

Wskazała na wino w pucharze, obracając lekko nóżkę w palcach, by trunek zawirował, a klejnoty zdobiące jej pierścienie zapłonęły w blasku świateł. Kikut szóstego palca podkuliła, ukrywając go po wewnętrznej stronie dłoni.

— Kekl.

To słowo zabrzmiało jak chrząknięcie dzikiej świni. Lord Solek zjadł i wypił bardzo wiele, ale wino najwyraźniej na niego nie działało.

— Kekl.

W jej ustach brzmiało to jak muzyka. Znowu roześmiał się gromko. Doradcy rozciągnęli usta w wymuszonych uśmiechach. Lord Robert się nie uśmiechał. Nie zrobił tego ani razu przez cały wieczór.

— A to?

Jej miękkie palce sugestywnie dotknęły pucharu.

— Vlak.

— Vlak — powtórzyła. — Kekl we vlaku.

Był oczarowany, niemal wbrew woli. Żar, który poczułem między nimi, już na pierwszy rzut oka był czymś więcej niż zwyczajnym ogniem płonącym między mężczyzną a kobietą. Teraz jednak gapił się na nią z wyrazem zdziwienia. Zastanawiałem się, jakie są kobiety w jego nieznanym kraju, daleko za odległymi górami na zachodzie.

Lord Robert pił coraz więcej.

— Wino — powtórzył lord Solek. W jego ustach zabrzmiało to gardłowo. — Królowa Caroline.

— Tak — zgodziła się. Spojrzeli sobie w oczy. Jej doradcy przyglądali się temu niespokojnie, a jego wodzowie nieufnie. Wszyscy poczuli ulgę, gdy zaczęły się tańce.

Uczestniczyła w nich lady Cecilia. Widowisko było szokujące. Nie dla gości, którzy gapili się na nie bez zrozumienia, lecz dla dworu. Majestatyczne tańce lubiane przez starą królową zniknęły bez śladu. Cecilia, lady Jane, lady Sarah, lordowie: Thomas, George i Christopher — wszyscy wykonywali tańce ludowe, jakby byli wieśniakami. Skakali, kołysali biodrami, stukali ozdobionymi klejnotami pantofelkami i wypastowanymi na wysoki połysk butami. Kobiety z pasją zamiatały spódnicami, pokazując kostki, a nawet kolana, mężczyźni zaś zataczali partnerkami kręgi tak gwałtowne, że ich stopy unosiły się nad podłogę. Miano urządzić też maskaradę, ale nie doszło do niej, ponieważ po drugim szokującym tańcu lord Solek zeskoczył z podwyższenia na podłogę i wyrzucił jakieś słowa.

— Powiedział, że... — wykrztusił Eammons. — Że zatańczy z Waszą Miłością.

Zapadła głucha cisza.

Nikt nie prosił królowej do tańca. Wybór był jej prerogatywą. Nawet lordowi Robertowi nie było wolno złamać tej zasady. Ale to były dawne tańce, na poprzednim dworze. Wódz dzikusów stanął na gładkiej kamiennej posadzce i wyciągnął rękę ku podwyższeniu. W jego jaskrawoniebieskich oczach gorzało zaproszenie i wyzwanie.

Królowa Caroline wzięła tren w rękę i zeszła na dół.

— Grajcie — rozkazała muzykom.

Poraził ich szok tak silny, że niemal nie byli w stanie jej posłuchać. Wargi fletnisty zeszywniały z przerażenia, ledwie zdołał ująć instrument. Jakoś jednak udało się im zacząć, a potem się rozkręcili. Królowa i dzikus zatańczyli.

Był szybki i poruszał się z gracją atlety, a tańce ludowe były, rzecz jasna, znacznie prostsze od niekończących się wymyślnych figur tańców dworskich. Lord Solek poradził sobie całkiem nieźle. Caroline opływała go jak woda. Nawet na wysokich obcasach wydawała się maleńka w porównaniu z potężnym dzikusiem. Gdy pod koniec tańca podrzucił ją wysoko, poleciała niemal pod sufit. Potem zsunęła się w dół po jego ciele, aż wreszcie dotknęła podłogi. Znowu zapadła cisza. Nikt nie odważył się poruszyć ani nic powiedzieć.

— Wszyscy tańczą — rozkazała królowa.

Panika. Ale kontrolowana.

Kolejni dworzanie i damy odeszli od stołów i wspięli się na podwyższenie do tańca. Trzej towarzysze dzikusa poderwali się nagle. Każdy złapał jedną z dam. Wszystkie trzy miały przerażone miny. Lady Cecilia skuliła się trwożnie w ramionach lorda Thomasa, starając się maksymalnie oddalić od barbarzyńców. Zaczęły się tańce.

Trwały około godziny. Małą księżniczkę niania zaprowadziła do łóżka. Zarządcy przynieśli więcej wina i ale. Dzicy wojownicy wykonali „taniec” ze swego kraju, polegający na brutalnym skakaniu ku sobie z wyciągniętymi nożami w imitacji trzyosobowej walki. Miałem wrażenie, że w każdej chwili może się ona przerodzić w prawdziwą. To miał być taniec? Kiedy skończyli, wszyscy uścisnęli sobie z uśmiechem dłonie i uklękli przed lordem Solekiem, który lekko skaleczył ich własnym nożem w lewe policzki. Na ich brody skapnęły kropelki krwi. Wszyscy trzej znowu się roześmiali. Królowa się uśmiechnęła. Nawet ja, choć

obserwowałem ją uważnie dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, i zrobiłem dla niej coś, czego nie potrafiłby dokonać nikt inny w Reginokracji, nie potrafiłem ocenić, czy ten uśmiech jest szczery, czy wykalkulowany. Albo i jedno, i drugie.

Potem zabawa się skończyła. Dzikusy opuściły pałac. Dworzanie, damy i doradcy udali się na spoczynek. Zieloni strażnicy wpuścili mnie do zewnętrznej komnaty królowej, gdzie nadal sypiałem przy kominku. Przekradałem się ostrożnie przez pogrążoną w mroku salę, wysoko unosząc świecę. Jednakże z prywatnej komnaty również padał wąski snop światła. Drzwi były uchylone. Usłyszałem krzyki lorda Roberta.

— Mało tego, że obiecałaś księżniczkę jego barbarzyńskiemu synowi? Czy musisz jeszcze...

— To nie twój interes.

— Obiecować mu statki, ich kapitanów i...

— Robię to dla dobra Reginokracji!

— Sprzedajesz mu ją! Naprawdę wierzysz, że potrafisz nad nim zapanować, gdy już pokona Niebieskich? Nie zostanie nam nic poza bandą dzikusów, a oni słuchają jego rozkazów. Te ich cholerne strzelby...

To było dziwne słowo. Nigdy dotąd go nie słyszałem. Słyszałem jednak ton, którym odpowiedziała mu królowa, i wiedziałem, że lord Robert ignoruje go na własne ryzyko.

— Nikomu nie pozwolę zapanować nad moją Reginokracją, lordzie Robercie.

— A jak zamierzasz go powstrzymać? Wpuścisz go do swego łóża?

— Jak śmiesz!

— Obwąchiwałaś go jak suka obwąchuje trop psa!

Rozległ się ostry trzask dłoni uderzającej o ciało. Z pewnością go spoliczkowała. Przerażony tym, zacząłem się wycofywać ku drzwiom

wejściowym. Zgasilem lampę i po ciemku celowo przewróciłem stolik, a potem zakląłem głośno.

— Kto idzie? — zawołał lord Robert. Otworzył nagle drzwi prywatnej komnaty i wyjrzał na zewnątrz. Jego sylwetka rysowała się na tle światła.

— To ja, mój lordzie! Błazen Roger! Potknąłem się, wchodząc do...

— Chodź tu, Roger! — zawołała królowa.

Wymacywałem po ciemku drogę do prywatnej komnaty, pocierając się w łydkę. Starałem się sprawiać wrażenie możliwie głupiego i nieszkodliwego. Lord Robert łypnął na mnie spode łba. Królowa była spokojna, zdążyła już zamaskować furję.

— Możesz odejść, lordzie Robercie — oznajmiła zimno.

Zapanował nad sobą. Być może pomógł mu w tym policzek. Nie był jednak tak dobrym aktorem jak ona i gdy się pokłonił i wychodził, jego twarz przybrała czerwony odcień. Królowa przyjęła to z uśmiechem.

— Co usłyszałeś? Nie kłam, Roger, nie przede mną.

— Słyszałem gniewne głosy, ale nie rozumiałem słów. A potem potknąłem się o stołek.

Przyjrzała mi się uważnie. Nie potrafiłem odgadnąć, czy mi uwierzyła, czy też tylko zapamiętała sobie moje kłamstwo, by je wykorzystać w przyszłości.

— Mam dla ciebie zadanie — powiedziała.

— Tak jest, Wasza Miłość.

Podniosła z blatu małe, zdobione klejnotami nożyczki — elegancką zabawkę służącą do przycinania nici.

— Przejdiesz na drugą stronę i odnajdziesz jednego z dzikich wojowników, którzy polegali w bitwie z Niebieskimi. Było ich tylko dwóch. Zginęli od strzał. Niebieskim łucznikom się poszczęściło, ale zaraz potem

cała ich armia uciekła. Dowiesz się od dzikusa dwóch rzeczy. Najpierw zapytasz: *Solek mechel-ah nafyn ga?* Odpowie ci *ven* albo *ka*. Powiem te słowa jeszcze raz. Słuchaj uważnie, a potem je powtórz.

Z pewnością nauczyła się ich od Eammonsa. Ile słów znała? Czy wzajemna nauka języków z Solekiem podczas kolacji była tylko wdzięczną kobiecą sztuczką? Niewykluczone, że już przedtem rozumiała większość z tego, co mówił dzikus. Albo i nie. Powtarzaliśmy słowa raz po raz, aż wreszcie królowa się upewniła, że wymawiam je poprawnie.

— Dobrze, Roger. A teraz drugie...

— Wasza Miłość, cokolwiek znaczą te słowa, prości żołnierze...

— Prości żołnierze wiedzą wszystko — odparła spokojnie. — Tak samo jak pomoce kuchenne.

Czy to miała być aluzja do Maggie, być może nawet groźba? Nie potrafiłem tego odgadnąć. Królowa pozostawała dla mnie nieprzenikniona. Nie zapomniałem jednak, że otruła własną matkę.

— Po drugie, chcę, żebyś poznał tajemnicę ognistego proszku używanego w strzelbach ich wojowników. Jak się go produkuje? Jakiego materiału i jakich metod używa się do produkcji rur, z których wylatują pociski?

— Wasza Miłość...

Położyła dłoń na moim ramieniu.

— To ważne, Roger. Najważniejsze ze wszystkiego, o co cię dotąd prosiłam. Może od tego zależeć los Reginokracji. Za kilka dni przybędą kolejni sojusznicy, ale na razie to bardzo mi pomoże. Czy mogę na ciebie liczyć?

To było jej najcieplejsze, najbardziej przekonujące oblicze. Groźba i ciepło zmieszane ze sobą. Skinąłem głową, zbyt przerażony, by cokolwiek rzec. Ona jednak nadal przyglądała mi się z uwagą i nie mogłem się obyć



bez słów. Chciałem powiedzieć: „Tak, Wasza Miłość”, lecz z moich ust wydobyły się słowa:

— Jacy sojusznicy?

Zmarszczyła brwi i cofnęła rękę. A potem się roześmiała.

— Czemu by nie? To właściwie nie jest tajemnica. Jestem pewna, że na dworze krążą różne domysły. Żona mojego brata, królowa Isabelle, wysłała żołnierzy, którzy wesprą armię lorda Soleka. Jej oddziały są już w drodze.

Królowa Isabelle. A więc miałem rację, przynajmniej częściowo. Królowa Caroline zachowywała tak wielki spokój podczas oblężenia dlatego, że miała nie tylko jedną, lecz dwie armie, by walczyć z Niebieskimi, którzy powstali przeciwko niej. Potem zrozumiałem coś jeszcze. Armia królowej Isabelle, lojalna wobec królowej Caroline dzięki więzom małżeńskim, zapewni, że lord Solek nie zagarnie tronu dla siebie. Królowa nie ufała mu całkowicie. Miała też inne zabezpieczenie. Los Reginokracji wcale nie zależał od mojego meldunku z krainy Umarłych. Caroline jednak nie wierzyła, że wódz dzikusów — który w końcu nawet nie znał naszego języka — albo ja uświadomimy sobie ten fakt.

Po raz pierwszy, choć na mgnienie oka, pomyślałem, że mam nad nią przewagę.

— Jesteś gotowy, Roger? To ruszaj.

Wręczyła mi zdobne nożyczki. Wbiłem je w miękkie ciało przedramienia, tuż nad żółtą aksamitną częścią dwubarwnego rękawa i przeszedłem na drugą stronę.

*Ziemia w ustach...*

*Robaki w oczach...*

*Gleba więżąca moje odarte z ciała ręce i nogi...*

Potem wrażenie minęło i zorientowałem się, że coś jest bardzo nie w porządku.

# 19

Umarli jak zwykle siedzieli albo leżeli, gapiąc się w pustkę. Ale ziemia nie wyglądała jak trzeba. Byłem przyzwyczajony do tego, że kraina Umarłych rozciąga się albo kurczy i to, co w krainie żywych znajdowało się blisko, tu może być odległe o wiele mil. Ale grunt zawsze wyglądał tak samo, porośnięty krótką gęstą trawą, niebo było szare i jednolite, rzeka zaś meandrowała powoli po płaskim terenie.

Ale nie teraz. Trawa skupiała się w nierówne kępy. Niektóre miejsca porastało wysokie zielsko, inne pokrywała niska murawa, jeszcze inne były zaś zupełnie łyse. W rzece były skały, a woda płynęła szybciej, tworząc wokół nich wiry, tryskające gdzieś białą pianą. Niebo wydawało się ciemniejsze, a ziemią pod moimi stopami wstrząsały ciche pomruki. Co się działo w tym miejscu, gdzie nic się nigdy nie działo?

Zdumiony tym wszystkim, ruszyłem wzdłuż rzeki. Nie zauważyłem nikogo znajomego. Po chwili drzewa stały się liczniejsze, skupiając się w gaje, a potem w małe lasy. Okolica była coraz dziksza i musiałem się oddalić od brzegu. Nie mogłem znaleźć dwóch zabitych dzikusów, a nawet, gdyby mi się to udało, siedzieliby spokojnie, nieosiągalni dla mnie tak samo jak reszta Umarłych. Co miałem zrobić?

Nagle zza gęstych krzaków wyskoczył na mnie jakiś mężczyzna. Uderzyłem go, a on mi oddał. Cios trafił mnie w szczękę, nie na tyle mocno, by ją złamać, ale wystarczająco, bym upadł na ziemię. To był Niebieski żołnierz. Leżałem, dysząc ciężko. Złapał mnie za rękę i powlókł do drugiego żołnierza, który mnie poznał.

— Chłopcze! Czy ta dziwka, królowa, przysłała cię tu znowu?

To był ten sam mężczyzna, z którym rozmawiałem poprzednim razem.

— T... tak — wyjąkałem. — Kazała mi... kazała mi sprawdzić, jak się mają sprawy w Kraju Czarowników, bo na razie nie może tu wrócić.

Splunął. Jego ślina utworzyła na ziemi małą wilgotną plamkę. Czy Umarli zawsze potrafili to robić? Ale ten człowiek z pewnością nie wierzył, że umarł. W krainie Umarłych pełno było teraz ludzi, którzy, jak Gacek, nie wierzyli, że do niej trafili. A ponieważ Niebiescy żołnierze nie zachowywali się jak Umarli, krajobraz zaczął się robić burzliwy. Podziemne łoskoty, wiatr, błyskawice, ciemniejące niebo — wszystko to się nasilało razem ze wzrostem liczby Niebieskich poległych w bitwie po drugiej stronie. To ja byłem temu winien. Ja, Roger Kilbourne, ze swymi kłamstwami o „Kraju Czarowników”.

— Wszystko tu dzieje się powoli — oznajmił mi kapitan Niebieskich. — Nie znaleźliśmy drogi powrotnej do Reginokracji. Królowa Eleanor nadal pozostaje pod wpływem zaklęcia. Nie je, nie śpi ani nie mówi. Ale zjawilo się więcej naszych, wysłanych tu przez magiczne kije ogniste.

— Kije ogniste?

— To broń zionąca ogniem i magią. Włada nią armia czarowników śpiewających obmierzłe zaklęcia. — Zadrzał i znowu splunął. — Za murami miejskimi stoczono bitwę. Zwyciężyła w niej plugawa magia.

Strzelby. Dzisiejsza potyczka była niewielka. Lord Robert powiedział, że do walnej bitwy dojdzie jutro rano. A gdy dalsi Niebiescy żołnierze zginą i tu przybędą, oni również usłyszą, że znaleźli się w Kraju Czarowników. W ten sposób będzie rosła liczba ludzi, którzy nie będą się zachowywać jak Umarli, bo nie będą wiedzieć, że nie żyją.

— Złapaliśmy jedną czarownicę — oznajmił złowrogim tonem Niebieski. — Przed chwilą. Spalimy ją.

— Złapaliście czarownicę?

— Tak. Powiedz to królowej-wiedźmie, kiedy sprowadzi cię z powrotem! — Na jego twarzy pojawił się osobliwy wyraz przerażenia pomieszanego z chytrą. — Czy rozbiera cię do naga, by rzucić swe czary? I siebie też?

— Nie. Tak. Nie.

Ledwie wiedziałem, co mówię. Złapali tu czarownicę, jakąś kobietę, i chcieli ją teraz spalić? Skąd się tu wzięła? Kim była?

— Czy królowa-dziwka...

— Czy mogę zobaczyć tę czarownicę? — zapytałem. — Mógłbym... mógłbym powiedzieć... królowej-dziwce, że nie panuje nad Krajem Czarowników tak pewnie, jak jej się zdaje!

Po chwili zastanowienia skinął głową. Ziemię pod moimi stopami przeszył łoskot.

— Chodź, chłopcze.

Podążyłem za nim przez równinę, oddalając się od rzeki. Zmierzaliśmy ku kolejnemu laskowi. Liście poruszały się na niespokojnym podmuchu, choć przedtem nigdy nie było tu wiatru. Za drzewami czekało z górą trzydziestu Niebieskich. Niektórzy stali, inni siedzieli, ale żaden z nich nie zachowywał się jak Umarły. Jeden z kapitanów trzymał za ramiona wyrywającą się dziewczynę. To była Cat Starling.

— Puśćcie mnie! — wołała. — Puśćcie!

Obok niej zgromadzono wielki stos suchego drewna. W jego centrum wbito w ziemię wysoki pal.

— Ratunku! — zawołała Cat. Zamarłem w bezruchu, oniemiały. — Pomóż mi, kimkolwiek jesteś! Nie zrobiłam nic złego! Ja chcę do mamy!

— Zwiążcie ją — rozkazał jeden z Niebieskich.

Żołnierz pociągnął Cat, nadal wzywającą rozpaczliwym krzykiem mamę, w stronę stosu. Drugi wręczył mu dwa długie pasy czerwonej wełny,

oderwane od jej spódnicy.

— Ma szósty palec — oznajmił towarzyszący mi Niebieski. — Tak samo jak królowa-wiedźma, która nad tobą panuje. To ci się spodoba, chłopcze.

Wreszcie odnalazłem zgubiony mózg.

— Chwileczkę! Muszę najpierw z nią porozmawiać!

Żołnierz skrzywił się z niezadowoleniem.

— A po co?

— Żeby... żeby... — Nagle przypomniały mi się wiejskie przesady, poznane przeze mnie na jarmarkach, które odwiedzałem z Hartahem. Pomyślałem też o Gacku i o „Frances Ormund”. — Żeby zabrać jej amulet! Dopóki go ma, nie spłonie.

— Aha, to prawda — zgodził się siedzący na ziemi Niebieski. — Moja babcia zawsze tak mówiła. Magiczne amulety chronią czarownice przed ogniem.

— Jesteś odważnym człowiekiem — rzekł mi pierwszy żołnierz. Odsunął się z szacunkiem i podszedłem do Cat.

— Daj mi ją.

Kapitan mnie posłuchał. Objąłem ramieniem talię dziewczyny. Miotła się i okładała mnie pięściami, ale nie umiała się bić i byłem w stanie ją utrzymać, choć nie bez wysiłku. Zaczęła się szarpać i wrzeszczeć jeszcze gwałtowniej. Korzystając z zasłony jej krzyków, powiedziałem jej prosto do ucha, tak stanowczo i autorytatywnie, jak tylko potrafiłem:

— Cat Starling, to wiadomość od twojej matki. Pomyśl o rzece w Stonegreen. Wyobraź ją sobie dokładnie i zapragnij tam się znaleźć. Natychmiast!

Sprawiła wrażenie, że mnie nie usłyszała. Żołnierze popatrzyli na siebie nawzajem. Czy to podejrzenie dostrzegłem na twarzy jednego z nich?

Miałem szukać amuletu, wsadziłem więc dłoń pod jej bluzkę, między piersiami.

Gdy tylko dotknąłem jej skóry, natychmiast poczułem potężny wzwód. Na Cat podziałało to inaczej. Uniosła rękę i przeorała mi twarz paznokciami.

— Mama! — krzyknęła. W następnej chwili wzbiła się w powietrze i poleciała szybciej niż ptak ku odległemu miejscu, gdzie powinno się znajdować Stonegreen.

Wszyscy żołnierze krzyknęli głośno i padli na twarze. Prawdę mówiąc, ja również zadrzałem. Cat rzeczywiście wyglądała jak czarownica, gdy od nas uleciała, choć wiedziałem, że jest tylko słabą na umyśle dziewczyną, która nie potrafi zrozumieć, że nie żyje. Podobnie jak Gacek, który wzbił się do lotu na szczyt urwiska, bo tego pragnął. Co jeszcze potrafili Umarli? I kiedy Niebiescy się o tym dowiedzą? Z pewnością nie umieli zabijać się nawzajem po raz drugi, ale Cat o tym nie wiedziała. Jej ciało nie spłonęłoby naprawdę, ale przynajmniej oszczędziłbym jej dalszego przerażenia.

W jaki sposób umarła w świecie żywych? Czy tam również spalono ją jako czarownicę?

Jeden z Niebieskich podniósł się ostrożnie.

— Masz amulet, chłopcze? — zapytał.

— Nie. Była dla mnie za szybka.

— Tak to już jest z czarownicami — zgodził się inny żołnierz z przygnębieniem w głosie. — Czy królowa-dziwka cię dręczy, chłopcze? — zapytał, spoglądając na moją krwawiącą rękę i na siniak na szczęce.

— Czasami. Nie... ojej, wzywa mnie!

Zrobiłem minę dzielnego człowieka, który cierpi bez słowa skargi, i wróciłem na drugą stronę. W tej samej chwili na niespokojnym niebie rozbłysła nagle, szokująca błyskawica.

Królowa siedziała za rzeźbionym stołem, trzymając w ręce puchar wina. Jej wyszywane zielonymi klejnotami spódnice kończyły się na podłodze w odległości kilku cali od miejsca, gdzie leżałem. Po raz pierwszy po moim powrocie obawiała się mnie dotknąć.

— Roger, widziałam, jak wszystkie te zadrapania pojawiły się nagle na twojej twarzy — odezwała się.

Uniosłem rękę do podrapanego przez Cat policzka i zobaczyłem na palcach krew. A więc tak to działało. Nigdy dotąd nikt nie był świadkiem tego, jak robiłem sobie krzywdę w tej drugiej krainie.

— Chcesz... Chcesz trochę wina? — zapytała królowa.

— Tak, proszę, Wasza Miłość.

Usiadłem ostrożnie. Szczęka bolała mnie w miejscu, gdzie uderzył mnie Niebieski. Dotknięcie kielicha ustami również sprawiło mi ból. Mimo to wypilem wszystko.

— A teraz mi powiedz... — Jej niepewność zniknęła, podobnie jak troska o mnie. Znowu stała się królową. — Co odpowiedziały dzikusy na twoje pytanie? *Ven* czy *ka*?

Podczas kolacji słuchałem z uwagą. *Ven* znaczyło „tak”, a *ka* „nie”. Sądziłem, że wiem, jaką odpowiedź pragnie usłyszeć królowa, i takiej też jej udzieliłem.

— Powiedzieli *ven*, Wasza Miłość. Lord Solek chce zagarnąć twój tron. Zesztywniała nagle.

— Skąd wiesz, co znaczą te słowa?

Błąd, błąd. W głowie zamieszało mi wino, ból szczęki i wspomnienie widoku Cat Starling. Nie zamierzałem zdradzić królowej Caroline, że wiem, o co pragnęła zapytać Umarłych dzikusów, tak samo, jak nigdy bym nie przyznał, że sam wymyśliłem odpowiedź. Było już jednak za późno, żeby to zmienić.

— Wasza Miłość, podczas kolacji z lordem Solekiem wymieniłaś z nim słowa znaczące „tron”, kiedy go uczyłaś, a on zapoznał cię z ich słowem znaczącym „chcieć”, kiedy domagał się więcej ale... Przepraszam, że stałem tak blisko.

— Masz dobry słuch — przyznała z dezaprobatą. — Zapamiętam to sobie, Roger.

— Tak, Wasza Miłość.

— To znaczy, że odpowiedział *ven*. Jesteś tego pewien?

— Tak, Wasza Miłość.

Moje kłamstwa mnożyły się jak mrówki na wiosnę. Kiedyś bałbym się okłamać królową. Nie spodziewałem się jednak, by to kłamstwo, ostrzegające ją przed lordem Solekiem, miało mi zaszkodzić. Z pewnością spodziewała się takiej odpowiedzi. Gdybym powiedział *ka*, byłoby jeszcze gorzej. Zresztą nie uwierzyłyby mi.

— A drugie pytanie? Jak się produkuje proszek ognisty?

— Wasza Miłość, jak mogliby mi to powiedzieć? Wskazałem na ich strzelby...

— To znaczy, że nadal je tam mają?

Po raz pierwszy zapytała mnie o samą krainę Umarłych, zamiast o informacje dotyczące krainy żywych. Jednakże ciekawość szybko ją opuściła. To była boczna droga, a ambicja królowej kazała jej trzymać się głównego szlaku.

— Mają je, tak jest — potwierdziłem. — Wskazywali na nie i pokazywali mi na migi, że oni ich nie produkują, proszku ognistego też nie. Mają do tego specjalnych rzemieślników, tak samo, jak my mamy kowali albo budowniczych okrętów.

— To ma sens — przyznała po chwili zamyślenia. Odetchnąłem z ulgą. Żuchwę wypełniał mi pulsujący ból. Czułem, że mi puchnie. Podrapany



przez Cat policzek piekł mnie dotkliwie.

Królowa wstała raptownie, zamiatając zielonym jedwabiem.

— Dobrze się spisałeś, Roger. Dziękuję. Oto znak mojego uznania.

Zdjęła z palca złoty pierścień wysadzany drobnymi szmaragdami i wręczyła mi go.

— Wasza Miłość...

— To dla ciebie. A teraz kładź się spać. Jest już po północy. Byłeś tam dłużej niż zwykle. Bitwa może się zacząć już o świcie. Chcę, żebyś obserwował ją ze mną.

— Ja?

— Kto wie, czego się nauczysz? Nawet ja nie przypuszczałam, że jesteś taki bystry. Może pragniesz zająć miejsce Eammonsa jako tłumacz?

— Nie, nie, z pewnością nie...

— To był żart, Roger.

Nie uśmiechała się jednak. Jej ciemne oczy upstrzone srebrnymi plamkami nie przestawały się we mnie wpatrywać, nawet gdy wywlokłem się z komnaty, ściskając w jednej ręce pierścień, który mi dała. Żuchwa opuchła mi boleśnie od ciosu zadanego w krainie Umarłych. Nie byłem tam bezpieczny. Tu również nie.

Cichutko zamknąłem za sobą drzwi do prywatnej komnaty i spędziłem kolejną bezsenłą noc przy kominku.

## 20

Królowa mówiła prawdę. Bitwa zaczęła się tuż przed świtem.

Stałem na wieży pałacowej, opatulony w płaszcz. W całym mieście na wyspie nie znalazłoby się drugiego miejsca położonego wyżej niż dwa piętra, a i ono było jedynie płaskim dachem dzwonnicy, ciasnym jak mała sypialnia. Dach był otoczony niskim kamiennym murkiem. Drewniana kłapa, teraz otwarta, prowadziła na kręte schody wiodące przez komorę dzwonu w dół, do pałacu. Tłoczyliśmy się na tej małej przestrzeni z królową Caroline, kilkoma doradcami oraz jej osobistymi Zielonymi strażnikami.

Nikt się nie odzywał. Dał lekki wietrzyk. Skryte jeszcze za horyzontem słońce barwiło niebo na wschodzie na czerwono, jakby krew już popłynęła.

Widziałem stąd cały rozciągający się w dole pałac. Nigdy dotąd nie ujrzałem go z takiej perspektywy. Wreszcie sobie uświadomiłem, że rysujący się słabo w półmroku labirynt budynków i dziedzińców, tak bardzo dezorientujący dla kogoś, kto musiał wędrować po nim bez przewodnika, w rzeczywistości składa się z symetrycznych wzorców. Całość była znacznie większa, niż mi się zdawało, wyglądała jak piękna ogromna róża z kamienia, o tak wielu płatkach, że nie sposób było ich zliczyć. Wszystkie dziedzińce były obecnie puste, z fontann nie płynęła woda, ale świeże zielone pączki wydawały się szare w bladym świetle. Na pałacowych murach stali Zieloni żołnierze, podobnie jak na umocnieniach biegnących wzdłuż brzegów samej wyspy. Między nimi leżał wąski krąg miasta namiotów, opustoszały, podobnie jak dziedzińce. Wielkie bramy miejskie zamknięto, a mostów strzegli kolejni żołnierze. Czy w jednym z tych

namiotów siedziała Matka Chilton? Czy Maggie ugniatała w kuchni chleb na ucztę zwycięstwa, którą się urządzi, jeśli armia lorda Soleka pokona Niebieskich starej królowej?

A jeśli dzicy wojownicy nie zwyciężą...

Nie mogłem o tym myśleć. Mój umysł odrzucał tę możliwość. My, którzy byliśmy najbliżej królowej, z pewnością zginiemy, ale nie byłem w stanie zastanawiać się nad tym, jak to się stanie. Mój umysł nie potrafił ogarnąć możliwości, podobnie jak tego, co mogło leżeć za blednącymi teraz na niebie gwiazdami.

Ostatnie z nich zniknęły i weszło słońce.

Armia Niebieskich skupiła się na północnej równinie, piechota pośrodku, a łucznicy na obu skrzydłach. Konni oficerowie stali rozproszeni za swymi korpusami. Bęben zagrał sygnał: Bum bum BUM BUM bum. Nie wiedziałem, co on oznaczał, ale krew obróciła mi się w wodę na ten dźwięk.

Nocą wojownicy Soleka przekroczyli rzekę, opuszczając Fairfield. Stali teraz na północnym brzegu Thymaru, na wprost od miasta. Wczoraj wydawało mi się, że jest ich bardzo wielu. Wypełnili salę tronową tłumem śpiewających i walących pałkami w posadzkę ludzi. Na tle Niebieskich sprawiali jednak wrażenie żałośnie małej garstki. Nie ustawili się też w regularne szyki, lecz zbili w chaotyczne grupki. Wyteżając wzrok w bladym świetle poranka, odnosiłem wrażenie, że wielu z nich się śmieje. Czy to możliwe? Czy ludzie rzeczywiście śmieją się przed bitwą? Nie mogłem tego wiedzieć, niemniej wydawało się to dziwne.

Wśród dzikusów był też jeden korpus Zielonych, żołnierze lorda Roberta. Resztę swoich ludzi zostawił w pałacu. Mieli bronić królowej aż do końca, gdyby okazało się to konieczne. Lord Robert dosiadał ogromnego karego rumaka. Wspaniałe zwierzę miało uzdę wysadzaną zielonymi

klejnotami, a na zbroi nosiło herb królowej. Zieloni stali za swoim dowódcą, unosząc tarcze, milczący i nieustępliwi.

Lord Solek również tam był, na czele swych dzikusów. Ani on, ani jego ludzie nie wdziali żadnych zbroi, choć mieli tarcze. Wszyscy wsparli o ziemię tępe końce swych strzelb. Na lewo od małej armii ujrzałem z zaskoczeniem muzyków, tych samych co wczoraj. Był wśród nich chłopak z gałązkami we włosach i dwóch innych młodych śpiewaków. Gdy słońce zabarwiło niebo na kolor farby na jego twarzy, chłopak zaczął śpiewać, a muzycy grać.

Dziwaczne instrumenty zawodziły przeraźliwie. Potężne głosy młodzieńców unosiły się w porannym powietrzu. Dzikusy śpiewały, maszerując naprzód w nierównych szeregach. Strzelby zwisały luźno z ich rąk. Bęben po przeciwnej stronie pola zmienił rytm — BUM BUM BUM — i Niebiescy również ruszyli przed siebie.

Królowa wsparła dłonie na kamiennym murku i wychyliła się do przodu, mówiąc coś pod nosem. Czy to była modlitwa? Klątwa? Groźba?

Dwie armie maszerowały na siebie.

Niebiescy żołnierze nałożyli strzały na cięciwy, choć ledwie byli w zasięgu, i wypuścili je. Kilka z nich trafiło dzikich żołnierzy, którzy padli na ziemię. Lord Robert stanął w strzemionach i machnął mieczem. Nie widziałem lorda Soleka, który maszerował na czele swych ludzi, ale nagle zabrzmiał ogłuszający hałas, jakiego nigdy nie słyszano na tej równinie. Trzask trzask trzask — dzikusy powodowały wybuchy swoimi strzelbami.

Z końca każdego metalowego kija buchał ogień. Wiele pocisków uderzało w tarcze Niebieskich, wystarczająco silnie, by ich obalić na ziemię. Gdy się podnosili, drugi szereg dzikusów wysunął się przed pierwszy i wystrzelił. Usłyszałem krzyki ludzi. Tym razem większość nie wstała. Ze strzelb buchał dym, spowijający całunem pole bitwy.

Dzikusy zmieniły szyk. Trzeci szereg rozstał się na boki i wystrzelił do łuczników. Ludzie z pierwszego tymczasem robili coś ze swoimi strzelbami. Gdy byli gotowi, wstali i wystrzelili znowu, podczas gdy żołnierze z drugiego szeregu skryli się za ich plecami, by również coś zrobić ze swą bronią. Wielu łuczników padło. Dzicy wojownicy często opadali na jedno kolano, by wystrzelić. Nieustannie wrzeszczeli i pokrzykiwali, nie wszyscy, tylko ci, którzy akurat nie strzelali. Nad murami wyspy rozbrzmiewała przerażająca muzyka, a dzikie chłopaki śpiewały tak głośno, jakby chciały wypełnić cały świat swymi chrapliwymi sylabami.

Niebiescy poszli w rozsypkę. Czy to na rozkaz, czy ze strachu, ci, którzy jeszcze stali, rzucili się do ucieczki. Ich bębny umilkły. Dzikusy zaczęły pościg — ci potężni mężczyźni biegali bardzo szybko! — i wielu zdołały dopaść. W słońcu zabłyśły noże. Nad równiną poniosły się echem krzyki. Ziemia zabarwiła się na czerwono.

Odwrociłem się. Choć potrafiłem widzieć Umarłych, rozmawiać z nimi i dotykać ich, zrobiło mi się niedobrze na widok śmierci tak wielu ludzi. Wiedziałem, co to ból i strach, bez trudu też potrafiłem sobie wyobrazić, że jestem jednym z walczących na dole ludzi.

Królowa wychyliła się jeszcze bardziej. Obserwowała to wszystko, unosząc kąciki czerwonych ust w delikatnym uśmiešku.

Bitwa trwała krótko. Nieprawda, ciągnęła się bez końca. Sam czas był wypaczony i okaleczony. Nie mogłem ani przyglądać się uważnie, ani na dobre odwrócić wzroku. Wreszcie walki się skończyły. Część Niebieskich uciekła, ale większość leżała martwa na ziemi. Dzikusy pomaszerowały z powrotem do pałacu. Swoich zabitych — nieporównanie mniej licznych niż polegli Niebiescy! — nieśli z tyłu kolumny. Lord Solek szedł na czele

ze śpiewem na ustach. Daleko z boku lord Robert ze swymi ludźmi ścigał uciekających Niebieskich. Na polu bitwy ciała leżały jak porzucone lalki.

Chłopcy wreszcie — wreszcie! — przestali śpiewać. Umilknięcie ich ochrypłych głosów uciszyło również muzyków. Nic jednak nie mogłoby zamknąć ust śpiewającym żołnierzom.

— Chodźmy — rzekła królowa, prostując się na pełną wysokość. — Moi lordowie, przejdźmy do sali tronowej i przywitajmy zwycięzców.

Mnie nie wymieniła, ale wiedziałem, że muszę za nią pójść. Mimo to zatrzymałem się na dachu wieży tak długo, jak tylko mogłem. Niebiescy byli pokonani. Wielką północną bramę otworzono nagle, by wpuścić do środka armię Soleka. W oddali, na równinie, pierwsi wieśniacy wyłaniali się z ukrycia i biegli ku poległym, którzy byli ich mężami, braćmi i ojcami. Słyszałem krzyki pogrążonych w żałobie kobiet, gorączkowe i pełne rozpacz, jak głosy ptaków zagubionych daleko na morzu.

W pałacu urządzono powtórkę wczorajszej ceremonii, straszliwą i krwawą. Obok podwyższenia zebrały się damy, dworzanie i doradcy. Królowa siedziała dumnie na tronie. Armia lorda Soleka wmaszerowała do środka ze śpiewem na ustach. Prowadził ją jeden z wodzów, podtrzymujący od niechcenia swą złamaną rękę. Gdy zjawił się sam Solek, Eammons przetłumaczył jedno słowo, wypowiedziane przez niego z taką swobodą, jakby oznajmiał, że woda jest mokra.

— Zwyciężyliśmy.

Tym razem jednak nie klęknął i królowa nie mogła mu kazać wstać. Ich oczy — kawałki srebra pod czarną wodą i błękit nieba — wpatrywały się w siebie z taką intensywnością, że musiałem odwrócić wzrok.

— Reginokracja dziękuje ci serdecznie — oznajmiła królowa. — I ja również.

Nie mogłem już tego dłużej znieść. Bez względu na to, ile mogło mnie to kosztować, nie byłem w stanie słuchać tego, jak słowa królowej tańczą wokół jej planów, za które płaciła krwią innych. Solek miał rozbić Niebieskich, a armia królowej Isabelle pokonać Soleka, jeśli nie będzie tańczył, jak zagra mu Caroline. By zdobyć pomoc dzikusów, sprzedała im rękę księżniczki Stephanie, nim jeszcze ta skończyła cztery lata. A na równinie leżały setki poddanych królowej Caroline, martwych i konających.

Po raz pierwszy oddaliłem się od królowej bez jej pozwolenia. Skradałem się wzdłuż brzegu podwyższenia, aż wreszcie znalazłem się za tłumem dworzan, którzy pchali się naprzód, by być świadkami ceremonii. Nie byłem w stanie dłużej na nią patrzeć, nie chciałem więcej pomagać królowej, nie przyjmę już od niej żadnych wyrazów wdzięczności, chyba że będzie to konieczne, by przetrwać.

Na ścianie za tronem wisiał jedwabny gobelin ozdobiony licznymi haftami. Wśliznąłem się bezgłośnie za niego. Znajdowało się tam pozbawione drzwi wejście, zapewniające służbie dostęp do sali tronowej. Ktoś wszedł za mną do wąskiego korytarzyka o kamiennych ścianach i łukowatym sklepieniu.

— Lady Cecilio! — wyszeptałem. — Nie powinnaś tu wchodzić!

Złapała mnie za rękę.

— Co się teraz stanie, Roger? Powiedz mi, proszę!

— Nic ci nie grozi, pani — zapewniłem. Było tu ciemno, korytarzyk oświetlał jedynie słaby blask docierający z położonej dalej alkowy. W półmroku zauważyłem, że twarz dziewczyny zrobiła się popielata. Zęby jej dzwoniły, nie wiedziałem, czy z zimna, czy ze strachu.

— Skąd o tym wiesz? Czy dzikusy nas zabiorą? To znaczy kobiety? Czy mamy się stać ich łupem?

— Nie, nie — uspokoiłem ją. — Królowa kazała lordowi Solekowi obiecać, że jego ludzie nie będą niepokoili naszych kobiet.

— Chodziło jej o wieśniaczki. Ja mówię o nas, o damach dworu królowej. Czy każe nam wyjść za mąż za dzikusów, jak księżniczce?

O tym nie pomyślałem.

— Och, Roger, tak bardzo się boję! — załkała, nim zdążyłem jej odpowiedzieć. Potem rzuciła mi się w ramiona.

Z mojej głowy uciekły wszystkie myśli. Była taka miękka i mała, pachniała tak bardzo słodko. Objąłem ją mocno i przytuliłem jej zapłakane oczy do piersi. Ścisnąłem ją, to wszystko. Chciałem, by ta chwila trwała wiecznie. Nie wiedząc, co robię, uniosłem jej twarz i przycisnąłem jej usta do swoich.

Znieruchomiała na moment, porażona szokiem. Potem się odsunęła.

— Roger!

— Pani, och, wybacz...

Mogła kazać, by mnie wychłostano i odesłano z dworu...

Uśmiechała się jednak. Choć miała łzy w oczach, pocałunek obudził w niej kokieteryę, która pozwoliła jej ze mnie żartować.

— Nie miałam pojęcia, że moja uroda jest aż tak nieodparta.

— Kocham cię, pani. Pokochałem cię w chwili, gdy cię ujrzałem.

To była prawda. Nigdy w życiu nie mówiłem szczerzej. Mąciła mi w głowie, wprowadzała w oszołomienie.

Cecilia roześmiała się, ale po chwili pochyliła się ku mnie.

— Czy więc ukryjesz mnie, kiedy dzikus po mnie przyjdzie? — wyszeptała. — Zrobisz to, Roger? Na pewno znasz wszystkie kryjówki w pałacu.



Gdybyż tylko była to prawda! Czy były tu kryjówki i tajne przejścia? Z pewnością tak, choć nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiałem. Pałac był pełen tajemnic, kryło się w nim bardzo wiele. Być może to właśnie był jeden z powodów, dla których królowa trzymała mnie blisko siebie. Nie chciała, bym odkrył wszystkie te sekretne korytarze, tajne schronienia i drogi ucieczki.

— Zawsze jestem gotowy ci służyć, pani!

— Jakie to zabawne! Powiedziałaś to prawie jak dworzanin! Ty, z tą śmieszną żółtą farbą na twarzy... Ukryj mnie teraz, Roger. Pokaż mi miejsce, gdzie będę bezpieczna przed dzikusami!

Oddałbym lewe oko za to, by być w stanie zrobić to natychmiast. Było to jednak niemożliwe. Dlatego spróbowałem zrobić ważną minę, choć w rezultacie tylko poczułem się głupio.

— Muszę... muszę coś załatwić dla królowej. Nic ci nie grozi, pani, daję słowo! Uratuję cię, nawet za cenę życia!

Przekrzywiła głowę na bok.

— Wierzę ci, Roger.

— Dziękuję, pani!

Za co jej dziękowałem? Nie wiedziałem, co mówię. Od jej bliskości mieszało mi się w głowie. Oddaliłem się na oślep korytarzem, kierując się w stronę kuchni.

Maggie siedziała za ustawionym na kozłach stołem, kryjąc twarz w dłoniach. Poza nią było tu tylko kilkoro służących. Ogień zgasł niemal całkowicie, nic nie zrobiono w sprawie kolacji. Zatrzymałem się obok dziewczyny.

— Maggie?

Uniosła wzrok, ale z głębią jej spokojnego cierpienia histeria Cecylii nigdy nie mogłaby się mierzyć. Przegnałem tę myśl, gdy tylko się pojawiła.

— Mój brat Richard — odparła. — Był z Niebieskimi.

— Tak mi przykro. Może udało mu się uciec...

— Może. Inni poszli już na pole, wszyscy służący, by znaleźć swych poległych. Za chwilę będę musiała... Pomyślałam, że najpierw powinnam... czego chcesz?

Nie wiedziałem, czego chcę, po co przyszedłem tu do niej. Nim zdążyłem wymyślić nowy zestaw kłamstw dla kolejnej dziewczyny, Maggie otworzyła szeroko oczy, ujrzawszy coś za moimi plecami, i zerwała się na nogi. Odwróciłem się.

W drzwiach stał chłopak z czerwonymi gałązkami we włosach, pierwszy śpiewak. Nie miał broni, lecz mimo to nie okazywał strachu. Służący zeszywnieli, jedna kucharka w średnim wieku syknęła głośno.

Dzikus podszedł do Maggie, która siedziała najbliżej.

— Jedzenie. Dla Soleka i królowej — zażądał z silnym gardłowym akcentem.

— Nic nie mamy — odparła Maggie. — Nie ma jedzenia.

Kuchnia rzeczywiście wyglądała, jakby ograbiły ją żarłoczne szczury. Oblężenie i wczorajsza uczta niemal całkowicie opróżniły spiżarnie. Podejrzewałem jednak, że w magazynach kryje się jeszcze trochę zapasów. Królowa Caroline zaplanowała wszystko zbyt starannie, by miała pozwolić mieszkańcom swej stolicy umrzeć z głodu.

— Jedzenie — powtórzył chłopak, ale w jego głosie nie było tonu żądania. Przyjrzawszy mu się z bliska, zauważyłem, że mimo czerwonej farby na czole i policzkach jest bardzo przystojny. Miał ciemne włosy, a oczy niebieskie jak u lorda Soleka. Był też wyższy ode mnie i szerszy w ramionach. Czy Maggie to zauważyła?

— Nie ma jedzenia — powtórzyła. Skąd wzięła odwagę?

Spojrzenie niebieskich oczu przesunęło się po jej twarzy. Maggie pobladła, ale nie ustąpiła. Sięgnął pod futrzaną bluzę, wyciągnął coś spod niej i podał to jej.

— Zjedz — powiedział łagodnym tonem.

To chyba było jakieś suszone mięso z jagodami. Pachniało całkiem nieźle. Maggie gapiała się na dzikusa.

— Nie ma jedzenia — powtórzył. — Zjedz, dziewczyno.

Poczułem nagły ucisk za oczami.

— Ona nie chce śmierdzącego żarcia dzikusów!

Omiótł mnie spojrzeniem. Zauważyłem, w której chwili postanowił mnie zlekceważyć. Położył porcję na stole przed Maggie.

— Nie ma jedzenia? — zawołał, podnosząc głos, by wszyscy w kuchni go usłyszeli. — My przyniesiemy jedzenie. Będziecie jeść.

Spojrzał jeszcze raz na Maggie i wyszedł z kuchni.

Z przeciwnej strony, z dziedzińca, przy którym cumowały barki, wpadł do niej jakiś mężczyzna.

— Dzikusy pozwoliły nam pochować zabitych — zawołał. — Walter... nie znalazłem go. Może udało mu się uciec!

— Chciał pomścić królową Eleanor, prawdziwą królową, a teraz musi uciekać! — warknęła kucharka w średnim wieku, która przed chwilą weszła do kuchni. — Hańba splamiła ten dzień!

Inna kobieta uciszyła ją, spoglądając przelotnie na mnie. Oczywiście. Wszyscy służący złożyli przysięgę wierności królowej Caroline, ale wielu nie uczyniło tego szczerze. Część dawnych Niebieskich nie zmieniła koloru, a do tego nawet niektórzy z najwierniejszych sług nowej królowej mieli krewnych w Niebieskiej armii. Jak ten mężczyzna, jak Maggie.

— Bierzcie się wszyscy do roboty! — zawołała kucharka. — Niedługo królowa przyśle kogoś po kolację, a ogień już prawie zgasł. Ruszać się!

Wyszedłem z kuchni, zostawiając Maggie sam na sam z żalobą. Nie potrafiłem złagodzić jej żalu, nie chciałem jednak wracać do królowej, która była jego przyczyną. Dlatego całe popołudnie krążyłem po pałacu, starając się odkryć tajne przejścia albo kryjówki. Rzecz jasna, gdyby można je było odkryć tak łatwo, nie byłyby tajne. Nic nie znalazłem.

Ale wiele się dowiedziałem.

Ośloniłem twarz kapturem, by ukryć żółtą farbę, i siedziałem w alkowach, jakbym na kogoś czekał. Na dziedzińcach udawałem, że pielęgnuję wiosenne klomby. Odwiedziłem też nabrzeża, do których znowu przybijały powstrzymywane dotąd przez oblężenie barki dostarczające produkty do pałacu. Wartownię Zielonej armii. Pralnię, gdzie Joan Campford dała mi więcej żółtej farby, traktując mnie z szacunkiem zbijającym z tropu nas oboje.

— Nie myślałam, że mój chłopiec praczka zostanie błaznem królowej — oznajmiła, potrząsając głową. — A teraz zmiataj.

O zmierzchu, gdy w pałacu zapalano lampy i świece, wróciłem do komnat królowej, pewien, że ukarze mnie za oddalenie się bez pozwolenia. Wtedy właśnie dowiedziałem się czegoś najbardziej zdumiewającego. Kary nie będzie. Królowa mnie nie wzywała, nie pytała o mnie, nawet nie zauważyła mojej nieobecności. W komnacie audiencyjnej nie było nikogo poza wartownikami. W zewnętrznej komnacie nie było dworzan, a jedynie garstka dam królowej, szyjących z powagą i skupieniem niezwykłym dla wszystkich spośród nich poza lady Margaret. Towarzyszyły jej lady Sarah Morton, lady Jane Sedley i dwie inne. A także lady Cecilia, która mnie nie pozdrowiła, ale strach widoczny w jej oczach nie zmniejszył się od rana. Na twarzy rozwiązłej lady Jane nie dostrzegałem jednak lęku, a tylko chytry

uśmieszek. Szyła poduszkę do krzesła czy może coś, co miało nią być. Podobnie jak lady Cecilia nie władała igłą zbyt biegle.

— Błaźnie — przywitała mnie lady Sarah — jakie wieści?

— Zapadła noc — odparłem, trzymając się swej roli.

— Wiem o tym, ty idioto!

— Jeśli wiesz, to po co pytasz?

— Dość już tych głupich wykrętów! Czy dzikusy nadal są w pałacu, czy wróciły do obozu?

— No cóż, jeden na pewno tu jest — wydyszała lady Jane, wskazując oczyma na zamknięte drzwi prywatnej komnaty.

— Zależy, kogo zwiesz dzikusem — odpowiedziałem.

— On nic nie wie — stwierdziła pełnym niesmaku głosem. — To tylko błażen, Sarah.

— Dość już tego wrednego gadania — odezwała się lady Margaret, ale damy ją zignorowały.

— Błażen ma oczy! — sprzeciwiła się lady Sarah. — A my musimy tu siedzieć i pilnować...

— Tak jest — przerwałem jej. — Ja maoczę, ty maoczysz i oni też maoczą. Niestety!

— On nic nie wie — powtórzyła lady Jane, odwracając się do mnie plecami.

Mylła się. Podczas popołudniowej wędrówki po pałacu dowiedziałem się wiele. Nie odkryłem żadnych tajnych przejść, ale zdobyłem sporo innych informacji. Dowiedziałem się, że młodzi przystojni żołnierze lorda Soleka krążą po pałacu, poznając go dobrze i starając się zdobyć sympatię mieszkańców. Dawali im żywność, której ich przebywająca daleko od domu armia nie mogła mieć zbyt wiele. Oferowali im pomoc. Wyrażali

podziw dla wielu różnych rzeczy i niczego nie plądrowali. W wąskim pierścieniu miasta, do którego wracali sprzedawcy, dzikusy kupowały różne towary, płacąc za nie złotem. Poza murami pomagały przenosić zabitych Niebieskich na cmentarz, jeśli tylko pogrążone w żałobie rodziny im na to pozwoliły.

— Wcale nie są tacy źli — powtarzali wieśniacy i kupcy wierni królowej Caroline. — Bywają gorsi.

— Ich złoto nie jest gorsze od złota innych.

— Potrafią walczyć — przyznał młody Zielony zbrojny, nie bez podziwu w głosie.

— Są zdyscyplinowani.

— Jak dotąd zachowują się porządnie...

Widziałem posługaczkę śledzącą spojrzeniem wysokiego młodego dzikusa. To nie jego umiejętności walki ani nie złoto wzbudziły jej podziw.

Damy królowej, zamknięte przez całe popołudnie w zewnętrznej komnacie, nic jednak o tym nie wiedziały. Szyły i snuły spekulacje, a obie te rzeczy wychodziły im równie kiepsko. Cecilia otwierała szeroko oczy ze strachu. Gdy drzwi wejściowe nagle się otworzyły, poderwała się, krzyknęła cicho i ukłuła się w palec.

Do środka wszedł lord Robert. Jego strój splamiły ziemia, pot i krew. Ruszył prosto ku drzwiom do prywatnej komnaty, stukając głośno butami o posadzkę.

Lady Margaret, najwyższa rangą z dam dworu, poderwała się gwałtownie.

— Lordzie Robercie! — zawołała.

Nie spojrzął na nią ani nie zwolnił kroku.

— Mój lordzie! — zawołała z desperacją w głosie. — Nie możesz się teraz zobaczyć z królową!

Zatrzymał się i obrzucił kobietę spojrzeniem, od którego Cecilia wcisnęła się w oparcie krzesła. Nie chciałbym paść ofiarą jego złowrogiego nastroju. Lady Margaret, zwykle tak spokojna i sarkastyczna, pobladła.

— A kto dał ci prawo decydować, kiedy ja mam prawo się z nią zobaczyć? — zapytał lord Robert.

— Wydała... Wydała mi rozkazy. Nikomu nie wolno jej przeszkadzać.

— Doprawdy?

Zbliżył się o krok do lady Margaret. Nie cofnęła się, stojąc przy grupce siedzących nieruchomo na krzesłach kobiet, choć obrąbek jej zielonej sukni drżał na podłodze. Lady Margaret drżała!

— A co takiego robi królowa, że nie chce, by jej przeszkadzano? — zapytał lord Robert.

— Nie... nie powiedziała mi tego, panie.

— A, cokolwiek by to było, czy Jej Miłość robi to sama?

Lady Margaret zdołała zapanować nad drzeniem. Spojrzała prosto na lorda Roberta.

— Jej Miłość nie ma obowiązku informować mnie, co robi — oznajmiła. „I ciebie również nie” — brzmiała oczywista, niewypowiedziana implikacja.

— Królowa zobaczy się ze mną — oznajmił lord Robert i ruszył ku drzwiom.

— Lordzie Robercie! — zawołałem. — Ona jest z lordem Solekiem!

Odwrócił się powoli w moją stronę. Wszystkie damy gapiły się na mnie z przerażonymi minami.

— Mnie również powiedziała, że nie wolno im przeszkadzać — dodałem. — Rozmawiają o przyszłości twojej armii. To trudne negocjacje.

— A co błazen może wiedzieć o negocjacjach? — zapytał z szyderczym uśmiechem.

— Nic, mój lordzie. Powtarzam tylko to, co mi powiedziano. Rozmawiają o armii.

Nie to należało powiedzieć. Dowódcą armii królowej był ponoć lord Robert. W trzech długich krokach dotarł do drzwi i szarpnął za klamkę. Zaryglowano je od środka.

Sięgnął błyskawicznie po miecz, ale to nie było odpowiednie narzędzie do uporania się z grubą dębiną.

— Caroline! — ryknął, kopiąc w drzwi.

— Wyjdźcie stąd — rzekłem cicho do pięciu kobiet. — Szybko. Nigdy wam nie wybaczy, że to widziałyście, jeśli tylko się dowie.

— Tak! — zgodziła się lady Margaret, najstarsza i najbystrzejsza z nich. — Chodźcie.

Musiała podać rękę lady Cecilii i pociągnąć ją na nogi, ale wkrótce zielone suknie dam zniknęły za drzwiami do komnaty audiencyjnej i lady Margaret zamknęła je za sobą. Zaraz potem królowa otworzyła drzwi po drugiej stronie sali.

Omiotła komnatę spojrzeniem i zobaczyła tylko mnie.

— Idź — wychrypiała.

Nie musiała mi tego powtarzać dwa razy. Uciekłem z komnaty, nisko pochylony, starając się upodobnić do jakiegoś małego zwierzęcia, niemego i nieszkodliwego. Damy dworu skupiły się pod drzwiami u drugiego końca komnaty. Za bardzo bały się dzikusów, by odważyć się wyjść na otwarty dziedziniec.

— I co? — zapytała lady Margaret ostrym tonem, gdy podszedłem bliżej.

Co miałem jej powiedzieć?



— Odesłała mnie.

— Czy lord Solek tam był? — zapytała lady Jane.

— Pewnie, że był — wtrąciła lady Sarah. — Wiedzieliśmy o tym już od dawna. Ale dlaczego lord Robert nie rzucił mu wyzwania? Nie, chwileczkę... lord Solek na pewno już wyszedł z komnaty.

— Widziałybyśmy go — sprzeciwiła się lady Jane. — Chyba że... aha! Z komnaty na pewno prowadzi tajne przejście!

— Dość tego — rozkazała lady Margaret takim tonem, że tym razem nawet te dwie damy nie odważyły się okazać nieposłuszeństwa. — Dobrze się spisałeś, błaznie.

— Ale czy go widziałeś? — zapytała lady Sarah. — Czy będą o nią walczyć z lordem Robertem... to znaczy później?

— Lord Solek i królowa musieli porozmawiać o sprawach Reginokracji — odparłem.

Lady Jane prychnęła z wysmakowaną lubieżnością.

— Błazen ma rację — odezwała się lady Margaret. — Lord Solek musiał przedyskutować z królową kwestię armii. To właśnie powiemy każdemu, kto o to zapyta. Zrozumiano? Zrozumiano!?

Damy zgodziły się jedna po drugiej. Lord Solek spotkał się z królową w sprawach państwowych. To były negocjacje i lord Robert spóźnił się na nie, ponieważ ścigał uciekającego nieprzyjaciela. Potem wszyscy troje omawiali sprawy Reginokracji, takie jak zaręczyny księżniczki z synem lorda Soleka. Tego właśnie dotyczyło ich spotkanie. Lady Margaret kazała damom powtarzać to raz po raz, by mieć pewność, że dobrze wszystko zapamiętały.

To jednak lady Cecilia wiedziała, o co naprawdę należy zapytać. Gdy damy wreszcie się rozeszły — w towarzystwie strażników — do swych komnat, gdzie miały czekać na wezwanie, złapała mnie za ramię.

— Roger, co miała na sobie królowa, gdy otworzyła drzwi?

— Idź do swej komnaty, pani — odparłem.

Wydęła wargi i oddaliła się, odprowadzana przez dwóch Zielonych.

Królowa była bosa i nie miała na sobie nic poza zieloną koszulą, a jej ciemne włosy opadały luźno na nagie ramiona.

Następnego dnia lord Robert opuścił pałac na swym wspaniałym karym rumaku. Wyjechał do wiejskiej posiadłości i już nie wrócił. Królowa Caroline oznajmiła dworowi, że wyruszył na jej rozkaz z ważną misją państwową.

# 21

— Roger, mam dla ciebie zadanie — oznajmiła królowa.

To mogło oznaczać tylko jedno. Wzdłuż mojego kręgosłupa przebiegł chłód.

Od bitwy minęło już kilka tygodni. Wiosna przeszła we wczesne lato, na dziedzińcach pojawiły się pąki róż, a na polach bladozielone zboże. Dzikich żołnierzy lorda Soleka spotykało się wszędzie. Było ich niewiele — jak to możliwe, że wydawali się tak liczni? Dowodzili Zielonymi strażnikami, maszerowali przez pajęczynę wiosek otaczających pałac, by podporządkować je władzy królowej. Mieli pieczę nad barkami przybywającymi do pałacu, kontrowali wszystko, co się działo w Glorii. Niektórzy nauczyli się trochę naszego języka, ale większość zadowalała się gestami. Byli niestrudzeni, niezwykle zdyscyplinowani i uprzejmi na swój barbarzyński sposób. Zawsze i wszędzie dawali odczuć swą obecność.

Królowa trzymała mnie blisko siebie, poza chwilami, które spędzała w prywatnej komnacie z lordem Solekiem. Nigdy nie wspominała o tym, co widziałem w noc po bitwie. Nie musiała tego robić, oboje wiedzieliśmy, że gdybym powiedział komukolwiek o scenie między nią a lordem Robertem, kosztowałoby mnie to życie. Przez większość czasu, gdy lord Solek odbierał meldunki swych kapitanów i konsolidował władzę nad stolicą, królowa siedziała w towarzystwie swych dam, zajętych szyciem, śpiewem, hazardem albo tańcem. Mówiła niewiele i nie włączała się do ich wymuszonych zabaw. Siedziała cicho, pogrążona w zamyśleniu. Czasami nawet nie słyszała lady Margaret, gdy ta coś do niej mówiła.

Z pięknej twarzy królowej Caroline nie sposób było nic wyczytać, wyczuwałem jednak jej narastający strach. Nie tak wyglądał jej plan. Lord Solek szybko i skutecznie przejmował władzę nad Reginokracją. Królowa pokonała wojska swej matki, ale musiała ulec armii kochanka.

— Czy wyjdzie za niego? — wyszeptwała do mnie Cecilia, siedząc na ławeczce w oknie wykuszowym i udając, że szyje. Jej poszewka wyglądała paskudnie. Sam potrafiłbym zrobić lepsze ściegi.

— Wyjdzie za niego?

Zachichotała.

— Sypiają ze sobą, tak?

— Nigdy nie byłem w sypialni królowej. Ciszej, pani.

Rozejrzałem się wkoło. Cecilia nie miała pojęcia o dyskrecji, a czasami sprawiała też wrażenie pozbawionej pamięci. I ja, i lady Margaret nieraz już ostrzegaliśmy ją, by nie mówiła o królowej i lordzie Soleku, ona jednak była jak mały kotek: ciekawski, wielkooki, radosny i bardzo słodki. Od jej zapachu kręciło mi się w głowie, a przed oczyma miałem mgłę.

— Może powinna za niego wyjść — ciągnęła dziewczyna. — Jest bardzo przystojny. Te niebieskie oczy.

— Lady Cecilio, proszę!

— To prawda. A księżniczka Stephanie ma słabe zdrowie. Królowa jest stara, ale jeszcze nie za stara. Mógłby jej dać następną córkę, na wypadek... no dobra, Roger. Jesteś taki ostrożny. — Pogłaskała mnie po barku. Jej dotyk był jak wino. — Nie widzisz, że wszystko już jest w porządku? Wrócił pokój i wszystko jest w porządku. Królowa... ach, wzywa nas!

— Zostań. To mnie wzywa.

Wstałem i podążyłem za królową na wysoki dach, z którego obserwowaliśmy bitwę. Wspinaliśmy się tam po stromych kamiennych schodach trzy albo cztery razy dziennie, tylko ona, ja i dwaj Zieloni zbrojni,

ci sami, których często widywałem pijących ale w wartowni z jednym z kapitanów lorda Soleka.

„Lubię oglądać swą pokojową reginokrację” — powtarzała królowa, by wytłumaczyć częste wycieczki na szczyt dzwonnicy. Ja jednak znałem prawdę.

Oparła się o kamienny murek i przywołała mnie do siebie. Zieloni strażnicy stali przy klapie prowadzącej na dach, trzymając się na odpowiednią odległość, poza zasięgiem szeptów. Królowa wiedziała równie dobrze jak ja, że to szpiedzy lorda Soleka. Zaciskała mocno dłonie na kamiennym murku. Wiatr targał jej włosami i suknią. Straciła na wadze, a w jej ciemnych oczach gorzała gwałtowna desperacja.

— Roger, mam dla ciebie zadanie — powtórzyła.

— T... tak, Wasza Miłość.

— Przejdiesz na drugą stronę i sprawdzisz, czy w krainie Umarłych jest nowy przybysz, posłaniec od żony mojego brata.

— Wasza Miłość... próbowałem już ci to powiedzieć... kraina Umarłych jest za duża, by znaleźć w niej konkretną osobę...

— Niemniej znajdziesz go. Będzie niski, żeby móc szybko jeździć, i odziany w żółty strój dworu królowej Isabelle. Zapytasz go, kiedy przybędzie jej armia.

— Wasza Miłość... zakładasz, że posłaniec nie tylko wyruszył w drogę, lecz również zginął...

— Musiał zginąć. W przeciwnym razie już by tu był. Albo on, albo armia Isabelle.

Potrzebowała tych żołnierzy. Można to było wyczytać z każdej linii jej pełnej napięcia sylwetki i zastygłej z niepokoju twarzy. Tylko armia wykonująca jej rozkazy mogłaby zrównoważyć wojska lorda Soleka, kochanka, który próbował uzurpować władzę nad jej reginokracją. Armia

królowej Isabelle, związana z królową Caroline poprzez małżeństwo księcia Ruperta, nie miała strzelb, jak ludzie lorda Soleka, ale Żółci uchodzili za najlepszych żołnierzy na świecie. Jeśli królowa Isabelle urodzi córkę, dziewczynka będzie druga w linii sukcesji do Korony Glorii, po chorowitej księżniczce Stephanie. Królowa Caroline miała silne prawa do armii szwagierki, nie wspominając już o uczuciach jej brata. Wysłała też po Żółte oddziały znacznie wcześniej, starannie określając przewidywaną datę ich przybycia jako element jej wielkiego planu. Gdzie więc byli Żółci?

Jej sytuacja była dla mnie oczywista. Moja jak zwykle pozostawała dla niej niezrozumiała. Odnalezienie jednego posłańca w krainie Umarłych — jeśli rzeczywiście tam przebywał! — było niemożliwe. Okłamywałem już przedtem królową i uchodziło mi to na sucho, ale co będzie, jeśli w końcu mnie przyłapie?

— Przejdziesz na drugą stronę tutaj — oznajmiła mi królowa. — Nie w mojej prywatnej komnacie. Tutaj, na wieży. Wspominałam już lordowi Solekowi, że mój błazen często miewa ataki padaczki.

Padaczki? Nie ufała swej prywatnej komnacie. Czy były tam otwory umożliwiające podglądanie? I w jej sypialni również? Jej sytuacja była jeszcze gorsza, niż mi się zdawało.

— On chce wysłać księżniczkę Stephanie do swej barbarzyńskiej krainy, by tam oczekiwała na małżeństwo — oznajmiła mi królowa cichym głosem, brzmącym, jakby płynął z ust wbrew jej woli. Mogłoby się zdawać, że chce potwierdzić moje obawy. — Roger, tam rządzą mężczyźni!

Otworzyłem oczy tak szeroko, że zasły mi łzami od dmącego na górze wiatru. Mężczyźni nie mogli sprawować władzy. Nie tworzyli życia, byli tylko jego obrońcami. Podobnie jak wszyscy na dworze byłem przekonany, że lord Solek działa w imieniu jakiejś nieznanej barbarzyńskiej królowej. Ale jeśli tam rządzą mężczyźni... Odesłać przyszłą królową? To było nie

do pomyślenia! Księżniczka albo królowa opuszczała swą reginokrację tylko raz, gdy wyruszała w podróż małżeńską, by osobiście sprawdzić posag przynoszony jej przez męża. Potem jej miejsce było w pałacu. Zawsze. Księżniczka Stephanie miała dopiero trzy lata. Wychowywała się, nie znając Reginokracji, którą pewnego dnia będzie władać. Byłaby lojalna wobec państwa dzikusów, nie własnego. Mogłaby nawet zapomnieć języka matki.

— Nie mogę tego wytłumaczyć lordowi Solekowi — ciągnęła królowa tym samym cichym głosem, mimo że oboje wiedzieliśmy, że lord Solek rozumie sprawę aż za dobrze. — Ruszaj, Roger. Znajdź posłańca od Isabelle. Dostań ataku, tu i teraz.

Dostań ataku! Jak właściwie się to robiło? Nigdy nie widziałem ataku padaczki. Królowa pogłaskała moją dłoń i wsunęła do niej złotą monetę. Jak złoto mogło spowodować atak? Nagle ogarnął mnie gniew. Byłem wściekły na to, jak mnie wykorzystuje. Traktowała mnie jak narzędzie, takie samo jak łyżka czy kielich. Narzędzie, jakim sama była dla dzikusa, który dzielił z nią łożę i pragnął zagarnąć jej reginokrację.

Nie miałem wyboru. Musiałem zrobić, co mi kazała.

Wrzasnąłem i podskoczyłem na kamiennym murku. Zieloni żołnierze pobiegli ku mnie, wyciągając miecze. Odepchnęli królową na bok.

— Kupuję niebo, ebo, ebo, ebo! — zawołałem, podrzucając monetę w górę, a potem zeskoczyłem z murku i zacząłem się szamotać na kamiennym dachu. Jednocześnie sięgnąłem do kieszeni, wyciągnąłem z pochwy nożyk i ciąłem się mocno w wewnętrzną stronę dłoni. Popłynęła krew i przeszedłem na drugą stronę.

\*

Nie wiedziałem, gdzie jestem.

Stałem między potężnymi głazami, tworzącymi wyniosłość, jakiej nigdy nie widziałem w okolicach Glorii. Pośród nich rosły karłowate krzewy, bezlistne i pokraczne. Z ich powykrzywianych pędów wyrastały równie wypaczone gałązki. Wszedłem na oślep na jeden z nich. Ostre kolce wbiły się w moją i tak już krwawiącą dłoń. Grunt drżał pod moimi stopami, a po ciemnym niebie pędziły gnane wiatrem chmury. Poczulem nagły ucisk w brzuchu. To ja spowodowałem tę katastrofę.

Z lewej dobiegł mnie jakiś hałas. Ruszyłem w tamtą stronę, ostrożnie omijając cierniste krzewy, aż wreszcie wyszedłem spomiędzy głazów na nadrzeczną równinę. Ona również się zmieniła, wyglądała równie dziwacznie jak krzaki. Wszędzie walały się kamienie, od tak małych, że można było je kopnąć, aż do dorównujących mi wysokością. Tu także rosły karłowate zarośla, a ziemia dudniła pod moimi stopami. Pośród tego chaosu siedzieli lub leżeli Umarli, pogrążeni w typowym dla siebie zapomnieniu — ale nie wszyscy.

Hałasy pochodziły z dwóch źródeł. Rzeka płynęła teraz szybciej, jej nurt rozbijał się z głośnym szumem o nowo powstałe skały. W górę tryskała piana. Głośniejsze dźwięki dobiegały jednak z drugiego brzegu, od setek Niebieskich żołnierzy, poległych w niedawnej bitwie z wojownikami dzikusów. Kapitanowie prowadzili musztrę. Żołnierze maszerowali, krzyczeli, wymachiwali mieczami, tupali. Żaden nie zachowywał się jak Umarły, nawet w najmniejszych stopniu. Jeden z nich zauważył mnie na drugim brzegu.

— Zaczarowany błaznie! — zawołał, otaczając usta dłońmi. — Jakie wieści, chłopcze?

Nie potrafiłbym mu odpowiedzieć, nawet gdyby zależało od tego moje życie.



— Jakie wieści?! — zawołał jeszcze głośniejszym głosem, gdy stałem bez ruchu, niemy jak jeden z tajemniczych głazów.

Nadal nie odpowiadałem, więc żołnierz wraz ze stojącym obok towarzyszem weszli do rzeki i przeprawili się po jej powierzchni na drugą stronę.

Dopadły mnie zawroty głowy. Wszystko wirowało wkoło. Gdy odzyskałem jasność spojrzenia, jeden z Niebieskich trzymał mnie za ramię.

— Wraca do siebie, Lucius — rzekł jego towarzysz. — Dobrze się czujesz, chłopcze?

— Pewnie, że źle! Jest zaczarowany, ty idioto!

— My też. Uwięziła nas w Kraju Czarowników... Błaźnie? Dobrze się czujesz?

— T... tak.

Nawet nie zmoczyli butów.

— Jakie wieści przynosisz? — zapytał Lucius. — Czy królowa-dziwka nadal panuje nad pałacem?

— T... tak — wykrztusiłem, próbując wziąć się w garść. — Ale lord Solek...

Z ust Luciusa popłynął stek gwałtownych przekleństw. Od czasów Hartaha nie słyszałem podobnego języka.

— Dzikus trzyma w ręku pałac w jej imieniu?

— Tak.

Prawda była zbyt skomplikowana, bym mógł im ją wyjaśnić, nawet gdybym chciał to zrobić.

Lucius potrząsnął dość brutalnie moim ramieniem.

— Co więc mamy zrobić? Jak możemy stąd uciec? Nie masz dla nas żadnych dobrych wiadomości?

— Zostaw go, Lucius — odezwał się jego towarzysz. — Nie potrząsaj nim tak. Jest po naszej stronie. Próbował zabrać amulet młodej czarownicy, pamiętasz?

Cat Starling. Co się z nią stało, kiedy odszedłem?

— Odebraliście jej ten amulet po moim odejściu? — zapytałem.

— Nikt jej więcej nie widział. Czy to właśnie pozwoli nam wrócić? Amulet?

— Jeszcze nie wiem — odparłem. — Ale królowa-wiedźma trzyma mnie blisko siebie. Mam nadzieję, że dowiem się, jak zdjąć czar z siebie i z was również. Pracuję nad tym dniem i nocą. A tymczasem...

Spróbowałem udać płacz i przekonałem się, że nie udaję. Istnieją różne rodzaje czarów.

— Nie płacz, błażnie — rzucił z niesmakiem Lucius. — Jesteś już prawie mężczyzną.

— On nie płacze. Prawda, chłopcze? Co mamy robić tymczasem? Jak widzisz, ćwiczymy, przygotowujemy się do bitwy. Kiedy wrócimy, dzikus nie zdoła nas pokonać, nawet jeśli użyje przeciwko nam niezliczonych kijów ognistych, a królowa-wiedźma jeszcze bardziej wypaczyła Kraj Czarowników, by nas przestraszyć. Pokonamy ją i jej dzikusów. Walczymy za Reginokrację.

Wszyscy Niebiescy zabici w walce z armią Soleka nadal wierzyli, że przebywają w Kraju Czarowników. Tak powiedziałem pierwszym z nich, którzy powtórzyli to następnym. Żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, że nie żyje.

Drugi żołnierz stracił cierpliwość.

— Błażnie, pytałem cię, co możemy zrobić, by wydostać się z Kraju Czarowników?

— Możecie... możecie nadal przygotowywać się do bitwy. — Oczekiwali ode mnie czegoś więcej. Oczy Luciusa pociemniały z gniewu. W tej samej chwili zagrzmiało i między złowrogimi chmurami przeskoczyła błyskawica. — Możecie też zrobić amulety, które przydadzą się w chwili powrotu — dodałem, zmyślając jak najęty. — Każdy amulet powinien się składać z pięciu cierni tych nowych krzaków. Zauważyliście je?

Pokiwali głowami, słuchając z uwagą, by nie umknęło im coś, co mogłoby ich uratować. Mówiłem dalej, nie zważając na ucisk w żołądku:

— Owińcie ciernie, musi ich być pięć, wszystkie doskonałe i nieskalane, w kawałek materiału i zawieście na szyi. Tutaj nie zrobią wam krzywdy... — Prawdziwszych słów nigdy nie wypowiedziano. W tym miejscu nic nie mogło ich skrzywdzić. — ...ale gdy już opuścicie Kraj Czarowników, udzielą wam części jego mocy. Dowiedziałem się tego potajemnie, dzięki zaklęciu, jakie na mnie rzuciła.

Lucius skinął głową.

— Powtórzę to kapitanowi. Dziękuję, chłopcze. Mamy wobec ciebie dług.

— W takim razie pomóżcie mi teraz. Szukam posłańca od królowej Isabelle, która wyszła za naszego księcia Ruperta. Jego... jego również tu przeniesiono. To będzie niski mężczyzna, jeździec, odziany na żółto. Może być pod wpływem tego samego zaklęcia co królowa Eleanor. Widzieliście go?

Obaj żołnierze potrząsnęli głowami. Potem znowu mi podziękowali i przeszli na drugi brzeg wartkiej rzeki po jej powierzchni. Ruszyłem na poszukiwania posłańca w żółtym stroju.

Sprawa była beznadziejna. Po okolicy bardzo trudno było teraz chodzić, nie wspominając już o przeszukiwaniu jej wzrokiem. Głazy, cierniste

zarośla, gaje gęstsze niż przedtem i z jakiegoś powodu wywierające groźne wrażenie. Ziemia dudniła mi pod stopami. Oddaliłem się od brzegu rzeki i ruszyłem na północ, w stronę reginokracji królowej Isabelle, gorączkowo wypatrując posłańca. Szukałem go przez dłuższy czas, aż wreszcie zrobiłem się brudny i zmęczony. Nawet jeśli posłaniec tu był, nie miałem pojęcia, jak mógłbym go znaleźć.

Za to mnie znalazł Umarły Niebieski. Wypadł zza głazu odległego o kilka jardów. W przeciwieństwie do większości jego towarzyszy, których tu widziałem, utracił żołnierską dyscyplinę. Oczy miał szalone i dzikie. Wykrzykiwał coś od rzeczy. Myśl, że jest w Kraju Czarowników, zmąciła jego rozum, być może już przedtem niezbyt sprawny. A może to śmierć była winna. Trzymał w rękach coś, co z pewnością przyniósł tu ze sobą, odebrał nieprzyjacielowi podczas bitwy: strzelbę.

Wrzasnął raz jeszcze, uniósł broń i strzelił do mnie.

Coś twardego i gorącego — tak bardzo gorącego! — uderzyło mnie w lewe ramię. Zwaliłem się na plecy, padając na skały. Rozległ się głośny trzask pioruna. Niebo przeszła błyskawica. Krzyknąłem z bólu, palącego moje ciało niczym ogień.

Nagle uświadomiłem sobie, że leżę na kamiennym dachu wieży. Była noc, a mnie dręczyły kolejne pytania. Wiedziałem już, że po drugiej stronie Umarli mogą mnie zranić, ale co się stanie, jeśli tam zginę? Czy wrócę do swego ciała w krainie żywych, czy też zapadnę w nieświadomy spokój Umarłych?

Mogłem stracić życie nie tylko w jednym, lecz w dwóch miejscach.

Ból nie ustępował. Było za ciemno, bym mógł zobaczyć swą rękę, ale kiedy nią poruszyłem, przekonałem się, że kości nie są złamane. To była

tylko powierzchowna rana, która jednak zrobiła się czarna i cuchnąca. Ból się nie zmniejszył, palił moją skórę i nerwy niczym kwas.

Podniosłem się, podtrzymując lewą rękę prawą. Gdzie się podziała królowa, jej strażnicy i cała reszta? Ile czasu minęło? Oczy przyzwyczyły mi się do ciemności i wyjrzałem przez murek. Na większości dziedzińców, choć nie na wszystkich, było ciemno. To samo dotyczyło wąskiego pierścienia miasta namiotów. Na niebie jasno świeciły gwiazdy, ale księżyc nie było. Lato dopiero się zaczęło. Noc była chłodna i rześka.

Spróbowałem otworzyć klapę, ale zaryglowano ją od środka.

W pałacu z pewnością coś się działo, coś, co odciągnęło królową z wieży. Zapominała już o mnie wcześniej, ale nigdy wtedy, gdy wyruszałem dla niej do krainy Umarłych. Co, jeśli ją zamordowano, jak ona zamordowała własną matkę? Co, jeśli do rana nikt nie przyjdzie na wieżę? Dziedziniec leżał wiele piętér w dole, za daleko, żeby skoczyć. Nie sądziłem, bym miał tu zamarznąć na śmierć, ale musiałem oczyścić ranę na ramieniu, zabandażować ją...

Dlaczego wszyscy zawsze mnie porzucają?

— Tu jestem! Tu jestem! — wołałem, wychylając się za murek.

A potem:

— Tu jestem, skurczybyki! TU JESTEM!

Cisza.

Nie wiem, jak długo tam stałem, uczepiony kamiennego murku. Drżałem z zimna i przeklinałem, a moją kończynę wypełniał straszliwy ból. Gwiazdy przesuwwały się na niebie. Widziałem to. Kręciło mi się w głowie, być może miałem gorączkę. Nagle na dachu poniżej wieży pojawiły się dwie sylwetki. Nocą nikomu poza żołnierzami nie było wolno wychodzić na dachy. To jednak nie byli Zieloni. W blasku gwiazd zauważyłem, że to dziki żołnierz i kobieta. Obejmowali się.

— Pomóżcie mi, proszę! — zawołałem, choć głos już mi ochrypl. — Jestem Roger, błazen królowej! Przez pomyłkę zamknięto mnie na dachu! Proszę, poślijcie po pomoc!

Kobieta natychmiast zniknęła, być może bojąc się rozpoznania. Dzikus podszedł do skraju dachu i spojrzał na mnie z dołu. Wydawał się maleńki, nie groźniejszy od pieska pokojowego stojącego na dwóch łapach. Dystans nas oszukuje, obiecując bezpieczeństwo tam, gdzie go nie ma.

Dzikus zawołał coś, czego oczywiście nie zrozumiałem. Potem zniknął z dachu. Po kilku minutach, które dla mnie były długie jak godziny, kłapa się otworzyła i na dach wieży wyszedł jakiś mężczyzna.

Lord Solek we własnej osobie.

— Co tu robisz? — zapytał podążający za nim tłumacz, Eammons.

— Zapomniano o mnie! Królowa...

Wciągnąłem nagle powietrze, gdy dopadła mnie fala zawrotów głowy.

— Co z królową? — zapytał ostrym tonem Eammons. — Co ci powiedziała?

W jego głosie coś było nie w porządku. Pobrzmiwał w nim nie tylko gniew, lecz również strach. Coś tu było bardzo nie w porządku. Ostatnią resztką sił wezwałem na pomoc swój wierny spryt. Tylko dzięki niemu udało mi się przetrwać tak długo. Doradzał mi ostrożność, rozważne wykręty, wyważone kłamstwa.

— Nic. Ja... Jej Miłość sobie poszła, a ja... chciałem być sam. Dlatego przyszedłem tutaj. Ale zasnąłem, a wieżę o zmierzchu zamknięto. Pewnie zawsze tak się robi... królowa na pewno mnie szuka...

Starałem się sprawiać wrażenie głupiego i zbitego z tropu, jakby sytuacja mnie przerastała. To nie było trudne.

Lord Solek coś rzekł, a Eammons mu odpowiedział. Pewnie tłumaczył moje słowa. Wódz dzikusów wlepił we mnie spojrzenie zimnych

niebieskich oczu. Z bliska wyglądał jeszcze straszniej: wielki, twardy i pełen tłumionej energii niczym ogromny głaz, gotowy się przewrócić i mnie zgnieść. Po chwili wzruszył ramionami, odwrócił się i odszedł.

— Wracaj tam, gdzie twoje miejsce — rzucił poirytowany Eammons.  
— Jeśli jeszcze raz coś takiego zrobisz, czeka cię chłosta, mimo że jesteś błaznem królowej. Jeśli ona nie wyda takiego rozkazu, ja to zrobię.

Naprawdę? Czy Eammons, który chodził teraz za lordem Solekiem, nie za królową, miał taką władzę? Solek miał ją z pewnością. Śledził wszystkie wydarzenia w pałacu równie uważnie jak kiedyś królowa Caroline.

Ja zaś nie miałem żadnej władzy. Nie mogłem nawet stanąć prosto. Powlokłem się na dół po schodach, daleko za Eammonsem, który popędził za swoim panem. Co kilka kroków musiałem się zatrzymywać i opierać o ścianę. Na dole osunąłem się na ziemię.

Po pewnym czasie — tej samej nocy? — jakiś paż pochylił się nade mną, potrząsając mnie za zdrową rękę.

— Błaznie? Błaznie? Jesteś chory?

— Mag... Mag...

Dzwoniące zęby nie pozwalały mi wykrztusić słowa „Maggie”. Nie przychodził mi do głowy nikt inny, kto mógłby mi pomóc, zaopiekować się mną, kogo obchodziłoby, co się ze mną stanie. Ale paż rzecz jasna nie znał Maggie. Miał tylko dziewięć, może dziesięć lat, był przerażonym małym chłopcem, na służbie w pałacu, który ogarnął obłęd.

— Kto? — zapytał.

— Mag...

— Zawołam ją!

Wybiegł na dziedziniec, by przyprowadzić jedyną znaną sobie osobę, która służyła królowej i miała imię podobne do tego, które usłyszał. Gdy

znowu otworzyłem oczy, pochylała się nade mną lady Margaret. Na nocną koszulę narzuciła płaszcz z zielonego aksamitu.

— Błaźnie? Jesteś chory?

— R... ranny — zdołałem wykrztusić. A potem zemdlałem.



## 22

Kiedy się obudziłem, leżałem na podłodze na kocach obok nieznanego mi kominka. Ogień palił się jasno. Pomieszczenie było małe, ale bogato udekorowane w odcieniach zieleni i ciepłego brązu. Między mną a drzwiami stał stół. Przez jedyne okno zasłonięte cienką jedwabną kotarą do środka wpadał blask słońca. Na poduszce przy oknie siedziała stara służąca, zajęta cerowaniem halki.

— Gdzie...?

Wstała i przyjrzała mi się uważnie.

— Zaczekaj — powiedziała tylko i wyszła z pokoju.

Usiadłem. Nadal kręciło mi się w głowie, ale ból w ręce ustąpił. Zabandażowano ją, czułem też woń jakiejś maści, przypominającą nieco zapach octu. Wstałem ostrożnie, próbując się domyślić, gdzie jestem. Drugie drzwi, lekko uchylone, wiodły do sypialni. Zobaczyłem za nimi wąskie łóżko i pozbawiony ozdób kufer na wysoki połysk. Leżała na nim jakaś robótka oraz trzy książki. Drugie drzwi się otworzyły.

— Roger!

Służąca wróciła. Towarzyszyła jej lady Margaret. Jakąś częścią umysłu uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy zwróciła się do mnie po imieniu, zamiast mówić mi „błaźnie”. Opadłem niezgrabnie na kolana.

— Wstań — rzuciła z niecierpliwością. — Jak się czujesz?

— Lepiej, pani. Czy kazałaś mnie tu przynieść i...

— Zostaw nas, Martho — przerwała mi, zwracając się do służącej.

— Tak jest, pani.

— Najpierw się najedz — poleciła mi lady Margaret, gdy służąca wyszła. — Od dwóch dni nic nie jadłeś. Siadaj i bierz się do śniadania.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, uświadomiłem sobie, że umieram z głodu. Nie istniało dla mnie nic poza chlebem, serem i winem czekającymi na stole. Żarłem jak dzika świnia. Potem, gdy już wypełniłem żołądek, znowu zauważyłem lady Margaret. Wychudła. Była dziesięć, może piętnaście lat starsza od innych dam dworu, ale nadal służyła królowej, ponieważ nikt się z nią nie ożenił. Nigdy nie była piękna, ale nie sądziłem dotąd, by jej pociągła twarz mogła się kiedykolwiek stać tak zapadnięta i wynędzniała. Pod oczami miała fioletowe cienie.

— Królowa... — zacząłem.

— Wie, gdzie jesteś. Powiedziałam jej, że zachorowałeś, bo podczas ataku przez całą noc byłeś zamknięty na dachu. Zapewniłam, że się tobą zaopiekuję. Przesyła ci życzenia.

Nie wyraziła jednak żalu, że zamknęła mnie tam podczas „ataku”. Nie podała też powodów, dla których mnie tam zostawiła.

— Czy królowa dobrze się czuje? — zapytałem z przekąsem.

— Nie bądź bezczelny, Roger.

Lady Margaret była znacznie bystrzejsza od Cecylii. Nie mogłem o tym zapominać. Pochyliłem głowę na znak skruchy, a także po to, by ukryć gniew. Następne słowa kobiety sprawiły jednak, że poderwałem się nagle i spojrzałem na nią.

— Nie wspomniałam królowej o tym, że byłeś nie tylko chory, lecz również ranny, ani że ranę zadano ci ze strzelby dzikusów. Na szczęście to tylko powierzchowny postrzał, ale jak ci go zadano, gdy byłeś zamknięty na szczycie wieży, Rogerze Błaźnie?

Gapiliśmy się na siebie nawzajem. Wybrałem szczerość, między innymi dlatego, że nie sądziłem, by jej brak mógł mi ująć na sucho. Nie z tą

kobietą.

— Nie mogę ci tego powiedzieć, pani. Królowa zabroniła.

— Ostatnio mamy tu bardzo wiele spraw, o których nie wolno mówić.

— To prawda.

Pochyliła się nade mną.

— Chorowałeś dwa dni — oznajmiła, ścisząc głos do szeptu — i dlatego nie wiesz, co się wydarzyło. Opowiem ci o tym, Roger, ale wyłącznie dlatego, że uważam, że to ważne, byś znał prawdę, zamiast wierzyć w krążące w pałacu plotki. A także dlatego, że podejrzewam, że znasz prawdę o lady Cecilii lepiej niż ktokolwiek inny.

— O lady Cecilii? — powtórzyłem, szczerze zdumiony. Byłem przekonany, że rozmawiamy o królowej.

— Poszedłeś z królową na dach, by pomóc jej wypatrywać posłańca od królowej Isabelle, prawda?

— Tak.

— Posłaniec się zjawiał, kiedy miałeś atak.

— Zjawiał się? Jest w pałacu?

A więc nie przebywał wśród Umarłych?

— Był, ale już nas opuścił. Armia królowej Isabelle nie przybędzie z pomocą.

Byłem wstrząśnięty. Królowa Isabelle musiała przyjść z pomocą szwagierce. Tak właśnie postępowały królowe. Zawarto pakt małżeński. Jeśli Isabelle i Rupertowi urodzi się córka, będzie druga w linii sukcesji do Korony Glorii. Królowa Isabelle nie mogła odmówić przysłania armii.

— Dlaczego?

To słowo wyrwało się z moich ust niczym ogień ze strzelby dzikusów. Lady Margaret wspomniała o Cecilii...

Nagle wszystko zrozumiałem. Cały świat wokół mnie ogarnęły mdłości.

— Tak — potwierdziła lady Margaret, spoglądając na moją twarz. — Królowa Isabelle miała atak mszawicy. Jej lekarze mówią, że wewnątrz zostały jej blizny i nigdy już nie urodzi dziecka. Zaraziła się od księcia Ruperta, który mówi, że złapał chorobę od Cecylia.

— Nieprawda! To Cecilia zaraziła się od niego!

— Królowa Isabelle jest innego zdania — stwierdziła lady Margaret ze znużeniem w głosie. — A królowa Caroline się z nią zgadza. Rupert to jej brat. Wierzy w to, w co chce wierzyć. Ty również, Roger. Wierzysz Cecylia, temu głupiemu dziecku, bo chcesz, żeby to ona była ofiarą. Ale prawda jest bardziej skomplikowana.

— A kogo tutaj obchodzi prawda!?

— Obchodzi wszystkich — zapewniła lady Margaret. — Lecz to nie zawsze jest ta sama prawda. Twoja wygląda tak: pomogłeś Cecylia zdobyć lekarstwo we wczesnym okresie choroby. Wysłała cię po posset szlachcianki, ponieważ wiedziała, co jej jest. Królowa Isabelle tego nie wiedziała, zwlekała zbyt długo i zapłaciła straszliwą cenę. Nie będzie miała dziedziczki tronu. Królowa Caroline nie otrzyma od niej pomocy i w praktyce stała się więźniem we własnym pałacu. Posłaniec przyniósł te wieści, kiedy miałeś atak, i dlatego natychmiast opuściła wieżę. Ktoś zamknął drzwi i uwięził cię tam.

— A lady Cecilia...

Nie mogłem wydobyć z siebie słów. Wszyscy ludzie, którzy odmówili złożenia przysięgi królowej, zniknęli nie wiadomo gdzie. Nie żyli, torturowano ich albo...

— Cecilia uciekła.

— Uciekła? Jak?

— Nie wiem. Nikt tego nie wie. Ktoś ją ostrzegł, na chwilę przed tym, nim królowa po nią wysłała. Towarzyszyłam wtedy Jej Miłości, ale inne damy odesłano już do łóżek. Byłam obecna, gdy posłaniec przybył i królowa go przyjęła. Miała tylko kilka minut, nim lord Solek o wszystkim się dowiedział i dołączył do nas, ale w tym czasie królowa... Nigdy nie widziałam jej w takim stanie — dokończyła prosto lady Margaret.

Ja widziałem. Potrafiłem to sobie wyobrazić: Królowa wpadła w szal, lady Margaret próbowała ją uspokoić, a przerażony posłaniec bał się o własne życie. Potem do komnaty wpadł lord Solek i obie kobiety oraz emisariusz musieli udawać, że wszystko jest w porządku, że to jedynie rutynowa wiadomość od brata Caroline. Gdy tylko było to możliwe, królowa z pewnością rozkazała aresztować Cecilię i zaprowadzić ją... gdzie? I jaka kara miała ją tam spotkać? Zadrzałem.

— Pani, czy to ty ostrzegłaś lady Cecilię?

— Nie. Ja cały czas towarzyszyłam królowej. Lord Solek również był z nią przez kilka godzin. Ktokolwiek ostrzegł Cecilię, miał czas to zrobić. Miała bardzo wielu wielbicieli, to mógł być każdy oszołomiony jej urodą Sam Gaduła.

— Ale kto jeszcze mógł wiedzieć, jakie wieści przyniósł posłaniec?

— Nie mam pojęcia. Z pewnością wiesz, jak to wygląda w pałacu. Pełno tu szpiegów i podsłuchiwczy. Niemniej to ciekawe, że ktoś wpadł na to, by ją ostrzec. Cecilia zawsze miała w sobie coś dziwnego. To o królową się boję. Wszyscy się o nią boimy. Stała się więźniem naszego tak zwanego zbawcy. Dzikusy mają kije ogniste, zatrute noże i swą brutalność. Obawiam się o królową i nie potrafię mu wybaczyć zdrady.

Nic mnie nie obchodziło, co lady Margaret potrafi, a czego nie potrafi wybaczyć. Nie dbałem też o fakt, że nadal jest lojalna wobec królowej.

Była jedną z tych ludzi, którzy pozostają wierni do końca. Liczyła się dla mnie tylko Cecilia.

— Ale jak lady Cecilia mogła nocą uciec z pałacu? Bramy były zamknięte!

— Nie mam pojęcia. I nie interesuje mnie to. Sama ściągnęła na siebie ten los. I na nas wszystkich. Zasługuje na wszystko, co ją spotka. Ty jednak powinienesz poznać prawdę, bo to pozwoli ci lepiej służyć Jej Miłości.

Lady Margaret naprawdę wierzyła, że nadal będę służył Caroline. Nie miałem takiego zamiaru. Pochyliłem jednak głowę.

— Dziękuję ci za opiekę, pani — rzekłem z pełną szczerością.

— Nie zrobiłam tego dla ciebie — odparła z irytacją, wstając zza stołu.  
— Prawdę mówiąc, w ogóle tego nie zrobiłam. Opiekowała się tobą moja służąca i twoja przyjaciółka z kuchni, Maggie Jak Ją Tam Zwał.

— Maggie?

— Wzywałeś ją tak uparcie, że w końcu wysłałam po nią pazia. Opiekowała się tobą jak siostra. Ale teraz wyglądasz już na zdrowego i cieszę się, że pozbędę się was obojga ze swych pokojów. Królowa pytała o ciebie. Idź jej służyć, błażnie, jak tam właściwie to robisz.

— Tak jest, pani.

Wstałem, pokrzepiony dobrym posiłkiem, i opuściłem komnaty dam dworu. Ale nie poszedłem do królowej.

Wiedziałem, dokąd uciekła Cecilia, i mogłem ją jeszcze odnaleźć.

Późnym rankiem w kuchni panował gorączkowy ruch, jakby to był normalny dzień zwyczajnego roku. W wielkich garach stojących na ogniu pyrkotał gulasz. W ceglanych piecach piekł się chleb. Kurczaki i króliki obracały się na roznach, a ich tłuszcz skapywał na gorące węgielki. Bez

względu na to, kto miał władzę, kto kogo więził i kto z kim spał, dworzanie, żołnierze i służba musieli jeść.

Nikt nie sprawiał wrażenia zaskoczonego moim widokiem. Królowa często przysyłała mnie tu z rozkazami dotyczącymi tego, gdzie i kiedy podać posiłek. Tylko Maggie, obierająca jarzyny u końca długiego, ustawionego na kozłach stołu, spojrzała na mnie z radością.

— Roger? Lepiej się czujesz? Trochę się chwiejesz na nogach.

— Nic mi już nie jest. Dziękuję za opiekę. Lady Margaret powiedziała, że rodzona siostra nie mogłaby dbać o mnie lepiej.

Maggie skrzywiła się wściekle. Niektórzy ludzie nie znoszą pochwał.

— Potrzebujesz więcej żółtej farby na twarz — burknęła. — Wyblakła, kiedy byłeś chory.

— W porządku. Maggie. Znowu potrzebuję twojej pomocy — powiedziałem szeptem, mimo że panujący w kuchni hałas uniemożliwiłby podsłuchanie nas nawet najzdolniejszym szpiegom królowej, lorda Soleka czy kogokolwiek innego. — Muszę opuścić pałac.

— Opuścić? — Jej twarz utraciła na chwilę wszelki wyraz. Potem Maggie rzuciła się ze swym małym nożykiem na marchewki, jakby on był mieczem, a one jej najgorszymi wrogami. — Chcesz pójść za tą małą utytułowaną dziwką!

Wstrząsnął mną jej język, a także mina.

— Lady Cecilia nie jest...

— Wszyscy wiedzą, że zniknęła przed dwoma dniami! Zapewne związała z jakimś rozochoconym dworzaninem, a ty... och, mężczyźni są tacy głupi!

Rozpłakała się.

Tym razem wszyscy skierowali na nas spojrzenia. Nie wiedziałem, co myśleć. Czy Maggie, jak lady Margaret, wiedziała, że to przez Cecilie armia królowej Isabelle nie przybyła do Reginokracji? Nie mogła o tym

wiedzieć. Wyraźnie jednak cierpiała z jakiegoś powodu. Położyłem dłoń na jej ramieniu. Wstrząsnęła nią tak gwałtownie, że — nadal osłabiony po chorobie — zatoczyłem się i wpadłem na krawędź stołu.

— Nie dotykaj mnie!

— Dobra, jak nie chcesz, to nie. Ale muszę się dziś w nocy niepostrzeżenie wydostać z pałacu, a ty jesteś moją jedyną...

— Nie!

— Maggie...

— Nie zrobię tego! To zbyt niebezpieczne! Idź za nią, jeśli chcesz, ale mnie w to nie mieszaj!

Nagle zawładnął mną gniew. Nikogo poza mną nie obchodziło, że jeśli złapią Cecilie, poddadzą ją torturom, a potem zabiją. Moja pani, tak bardzo radosna, beztroska i roześmiana... zupełnie niepodobna do Maggie! Wyszedłem z kuchni i skierowałem się do pralni, gdzie, pośród obłoków pary buchającej z garów, ukradłem paczuszkę barwnika.

Na dziedzińcu pod komnatami dam dworu udałem, że znowu zemdlałem. Dwóch Zielonych podniosło mnie, niezbyt delikatnie.

— Ty weźmiesz go za ręce, a ja za nogi. Cholera, błazen waży już prawie tyle co prawdziwy mężczyzna!

Znieśli mnie z powrotem do komnaty lady Margaret. Jej służąca westchnęła na mój widok, znowu rozłożyła koce na podłodze i wysłała do królowej wiadomość, że znowu czuję się niedobrze. Leżałem tam cały dzień, udając, że śpię.

Wieczorem, gdy damy towarzyszyły królowej, a lord Solek oddawał się wybranym przez siebie rozrywkom, pomalowałem sobie twarz na czerwono ukradzionym z kuchni barwnikiem. We włosy wplotłem gałązki ułamane z drzewa rosnącego na dziedzińcu, na którym zemdlałem. Z kufra lady Margaret ukradłem zielony aksamitny płaszcz obszyty futrem oraz białą



koszulę nocną. Włożyłem oba te stroje. Koszula nocna weszła na mój kostium błazna jedynie dzięki temu, że była taka obszerna. Otuliłem się ciasno płaszczem, postawiłem kaptur i ruszyłem ku zachodniej bramie pałacu. Na straży stało dwóch Zielonych. Byli przedtem Niebieskimi, potem złożyli przysięgę królowej Caroline, a teraz służyli lordowi Solekowi. Tacy ludzie sprzedaliby się każdemu za odpowiednią ilość pieniędzy i ale. Dzikusów Soleka obowiązywała tak ścisła dyscyplina, że żadna dziewczyna w Reginokracji nie skarżyła się, że ją molestowali, ale tych dwóch unikały wszystkie służące w pałacu. Stąd właśnie się o nich dowiedziałem. Kobiety plotkują, a od owej nocy, gdy Cecilia wysłała mnie do Matki Chilton, słuchałem ich uważnie.

— A co to tu idzie? — zapytał Zielony ze szczeciniastą brodą.

Drugi trącił go mocno łokciem w żebra.

— Pani... — zaczął niepewnie.

Szczeciniastobrody miał jednak bystrzejszy wzrok.

— To nie jest pani, Dick, spójrz na te buciory!

Spróbował mnie złapać, ale oddaliłem się tanecznym krokiem. Pozwoliłem, by kaptur mi opadł, ale zaraz go podniosłem.

— To jeden z tych dziwacznych dzikich śpiewaków! W koszuli nocnej!

Szczeciniastobrody zakrzyknął radośnie i znowu spróbował mnie złapać.

— Ja być... — zacząłem, starając się przemawiać piskliwie i z gardłowym akcentem dzikusów.

— Wiemy, kto ty być — stwierdził Szczeciniastobrody. Dick zapomniał o ostrożności. Cmoknął kilkakrotnie i złapał mnie. Dla tych brutalnych idiotów wszyscy dzicy śpiewacy wyglądali tak samo, a ja nie oszczędzałem na czerwonym barwniku. Dick udał, że mnie całuje.

— A fee! — zawołał i obalił mnie na ziemię.

— Zaśpiewaj dla nas, chłopcze!

— Zaśpiewaj nam ładną dziewczynską piosenkę, bo inaczej potraktujemy cię jak dziewczynę.

— Może ty, ale mnie nie pociąga męskie ciało — skwitował pierwszy wartownik i kopnął mnie.

— Ja być iść do Solek! — zawołałem.

To ich otrzeźwiło.

— Pokaż przepustkę — zażądał Szczeciniastobrody.

Potrząsnąłem głową, jakbym go nie rozumiał.

— Ja być iść do Solek — powtórzyłem.

— Powinien mieć przepustkę — upierał się Szczeciniastobrody.

Dick okazał się bystrzejszy.

— Tak, ale jeśli tak się ubrał dla Soleka... kto wie, co te dzikusy robią między sobą, kiedy są sami. Wszyscy ci śpiewacy to cioty. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

— W takim razie...

— Idź — rozkazał Dick, łypiąc na mnie wściekle. — Rozumiesz, ty zboczony psie? Idź.

Odsunął zasuwę i otworzył bramę. Wymknąłem się do miasta.

Było ciemno i chłodno, choć lato wnikało już w nocne powietrze, jak haft wnika w tkaninę. Znajdowałem się daleko od kuchni i miejsca, do którego przybijały barki z żywnością, gdzie wypuściła mnie z pałacu Maggie. Byłem jednak przekonany, że jeśli ruszę w prawo, trzymając się blisko muru, w końcu tam trafię. Biegące pośród namiotów uliczki były kręte, to oddalały się od muru, to się do niego zbliżały. Co więcej, wiele namiotów usunięto, a ich miejsce zajmowały teraz drewniane budynki w różnych stadiach zaawansowania konstrukcji. To stara królowa

zarządziła, że na wyspie Glorii nie może być żadnych stałych domostw poza pałacem. Królowa Caroline najwyraźniej zniosła to prawo, być może chcąc w ten sposób zyskać sympatię poddanych. Drogę często blokowały mi stosy drewna i cegieł, a raz nawet chlew pełen dzikich świń o groźnym wyglądzie, które chrząkały do mnie w ciemności, odsłaniając zęby.

Czułem się jeszcze osłabiony po chorobie, a do tego wyglądałem śmiesznie w zielonym aksamitnym płaszczu i damskiej koszuli nocnej. Nie opuszczałem jednak kaptura, a na ulicach było teraz niewielu ludzi, którzy mogliby mnie zobaczyć. Być może mój ciemnozielony płaszcz wydawał się nocą brązowy albo czarny. Nikt nie próbował mnie zatrzymać, nawet wtedy, gdy spotkałem dwóch dzikusów lorda Soleka. Minęli mnie bez słowa i weszli do namiotu piwnego. Gdy uchyłili klapę, ze środka dobiegły mnie ciepło, światło i śmiechy. Królowa była właściwie więźniem w swym pałacu, a do jej tronu niemalże uzurpowano sobie prawo, ale prości ludzie cieszyli się pokojem i swobodami.

W końcu znalazłem mroczny zaułek i namiot z wizerunkiem dwóch czarnych łabędzi u podstawy. Zapukałem w ościeże drzwi i wszedłem do środka, nie czekając na odpowiedź.

Matka Chilton siedziała na tym samym krześle. Mogłoby się zdawać, że nie ruszyła się z miejsca przez wiele tygodni, które upłynęły od mojej poprzedniej wizyty. W stojącym pośrodku namiotu piecyku palił się ten sam ogień, dym nadal uciekał na zewnątrz przez dziurę w dachu, a światło migotało na ścianach. Na tych samych tyczkach wisiały te same butelki, rośliny, pióra, skóry, kawałki drewna i płócienne woreczki.

Tym razem Matka Chilton wstała, gdy się zjawiłem. Moje przebranie nie zwiódło jej nawet na moment. Nie skomentowała go ani słowem.

— Wyrosłeś, chłopcze. Jesteś już prawie mężczyzną.

— Przyszedłem, żeby...

— Wiem, po co przyszedłeś. — Podeszła bliżej. Miałem wrażenie, że gdy to zrobiła, wiszące na tyczkach przedmioty również się poruszyły, jakby chciały być blisko niej. W oczach kobiety pływały dziwne barwy i światła.

— Szukasz lady Cecylii, która przysłała cię tu poprzednim razem.

— Tak. Czy jest bezpieczna? Czy jest tutaj?

— Była tutaj. Ale odeszła. Nigdy nie będzie bezpieczna.

Oddech uwiązał mi w gardle.

— Nigdy? Dlaczego? Dokąd odeszła? Czy pomogłaś jej w ucieczce ze stolicy?

Matka Chilton nie odpowiedziała mi bezpośrednio. Widziana z bliska, miała gładkie policzki, pomarszczone czoło, a do tego te oczy, pozbawione wszelkiego koloru.

— Zatem na Wrzosowisku Duszorośli nie są jeszcze gotowi — rzekła.

Wspominała już o nim przedtem. „Czy przychodzisz z Wrzosowiska Duszorośli? To znaczy, że są gotowi?”.

Byłem wówczas wstrząśnięty myślą, że skojarzyła mnie z czymś, o czym nikt inny nie chciał nawet wspominać. Tym razem było mi wszystko jedno. Chciałem tylko odnaleźć Cecylię i zaopiekować się nią.

— Gdzie jest lady Cecilia? Czy jej pomogłaś?

— Tak, chłopcze. Ale nie wiesz dlaczego. Wiesz wiele, więcej niż ci się zdaje, ale nie masz pojęcia, kim jest Cecilia.

— A kim?

— Ładnym, pustogłowym krzesiwem, które podpali wszystko.

— Wiem, że nie ma zbyt wiele rozumu, ale nie jest pustogłowa — sprzeciwiłem się z tak wielką godnością, na jaką potrafiłem się zdobyć. — I, tak, „podpaliła” mnie, ale nie wstydzę się tego.

Matka Chilton nie zareagowała śmiechem. Zamknęła oczy i przez jej twarz przemknął wyraz straszliwego bólu, jakby wbiła sobie nóż w brzuch. Rzuciłem się ku niej, by ją złapać, gdyby zemdląca, ale ona nawet się nie zachwiała. Natomiast ja chyba się zachwiałem, usłyszawszy jej następne słowa.

— Wysłałam Cecilię na Ziemię Niczyją. To jedyne miejsce, gdzie królowa jej nie dosięgnie. Caroline studiowała sztuki duszy, ale brak jej talentu. Niemniej dlatego właśnie cię rozpoznała. Powiedziałam Cecilii, żeby udała się na Ziemię Niczyją, ale pod żadnym pozorem nie wchodziła na obszar Wrzosowiska Duszorośli. Może znajdzie jakiegoś pasterza kóz albo ubogiego wieśniaka, który się z nią ożeni i zapewni jej bezpieczeństwo. W końcu jest ładniutkim kociakiem. Ty jednak nie możesz za nią pójść, chłopcze. Kiedy cię zobaczyłam, myślałam, że przybywasz z Wrzosowiska Duszorośli. Tak nie jest i spowodowałeś już wystarczająco wiele zaburzeń w krainie Umarłych.

— Czy potrafisz przechodzić na drugą stronę?

— Nie — odpowiedziała, nie wyjaśniając nic więcej.

— Wysłałaś Cecilię samą na Ziemię Niczyją? — zapytałem, trzymając się tego, co było ważne.

— Nie jest sama.

Matka Chilton położyła dłoń na moim ramieniu i zdarzyło się coś dziwnego. Obraz przed moimi oczami stał się zamazany. Coś niemalże uformowało się na jego miejsce... ale nie. Zniknęło. Kobieta cofnęła rękę.

— Nie jesteś gotowy — stwierdziła ze smutkiem. — Chłopcze, nie idź za tą dziewczyną. Urodziła się na Wrzosowisku Duszorośli i choć Caroline sprowadziła ją do Glorii, gdy jeszcze była dzieckiem, nadal pozostała Duszoroślanką. Nie idź za nią.

— Muszę — odparłem po prostu.

— Jesteś głupcem — skwitowała z równą prostotą. Nie wiedziałem, czy ma na myśli mój charakter, moje zajęcie błazna królowej, czy może jedno i drugie. Przez dłuższą chwilę żadne z nas się nie odzywało. Ciszę mącił tylko buzujący w piecyku ogień. — Nie próbuj chodzić za dnia w przebraniu dziewczyny czy barda dzikusów — odezwała się wreszcie Matka Chilton. — Nawet nie umiesz śpiewać. Zdejmij tę śmieszłą koszulę nocną i wytrzymaj twarz tą szmatą. Dam ci płaszcz.

— Czerwonego barwnika nie da się zmyć — odparłem naburmuszonym tonem, zmęczony tym, że traktowała mnie jak dziecko, choć byłem bohaterem śpieszącym na ratunek ukochanej. — Trzeba poczekać, aż się zetrze.

Prychnęła pogardliwie i zaatakowała moją twarz kawałkiem materiału. Kiedy go cofnęła, był czerwony od barwnika. Potem wyszarpnęła brutalnie gałązki z moich włosów. Zdjąłem zielony aksamitny płaszcz i ściągnąłem przez głowę koszulę nocną lady Margaret. Matka Chilton zrobiła mi kompres na ranę, podciągnąwszy najpierw mój rękaw. Zranioną kończynę natychmiast wypełniła chłodna siła. Zabrała dworski płaszcz i wręczyła mi w zamian nowy — gruby płaszcz z kapturem uszyty z brązowej wełny i obsyty króliczym futrem tego samego koloru, zdecydowanie najlepszy, jaki w życiu miałem.

— Nie... nie mam czym ci zapłacić.

— Daj mi te złote monety, które masz w kieszeni — zażądała ostrym tonem.

Skąd o nich wiedziała?

— I pierścień Caroline też — dodała, nim zdążyłem o to zapytać. — Musisz być naprawdę głupi, jeśli nosisz ze sobą takie znaczniki. Oddaj mi je.

Znaczniki? Wsadziłem rękę do kieszeni, zaciskając ją na złotej monecie i wysadzonym maleńkimi szmaragdami pierścieniu. Miały mi ułatwić odnalezienie Cecylii. Jeśli je zabierze...

Moja ręka wysunęła się z kieszeni z własnej woli, niezależnej od mojej, i położyła na stole pierścień oraz monetę.

— Jak to...

— Masz, chłopcze.

Wręczyła mi garść srebrnych monet. Byłem zbyt oszołomiony, by je policzyć.

— Jak to...

— Bądź cicho. Idź do piwiarni przy wschodniej bramie i pij tam przez całą noc. Rankiem, gdy przesiadujące tam nieroby wyłazą na pola, by zająć się tym, co nazywają „pracą”, opuścisz miasto razem z nimi.

— Ale jak to...

— Powiedziałam, bądź cicho!

Nie mogłem jednak jej posłuchać, choć ledwie zdołałem wykrztusić następne słowa.

— Nigdy, przenigdy nie wierzyłem w czarownice. Czy... jesteś czarownicą, pani?

— Idź już, zanim cię stąd wykopię, chłopcze. Swą głupotą przynosisz wstyd nam wszystkim.

— Ale ja...

— Idź już!

— Czy powiesz mi chociaż jedno? Skąd Cecilia o tobie wiedziała, mówię o tym possecie szlachcianki, i dlaczego jej pomagasz...

— Taka tępota zniszczy w końcu nas wszystkich — rzekła z desperacją w głosie. Nagle znalazłem się w mrocznym zaułku. Za plecami miałem

zasznurowane szczelnie drzwi namiotu. Zamrugalem. Przeszył mnie dreszcz. A więc to prawda. Choć dotąd o tym nie wiedziałem, na świecie były czarownice. A może Matka Chilton tylko gadała i gadała, aż wreszcie sam wyszedłem z jej namiotu. Albo...

— Cześć, Roger — zabrzmiał czyjś głos w mroku za moimi plecami. Odwróciłem się błyskawicznie i zobaczyłem ją. Owinięta w szary płaszcz Maggie zdołała jakoś zawrzeć w swym głosie strach, wściekłość i determinację.



## 23

— Co ty tu robisz?

W moich słowach pobrzmiwał ostry, oskarżycielski ton, zrodzony ze strachu i niepewności, co sam właściwie tu robię.

— Idę z tobą — odpowiedziała dziewczyna zupełnie nie swoim głosem, przesyconym błagalną pokorą. Nic nie wyglądało tak, jak powinno.

— Nie ma mowy. Wracaj do pałacu.

— Nie mogę pozwolić, byś sam wałęsał się po kraju. Ty nic o niczym nie wiesz — oznajmiła. Tym razem bardziej przypominała siebie. Niemniej w ciągu dwóch minut druga kobieta powiedziała mi, że jestem głupi i straciłem resztki cierpliwości.

— „Wałęsałem się po kraju” od szóstego roku życia! W towarzystwie ludzi, jakich nawet nie potrafiłabyś sobie wyobrazić! Cholera, Maggie, zostaw mnie w spokoju!

Rozpłakała się.

Jej łzy nie przypominały łez Cecylii, burzliwych i przyciągających uwagę, łez, którym mężczyzna mógł zaradzić. Stała w blasku gwiazd, jej ręce zwisały swobodnie, a łzy spływały po policzkach. Ciekło jej z nosa. Nie ruszyła się jednak z miejsca, nie wróciła do pałacu.

— Maggie... nie mogę cię zabrać.

— Nic nie rozumiesz — odezwała się wreszcie. Te słowa nie były prawdą i z pewnością w niczym mi nie pomogły. — To znaczy, że mnie nie rozumiesz — dodała.

— Czego nie rozumiem?

— Niczego!

Oddaliłem się dumnym krokiem, zmierzając ku piwiarni przy wschodniej bramie. Czułem, że Maggie podąża za mną. W nowym płaszczu miałem kieszeń. Włożyłem do niej rękę i dotknąłem palcami monet, które dała mi Matka Chilton. Dziesięć srebrników — więcej niż kiedykolwiek w życiu widziałem. Pięćset groszy! Trochę się bałem tak wielkiej sumy. Przed drzwiami piwiarni schyliłem się i, zasłaniając się płaszczem, schowałem dziewięć monet do buta.

Lokal był w połowie namiotem, a w połowie nowo wybudowaną drewnianą budą. W stojącym pośrodku piecyku palił się jasno ogień, ogrzewający całe wnętrze poza najdalszymi kątami. Królowa Caroline odwołała edykt jej matki, mówiący, że kupcy muszą opuszczać na noc miasto, i za dwoma długimi stołami ustawionymi po obu stronach piecyka siedziało pełno pijących, rozmawiających i śmiejących się ludzi. Usiedliśmy z Maggie za jednym z małych stolików rozstawionych po zimnych kątach. Nie zdejmując płaszcza ani nie kładąc kaptura, położyłem na blacie srebrną monetę, by posługaczka patrzyła chciwie na nią, a nie na nas. Przyniosła nam dwa kufle ale, dwie brązowe monety i siedem groszy.

— Skąd masz pieniądze, Roger? — zapytała cicho Maggie.

— To moja sprawa.

— Dokąd twoim zdaniem uciekła lady Cecilia?

— Nie wiem.

— W takim razie, jak chcesz...

— Maggie, byłaś dla mnie bardzo dobra. Pomagałaś mi, karmiłaś mnie i opiekowałaś się mną. Ale tę sprawę muszę załatwić sam.

— Nie — odparła po prostu.

— Kto dał ci prawo...

— Idę z tobą, Roger. Pod płaszczem jestem ubrana jak chłopak. Idę z tobą.

Nasunęła mi się potworna myśl.

— Maggie, czy jesteś szpiegiem królowej? — zapytałem, przerażony swym zachowaniem.

Gapiała się na mnie. W świetle ognia jej smagłą, rumianą twarz pokrywały cętki. Nie rzuciła się jednak na mnie.

— Mówiłam ci, że jesteś głupi. Nie wiesz, jak bardzo nienawidzę królowej?

Nie wiedziałem tego.

— Dlaczego?

— Dlatego, że Richard był Niebieskim i zapłacił życiem za swą wierność oraz odwagę.

A więc tych niespodziewanych łez nie roniła przeze mnie, lecz z powodu brata. Ucieszyła mnie ta myśl.

— Jesteś pewna, że Richard nie żyje? — zapytałem delikatnym tonem.

— Tak. — Maggie wzięła się w garść. — Wieści w końcu do mnie dotarły. Ale to nie jest jedyny powód mojej nienawiści. Ona sypia z lordem dzikusów, który zabił bardzo wielu naszych rodaków. Otruła własną matkę. Wszyscy tak mówią. A ciebie traktowała jak psa. Nie, nawet gorzej niż psa. Jak rzecz. Mogłeś umrzeć na dachu wieży. Ta kobieta to potwór. Nienawidzę jej. Nie mogę służyć komuś takiemu. Nie teraz, kiedy już wiem, jaka jest naprawdę. Królowa Eleanor miała rację, jej córka nie jest godna sprawowania władzy. Służyłam niewłaściwej królowej.

Pociągnęła łyk ale. Jej oczy były pełne bólu.

Uświadomiłem sobie, czym Maggie różni się od większości znanych mi ludzi. Potrafiła mówić o nieprzyjemnych prawdach. Nawet Matka Chilton tego unikała ze swymi bolesnymi wykrętami. Maggie lubiła się rządzić,

była uparta i wścibska, ale nie bała się prawdy. Jak pani Conyers. I być może sama królowa Caroline.

Spróbowałem raz jeszcze.

— Masz siostrę w jakiejś wiosce. Kiedyś mi o tym wspominałaś. Mogłabyś pójść do niej.

— Wspominałam też, że moja siostra to chciwa, skąpa handlarka ryb, która wrzeszczy na wszystkich, w tym również na własnego męża. Nie pójdę do niej. Pójdę z tobą.

W moim umyśle zrodziło się niechciane podejrzenie. Byłem gotowy zaryzykować wszystko dla Cecylii. Czy Maggie była gotowa zaryzykować wszystko dla mnie, bo...

— Maggie — wykrztusiłem — czy ty... czy...

Nie potrafiłem wydusić z siebie słów „jesteś we mnie zakochana”.

Zapadła długa cisza, delikatna jak pajęczyna.

Wreszcie dziewczyna mi odpowiedziała.

— Jesteś moim przyjacielem, Roger — zaczęła z wielką ostrożnością w głosie. — Mój brat nie żyje, moja siostra to jędza, a nie mogę dłużej służyć królowej, którą gardzę. Jeśli zostanę w pałacu choć jedną noc dłużej, oszaleję. Nie mam dokąd pójść. Tylko ty mi zostałeś.

„Nie mam dokąd pójść”. Świetnie to rozumiałem! Ulga rozgrzała mnie niczym ale. Maggie była moją przyjaciółką i nie miała nikogo oprócz mnie. Tylko straszliwa próżność kazała mi podejrzewać coś innego. Nie będę już sobie pozwalał na takie myśli. Byłem błaznem, mordercą i bezdomnym włóczęgą. Jak ktokolwiek mógłby mnie pokochać?

Mimo to raz jeszcze spróbowałem przekonać Maggie, by ze mną nie szła.

— W kuchni powiedziałaś, że opuszczenie pałacu byłoby zbyt niebezpieczne, żeby...

— Niebezpieczne dla ciebie, ty idioto!

— To moja sprawa, nie twoja!

— Teraz również moja — odparła tonem Maggie, którą znałem, kompetentnej i pełnej pogardy.

— Jak sobie życzysz — rzekłem obcesowo. Od tej chwili już się nie odzywaliśmy. Siedzieliśmy i popijaliśmy powoli ale, podczas gdy lokal się opróżniał w miarę upływu nocy. Wydałem jeszcze szesnaście groszy, w tym dziesięć, które dałem posługaczce, by pozwoliła nam spać przy dogasającym piecyku. Wczesnym rankiem dołączyliśmy do robotników rolnych wychodzących z miasta przez wschodni most, by zająć się codziennym sadzeniem i pieleniem, a potem wydać dniówkę w piwiarniach i garkuchniach miasta. Nikt nas nie zauważał. Doszliśmy aż do samego końca pól uprawnych, gdzie wieśniaczka za srebrnika sprzedała nam tyle chleba, sera i suszonego mięsa, ile zdołaliśmy unieść, a także bukłak na wodę z koziej skóry. Następnie ruszyliśmy traktem na południowy wschód, w stronę wybrzeża.

To była ta sama droga, którą przed niemal dziewięcioma miesiącami przyjechałem tu z Kitem Beale'em. Wtedy była jesień, a teraz wczesne lato i obok mnie szła Maggie. Podobnie jak wówczas nie wiedziałem, dokąd zmierzam i co mnie czeka, ale poza tym wszystko wyglądało inaczej. Krok za krokiem, mila po mili, moje serce coraz silniej wypełniała Cecilia. Niepokojem, strachem i bólem. Miłością, która była wszystkimi tymi rzeczami.

Ból ręki ustąpił niemal całkowicie. Cokolwiek zrobiła z nią Matka Chilton, rana zadana przez strzelbę goiła się znacznie szybciej, niż potrafiły to osiągnąć zabiegi lady Margaret. Nadal jednak byłem osłabiony i czasami musiałem się zatrzymywać na odpoczynek. Zdarzało się to jednak rzadziej,

niż się tego spodziewałem, i to również mogło być zasługą kompresu Matki Chilton.

Pierwszego dnia Maggie mówiła bardzo niewiele, ale gdy rozbiliśmy obóz w zaroślach nieopodal traktu i zjedliśmy trochę chleba z serem oraz mięsem, spojrzała na mnie nad dogasającymi węgielkami. Słońce już zaszło i zrobiło się zimno. Oboje szczerze otuliliśmy się płaszczami. Księżyc był wąskim sierpem ledwie widocznym na wąskim niebie. Gwiazdy lśniły jasno.

— Roger, co zrobisz, jeśli znajdziesz lady Cecilie?

Nie chciałem rozmawiać o Cecylii, nie z Maggie.

— Będę jej służył — burknąłem.

— Jako błazen?

— Nie!

— Więc jako kto?

— Nie umiesz zostawić żadnej sprawy, tak? — zapytałem gniewnie. — Lady Cecilia przebywa na Ziemi Niczyjej. Nie jest sama, ale towarzyszy jej tylko jedna osoba. Matka Chilton nie chciała mi powiedzieć, kto to jest. Cecilia będzie potrzebowała służących, straży, dworu.

— Nie jesteś służącym ani strażnikiem — zauważyła Maggie. — A już z pewnością nie dworzanie.

Gapiała się prosto w ogień z wściekle niezadowoloną miną.

— Ona mi ufa. Zresztą ty również będziesz potrzebowała domu, Maggie. Chciałaś uciec z pałacu i udało ci się. Ale co teraz? Lady Cecilia mogłaby ci dać posadę służącej albo...

— Bądź cicho! — przerwała Maggie głosem pełnym tak gwałtownego bólu, że poczułem się zdumiony. Przejście z pozycji kucharki na służącą damy nie wydawało mi się degradacją, ale nie zadawałem już więcej pytań.

Nie chciałem kolejnych kłótni. Dziewczyna położyła się, zwinięta w kłębek plecami do mnie.

Gdy zasnąłem przy ognisku, śniło mi się, że wróciłem do pałacowej pralni. Barwiłem tkaniny na zielono, ale nagle — jak nieraz się dzieje w snach — zacząłem barwić ludzi, i to nie na zielono, ale na żółto. To były same kobiety, i to bez wyjątku nagie: królowa, Cecilia, Cat Starling, Maggie.

— Proszę bardzo — zakończyłem. — Teraz wszystkie jesteście błaznami.

Kiedy się obudziłem, reakcja mojego ciała była tak silna, że mogłem tylko wykraść się w krzaki, licząc na to, że Maggie się nie obudzi.

Wszystkie były błaznami. I ja również.

Przez kilka następnych dni szliśmy przed siebie, rozmawiając bardzo niewiele. Maggie była w ponurym nastroju, rzadko nawet na mnie patrzyła. W Reginokracji nadeszła wreszcie wiosna, pełna światła i świeżej zieleni, ale noce nadal były zimne. Księżyc wciąż przybywało, aż w końcu stał się pełnym kręgiem, oświetlającym srebrnym blaskiem wszystko na dole. Okolica zrobiła się dziksza i mniej żyzna. Pola niedawno zasianego zboża ustąpiły miejsca łąkom, na których pasły się owce, a potem, gdy stoki stały się bardziej strome i skaliste, kozy. Wzgórza przeszły w góry, pełne głębokich jarów i stromych urwisk. Gdy tylko zobaczyliśmy na traktach kogoś zbliżającego się ku nam z jednej czy z drugiej strony, ukrywaliśmy się oboje. Uświadomiłem sobie jednak, że powtarzane przez Hartaha makabryczne opowieści o zbójcach, rabusiach i innych niebezpieczeństwach grożących samotnym wędrowcom były kłamstwem. Nie widziałem na poboczu żadnych wypatroszonych gnijących trupów.

Z dnia na dzień spotykaliśmy też coraz mniej jeźdźców. Dotarliśmy do granic Ziemi Niczyjej.

— Kończy się nam żywność — oznajmiła w pewnej chwili Maggie.

— Przed nami jest gospoda. Możemy w niej kupić zapasy i zapytać o informacje.

— Gospoda? A skąd wiesz?

— Wiem — odpowiedziałem. Wkrótce dotarliśmy do ostatniej gospody, w której nocowałem z Hartahem i ciotką Jo. Wyglądała tak samo jak wtedy — nieprzyjemny lokal pełen niemiłych ludzi. Gdzieś na wschodzie leżało morze. Zwróciłem też uwagę na parę rzeczy, których poprzednim razem nie zauważyłem, bo byłem zbyt naiwny: ukryty wśród drzew strumień bardzo dogodny dla przemytników oraz gęsty las za gospodą, dzięki któremu wędrowcy mogli docierać do niej niepostrzeżenie dla ludzi wędrujących traktem. „W takim miejscu można się wiele dowiedzieć” — powiedział nam wtedy Hartah. Wyjąłem z buta kolejny srebrnik od Matki Chilton i schowałem go do kieszeni.

— Maggie, kiedy będziemy w tej gospodzie, musisz we wszystkim mnie słuchać.

— A co mam robić? — zapytała rozsądnie.

— Nic nie mów. Może zdołasz udawać chłopaka, jeśli postawisz kaptur, bo masz okropnie brudną twarz, ale nie możesz się odzywać. A kiedy wynajmiemy pokój na górze, zarygluj drzwi i nie otwieraj nikomu, dopóki się nie upewnisz, że to ja.

Wściekała mnie myśl, że wydaję jej te same polecenia, które kiedyś Hartah wydał mnie, ale nie można było nic na to poradzić. W tym przypadku Hartah miał rację. To nie było miejsce dla kobiety. Ciotka Jo była stara i zwiędła, ale Maggie była młoda i, no cóż, może niezupełnie ładna — w porównaniu z Cecilią nikt nie mógłby za takiego uchodzić —



ale i tak będzie jej groziło niebezpieczeństwo. A ja, ze swym małym nożykiem do golenia, nie zdołam jej obronić.

A kto bronił Cecylii? Ja powinienem to robić.

Maggie skinęła głową i skryła twarz głęboko pod kapturem.

— Rozsuń płaszcz od talii w dół, żeby zobaczyli twoje buty i spodnie — dodałem. — Muszą myśleć, że oboje jesteśmy chłopakami.

Ponownie skinęła głową i wykonała moje polecenie — pierwszy raz w życiu.

W głównej sali siedziało dwóch mężczyzn. Trzeci niósł im kufle ale. Wszyscy obrzucili mnie zimnymi spojrzeniem.

— Potrzebujemy pokoju na noc — oznajmiłem, wyciągając otwartą dłoń ze srebrną monetą. — Mój brat się przewrócił i zranił się w nogę.

Maggie zaczęła utykać.

Oberżysta spojrział na monetę, a potem na moją twarz i gruby, obsyty futrem płaszcz.

— Jasne, chłopcze — rzekł jowialnym, przy pochlebnym tonem. — Mam dla was dobry pokój na górze. Mój najlepszy. Może zjecie też kolację?

— Nie, dziękuję.

— Jak sobie życzysz. Tędy.

Poszedłem za nim na górę. Ta sama izdebka pod okapem, to samo zapadające się łóżko. Maggie kuśtykała za mną.

— Trzydzieści groszy za noc — oznajmił oberżysta.

Cena była skandaliczna, ale skinąłem głową.

— Zgoda. Mój brat musi oszczędzać nogę, ale ja zejść na dół wypić kufel ale.

Jego obleśny uśmiech stał się jeszcze szerszy.

— Jak sobie życzysz, panie.

Maggie weszła do środka z przerażoną miną. Słyszałem, jak zasuwa rygiel. Potem zszedłem za oberżystą do głównej sali, pozwoliłem, by przyniósł z zaplecza kufel ale i zapłaciłem oburzającą cenę trzech groszy. Pozostałe siedemnaście leżało na blacie obok naczynia. Dwaj siedzący naprzeciwko mnie mężczyźni nie odzywali się słowem. Nie byli ani młodzi, ani starzy. Mieli na sobie łatanne stroje z brązowej wełny i nie myli się już od bardzo dawna. Śmierdzieliby gorzej, gdyby w sali nie było tak zimno. Przez szczeliny w ścianach do środka wpadał wiatr od morza, targający słabymi płomieniami na palenisku. Nikt z nas nie zdjął płaszcza.

Wkrótce podejmą próbę, w najlepszym razie rabunku, w najgorszym morderstwa, musiałem więc ich uprzedzić.

— Ciepło tu, prawda? — zapytałem.

Nie odpowiedzieli.

— Bardzo ciepło.

Demonstracyjnie wytarłem czoło i szyję. Czekałem.

— Dokąd się wybierasz, chłopcze? — warknął wreszcie jeden z nich. Zęby miał połamane i tak samo brązowe jak płaszcz.

— Szukam swojej pani.

To przyciągnęło ich uwagę, i oberżysty również.

— Uciekła z ojcowskiego majątku i zapomniała mi powiedzieć, gdzie mam się z nią spotkać.

— Zapomniała? Jak to zapomniała, chłopcze? Wyrażaj się jasno.

— Wyrażam się jasno.

Otworzyłem szeroko oczy, starając się wyglądać tak niewinnie, jak tylko mogłem. Potem złapałem się za brzuch.

— Jesteś chory?

— Nie, nie, po prostu zjadłem coś niedobrego... Tak, zapomniała. A przecież nigdy o mnie nie zapomina. No wiesz, jestem jej muzykiem, a ona uwielbia muzykę. Mam wam zaśpiewać?

— Nie — warknął, zgodnie z moimi przewidywaniami. — Jak się nazywa twoja pani?

— Lady Margaret. Ale myślę, że może... — Wykrzywiłem twarz, jak półgłówek usiłujący coś sobie przypomnieć. — Myślę, że może podróżować pod innym imieniem. Zapomniałem jakim.

— Twoja pani zwała... — zaczął oberżysta.

— Nie zwała. Uciekła.

— Uciekła z domu ojca na Ziemię Niczyją. To mało prawdopodobne, chłopcze.

Drugi siedzący przy stole mężczyzna przyglądał mi się teraz z większą uwagą. Do tej pory nie odezwał się ani słowem.

— Widziałeś ją? — zapytałem go bezpośrednio. — Jest mała, ma ciemne włosy, zielone oczy i jest naprawdę bardzo ładna.

Wszyscy trzej mężczyźni umilkli nagle.

— Nie podróżuje sama — odezwał się wreszcie oberżysta.

— To prawda.

To samo powiedziała mi Matka Chilton. Nie chciała jednak zdradzić, kto towarzyszy Cecilii. Nazwała mnie głupcem tylko z tego powodu, że o to zapytałem.

— Jesteś głupcem, chłopcze — oznajmił mężczyzna z połamanymi zębami.

— Ludzie często mi to mówią — odparłem z szerokim promiennym uśmiechem. — Ale pani zapomniała o mnie w swym pośpiechu. Dlatego ja i mój brat musimy wyruszyć za nią. Czy wiecie, dokąd poszła?

Wszyscy trzej łypali na mnie złowrogo. Wiedziałem, że nie zostało mi wiele czasu.

— W głąb łądu — odpowiedział człowiek z połamanymi zębami. — Dokąd jeszcze mógłby się udać ktoś taki jak jej stróż? W kierunku Wrzosowiska Duszorośli, w kierunku Hygryll. Ale ty...

— Och, dziękuję! — zawołałem, przerywając mu. — No wiesz, ja... — Straciłem stos monet na podłogę, zanurkowałem za nimi pod stół i wyrwałem sobie włos z nosa, najsilniej, jak tylko mogłem. Kiedy wstałem, chwiałem się na nogach i nie miałem monet. Z oczu płynęły mi łzy, twarz miałem czerwoną i kichałem gwałtownie. — Och... och... boję się, że... pomóżcie mi, proszę. Pani uciekła z majątku przed zarazą, a mój brat... pomóżcie nam.

Mężczyźni zamarli.

— Zaraza! — wydyszał oberżysta. Wszyscy trzej odsunęli się pośpiesznie.

— Pomocy... — wydyszałem i osunąłem się na stół.

Jeden z nich wyciągnął miecz.

— Nie! — powstrzymał go drugi ostrym tonem. — Nie zbliżaj się do niego!

— Monety...

— Zostaw je, ty idioto!

Wszyscy trzej opuścili gospodę i zniknęli w mroku.

Poszedłem na górę po Maggie i oboje wymknęliśmy się po cichu, by rozbić obóz kilka mil dalej, w zaroślach nieopodal traktu. Najpierw jednak zabrałem z gospody żywność oraz jeszcze jeden koc, stary i połatany, ale nadal nadający się do użytku. Będzie nam zimno podczas drogi przez góry ku Wrzosowisku Duszorośli.

Tam umarła moja matka. I tam uciekła Cecilia w towarzystwie... kogo?  
Tam będę mógł wreszcie poznać prawdę o swej przeszłości i przyszłości.

## 24

— Nie możemy iść na Wrzosowisko Duszorośli — upierała się Maggie.  
— Nie możemy.

Był już ranek. Spoglądaliśmy na siebie nad dogasającymi węgielkami ogniska. Nocą była zbyt przerażona, by zadawać wiele pytań, ale rano znowu stała się sobą. Nadal się bała — chyba nawet jeszcze bardziej, odkąd jej powiedziałem, dokąd idziemy — ale była Maggie i w związku z tym strach skłaniał ją raczej do walki niż do ucieczki.

— Wreszcie wymówiłaś tę nazwę — odrzekłem. — W pałacu nie chciałaś nawet powiedzieć „Wrzosowisko Duszorośli”, jakby same słowa mogłyby ci zaszkodzić.

— Nie słowa, ty idioto! Ludzie, którzy mogliby je podsłuchać!

To miało sens. Wówczas nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, że w pałacu jest pełno szpiegów i ukrytych podglądaczy, wykorzystywanych przez różne frakcje. Teraz o tym wiedziałem, ale nie byliśmy już w pałacu.

— Powiedz mi — zażądałem. — Powiedz mi, czym jest Wrzosowisko Duszorośli.

Choć ranek był piękny, dziewczyna zadrżała.

Rzeczywiście był piękny. W jedną noc pogoda zmieniła się z wiosennej we wczesnoletnią. Na pączki na konarach drzew padał złoty blask słońca. Świeże liście głogu miały delikatną żółtozieloną barwę, widywaną tylko raz w roku. Ptaki śpiewały. W lesie pachniało świeżością i zapowiedzią życia.

— Wrzosowisko Duszorośli to śmierć.

— Tylko bez zagadek, Maggie. Powiedz mi prawdę. Kto mieszka na Wrzosowisku Duszorośli?

— Ci, którzy nigdy nie umierają.

— Czarownicy?

Nadal nie byłem pewien, co właściwie spotkało mnie u Matki Chilton i w ile z tego wierzyłem.

— Nie. Tam palą czarowników, tak samo jak wszędzie. Ale... oni...

— Mów!

Znowu zadrżała. Nikt jednak nie mógłby powiedzieć, że Maggie brakuje odwagi.

— Nie umierają, ponieważ karmią się życiem innych. Mordują ich i kradną ich dusze, by dodać ich siłę do własnej. Dzięki temu żyją wiecznie.

— Nikt nie żyje wiecznie. — Kto jak kto, ale ja z pewnością o tym wiedziałem! — W jaki sposób kradną te dusze?

— Nie wiem. Ceremonia jest tajemnicą, tylko oni ją znają. Krążą pogłoski... ale nikt nie zna prawdy.

— Jesteś pewna, że to nie są zwykłe ludowe bajania? Opowieści, którymi straszy się dzieci, żeby były grzeczne, jak jastrzębiolud albo potwór pod górą?

— Skąd mam wiedzieć? — zawołała gniewnie. — Pytasz, czy kiedyś je odwiedziłam, żeby zobaczyć to na własne oczy? Nigdy nie byłam na Wrzosowisku Duszorośli i teraz też tam nie pójde. Jeśli lady Cecilia rzeczywiście przebywa na Ziemi Niczyjej, będę ci towarzyszyła, dopóki jej nie znajdziesz, ale ani chwili dłużej. Słyszałeś, Roger? Ani chwili dłużej! Nie będę służącą lady Cecilii, jak mi uroczko zasugerowałeś kilka dni temu. Wolę zmywać naczynia, pasać świnie, a nawet zostać dziwką! Zrozumiałeś?

Byłem wstrząśnięty. Maggie dziwką? Choć wiedziałem, że nie mówiła poważnie, poczułem w sercu coś dziwnego. Nigdy dotąd nie zachowywała się tak irracjonalnie. Nic nie miało sensu.

Nie zastanawiałem się jednak zbyt długo nad tym napadem złości. Rozsypałem popioły i znowu powlekliśmy się górskim traktem. Głowę wypełniały mi myśli o tym, co usłyszałem od Maggie. Na Wrzosowisku Duszorośli, z powodu jakichś okropnych, przerażających wierzeń, zabijano intruzów, żeby „ukraść im dusze”.

Ciotka Jo powiedziała mi, że moja matka umarła na Wrzosowisku Duszorośli.

Czy ją zamordowano? W jaki sposób?

Nie. Nie mogłem o tym myśleć. To wpędzi mnie w obłąd. Wszystko to były tylko przesądne bajania. Nikt nie mógł zdobyć nieśmiertelności, odbierając innym dusze. Duszy nie można było odebrać. Przechodziła na drugą stronę, by żyć w krainie Umarłych, jeśli można to było zwać życiem. Ale tutaj, w krainie żywych, moją Cecilie mogła spotkać krzywda.

„Poszła w kierunku Wrzosowiska Duszorośli, w kierunku Hygryll”. Tak mi powiedział mężczyzna z połamanymi zębami. „Dokąd jeszcze mógłby się udać ktoś taki, jak jej stróż?”. Jaki stróż? Czego nie wiedziałem o Cecylii? Lady Margaret powiedziała, że „Cecilia zawsze miała w sobie coś dziwnego”. Dla mnie jednak była jak mały strumyczek, wartki, świetlisty i przejrzysty aż do dna, szemrzący radośnie po drodze. Mężczyzna o połamanych zębach kłamał, mylił się albo po prostu chciał być okrutny. Matka Chilton nie wysłała jej do Hygryll. „Powiedziałam Cecylii, żeby udała się na Ziemię Niczyją, ale pod żadnym pozorem nie wchodziła na obszar Wrzosowiska Duszorośli”. Cecilia była gdzieś na Ziemi Niczyjej. Znajdę ją. Znajdę.

A moja matka...



Nie myśl o tym!

Istniał jednak tylko jeden sposób na powstrzymanie tych myśli. Zrobię to, co zamierzałem uczynić już od pół roku, od chwili, gdy ciotka Jo zdradziła mi miejsce śmierci matki. Zbliżę się do Wrzosowiska Duszorośli i do Hygryll tak bardzo, jak tylko pozwoli na to ostrożność, a potem przejdę na drugą stronę i znajdę matkę w krainie Umarłych. Stare kobiety często tam ze mną rozmawiały. Moja matka nie była stara, ale z pewnością zechce pomówić ze swym jedynym dzieckiem. Wtedy wreszcie poznam odpowiedzi.

Myśl, że mam plan, poprawiła mi nastrój. To była wesołkowatość idioty, ponieważ nie przewyciężyłem żadnej ze stojących przede mną przeszkód. Miałem jednak plan. Znajdę Cecilię. Zostanę jej sługą, tylko po to, by być blisko niej. Potem poproszę, by pozwoliła mi się oddalić na krótki czas, zbliżę się do granicy i przejdę na drugą stronę. Potrafię dokonać tego wszystkiego. Osiągnąłem już tak wiele! Słońce grzało, ptaki śpiewały, ranek był piękny, a ja znalazłem się daleko od pałacu z jego bezlitosną, pełną sprzeczności i pasji królową, która stała się teraz jego więźniem. Debilna radość wypełniała mi krew swym śpiewem. Pogwizdywałem po drodze, co nie zdarzyło mi się od wielu miesięcy.

Maggie wlokła się obok ze spuszczoną głową. Milczała.

Na Ziemi Niczyjej nie było trudno o informacje, odkąd oddaliliśmy się już od morza. Na wybrzeżu można było spotkać przemytników, morskich rozbójników oraz nielicznych wędrowców podróżujących traktem. Jednakże na wyżynie, pośród szalonych żlebów i bezludnych wrzosowisk, była tylko jedna droga. Czasami przeradzała się w zwykłe koleiny, a w innych chwilach znikwała bez śladu i musiałem znowu jej szukać, powtarzając przekleństwa. Chaty były tu nieliczne i nędzne, a ich

mieszkańcy, gdy już wyzbyli się początkowej nieufności wobec obcych, cieszyli się z przybycia wędrowców rozpraszających monotonię ich życia. Pasterze kóz, myśliwi i kmiecie, którym do życia wystarczało parę akrów nieurodzajnej górskiej ziemi oraz gwałtowne pragnienie niezależności, dawali nam żywność i dach nad głową w zamian za parę groszy i trochę wieści. Nie dziwił ich też widok dwóch młodych „braci” podróżujących bez opieki. W tej dzikiej krainie chłopcy dorastali szybko. Żywności, jaką oferowano nam dwojgu, było niewiele i niekiedy bywała niemal niejadalna, ale nie czuliśmy się zagrożeni, śpiąc przy popiołach paleniska — chyba że to miejsce zajęła już gromadka wielkookich dzieci albo jedyna świnia.

Niemal wszyscy mieszkańcy widzieli Cecilię albo o niej słyszeli.

— Była tu tuzin dni temu — mówili z akcentem takim samym jak Gacek, marynarz z „Frances Ormund”. — Dziewięć dni temu. Trzy dni temu.

Byliśmy coraz bliżej.

— Na czym podróżowała? — zapytałem tej pierwszej nocy. — I kto jej towarzyszył?

— Na osiołku jechała — oznajmiła mi staruszka. Gdy jednak przyjrzałem się bliżej, przekonałem się, że kobieta wcale nie jest stara. Garbiła się, miała wielki brzuch i była szczerbata, ale wokół jej oczu nie widziałem bruzd. Była młodsza niż lady Margaret i królowa. Mogła mieć najwyżej trzydzieści lat. Uśmiechała się słodko.

— A kto był z nią? — zapytałem, czując ucisk w żołądku.

— Jej sługa. Odwoził ją do majątku kuzyna, za górami.

Maggie uważała, by na mnie nie spojrzeć.

— Stary był, jak na taką podróż — dodała kobieta, nim zdążyłem zareagować. — Dziarski jeszcze, ale stary.

Choć sama nigdy nie była służącą ani nie miała służby, potrząsnęła głową, zdumiona zwyczajami dam, dżentelmenów oraz ich świty.

Stary. Kim mógł być? I co to miał być za „majątek kuzyna”? Nigdy nie słyszałem, by Cecilia miała krewnych na Ziemi Niczyjej, a tym bardziej o majątkach owych krewnych. Niemniej większość tych górali przez całe życie nie oddalała się od domu na więcej niż kilka mil, „za górami” mogło więc dla nich znaczyć każde dalekie, nieznanne miejsce.

W ciągu kilku następnych dni, w jeszcze biedniejszych domach w jeszcze wyżej położonych górskich dolinach, dowiedziałem się więcej. Cecilia i jej sługa zatrzymali się tu na jedną noc. Pani wyglądała na znużoną, a sługa był bardzo stary. Nie, oznajmiła następna rodzina, u której się zatrzymaliśmy, to nie był sługa, ale kuzyn. Jechał z nią na swoje gospodarstwo. Nie, poprawiono mnie w kolejnym domu, w tych górach nie ma „majątków”. Czy byłem głupi? Dam również tu nie ma. Kobieta, odziana w prostą wełnianą suknię, wracała z wujkiem do domu, położonego gdzieś dalej w stronę granicy. Mówiący te słowa mężczyzna nie chciał mi patrzeć w oczy.

— Jakiej granicy?

Odwrócił się i zerknął w ogień, krzywiąc wściekle twarz.

Ostatnie domostwo, jak dotąd najuboższe, było położone dalej wzdłuż szlaku. W gruncie rzeczy, wyglądało na to, że szlak się tu kończy. To była tylko prosta chata ulokowana w zagłębieniu górskiego stoku obok wysokiego, wąskiego, lodowatego wodospadu. Małomówna rodzina — rodzice i czworo dzieci w znoszonych ubraniach — tłoczyła się w jednej wietrznej izbie. Nikt nie chciał odpowiadać na moje pytania. Kiedy je powtórzyłem, mężczyzna kazał mi trzymać język za zębami. Przespaliśmy z Maggie noc w szopie z kozami.

Rankiem dziecko przyniosło nam dwa małe bochenki chleba. Na Ziemi Niczyjej gościnność była niemalże prawem. Nawet niemile widziani, nazbyt wścibscy goście musieli dostać jeść. Chleb był twardy i kwaśny, a chłopiec obdarty i bosy. Na palcach jednej ze stwardniałych stóp miał jakiegoś cuchnącego grzyba. Złapałem dzieciaka za chudy nadgarstek.

— Mam coś dla ciebie.

— Puść Jee!

— Jee, mam dla ciebie coś ładnego. — Wolną ręką wyciągnąłem z kieszeni gwizdek wystrugany z wierzbiny. Zrobiłem go pewnej nocy przy ognisku nad małym strumykiem, gdzie rosły wierzby. Dmuchałem weń cicho i zabrzmiał słodki ton.

Jee gapił się na mnie ze zdumieniem. Nie ulegało wątpliwości, że nigdy w życiu nie widział czegoś takiego. Bardzo chciał dostać gwizdek.

— Dam ci go, jeśli odpowiesz na moje pytania. Z czym jest ta granica?

Przez długą chwilę odnosiłem wrażenie, że nie doczekam się odpowiedzi. Chłopiec skrzywił okropnie buzię, a potem schylił się i podrapał grzybiczą stopę. Nie spuszczał jednak wzroku z gwizdka. Chciwość zatriumfowała nad strachem.

— Z przekłętą krainą — wychrypiał.

Duszorośl.

— A gdzie ona leży?

— Prosto na wschód.

— Jak daleko stąd?

— Dzień drogi.

— Czy dama... to znaczy kobieta...

— Hemfree prowadzi Cecilie do domu.

Leżąc na słomie Maggie wciągnęła nagle powietrze. Nie spała już i wszystko słyszała. Puściłem rękę Jee. Chłopiec wyrwał mi gwizdek z ręki i odskoczył.

„Hemfree prowadzi Cecilię do domu”. Dzieciak znał ich imiona, wiedział, kim byli. Ilu spośród tych, u których zatrzymywaliśmy się przedtem, również to wiedziało, ale ukryło prawdę przed obcymi, przybyszami z Reginokracji? Kim był Hemfree? I gdzie był ten „dom”?

— Muszą wędrować szybko — dodał chłopiec. — Za nimi idą żołnierze.

Żołnierze królowej Caroline. Wysłała swoich ludzi w pościg za Cecilią, która zniszczyła wszystkie jej plany. Czy dlatego Hemfree przyprowadził Cecilię tak blisko Wrzosowiska Duszorośli — bo żołnierze byli blisko? Jak bardzo blisko?

Złapałem Jee za ramię.

— Skąd wiesz, że damę ścigają żołnierze?

— Widzę ich z drzewa.

Maggie przenosiła spojrzenie między chłopcem a mną.

— Do domu — rzekła z namysłem. — Lady Cecilia pochodzi z Ziemi Niczyjej. Niemożliwe, żeby... to, jak mówiła, jak się poruszała... ona... czy to możliwe, żeby pochodziła...

— Tak — potwierdziłem.

Gdy Cecilia wysłała mnie do Matki Chilton po posset szlachcianki, nie wydało mi się to dziwne. W końcu nawet Maggie znała jej nazwisko i wiedziała, że stara kobieta jest uzdrowicielką. Ale Matka Chilton zrobiła dla Cecylii znacznie więcej. Dała jej schronienie, gdy dziewczyna uciekła przed gniewem królowej. Wysłała Cecilię do domu pod opieką nieznanego „Hemfree”. Matka Chilton powiedziała też coś więcej podczas mojej ostatniej, rozpaczliwej wizyty, coś o królowej.

„Caroline studiowała sztuki duszy, ale brak jej talentu. Niemniej dlatego właśnie cię rozpoznała”. Poczułem nagły ucisk w brzuchu, uświadomiwszy sobie, dlaczego królowa sprowadziła Cecilie na dwór w jej dzieciństwie. Miała nadzieję, że dziewczyna rozwinie w sobie „talent”, którego jej brakowało. Tak się jednak nie stało. Najwyraźniej istniała podziemna sieć takich kobiet, pajęczyna rozciągająca się od Reginokracji aż po Wrzosowisko Duszorośli. Cecilia, Matka Chilton, królowa Caroline. Być może właśnie ta sieć sprawiła, że królowa Eleanor nie chciała oddać Reginokracji córce. Wiedziała, że Caroline brodzi w niebezpiecznych wodach. A teraz Cecilia, ścigana przez Zielonych, musiała uciekać z powrotem na Wrzosowisko Duszorośli.

Nie wiedziałem, jak długo siedziałem na cuchnącej słomie w szopie dla kóz, ślepy i oniemiały od wypełniającego mnie przerażenia.

— Roger? — odezwała się wreszcie cicho Maggie.

— Tak? — odpowiedziałem głosem, który nie brzmiał jak mój.

— Czy Cecilia jest na Wrzosowisku Duszorośli?

— Tak sądzę. Tak.

— A czy... czy ona...

— Nie wiem, kim jest.

Gdy tylko wypowiedziałem te słowa, uświadomiłem sobie, że to nieprawda. Wiedziałem, kim jest Cecilia. Była dokładnie taka, jaką zawsze ją znałem: dziecinna, lekkomyślna, słodka, śliczna i kochana. Była „ładniutkim kociakiem”, jak ją nazwała Matka Chilton. Nikim więcej, ale i nikim mniej. Nie miała „talentu” i z tego powodu Matka Chilton miała nadzieję, że „znajdzie jakiegoś pasterza kóz albo ubogiego wieśniaka, który się z nią ożeni i zapewni jej bezpieczeństwo”. Dlatego wysłano nieznanego Hemfree, żeby się nią zaopiekował. Cecilia potrzebowała opieki. Ja

również byłem tu z tego powodu. Pragnąłem odnaleźć Cecilie, mojego słodkiego kociaka, moją ukochaną, i zaopiekować się nią.

— Kto to jest Hemfree? — zapytała Maggie.

— Jakiś kuzyn albo przyjaciel Matki Chilton.

I być może również Cecilii. Ktoś, kto znał ten kraj i jego mieszkańców, a niewykluczone, że również samo Wrzosowisko Duszorośli. Ktoś, komu Matka Chilton mogła rozkazywać, jak królowa rozkazywała lordowi Robertowi. Mężczyzna żyjący w cieniu kobiecej władzy. Tak samo jak ja.

— Roger, co teraz zrobisz?

— Jeśli Cecilia poszła na Wrzosowisko Duszorośli, muszę podążyć za nią.

— Proszę, nie rób tego.

Jej głos brzmiał rozsądnie, ale był to rozsądek tylko z trudem powstrzymujący burzę emocji.

— Muszę.

— Dlaczego? Żeby znaleźć głupią dziewczynę, która nie dałaby za ciebie nawet trzech groszy?

— Muszę, Maggie.

Burza w końcu nadeszła.

— Dlaczego? — zawyła. — Chcesz, żeby cię zabili? Odebrali ci duszę? Dlaczego?

— To tylko ludowe przesady. Nikt nie może odebrać duszy Umarłym.

— Skąd to wiesz?

— Wiem — zapewniłem ze spokojem.

— To nie...

— Maggie — zacząłem, ujmując obie jej dłonie. — Idę tam. Jeśli nie chcesz tego zrobić, możesz zostać na Ziemi Niczyjej. Wróć na to

gospodarstwo, w którym się zatrzymaliśmy przed trzema dniami. Przyjmą cię. Potrafisz ciężko pracować. Proszę, weź je.

Wyjąłem dwie ostatnie srebrne monety i podsunąłem je Maggie.

Rzuciła je na słomę.

— Zabierz swoje brudne pieniądze! Nie możesz iść do Duszorośli!

— Mogę i zrobię to.

— Nie mam zamiaru...

Straciłem wszelką cierpliwość.

— Nikt cię o nic nie prosił! — zawołałem. — Wracaj na to ostatnie gospodarstwo! Albo do Reginokracji! Nic mnie to nie obchodzi!

Skryła twarz w dłoniach i rozpłakała się.

Nigdy sobie nie wyobrażałem, że ma w sobie taki potop łez. To w niczym nie przypominało bezgłośnego płaczu po poległym bracie. Łkała i zawodziła — rozsądna Maggie o ostrym języku! Nie objąłem jej. Siedziałem naburmuszony, aż wreszcie burza się skończyła i dziewczyna ucichła. Wtedy położyłem dwie srebrne monety na jej kolanie i wyszedłem z szopy. Szedłem na wschód, ku granicy, Wrzosowisku Duszorośli i Cecylii.



## 25

Po dniu drogi okolica stała się płaska. Szlak nie wiódł w dół, ale żleby, kotliny i szczyty górskie zniknęły, ustępując miejsca bezkresnej wyżynnej równinie. Na granicy nie było żadnych znaków, ale wiedziałem, w której chwili ją przeszedłem. To było wrzosowisko. Wrzosowisko Duszorośli.

Choć niemal nie było tu drzew, kraina miała swe specyficzne piękno. Nie wiem, co spodziewałem się ujrzeć — być może jałową, spaloną słońcem wyżynę. Grunt był tu gąbczasty, pokryty mchem i kępami niskich, ciemnofioletowych kwiatów. Gdzieniedzie ze sprężystego torfu wyrastały potężne skalne wyniosłości. Je również pokrywał zielony mech, przypominający mi gład w wiosce Stonegreen. Tu jednak nie było wiosek, bydła skubiącego bujną trawę, kur, jarmarków ani pięknych, skazanych na zgubę dziewcząt, takich jak Cat Starling.

Coś przyciągnęło moje spojrzenie: kawałek tkaniny zaczepiony o krzak janowca. Wziąłem go w rękę. Zielony, haftowany jedwab. Była tu! Zerwałem się do biegu.

W oddali rysował się jakiś kształt. W pierwszej chwili pomyślałem, że to złudzenie, gra jasnego blasku górskiego słońca, lecz gdy się zbliżyłem, zorientowałem się, że to niskie, odległe wzgórze. Z jego szczytu bił dym. To mogło być miasteczko. To mogło być Hygryll.

Jednakże zapadał już zmierzch, a dym był jeszcze daleko. Zaczęło wiać. Bieg mnie zmęczył i nie mogłem już zająć dalej bez odpoczynku. Pod osłoną skalnej wyniosłości rozpałem małe ognisko, by odstraszyć zwierzęta. Dym z palącego się torfu miał szczególny zapach, ostry i ziemisty. Noc była bezksiężycowa, na czarnym niebie lśnił milion gwiazd.

Nie miałem nic do jedzenia, ale w bukłaku została odrobina wody. Wypiłem ją, otuliłem się obszytym futrem płaszczem i zasnąłem.

Śniła mi się matka. Miała na sobie lawendową suknię i siedziała z dzieckiem na kolanach. Byłem jednocześnie obserwatorem i tym dzieckiem, bezpiecznym w ciepłych matczynych ramionach. Śpiewała mi coś cicho. Z początku myślałem, że to melodia bez słów. Potem stały się one wyraźniejsze i krew w żyłach Rogera Obserwatora zmroziła groza. „Umrzyj, dziecko, umrzyj, umrzyj, moje maleństwo, umrzyj, umrzyj...”. Roger Dziecko słuchał jednak monstrualnej piosenki, tuląc się do matki. Na jego małej buzi pojawił się uśmiech. Podobała mu się melodia. „Umrzyj, dziecko, umrzyj, umrzyj, moje maleństwo, umrzyj, umrzyj...”.

Czyjeś ręce odciągnęły mnie od niej. To jednak były prawdziwe ręce, nie pochodziły z krainy snów ani z krainy Umarłych. Odciągały mnie od ciepłego bezpiecznego ogniska. Widziałem pochodnie, migoczące na nocnym wietrze. Otaczali mnie ludzie, szarpiący mnie brutalnie, zwracający moją twarz ku migotliwemu blaskowi ognia.

Ktoś westchnął głośno.

Myślałem, że to ja, bo nieznajomi wyglądali naprawdę strasznie. Nie mieli jednak w sobie nic nieludzkiego. To byli po prostu mężczyźni o bujnych brodach, odziani w tuniki i buty z garbowanej skóry. Mieli małe noże o drewnianych rękojeściach. A westchnienie nie pochodziło ode mnie. Wydał je z siebie trzymający mnie za ramię człowiek, gdy zajrzał mi głęboko w oczy.

— Jeszcze jeden! — stwierdził z takim samym akcentem, z jakim mówili ludzie z Ziemi Niczyjej i Gacek.

— Pokaż mi — zażądał ktoś inny. Próbowałem się wyszarpnąć, ale pierwszy mężczyzna przesunął się zgrabnie za mną, otoczył ramieniem moją szyję i wykręcił mi ręce za plecami.

— Kim jesteście? — zapytałem. — Czy macie lady Cecilie?

Nikt mi nie odpowiedział. Podszedł do mnie inny, znacznie starszy mężczyzna. Między białą brodą a trójrożnym kapeluszem było widać tylko oczy. Miały zdumiewająco zieloną barwę świeżych liści. Taką samą, jak oczy Cecilii. Przyglądał się mojej twarzy przez długi czas. Pod wpływem jego wzroku przepływały przeze mnie dziwne wrażenia. Nie były to myśli ani nawet uczucia. Czułem się tak, jakby w ukrytej rzece mojego umysłu obudził się prąd. Natychmiast przypomniałem sobie coś nonsensownego. Panią Humphries, w krainie Umarłych, całkowicie pochłoniętą obserwacją białych kamyków, zmieniających z pozoru kształt pod wpływem powolnego nurtu rzeki.

— Nie — stwierdził wreszcie starzec. — To nie jest jeszcze jeden. Nigdy przedtem tu nie był.

— Ale jest...

— Tak — potwierdził starzec. — Och, tak.

Pierwszy mężczyzna mnie puścił. Potem, w niesamowitym blasku pochodni padającym na torf i kamienie, mężczyźni z Duszorośli uklękli przed Rogerem Błaznem i pochyłili głowy.

Umarli potrafią zapaść w nieczułe odrętwienie na całe dni, lata i stulecia, ale żywi nie. Gdy prowadzili mnie do Hygryll, byłem świadomy każdego widoku, każdego dźwięku i dotyku.

Mówili niewiele i nie chcieli mi nic powiedzieć o Cecilii. Sprawiali wrażenie, że wiedzą, kim jestem (w przeciwieństwie do mnie), i to z taką pewnością, że sprawa nie wymagała dyskusji, była równie oczywista jak powietrze, którym oddychali. Byłem słaby z głodu, ale bałem się prosić o jedzenie. Co się stanie, jeśli okażę słabość? Czy przejdą z klękania przede mną do zamordowania mnie? Maggie mówiła, że zabijają tu ludzi, by

„odebrać im dusze”. To mógł być tylko przesąd, ale morderstwo byłoby rzeczywiste, a nie miałem ochoty na stałe zamieszkać w krainie Umarłych. Jeszcze nie. Dlatego dotrzymywałem im kroku, ciesząc się, że towarzystwo starca nie pozwala im iść zbyt szybko. Przy każdym kroku czułem pod butami sprężysty torf, widziałem kołyszące się przede mną pochodnie i czułem słodką woń nocnego powietrza. Wszystkie te wrażenia świadczyły, że jeszcze żyję.

A co z Cecilią? Czy była gdzieś przed nami, w ledwie widocznej na horyzoncie osadzie?

W ten sposób dotarliśmy do skąpanego w blasku gwiazd Hygryll. Osada leżała pośród skupiska wzgórz o osobliwym wyglądzie, szerokich, a zarazem niskich. Po chwili uświadomiłem sobie, że Hygryll znajduje się wewnątrz wzgórz. Każde z nich było wielkim okrągłym budynkiem usypanym z ziemi i torfu bądź też pokrytym nimi. Wejście do najbliższego z nich zasłaniała garbowana skóra. Starzec odsunął ją na bok i weszliśmy do środka.

Znalazłem się w niskim okrągłym pomieszczeniu o kamiennych ścianach. Nie było tu okien. Mężczyźni umieścili pochodnie w uchwytach na ścianach i zauważyłem, że puste miejsce pośrodku sali otaczają kamienne ławy zasłane futrzanymi narzutami. Pod każdą z nich stały kosze. Poza nimi w sali był tylko wielki bęben. Jeden z mężczyzn zabrał go i wrócił na dwór. Pozostali rozrzucili futrzane narzuty na klepisku przed ogniem.

— Siadaj, hisafie — rozkazał starzec.

Usiadłem. Nie wiedziałem, co to jest hisaf, i nie miałem pojęcia, za kogo mnie uważają. Wbiłem paznokcie jednej dłoni w wewnętrzną powierzchnię drugiej, żeby się uspokoić. Na dworze bęben zaczął wybijać

powolny, ale nie monotony rytm. To była wiadomość, której nie miałem szans odcyfrować.

Do okrągłego pomieszczenia schodzili się kolejni mężczyźni i kobiety. Nie było wśród nich młodych, choć nikt też nie dorównywał wiekiem zielonookiemu przywódcy. Przyglądałem się wszystkim uważnie, ale nie dostrzegłem Cecilii. Odnosiłem jednak wrażenie, że coś z niej kryje się w zarysie brody tej kobiety czy w oczach tamtego mężczyzny. Wszyscy podchodzili do mnie i klękali, mówiąc ze swym silnym akcentem.

— Witaj, hisafie.

Schodziło się coraz więcej ludzi, aż wreszcie zrobiło się tłoczno. Pomieszczenie wypełniały ciepło ich ciał oraz ciężar ich milczenia. Ci ludzie różnili się od mieszkańców Reginokracji, których znałem przez całe życie. Wieśniaków, oberżystów i ludzi z jarmarków, żołnierzy i dworzan z pałacu. Nie przypominali też dzikich wojowników lorda Soleka, z ich uśmiechami, śpiewem i okrutną dyscypliną. Nie byli nawet tacy jak Hartah. Siedzieli ciężko, nic nie mówili i czekali niewzruszenie.

Przywodzili mi na myśl Umarłych.

Gdy sala wypełniła się po brzegi, bębniarz wszedł do środka, położył swój instrument na ławie i wyszedł. Starzec wstał. Mówił powoli i mimo jego akcentu rozumiałem większość słów.

— Przybył hisaf, pierwszy wśród nas od bardzo długiego czasu. Nie narodził się w Duszorośli i nigdy tu nie był, ale Duszorośl jest jego domem. Witamy go z radością. Wkrótce powędruje do...

Nie zrozumiałem następnego słowa, ale z pewnością miał na myśli krainę Umarłych. W końcu tego właśnie wszyscy zawsze ode mnie chcieli.

— Ale najpierw zjedzmy — dokończył starzec.

Jedzenie! Głośno zaburczało mi w pustym brzuchu. Z pewnością po posiłku zawroty głowy miną. Nie pomagała mi też panująca tu duchota.

Przechodziłem od pobudzonej, niemal oszalamiającej świadomości każdego szczegółu do nagłych napadów senności i z powrotem. Któryś z tłoczących się w mroku ludzi rzucił do ognia garść suchych liści. Płomienie rozjarzyły się jasno. Pomieszczenie wypełnił słodki, gryzący zapach.

Płachta wisząca w drzwiach uchyliła się, wpuszczając do środka krótki zimny powiew. Do pomieszczenia weszli młodzi ludzie obojga płci, odziani w białe tkane szaty. Wszyscy byli mniej więcej w moim wieku i trzymali w rękach wielkie misy z gorącym mięsem. Byli urodziwi. Szukałem wśród nich Cecylii, ale jej nie znalazłem, choć dziewczyna, która podała mi miskę, miała takie same zielone oczy i brązowe włosy. Nawet jej uśmiech był podobny. Odwzajemniłem go i, tak jak wszyscy, wziąłem w palce kawałek mięsa. Było tłuste i soczyste, niepodobne do żadnego, jakie jadłem przedtem, ale pyszne.

Znowu ktoś rzucił coś do ognia i w powietrzu uniósł się słodki zapach.

Dopadła mnie senność, wspomagana dobrym jedzeniem. Omal nie zasnąłem, ale po chwili wróciła oszalamiająca czujność. Wszystko znowu wydało mi się nadnaturalnie wyraziste i ostre. Mógłbym się skaleczyć o futrzaną narzutę, żagwie z sitowia, a nawet o samo powietrze. Uświadomiłem sobie niejasno, że w tym, co rzucono do ognia, musi być jakiś narkotyk. Młodzi Duszoroślanie znowu wpuścili do pomieszczenia zimny powiew.

Wszystko tu było bardzo dziwne. Jeśli Cecilia rzeczywiście stąd pochodziła, o ile dziwniejszy musiał się jej wydawać dwór Reginokracji! Teraz nieco lepiej rozumiałem, dlaczego zawsze żyła na pograniczu hysterii, ciągle pragnęła nowych rozrywek, więcej tańców i śmiechu. Chciała się uwolnić od przeświadczenia, że nigdy nie będzie tam u siebie. Ja również nigdzie nie miałem swojego miejsca. To połączyło nas więzią.

Gdzie ona była? Z pewnością wkrótce ją przyprowadzą...

Starzec wstał.

— Jesteśmy starą rasą i czerpaliśmy moc z dusz innych. A teraz hisaf zaprowadzi nas w najstarsze miejsce,

Zaprowadzę ich? Do krainy Umarłych? Co to miało znaczyć? Nikt nie mógł pójść tam ze mną, podobnie jak nikt nie mógł ze mną wrócić. A może chodziło o to, że wszyscy się zaraz zabiją?

I mnie też?

Wypełnił mnie strach, przeganiając wszelką senność. Zamierzałem wstać, ale starzec był wyższy od mnie, a w pomieszczeniu pełno było silnych mężczyzn. Nie miałem szans ucieczki. Jak zwykle mogłem liczyć wyłącznie na spryt. W narkotykowym oszołomieniu wydało mi się, że proponują mi umowę: przejdź dla nas na drugą stronę a damy ci to, o co poprosisz.

— Czego mam się dla was dowiedzieć w najstarszym miejscu? — zapytałem.

Starzec zrobił zdziwioną minę, jakby moje pytanie nie miało znaczenia. Jak to możliwe? Tym, którzy wysyłali mnie do krainy Umarłych, zawsze chodziło o informacje. Hartahowi, jego zdesperowanym klientom z jarmarków, królowej Caroline. Ale on powiedział tylko:

— Idź.

Skinąłem głową. Mężczyźni siedzący najbliżej odsunęli się, jakby chcieli mi zrobić miejsce, żebym upadł. Wiedzieli, co się stanie. Nie trzeba im było tego tłumaczyć. Wyciągnąłem nóż, wbiłem go sobie w udo i zapragnąłem przejść na drugą stronę.

*Ziemia w ustach...*

*Robaki w oczach...*

*Gleba więżąca moje odarte z ciała ręce i nogi...*

Znalazłem się w krainie Umarłych. I nie byłem sam.

Nigdy, przenigdy nie czułem czegoś takiego! Miałem wrażenie, że towarzyszy mi tłum innych, niewidzialnych, lecz w jakiś sposób obecnych. Byli ze mną w owej krótkiej chwili śmierci i nadal mnie nie opuszczali, otaczając mnie swym ciepłem. Zerwałem się z krzykiem do ucieczki.

Wystarczyło kilka kroków, bym przestał ich czuć.

Teraz jednak ich ujrzałem jako rzadki szary obłok przypominający wilgotną mgłę. Ta chmura się nie przemieszczała. Ludzie z Duszorośli nie byli tu obecni fizycznie, tak jak ja. Mgła nie mogła rozmawiać z Umarłymi, uczyć się od nich i wydawać im polecenia, tak jak ja. Niemniej w pewnym sensie ludzie z Duszorośli tu byli. Nigdy bym nie pomyślał, że coś takiego jest możliwe.

Teraz jednak, gdy wyszedłem poza mgłę, ujrzałem krainę Umarłych i zobaczyłem więcej rzeczy, które uważałem za niemożliwe.

Otoczająca mnie okolica była Wrzosowiskiem Duszorośli. Nie było tu ukrytych w pagórkach domostw, ale widziałem wzniosłą równinę usianą skalnymi wyniosłościami, w oddali zaś góry i lasy. Jednakże niebo nad moją głową przeszywały błyskawice i słyszałem też huk gromów. Sprężystą ziemią pod moimi stopami targały wstrząsy, jeden z nich tak gwałtowny, że omal się nie przewróciłem. Głazy drżały, jak wypełnione obcą im energią. Dał silny wiatr, który nie potrafił rozproszyć skupiska żywej mgły.

Pośród tego chaosu siedzieli spokojnie Umarli, wpatrzeni w skały, zwiędłe kwiaty albo pochmurne niebo. Nie było tu ćwiczących musztrę nieżyjących żołnierzy. Ci ludzie nie sądzili, że przebywają w Kraju Czarowników. Nie powiedziałem im tego, a poza tym wyznawali tajemne wierzenia Duszorośli.

Gdzieś tu była moja matka.

Nie wiedziałem, czego chcą ode mnie ludzie z Hygryll. Skoro jednak już się tu znalazłem, postanowiłem wykorzystać szansę, którą mi stworzyli,



i ruszyłem na poszukiwania. Okolica jak zwykle była rozciągnięta, a hordy Umarłych zajmowały miejsca między trzęsącymi się głazami. Miałem jednak czas. Nikt nie przywołał mnie z powrotem do Hygryll, dopóki sam nie zechcę wrócić. A Umarli nie wędrowali. Będę sprawdzał ich metodycznie, przyglądał się ich twarzom i porównywał je z niejasnym wspomnieniem o matce w lawendowej sukni. Ruszyłem w drogę.

Krążyłem po równinie Wrzosowiska Duszorośli przez wiele godzin, starając się zachować równowagę na trzęsącej się ziemi. Ignorowałem zasnuwane skłębionymi chmurami niebo i pochylałem się nad Umarłymi, przyglądając się kolejno każdej twarzy, aż wreszcie rozboleły mnie kolana i grzbiet. Nie przerwałem jednak poszukiwań. Widziałem starych mężczyzn i kobiety, niekiedy ubranych w dziwne stroje z bardzo dawnych czasów. Kilka staruszek sprawiało wrażenie, że mogłoby ze mną porozmawiać, gdybym je do tego skłonił, nie zatrzymywałem się jednak. Widziałem też młodych ludzi. Wielu mężczyzn nosiło zbroje z innych epok. Widziałem dzieci. Widziałem Umarłych. Żadnego z nich nie naznaczyły ślady ran ani schorzeń, choć musieli zginąć z powodu przemocy, choroby bądź wypadku albo przy porodzie. Nigdzie jednak nie znalazłem matki.

Nagle serce przestało mi bić. Ujrzałem Cecilie.

Siedziała spokojnie, spokojniej, niż kiedykolwiek zdarzało się jej to za życia, w kępie fioletowych kwiatów sięgających mi do pasa. Większość z nich zwiędła. Wiatr targał ich łodygami i zbrązowiałe płatki muskały skórę dziewczyny, ale ona tego nie zauważała. Niewzruszenie wpatrywała się w drżącą ziemię.

— Cecilio!

Powlokłem się do niej. Nie spojrzała na mnie, nawet gdy ją złapałem, postawiłem na nogi i przytuliłem. W ogóle mnie nie zauważała.

— Cecilio, nie! Nie!

Całowałem jej usta, o czym marzyłem od tak wielu miesięcy. Całowałem jej powieki, pierś i wonne włosy. Nic do niej nie docierało. Stała potulnie, nie stawiając oporu nawet wtedy, gdy — gnany bólem i rozpaczą — potrząsnąłem nią tak gwałtownie, że włosy zatańczyły wokół jej spokojnej twarzy. Nic to nie zmieniło.

Była martwa.

Nie zdołałem jej odnaleźć, zaopiekować się nią, zapewnić jej bezpieczeństwa, jak to kiedyś obiecywałem. Wtuliłem twarz w szyję Cecylii i zacząłem łkać, obejmując dziewczynę, która stała, niczego nieświadoma. Życie, radość i wesołość opuściły ją całkowicie. Ale gdy wreszcie ruszyłem naprzód, prowadząc ją za rękę, podążyła za mną, nie patrząc na nic, czy może patrząc na to, co widzą Umarli w swym długotrwałym transie.

— Cecilio, znajdę sposób, by cię obudzić. Daję słowo!

Nie odpowiedziała.

— Zaprowadzę cię do... W jakieś inne miejsce. Może gdy już oddalisz się od Duszorośli...

To nie miało sensu. Umarli w Duszorośli byli tacy sami jak wszędzie. Ja jednak nie byłem w stanie myśleć logicznie. Chciałem jedynie zabrać stąd Cecilię, zaprowadzić ją na Ziemię Niczyją, a potem wrócić z nią do Reginokracji, gdzie ją poznałem. To był szalony, głupi plan, ale ponieważ nie przychodził mi do głowy żaden inny, postanowiłem go zrealizować. Prowadziłem Cecilię za sobą, ciągnąc ją za bezwładną rękę.

Mijaliśmy obojętnych Umarłych, grunt drżał pod naszymi stopami, wiał silny, nieziemski wiatr, unoszący włosy dziewczyny w szalonych niciach. Przewracałem się i Cecilia padała na ziemię razem ze mną. Potem ją podnosiłem i ruszaliśmy w dalszą drogę.

Granica nie była daleko. Szedłem tędy nie dalej jak wczorajszej nocy, w towarzystwie ludzi z Duszorośli. Na krótko przed nią znowu się

potknąłem i runąłem ciężko na Umarłą kobietę.

— Achchch! Zostaw mnie.

Była stara. Obudziłem ją silnym uderzeniem łokcia w klatkę piersiową. Łypnęła na mnie z oburzeniem i furią.

— Przepraszam...

Przyjrzała mi się uważnie.

— Co tu robisz, chłopcze? Och! Jesteś... och! Hisaf!

Wiedziała, kim jestem. W następnej chwili rozejrzała się wkoło. Jej stara twarz, już pokryta głębokimi zmarszczkami, zmarszczyła się jeszcze bardziej.

— Czy umarłam?

— Tak — odpowiedziałem. Podniosłem się i usiadłem na ziemi. Cecilia stała potulnie nad nami, wpatrując się w pustkę.

— Ale ja nie mogę umrzeć — sprzeciwiła się staruszka.

— Wszyscy umierają — warknąłem.

— Nie. Czerpałam siłę z dusz innych. I ty też!

Umarła kobieta z Duszorośli nagle stała się moich oczach wszystkim, co mnie spotkało od chwili, gdy znalazłem się w tej krainie, wśród żywych i wśród umarłych. Była pojmaniem przez grupę mężczyzn, zadymionym, pozbawionym okien pomieszczeniem zasypanym ziemią, jakby ucztujący już znajdowali się w grobie. Była tajemniczym narkotykiem, który rzucono do ognia, by zmienić stan mojego umysłu, wprowadzić go w stan oscylujący między sennością a bolesną czujnością. Była zielonookim starcem, który kazał mi przejść na drugą stronę, oraz szalonymi wierzeniami, które zabiły Cecilie. Gdy patrzyłem na nią, wypełniała mnie nienawiść do tego wszystkiego, jasna i straszliwa jak błyskawice przeszywające niebo. Złapałem wątłą staruszkę i potrząsałem nią jak pies szczurem.

— Nie czerpałem z niczego żadnej „siły”, ty podła starucho! Umarli nie mają w sobie siły i nie można żyć wiecznie. Jesteś martwa, martwa, martwa, tak samo jak wszyscy tutaj! Razem ze wszystkimi w Duszorośli zabijałaś cudzoziemców i nic ci to nie dało! Zabiliście Cecilię! I wszystko to dla głupiej, bezsensownej ceremonii, która nie dała wam nic! Nic! Nic! Z dusz Umarłych nic nie można wydobyć!

Patrzyła na mnie bez strachu.

— Mylisz się, chłopcze — odparła po prostu. — Możemy zyskać siły z dusz urodzonych na zewnątrz. I od zdrajców, którzy odeszli. To właśnie zrobiłaś ostatniej nocy. Zyskałaś siłę na stary, prawdziwy sposób. Z mięsa, które jadłaś na ucztach.

Przeniosła spojrzenie na Cecilię.

— Jej mięsa.

Myślałem, że wiem, co znaczy groza. Myliłem się.

Dziewczyna z miską pełną mięsa, ta zielonooka, i mięso w misce, tak bardzo soczyste i tłuste, o tak niezwykłym smaku.

Nie byłem w stanie nic powiedzieć. Nie mogłem nawet zwymiotować. Mogłem jednak zabić. Okładałem staruszkę obiema pięściami, kopałem ją butami o wzmocnionych metalem noskach, waliłem jej głową o ziemię. Patrzyła na mnie z oszołomieniem, a potem z gniewem. Nie miałem możliwości jej skrzywdzić. Pod moimi dłońmi wydawała się żywa, ale to było tylko złudzenie. Tylko ja byłem żywy i musiałem żyć z potworną świadomością tego, co uczyniłem.

Cecilia...

To...

— Zostaw mnie, chłopcze! — warknęła w końcu staruszka. Następnie wstała i oddaliła się. Pokonała zaledwie kilka kroków, nim znowu usiadła na kamieniu i zapadła w spokojny trans Umarłych.

— Cecilio — powiedziałem, ujmując jej dłonie. — Nie wiedziałem. Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro. Nie wiedziałem...

Nie słyszała mnie.

Wreszcie zwymiotowałem, ale nie potrafiłem wygnać z brzucha grozy. Będzie tam żyła aż po kres moich dni. W moich brzuchu, sercu i wnętrznościach. „Kradną ich dusze” — powiedziała mi przed miesiącami Maggie, ale nie wiedziała, w jaki sposób to robią. Zresztą i tak jej nie uwierzyłem. Byłem głupcem. Po stokroć głupcem i zjadłem...

Musiałem się wydostać z Wrzosowiska Duszorośli. Nie mogłem tu zostać, by odszukać matkę. Nie mogłem tu zostać z jakiegokolwiek powodu, nawet sekundę dłużej. Pragnienie natychmiastowego odejścia było jedynym, co mnie uratowało. To zawsze było coś. To znaczyło działanie, ruszanie nogami, pracę płuc i pleców. Złapałem Cecilię za rękę i pociągnąłem ją naprzód. Oboje potykaliśmy się na drżącej ziemi pod przeszywającymi niebo błyskawicami, aż wreszcie zabrakło mi tchu. Dysząc i sapiąc, pędziłem dalej.

Wiedziałem już jednak, że nie prześcignę Wrzosowiska Duszorośli.

Gdy już nie mogłem biec, szedłem. Szedłem przez długie, szalone godziny. Byłem posiniaczony od upadków, brudny, spocony i słaby. Cecilia nie miała na sobie ani jednego zadrapania, była czysta, nie stawiała oporu, a jej włosy pachniały deszczówką. Dopóki nie przestanę jej prowadzić, będzie szła, nawet nie wiedząc, że to robi.

Wciąż próbowałem ją obudzić. Robiłem, co tylko mogłem. Całowałem ją, potrząsałem nią, a raz, nie mogąc znieść frustracji, obaliłem ją na ziemię. Nie wstała. Ciągle zbierało się na burzę, która jednak nie mogła się zacząć. Ziemia się trzęsła, ale nie pękała. Wiatr dął, lecz nie przynosił deszczu. Szliśmy z Cecilią na północ. Poznałem nieckę oraz wysoki, wąski wodospad, gdzie w krainie żywych stała chata Jee. Tu jej oczywiście nie było. Zagłębienie wypełniali wszechobecni Umarli. Byliśmy już jednak po drugiej stronie granicy. Opuściliśmy Wrzosowisko Duszorośli i znaleźliśmy się na Ziemi Niczyjej.

Gdzieś w pobliżu, w krainie żywych, była Maggie. Chyba że wróciła do Reginokracji.

Żywiłem szaloną nadzieję, że gdy opuścimy Wrzosowisko Duszorośli, Cecilia może się ocknąć. Tak się nie stało. Byłem tak zmęczony, że ledwie ją widziałem.

— Pani, musimy się zatrzymać.

Nie odpowiedziała.

Znalazłem schronienie przed wiatrem za sosnowym gajem. Cecilia siedziała tam, gdzie ją ulokowałem. Położyłem się na zimnej drżącej ziemi i zasnąłem. Nigdy dotąd nie spałem w krainie Umarłych. Gdy pogrążałem się w mroku, trochę się bałem, że już się nie obudzę. Czy umrę, jeśli tu zasnę? Czy mała śmierć, jaką był sen, stanowiła przejście do wielkiego snu?

Niemalże pragnąłem, by tak było. Gdyby nadeszła śmierć, stałbym się jednym z Umarłych, i nie pamiętałbym, co się wydarzyło w Duszorośli. Zrozumiałem wówczas coś, czego nie uświadamiałem sobie wcześniej: brak wspomnień u Umarłych mógł nie być klątwą, lecz błogosławieństwem.

Sen jednak mnie nie zabił. W końcu się obudziłem, płacząc i tuląc się do Cecylii. Była tam, gdzie ją zostawiłem. Kiedy wstałem, zakręciło mi się w głowie.

Potrzebowałem czegoś więcej niż odpoczynek. Ciało, które tu nosiłem, było tak samo realne jak to, które zostawiłem po drugiej stronie. Od chwili, gdy się tu znalazłem, mogło minąć wiele dni. Ciało, które porzuciłem w okrągłej komorze bez okien — jak długo mogło przeżyć bez żywności i wody? Co zrobią mieszkańcy Duszorośli, jeśli wkrótce nie wrócę?

Nie byłem w stanie obudzić Cecylii, ale mogłem do niej mówić. To były rozpaczliwe słowa, wypowiedziane w rozpaczliwej sytuacji.

— Pani, mam plan.

Gapiała się na ziemię z pozbawioną wyrazu twarzą.

— Zaprowadzę cię z powrotem do Reginokracji. Znajdziemy jakieś miejsce, piękne i leżące daleko stąd. Może gdzieś nad rzeką albo nad morzem. Jakieś spokojne i słodkie miejsce.

Czy jednak takie miejsce w ogóle istniało w krainie Umarłych, która zmieniła się z mojej winy? Uczyniłem tak wiele zła, zawiodłem w tak wielu sprawach. Musiało gdzieś istnieć miejsce mniej uszkodzone od innych, jakaś spokojna przystań. Znajdę ją dla Cecylii.

— Ale najpierw — mówiłem do niej — muszę cię tu zostawić i wrócić do krainy żywych. Kiedy to zrobię, znajdę się na... — Nie byłem w stanie wypowiedzieć nazwy „Wrzosowisko Duszorośli”. — Znajdę się tam. Ale odejdę stamtąd tak szybko, jak tylko można. A potem...

Co zrobię potem? Cecilia nadal będzie martwa. Nie byłem w stanie o tym myśleć, podobnie jak po przebudzeniu nie mogłem myśleć o tym, co uczyniłem w Hygryll. Są sprawy, które umysł odrzuca. Teraz rozumiałem, dlaczego Maggie i inni służący nie chcieli nawet wypowiedzieć nazwy „Wrzosowisko Duszorośli”.

Cecilia wpatrywała się spokojnie w sosnowe igły zaścielające ziemię.

Nie mogłem jej zostawić, jeszcze nie. Czekałem przez wiele godzin w tym samym skalnym zagłębieniu przy małym wodospadzie, skąd widziałem Umarłych z rodziny Jee. Byłem za słaby, by chodzić. Pociągnąłem Cecylię na ziemię, objąłem ją i mówiłem do niej. Śpiewałem jej piosenki. Karmiłem żalosną iluzję, że wiedziała o mojej obecności. Gdyby nie to, chyba nie byłbym w stanie ciągnąć tego dalej.

Wreszcie pocałowałem ją w nieczułe usta, ugryzłem się mocno w język i wróciłem do komory o kamiennych ścianach.

Wszyscy Duszoroślanie nadal tam przebywali. Przez szaloną chwilę myślałem, że nie żyją. Siedzieli pogrążeni w obojętnym transie, tak samo jak Umarli. Gdy jednak spróbowałem usiąść, dręczony zawrotami głowy, zaczęli się poruszać. Przypomniałem sobie wtedy szarą mgłę nieosób, która przeszła na drugą stronę razem ze mną i pozostała w tym drugim Hygryll,



kiedy ja uciekłem. Ci monstrualni ludożercy zdołali jakoś przejść ze mną na drugą stronę, choć tylko w dziwacznej, rozrzedzonej postaci. Gdy wróciłem na tę stronę, oni robili to samo.

Nienawidziłem ich. Gdybym mógł, zamordowałbym wszystkich, poddałbym ich torturom, takim, jakimi groziła mi ongiś królowa Caroline.

— Dzięki ci, hisafie — rzekł pokornym tonem starzec.

Choć potrzebowałem do tego każdej uncji siły, jaka mi została, zdołałem jakoś wstać, przejść między znużonymi Duszoroślanami i odsunąć na bok wiszącą w wejściu płachtę.

Wiosenne popołudnie na wrzosowisku. Blask słońca nadający powietrzu złocistą barwę. Kwitły małe fioletowe kwiaty, ptaki śpiewały, a mech był sprężysty i nie drżał pod moimi stopami. Usiadłem, zbyt zmęczony, by iść dalej, i powiedziałem sobie, że nie wolno mi płakać. Nie będę lał łez.

Ta sama dziewczyna o zielonych oczach i ciemnych włosach przyniosła mi bukłak z wodą i bochen chleba. Gdyby to było mięso, chyba naprawdę mógłbym ją zabić. Przyniosła jednak chleb, zakalcowaty i słodki od miodu oraz jagód. Pożarłem go w całości, a potem położyłem się na torfie twarzą w dół i zasnąłem.

Nie ruszałem się z miejsca przez resztę dnia i cały następny, plus dwie noce. Dziewczyna przynosiła mi jedzenie i wodę. Nocą ktoś nakrywał mnie futrem. Nikt nie próbował ze mną rozmawiać. Po zapadnięciu zmierzchu robiło się straszliwie zimno, ale ktoś rozpałił obok mnie ognisko i dokładał do niego opału przez całą noc. Spałem i jadłem, a największym moim szczęściem — jedynym szczęściem, jak wówczas sądziłem, był fakt, że nic mi się nie śniło.

Trzeciego dnia o świcie usiadłem, czując sztywność w kończynach. Ognisko paliło się jasno. Starzec siedział na futrze obok niego.

— Teraz odejdziesz — powiedział po prostu.

— Tak.

Moja nienawiść była tak wielka, że ledwie zdołałem wykrztusić z siebie tę sylabę.

— Dziękuję, hisafie.

Rzuciłem przekleństwo, którego nauczyłem się od lorda Soleka. Starzec z pewnością nie rozumiał tego języka. Nawet w tym okazałem się tchórzem. Czy spróbuje uniemożliwić mi odejście?

Nie zrobił tego. Przyglądał się, gdy zebrałem ostatnie kawałki chleba, wziąłem bukłak, a potem strzepnąłem obsyty futrem płaszcz i przewiesiłem go sobie przez ramię.

— Zawsze tak jest z hisafami — odezwał się. — Tak samo było z twoim ojcem.

Odwrociłem się tak nagle, że wyryłem obcasami dziury w ziemi.

— Co wiesz o moim ojcu?

— Nic. Tylko tyle, że był hisafem. Inaczej ty nie mógłbyś nim być.

Ciotka Jo nigdy nie wspominała ani słowem o moim ojcu. Poczulem odrazę, słysząc wzmiankę o nim z ust monstrualnego kanibala. Uniosłem rękę.

Jeśli go zabijesz, mogą ci nie pozwolić odejść — wyszeptała jednak jakaś część mojego umysłu. A póki co wygląda na to, że to zrobią.

Oddaliłem się. Nikt nie próbował mnie zatrzymać. Jako hisaf najwyraźniej sam byłem dla siebie prawem.

Ha!

Dowlokłem się do granicy i przekroczyłem ją, a potem cały czas wędrowałem na północ, aż w końcu dotarłem do chaty w skalnej niszy przy wodospadzie, gdzie w krainie Umarłych czekała na mnie Cecilia.

A w krainie żywych Maggie, wściekła tak bardzo, jak tylko ona to potrafiła.

— Nadal tu jesteś — odezwałem się głupio.

— A dokąd miałabym pójść? — Wyprostowała się, przerywając pracę polegającą na wykopywaniu wiosennych korzonków w blasku słońca i spojrzała na mnie. Chata Jee była tuż za nią. Domostwo wyglądało na opustoszałe, ale ku niebu wzbijała się cienka smużka dymu. Maggie wydawała się chudsza i bardziej brudna, ale pomimo stroju mniej przypominała chłopaka. To przez odrastające włosy, które opadały w lokach na jej twarz. Jej wyraz zmienił się, gdy dziewczyna na mnie spojrzała, przeszedł z furii w coś przypominającego strach.

— Roger?

— Czy pozwolili ci tu zostać? Dobrze cię traktują?

— Tak. Roger, co się stało?

Mogłem jedynie potrząsnąć głową. Nogi ugięły się pode mną. Usiadłem na ziemi. Maggie natychmiast uklękła przy mnie.

— Och... coś ci się stało? Znowu zostałeś ranny? Zachorowałeś?

Miałem ranę na duszy i chore serce. Tego jednak nie mogłem jej powiedzieć. Dłoń Maggie na moim czole była chłodna i zabrudzona ziemią.

— Nie masz gorączki — stwierdziła.

— Nie mam.

Zapadła długa cisza.

— Powiedz mi, co się stało — odezwała się wreszcie swym łagodnym tonem. — Czy... czy znalazłeś Cecilię?

Słyszałem w jej tonie, jak trudno jej było o to zapytać, ale nie mogłem marnować współczucia na Maggie. Nie byłem też w stanie opowiedzieć jej o tym, co się stało.

— Cecilia nie żyje — odpowiedziałem tylko (i to już było wystarczająco trudne).

— Och!

Była zbyt prawdomówna, by oznajmić, że jest jej przykro, i znowu zapadła przeciągająca się cisza. Nakazałem sobie mówić dalej.

— Pochodziła z Wrzosowiska Duszorośli, czy może jej rodzina stamtąd pochodziła albo coś w tym rodzaju. Wróciła tam, a oni ją zabili.

Maggie objęła mnie. Pozwoliłem jej na to, ale jej uściski nie przyniosły mi pocieszenia. Nic już nigdy mnie nie pocieszy.

Najwyraźniej wiedziała, że to było wszystko, co chciałem albo mogłem powiedzieć. Zaczęła mówić cichym, uspokajającym głosem o zwyczajnych sprawach i po chwili poczułem, że jej rzeczowy ton stopniowo sprowadza mnie z powrotem do świata i zakotwicza w nim. Czy wiedziała, co robi? To nie miało znaczenia, skutki pozostawały takie same.

— Mieszkająca tu rodzina przyjęła mnie, to prawda, ale raczej jako służącą niż jako gościa. Pomagam szukać żywności, opiekuję się dziećmi, gotuję i... chciałam powiedzieć „sprzątam”, ale tu niczego się nie sprząta. Tak czy inaczej, jedzenia jest więcej, niżby ci się zdawało, bo Tob to dobry myśliwy. Wczoraj przyniósł dwa króliki, a dzisiaj znowu wyruszył na łowy, licząc na to, że znajdzie jelenia. Oczywiście w Reginokracji nie wolno polować na łanie, kiedy mają małe, ale tutaj prawo nie istnieje. Wszyscy oni mówią bardzo niewiele i zmuszają mnie do nieprzyzwoicie ciężkiej pracy, ale nie mogę powiedzieć, żeby traktowali mnie źle. Jee jest z nich najlepszy. To ciekawski chłopczyk. Zadaje mi wiele pytań, gdy nikogo nie ma w pobliżu. Nauczył się cudownie biegle grać na tym gwizdku, który dla niego zrobiłeś. Jeśli czujesz się głodny, Roger, mogę ci przynieść trochę gulaszu z królika, który dzisiaj ugotowałam. Doprawiłam go dziką cebulą,

ale poza tym nie ma w nim nic poza królikiem i bulwami. Niemniej to pożywne. Nie mamy ale, lecz woda jest czysta i chłodna.

— Dziękuję. Królik byłby niezły.

Nie chciałem go. Nie chciałem już nigdy jeść mięsa. Będę jednak potrzebować siły, pomyślałem.

Przyniosła posiłek z chaty. Jee podążył za nią. Przykucnął, spoglądając mi ostrożnie w oczy. Gwizdek zwisał mu z szyi na pasie tkaniny. Grzyba na stopie posmarował sobie jakąś pastą. A może zrobiła to Maggie. Nie miałem ochoty go oglądać, a gdy tylko ujrzałem gulasz, zrozumiałem, że jego również nie chcę. Zebrało mi się na wymioty.

Mięso, soczyste i tłuste...

Odwróciłem głowę akurat na czas. Z pustego żołądka wytrysnęły mi dwa długie zielone pasma.

— A jednak poszedłeś do Duszorośli. I zobaczyłeś — odezwał się Jee.

— Zabierz go! — wrzasnąłem. — Zabierz go ode mnie!

— Jee, wracaj do domu. Natychmiast!

Chłopiec jej posłuchał, choć z wyraźną niechęcią. Poczulem nagle, że nie chcę, by Maggie jeszcze kiedykolwiek z nim rozmawiała. Nie chciałem, żeby się dowiedziała, co miał na myśli, uświadomiła sobie, jaki los spotkał Cecilie. Wystarczy, że będzie wiedziała, że ona umarła. Nie mógłbym tego znieść, gdyby poznała całą prawdę.

— Idziemy stąd, Maggie. Natychmiast.

— Idziemy? Dokąd?

— Z powrotem do Reginokracji. Albo... albo dokądś. Chodź.

Podniosłem się na nogi. Chwiałem się, ale byłem zdeterminowany. Ująłem ją za rękę. Nie mogłem pozwolić, by zamieniła z Jee choć jedno

słowo. Nagle wydało mi się, że to najważniejsza rzecz na świecie. Na tym świecie.

— Muszę pójść po płaszcz i bukłak na wodę.

— Zostaw je. Jest coraz cieplej. Możesz spać pod moim płaszczem.

Jej twarz poróżowiła z zadowolenia, ale Maggie pozostała Maggie.

— Nie. Powinnam wziąć swój. Zaraz wrócę.

— Nie! Ja przyniosę! — zawołałem i oddaliłem się sztywnym krokiem.

W chacie panowały półmrok i smród. Zbyt wielu niemytych ludzi w niej mieszkało. Na grubo ciosanym krześle siedziała kobieta, karmiąca dziecko piersią. Dwoje dalszych dzieci bawiło się w kącie patykami i kamykami. Najstarszy, Jee, z ponurą miną grzebał pogrzebaczem w ogniu. Nie spojrzał na mnie, gdy zabrałem płaszcz Maggie i nasz bukłak, wiszące na haku wbitym w ścianę. Płaszcz również paskudnie cuchnął. Wątpiłem, by to Maggie pod nim spała. Nikt się nie odzywał. Zaniósłem płaszcz dziewczynie, która stała niepewnie, trzymając w ręce bulwy.

— Zostaw je — poleciłem. — Zostało mi jeszcze trochę pieniędzy.

Maggie z pewnością również miała jeszcze dwie srebrne monety.

Porzucanie czegoś, co mogło być użyteczne, nie leżało jednak w jej naturze. Schowała bulwy pod płaszczem. Ruszyliśmy z powrotem w stronę chaty, a potem wkroczyliśmy na wyboisty szlak, najwyraźniej będący jedyną drogą na Ziemi Niczyjej. Zatrzymałem się pod sosnami rosnącymi przy małym wodospadzie.

— Roger, dlaczego drżysz? — zapytała dziewczyna.

Tu była Cecilia. Nie mogłem jej wyczuć, ale przebywała w tym właśnie miejscu w krainie Umarłych, niewidzialnej, ale otaczającej nas ze wszystkich stron. Przeszył mnie głęboki dreszcz. Tym razem jednak, poczuwszy na sobie dłoń Maggie, strząsnąłem ją.

— Nic mi nie jest — zapewniłem. — Przejdziemy jeszcze kilka mil i rozbijemy obóz przy szlaku. Możesz dziś spać bez ogniska?

— Oczywiście — zapewniła. — Mam płaszcz.

Maggie nigdy nie marnowała okazji, by pokazać, że miała rację.

Szliśmy aż do zmierzchu, a potem znaleźliśmy chaszczę, w których spędziliśmy noc. Nie mieliśmy nic do jedzenia, bez ognia nie sposób było ugotować bulw. Choć burczało nam w brzuchach z głodu, wcześniej położyliśmy się, nakryci płaszczami. Gdy usłyszałem, że oddech Maggie stał się miarowy i głęboki, opuściłem ukradkiem zarośla i z powrotem ruszyłem do sosnowego gaju przy wodospadzie. Księżyc przybywało, a gwiazdy świeciły jasno na bezchmurnym niebie.

Skryłem się w głębokim cieniu pod sosnami, wydobyłem nożyk i przeszedłem na drugą stronę.

Cecilia siedziała tam, gdzie ją zostawiłem. Gapiła się na ten sam na wpół zwiędły kwiat, ignorując trzęsącą się ziemię, przeszywające niebo błyskawice oraz przenikliwy wicher. Objąłem ją.

— Cecilio, ukochana.

Nie opierała się ani nie zareagowała. Różowe usta rozciągała w lekkim uśmiešku, ale nie był on przeznaczony dla mnie. Wywołały go tajemnicze myśli — jeśli można je było tak zwać — wypełniające umysły Umarłych. Zbyt długo siedziałem bez ruchu, ściskając swą utraconą miłość. Wreszcie wstałem, pociągnąłem ją za sobą i ruszyłem w drogę.

Dokądkolwiek pójdę w krainie żywych, Cecilia musi wędrować tą samą trasą w krainie Umarłych. Tylko w ten sposób mogłem mieć pewność, że jej nie zgubię. Musiałem trzymać ją blisko siebie, za barierą ziemi i grobu, dzielącą od siebie oba światy. Musiałem to zrobić. Musiałem.

Nie jestem pewien, czy byłem do końca zdrowy na umyśle.

Szliśmy przez długie godziny pośród wzgórz krainy Umarłych, omijając jej głębokie jary. Ziemia się trzęsała, a niebo zwiastowało burzę. Zostawiłem ją w miejscu, które z pewnością rozpoznam nawet w tej pozbawionej dróg krainie, gdzie teren rozciągał się i zmieniał postać — na szczycie wzgórza przy wartkim górskim potoku. Byli tu też inni Umarli, mężczyźni i kobiety w niezwykłych strojach i jeszcze dziwniejszych zbrojach, cały tłum nieruchomych Umarłych. Ongiś na odpowiedniku tego wzgórza po drugiej stronie musiało się wiele dziać. Wszyscy spokojnie stali, siedzieli bądź leżeli. Kiedy tu wrócę, nie będę miał trudności z ich rozpoznaniem.

Potem powlokłem się z powrotem, zdyszany i słaby z głodu. Zasnąłem u boku Maggie, gdy niebo zaczęło jaśnieć przed świtem.

— Roger. Roger! Musimy iść.

Nie byłem w stanie się ruszyć.

— Spać — mruknąłem. — Jeszcze trochę pospać.

— Nie możesz dłużej spać — odparła Maggie tonem, którego nienawidziłem. — Ktoś może mnie ścigać. Albo ciebie. Musimy ruszać.

— Nie mogę.

— Co się stało? Jesteś chory?

— Zmęczony.

Nic nie odpowiedziała. Otworzyłem jedno oko i ujrzałem jej przygnębioną twarz. To właśnie ten wyraz dał mi siły potrzebne, by usiąść, a potem wstać. To ja wciągnąłem w to Maggie i musiałem ją teraz z tego wydostać.

Nic z tego nie było prawdą. Maggie sama chciała ze mną pójść, a ja nie miałem oporów przed porzuceniem jej, by iść szukać Cecylii na Wrzosowisku Duszorośli. Niemniej czułem się odpowiedzialny za



towarzyszącą mi dziewczynę. A może nie? Sam już nie wiedziałem, jak wyglądała prawda. Powlokłem się przed siebie.

Nie wiem, jak zdołałem utrzymać się na nogach. Nic nie jadłem i spałem bardzo niewiele. Wreszcie nadeszła chwila, gdy już nie mogłem iść dalej. Całkowicie utraciłem siłę nagromadzoną przez dwa dni dobrego jedzenia pod komorą ceremonialną Duszoroślan. Usiadłem na szlaku i nie mogłem ruszyć się z miejsca.

— Roger? — odezwała się Maggie.

— Nie mogę.

— Nie szkodzi. Wesprzyj się na mnie. Przejdziemy tylko kawałek. Opuścimy szlak i skryjemy się między tymi drzewami. Widzisz, jesteśmy już blisko....

Zachęcała mnie, prosiła i głaskała wolną ręką, aż wreszcie dotarliśmy do małego zagajnika, gdzie położyła mnie na porośniętej zielskiem ziemi. Przez cały ranek się chmurzyło, a teraz zaczęła siąpić lekka mżawka. Cieszyłem się z deszczu, bo pomagał ukryć moje łzy. Brakowało mi już sił ciała i umysłu. Tych ostatnich zresztą nigdy nie było zbyt wiele. Wycieńczony na ciele i na duchu, zapadłem w sen.

Gdy obudziłem się wieczorem, deszcz już nie padał. Nad ogniskiem coś się piekło. Bukłak z koziej skóry był pełen wody. A Jee dmuchał lekko w gwizdek, który dla niego zrobiłem.

— Przyniósł nam jedzenie — oznajmiła Maggie, nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć. — I sznury na sidła, żeby łapać małe zwierzęta. Powiedział mi, że możemy rozpałić ognisko, bo Tob jeszcze nie wrócił z długiego polowania.

— Jee nie może iść z nami.

— Mówi, że nie wróci.

— Maggie, pomyśl o wszystkich, nie.

Chłopiec gapił się na nas z twarzą bez wyrazu. Gwizdek zamarł w połowie drogi do jego ust. Osłaniał go drugą ręką.

Słowa wypłynęły z ust dziewczyny cichym potokiem.

— Przedtem cię okłamałam, Roger. Nie chciałam, żebyś o tym wiedział. Ojciec bije Jee. I jego matkę też. Mnie również by zbił, ale miał nadzieję, że będę z nim spała. Ukradł dwa srebrniki, które mi dałeś. Czekałabym na ciebie jeszcze tylko jeden dzień, bo byłam przekonana, że dłużej nie zdołam go powstrzymać. Potem zamierzałam odejść i zabrać ze sobą Jee. Chłopiec jest za dobry na takie życie. Mówi, że nie wróci — dodała pośpiesznie, nim zdążyłem jej odpowiedzieć. — Że pójdzie za nami. Że zrobi to, nawet jeśli go zbijesz. Że...

— A czy sam nic nie potrafi powiedzieć?

Jee zamrugał i wypowiedział kilka słów, głosem tak niewyraźnym z powodu akcentu lub strachu, że ich nie zrozumiałem. Ale i tak by nic nie zmieniły.

— Maggie, ojciec przyjdzie po niego. Być może po ciebie też.

— Już ci mówiłam, że wczoraj wyruszył na długie łowy, tuż przed twoim przybyciem. Jee mówi, że miną jeszcze co najmniej trzy dni, zanim wróci. Wtedy możemy być już daleko, jeśli będziemy wędrować szybciej. Masz, zjedz trochę. Poczujesz się lepiej.

„Jeśli będziemy wędrować szybciej”. Mogliśmy osiągnąć ten cel tylko wtedy, jeśli przestanę poświęcać większą część nocy na przenoszenie Cecylii w nowe miejsce. Teraz znajdowała się o całą noc przed nami...

— Jedz! — rozkazała Maggie i posłuchałem jej. Pieczony królik był pyszny. Tak przynajmniej sądziłem przez chwilę, nim wróciło wspomnienie tego drugiego mięsa, tłustego i soczystego...

— Co się dzieje? — zapytała cichym głosem dziewczyna. — Jadłeś spokojnie i nagle... Co się dzieje?

Była bystra, znacznie bystrzejsza od Cecylii, a nawet od królowej. Nie chciałem, by zauważała tak wiele. Od smaku królika do ust napłynęła mi ślinka i poczułem burczenie w brzuchu. Nie mogłem na zawsze wyrzec się mięsa. Całkowicie utraciłbym siły. Wmusiłem w siebie królika i popiłem go wodą.

— Co zrobimy z Jee, Maggie? — zapytałem. — Potem?

— A co zrobimy ze sobą? — odparła. Nie znałem odpowiedzi na to pytanie, ale ona musiała ją znaleźć. — Ile pieniędzy ci zostało?

— Dlaczego pytasz?

— Dlatego, że może moglibyśmy otworzyć garkuchnię gdzieś na granicy Reginokracji, gdzie nie zapuszczają się żołnierze Soleka. No wiesz, nie ma ich aż tak wielu, by mógł ich wysyłać wszędzie. Jeśli wystarczy ci pieniędzy, by wynająć jakąś ubogą chatę i kupić trochę jarzyn na początek, mogłabym gotować. Jee mógłby polować i przynosić mięso, a nocami wszyscy spalibyśmy w chacie. Później, jeśli będziemy oszczędzać, moglibyśmy zacząć sprzedawać ale. Roger, jedz.

Posłuchałem. Jej plan miał szanse powodzenia. Moglibyśmy przeżyć jako właściciele małej, ubogiej garkuchni gdzieś na pograniczu Reginokracji. Przekonałem się jednak, że nienawidzę tego pomysłu. Dlaczego?

Nie wiedziałem tego. Przed rokiem garkuchnia w małej wiosce — daleko od Hartaha, daleko od niebezpieczeństw i konieczności przechodzenia na drugą stronę — wydawałaby mi się najlepszym, co mogłoby mnie spotkać. Ale nie teraz. Wszystko się zmieniło. I ja również.

Ale na czym polegała owa zmiana? Na to pytanie również nie potrafiłem odpowiedzieć. „Wyrosłeś, chłopcze. Jesteś już prawie mężczyzną”. Tak powiedziała mi Matka Chilton. Nie o to jednak chodziło. Wszyscy chłopcy stawali się mężczyznami. Wszyscy chłopcy...

— Jaki jest dziś dzień i miesiąc? — zapytałem Maggie, która sprawnie zdrapywała z króliczych kości resztę mięsa i zawijała je w czystą szmatkę. Nie musiała się nawet zastanawiać, by mi odpowiedzieć.

— Dziesiąty saktera.

Miesiąc przed letnim przesileniem. Dziś były moje urodziny. Skończyłem piętnaście lat.

Szliśmy przez dwa dni, nocami rozbijając obóz. Księżyc zbliżał się do pełni. Raz, ze szczytu lesistego wzgórza, dostrzegłem w dolinie żołnierzy. Czy szukali Cecylii? Teraz już jej nie znajdują. Ta myśl nie przyniosła mi pocieszenia.

Jee mówił niewiele, ale bez niego bylibyśmy zmuszeni kupować prowiant w chatkach albo w gospodach, zdradzając swą obecność i uszczuplając moje zapasy pieniędzy. W przeciwieństwie do nas dwojga chłopiec potrafił polować i zastawione przez niego sidła co noc dawały nam nowe króliki. Była wiosna i nie miały na kościach zbyt wiele mięsa, ale Maggie przyrządzała je z leśnymi korzonkami i świeżo wyrosłymi ziołami, które zbierała po drodze. Trzeciego dnia odzyskałem już siły i mogłem wrócić po Cecilię. Gdy moi towarzysze zasnęli, przeszedłem na drugą stronę.

Droga na wietrzne wzgórze, gdzie ją zostawiłem, była długa i nużąca. Cecilia szła za mną bez oporu, gdy wyprowadzałem ją z gór. Było tu znacznie trudniej chodzić niż w krainie żywych, ponieważ ziemia trzęsła się pod naszymi nogami. Raz nawet przesunęła się na bok tak gwałtownie, że przewróciliśmy się i wpadliśmy w cierniste krzewy. Gdy dziewczyna wstała, jej zielona suknia była czysta jak zawsze, jasna skóra nieskazitelna, a oczy pozbawione wyrazu. Wiatr nie przestawał dąć, a wśród postrzępionych pasm chmur rozbrzmiewały grzmoty.

Nie potrafiłem obudzić Cecylii, ale obudziłem krainę Umarłych, uczyniłem ją monstrualną i zdeformowaną. To również była moja wina.

Następnej nocy przeprowadziłem Cecylię obok miejsca, gdzie spali Maggie i Jee. Nie zapuściłem się zbyt daleko naprzód, ponieważ teren raptownie opadał. Z tego miejsca na szlaku nawet w szarym półmroku pod gęstymi chmurami można było sięgnąć wzrokiem na wiele mil. Na horyzoncie dostrzegałem pas głębszej szarości. Byłem przekonany, że to morze.

Nie miałem czasu, by się położyć i objąć dziewczynę. Ledwie zdążyłem szybko ją uściskać. Pocałowałem ją w zimny policzek, posadziłem i wróciłem do krainy żywych.

Moje przywykłe do półmroku owej drugiej krainy oczy wypełnił jasny blask słońca. Jee dmuchał w gwizdek, ale umilkł, gdy podniosłem się z posłania. Maggie stała obok, przesywając mnie oskarżycielskim spojrzeniem.

— A więc wróciłeś — stwierdziła.

— Spałem...

Z jej ust wyrwało się pojedyncze przekleństwo, tak plugawe, że nawet Hartah rzadko je wypowiadał. Chłopiec nadal nie gwizdał.

— Idź poszukać wody, Jee — rozkazała Maggie, nie spoglądając na niego. — Natychmiast. Napełnij cały bukłak.

Dzieciak oddalił się, szeroko otwierając oczy ze strachu.

— Nie mogłam cię w żaden sposób obudzić — podjęła. — Co... co...  
— Jej głos przeszedł nagle w szept, a na twarzy pojawił się wyraz przerażenia znacznie przerastającego strach chłopca. — To była prawda. To, co powiedziałeś mi w kuchni. Mam rację?

Nie sądziłem, by kłamstwo mogło mi w czymś pomóc. Już nie. Zresztą nie uwierzyłaby mi. Gdy Maggie raz podjęła decyzję, cała armia Soleka nie

mogłaby jej zmienić.

— Tak. To prawda.

— Potrafisz przechodzić do krainy Umarłych.

— Tak.

— Jesteś czarownikiem.

— Nie — zaprzeczyłem z irytacją. — Nie ma żadnych czarowników. Jestem... — Znałem tylko jedno słowo na określenie tego. — Hisafem.

„Tak samo było z twoim ojcem” — wyszeptał w mym umyśle głos starca. „Inaczej ty nie mógłbyś nim być”.

— Co to jest hisaf? — zapytała dziewczyna.

— Ktoś, kto potrafi przechodzić na drugą stronę. Maggie, ja tego nie wybrałem. Taki się urodziłem. Nie jestem czarownikiem i przysięgam na duszę matki, że nie musisz się mnie obawiać. Ani ty, ani nikt inny.

Rozważyła moje słowa. Jej twarz nadal wykrzywiała się ze strachu, ale mimo to je rozważyła. W owej chwili jasnowłosa Maggie dziwnie przypominała mi królową Caroline, przynajmniej jeśli chodzi o minę.

— Chodzisz do niej w nocy — skwitowała. — Do lady Cecylii. To u niej byłeś, prawda? Nie mogłam cię rano dobudzić, ale to nie była choroba, ani nawet zmęczenie. To było tak, jakby... jakby cię nie było. Bo rzeczywiście cię nie było. Odszedłeś do niej.

— Tak.

Zalała mnie ulga. Maggie to rozumiała i akceptowała. Mogłem przestać się ukrywać i uciekać przed nią. Wreszcie miałem kogoś, kto wiedział, kim jestem, ale — w przeciwieństwie do Hartaha i królowej — nie pragnął wykorzystywać mojego „daru” dla własnych celów. Pomimo wszystkiego, co się wydarzyło, omal nie roześmiałem się w głos z radości. Uwolniliśmy się od kłamstw i wszystko teraz stanie się prostsze.

— Nienawidzę cię! — wrzasnęła i rzuciła we mnie pieczonym królikiem. Wilgotne mięso nadal było gorące i oparzyło mnie w policzek, zanim spadło ciężko na trawę. Dziewczyna skryła twarz w dłoniach i zaniósła się szlochem. Wydawało się, że nigdy nie przestanie łkać.

— Maggie, co... co...

— Nie dotykaj mnie! — wrzasnęła, choć wcale nie próbowałem tego zrobić. — Nic nie rozumiesz! Jesteś najgłupszym mężczyzną, jakiego spotkałam w życiu, a do tego najpodlejszym i... Jak możesz do niej chodzić? Ona nie żyje! Nie żyje, nie żyje, nie żyje, a nawet kiedy żyła, była dziecinna, próżna i głupia! Jeszcze głupsza od ciebie! A ja poszłam z tobą, gotowałam ci i zaryzykowałam dla ciebie wszystko. Nie dotykaj mnie!

— Nie dotykam! Maggie...

— Idź sobie! Zostaw mnie! Albo zostań tu ze swoją martwą, gnijącą dziwką! Nic mnie to nie obchodzi! Odchodzę!

Pobiegła przed siebie wyboistym szlakiem.

Choć spałem bardzo krótko, dogoniłem ją bez trudu i złapałem za rękę, gdy spróbowała mnie uderzyć. Twarz miała brudną od ziemi i łez, pachniała wielodniową podróżą i wyrywała mi się niczym schwytyany dzik. Aż nagle przestała się szarpać. Przytuliła się do mnie mocno i pocałowała mnie.

Wreszcie zrozumiałem. Podejrzenie, które nawiedziło mnie na wyspie i od którego tak silnie próbowałem się uwolnić, okazało się prawdą.

— Maggie — wydyszałem, gdy wreszcie zdołałem odsunąć usta od jej ust. — Maggie, nie, ja...

Puściła mnie.

Staliśmy tak przez długi czas w ciepłym słońcu, nie patrząc na siebie nawzajem. Nie miałem pojęcia, co powiedzieć czy zrobić. Przed kilkoma chwilami trzymałem w ramionach Cecilie — zimną, nieczułą i martwą. Moją panią i moją miłość. A teraz stałem na górskim szlaku, teren przede

mną opadał ku odległemu morzu, wokół rozkwitała wiosna, a moje ciało reagowało na bliskość Maggie. Dezorientacja otaczała mnie na podobieństwo gęstej mgły.

Maggie jednak nie sprawiała wrażenia zdezorientowanej. Ona nigdy się nie wahała. Odwróciła się ode mnie i ruszyła w dół szlakiem. Gdy znowu ją dogoniłem, odepchnęła mnie mocno.

Dośćnąłem ją po raz trzeci, złapałem za rękę i wcisnąłem w jej dłoń trzy z sześciu srebrnych monet, które mi zostały. Znowu mnie odepchnęła. Kiedy wstałem, była już daleko, ale na zarośniętym zielonym szlaku nie leżały monety. Sprawdziłem to. Zatrzymała je sobie.

No cóż, zasłużyła na nie.

Odprawiałem ją wzrokiem, aż zniknęła mi z oczu, ale nie poszedłem za nią. Nie mogłem. Byłem zbyt zmęczony po nocy spędzonej w krainie Umarłych. Musiałem się teraz przespać, żeby zachować siły. Dla Cecylii.

Znalazłem leżące na uboczu zarośla o świeżych, żółtozielonych liściach. Wczołgałem się w gąszcz i zasnąłem w słodkim, ciepłym blasku słońca.

O zmierzchu obudziłem się i ponownie przeszedłem na drugą stronę. Jee do mnie nie wrócił. Nie byłem zdziwiony. Odszedł z Maggie, która jako jedyna w całym życiu biednego dzieciaka okazała mu dobroć. Maggie, która mnie kochała, a ja nie mogłem odwzajemnić jej uczucia.

Dlaczego? — wyszeptał jakiś głos w mojej jaźni. Uciszyłem go i przeszedłem na drugą stronę, nie opuszczając chaszczki. Tym razem miałem plan — desperacki, szalony i pełen nadziei.



To miejsce, w którym zostawiłem Cecilię, skłoniło mnie do myślenia. Góry opadały tam gwałtownie ku równinie i można było sięgnąć wzrokiem na wiele mil. Poznałem pewien element rozciągającego się daleko w dole krajobrazu, położony tuż nad nadmorskimi klifami. To była polana, na której Niebiescy starej królowej powiesili jasnowłosego młodzieńca. Zawiesili tam też drugą pętlę, przeznaczoną dla mnie. U podstawy urwiska, za polaną, znajdowała się plaża, na której Hartah i jego wspólnicy rozbili „Frances Ormund”.

Wziąłem Cecilię za rękę i poprowadziłem ją ku tej odległej polanie. Za każdym razem, gdy nie mogłem już iść dalej, zostawiałem ją i wracałem do pogrążonego w transie ciała, czekającego na mnie gdzieś w krzakach albo w ukrytym przed wzrokiem świadków rowie. Spałem i kupowałem żywność, gdzie tylko mogłem. Byłem teraz tak wychudzony i brudny, że wieśniaczki dawały mi chleb z litości. Pełnia minęła i księżyc zaczął ubywać. Przebywałem w krainie żywych tylko do chwili, gdy odzyskałem siły, potrzebne mi jedynie do tego, by wrócić do miejsca, gdzie zostawiłem Cecilię, przejść na drugą stronę i znowu wyruszyć z nią w drogę. Tutaj nie było księżyc, a tylko szare niebo przeszywane błyskawicami, burza, która nie mogła nadejść, oraz podziemne łaskoty. Cały czas oddalaliśmy się od gór, zmierzając ku dolinie, w której leżała Reginokracja.

Cóż mogę powiedzieć o owych dniach spędzonych na wędrówce z Cecilią przez krainę, w której nie było dni ani nocy? Ziemia drżała, z góry dobiegały grzmoty, a ona nawet nie wiedziała, że jestem przy niej. Niemniej był to dla mnie czas pełen szalonej słodyczy. Gdy brałem Cecilię za rękę,

obejmowałem ramieniem jej szczupłą talię, kładłem ją obok siebie na suchej ziemi, zawsze przepływały przeze mnie liczne uczucia i żadne z nich nie pasowało do pozostałych. W żadnych innych okolicznościach nie mógłbym trzymać w ramionach kobiety, która była damą.

Kochałem ją. A w okrągłym kamiennym domu na Wrzosowisku Duszorośli...

Gdy tylko nawiedzało mnie to wspomnienie, zaczynałem gadać od rzeczy.

— Cecilio, tak mi przykro, nie wiedziałem, nie wiedziałem, och, Cecilio, wszystko naprawię dla ciebie, dla nas, obiecuję, obiecuję...

Przytulałem ją do siebie i czułem delikatny kwietny zapach jej włosów, który nigdy się nie zmieniał. Wypełniała mnie wtedy desperacka radość, po chwili ustępująca miejsca mrocznemu poczuciu winy.

Ale to przede wszystkim radość pamiętam.

Nie wiem, ile dni spędziłem w ten sposób, ale w końcu dotarliśmy, każde w swoim świecie, do urwiska nad kamienistą plażą.

W krainie żywych chata nadal stała, porzucona i pełna pajaków oraz myszy. Ciało jasnowłosego młodzieńca zniknęło podczas zimy i wiosny, zapewne pożarte przez wrony, ale wystrzępione resztki pętli nadal zwisały z gałęzi dębu. Oczyma duszy ujrzałem całą tę straszliwą scenę, jakby nie była wspomnieniem, lecz dotykalaną rzeczywistością: pani Conyers w mokrej sukni, rozdarta między przerażeniem a sprawiedliwością. Enfield, żołnierz Niebieskich, pragnący powiesić mnie na tym samym drzewie. A wcześniej Hartah, wymachujący rękami na zlanej deszczem plaży, gdy „Frances Ormund” rozbiła się o skały i przerażeni marynarze wychodzili na brzeg, gdzie czekały na nich noże morskich rozbójników. Ciotka Jo, krzycząca do mnie pośród burzy, rysy jej twarzy zatarte ulewą. „Uciekaj, Roger! Natychmiast!”. Tylko siebie nie widziałem — zapłakanego chłopca,

który uczepił się sukni pani Conyers i błagał o darowanie życia. On nie chciał się ukształtować przed moimi oczami, nie czuł go też mój umysł ani mięśnie. Nie byłem już nim.

Przeszedłem na drugą stronę.

Czułem się dziwnie, przemieszczając się od ciepłego wiosennego popołudnia w krainie żywych do burzliwej krainy Umarłych. Kiedyś zawsze było na odwrót. Teraz niebo tu było tak samo szalone, morze podobnie wzburzone, a wiatr zawodził równie głośno jak w noc katastrofy po drugiej stronie. Tu jednak nie padał deszcz, a ziemia pod moimi stopami trzęsła się tak gwałtownie, jakby miała się rozpaść niczym „Frances Ormund”.

Gacek siedział tam, gdzie go zostawiłem przed wieloma miesiącami, na pniaku przy ścieżce wiodącej z chaty do urwiska. Zerwał się na nogi, gdy tylko mnie zobaczył. Nie zmienił się ani trochę: płaska głowa, wielki nochal, przetłuszczone włosy i niewyraźny głos. Dziecko w podartym ubraniu rozbitka. Wielkie łapsko nadal zaciskał na rękojeści noża ukształtowanej na podobieństwo ryby o otwartej paszczy.

— Pan czarownik!

— Tak, Gacek.

— Przyszedłeś po Gacka!

— Tak. Dobrze się czujesz?

To proste pytanie zbiło go z tropu. Trudno było się temu dziwić. Co to znaczyło „czuć się dobrze” — czy to w Kraju Czarowników, czy w krainie Umarłych? Nie odpowiedział mi. Przyglądał mi się z mieszaniną strachu, szacunku i nadziei. Nie miałem pojęcia, co oznaczał dla niego czas spędzony na siedzeniu na pniaku. Nie zastanawiałem się też nad tym. Byłem zbyt zajęty odpychaniem od siebie litości spowodowanej tym, co zamierzałem mu uczynić.

To Gacek pierwszy mi pokazał, że Umarli nie zawsze zdają sobie sprawę, że nie żyją. To on pierwszy mi zademonstrował, że Umarły nieświadomy tego zasadniczego faktu potrafi się unieść w powietrze samą siłą woli. Wykorzystałem to potem, by ocalić Cat Starling przed Niebieskimi, którzy chcieli ją spalić. Spowodowałem, by odleciała, co jeszcze silniej przekonało żołnierzy, że znajdują się w Kraju Czarowników. Pierwszy raz użyłem tego podstępu podczas rozmowy z Gackiem, a teraz zamierzałem sprawdzić na marynarzu swój kolejny pomysł. Nie mogłem wykorzystać Cecylii do tego eksperymentu. Była zbyt cenna. Gacek musiał być pierwszy.

— Dlaczego przede mną nie klękasz, Gacek? — zapytałem. — W końcu jestem lordem z Kraju Czarowników!

Opadł pośpiesznie na kolana, mamrocząc niezrozumiałe dla mnie słowa przeprosin.

— Uwolnię cię stąd — zapowiedziałem. — Podejdź bliżej.

Marynarz podszedł do mnie na kolanach tak blisko, że widziałem biały łupież w jego przetłuszczonych włosach. Ja również zbliżyłem się ku niemu, aż wreszcie nasze ciała się zetknęły.

— Nie ruszaj się, Gacek.

— Tak jest, panie.

Wykonał moje polecenie, mimo że głos mu drżał.

Wsunąłem mu ręce pod pachy i pociągnąłem go ku sobie jak dziecko albo kochankę. Potem przeszedłem do krainy żywych.

*Ziemia wypełniająca mi usta...*

*Robaki w moich oczach...*

*Gleba więżąca moje odarte z ciała ręce i nogi...*

Ale tym razem wrażenie się nie kończyło. Byłem uwięziony pomiędzy, na wieki pochowany pod ziemią, a drugi szkielet był tu ze mną i jego krzyk

wypełniał mój nieistniejący umysł... wrażenie trwało, trwało i trwało...

Aż wreszcie przeszedłem. Stałem zdyszany na świeżej wiosennej trawie, a Gacek leżał u moich stóp, wyjący, przerażony i żywy.

Minęło wiele czasu, nim odzyskałem dech. W przypadku Gacka trwało to jeszcze dłużej. Dyszałem i charczałem, ale mogłem myśleć wyłącznie o Hygryll. O ludziach z okrągłej sali o kamiennych ścianach, którzy podążyli za mną — za hisafem — do krainy Umarłych. Mogli tam istnieć jedynie jako kosmyki szarej mgły, ale przecież byli żywi. Natomiast Gacek był w pełni obecny tam, a teraz tutaj.

Czy jednak na pewno?

Gdy tylko odzyskałem zdolność oddychania i myślenia, przyjrzałem się uważnie marynarzowi. Zerwał się na nogi, rozglądał się wkoło jak szaleniec i oddychał spazmatycznie, wymachując trzymanym w ręce nożem w poszukiwaniu czegoś, co mógłby zaatakować.

— Wszystko w porządku, Gacek — rzekłem władczym tonem. — Przeprowadziłem cię tu z powrotem z Kraju Czarowniców. Klęknij!

Zrobił to, ucieszony, że wydano mu wyraźny rozkaz. Rozumiał rozkazy, ale nic poza nimi. Uniósł twarz ku mnie, nie wstając z klęczek.

— Gacka uratowano z Kraju Czarowniców?

— Tak. Tak!

Przekonał mnie jego odór, tak silny, że musiałem się odsunąć. W krainie Umarłych zapachy nie są tak intensywne. Musiałem przytulić Cecilie, by poczuć woń jej włosów. Gacek jednak cuchnął potem, moczem, ziemią i morską solą pokrywającą jego podarte łachy. Był z pewnością obecny, przebywał ciałem w krainie żywych. Żył i cuchnął przeraźliwie.

Nogi nagle ugięły się pode mną. Usiadłem na ziemi. Gacek żył. Ja tego dokonałem. Ja, Roger. Hisaf.

„Zawsze tak jest z hisafami. Tak samo było z twoim ojcem. Inaczej ty nie mógłbyś nim być”.

Czy mój ojciec też potrafiłby tego dokonać? Być może to właśnie mieli na myśli Duszoroślanie, mówiąc o „wiecznym życiu”. Umarłych można było sprowadzić z powrotem. Gdyby ojciec nie opuścił nas przed śmiercią matki, czy mógłby to zrobić dla niej? A jeśli mógłby, ale nie chciał...

Ekspłodowała we mnie nienawiść do tego nieznanego mężczyzny. To ona w końcu mnie złamała. Zbyt wiele wydarzyło się w za krótkim czasie. Maggie, Gacek, Cecilia... Z moich oczu popłynęły łzy. Zawstydzony tym, obróciłem się na drugi bok, ukrywając twarz. Łkałem, jak wtedy, gdy miałem sześć lat i umarła moja matka. Nie mogłem powstrzymać płaczu.

Gacek zajął się mną. Przykrył mnie płaszczem, mamrocząc coś nieartykułowanego. Znalazł gdzieś wodę i przyniósł mi kilka kropli na liściu. Usiadł obok — śmierdzący i potężnie zbudowany — i klepał mnie po ramieniu, aż atak minął.

— W porządku, Gacek. Wszystko w porządku. Nic mi nie jest.

— Dobrze się czujesz, panie czarowniku? — wybełkotał.

— Dobrze.

— Na pewno?

— Na pewno. Dziękuję, Gacek. — Uświadomiłem sobie kolejny problem. Co miałem teraz zrobić z marynarzem? — Czy wiesz, gdzie jesteś?

— Nad morzem — odparł po prostu, wskazując w stronę plaży.

Oczywiście. Był żeglarzem. Wszędzie, gdzie było morze, czuł się jak w domu. Pójdzie ze mną aż do końca nadbrzeżnych urwisk, zaokrętuje się na jakiś statek i wróci do życia, które ukradł mu Hartah, w ogóle nie zdając sobie sprawy, że je kiedyś utracił. Jeśli opowie ludziom o Kraju Czarowników swym bełkotliwym tonem półgłówka, nikt mu nie uwierzy.

Nagle zapragnąłem, by sobie poszedł. Chciałem zostać sam. Chciałem przejść na drugą stronę i sprowadzić Cecilie z powrotem. Nic innego nie miało znaczenia, żadne inne myśli nie wypełniały mojego umysłu...

Dlaczego hisafowie nie sprowadzali z powrotem Umarłych, których kochali?

To pytanie mnie niepokoiło. Nie mogłem o nim zapomnieć. Jedną z możliwych odpowiedzi brzmiała: „Być może to robili”. Jeśli jednak tak było, dlaczego ojciec nie ocalił matki? To z kolei przywiodło mnie do najstarszego z pytań: Dlaczego w ogóle nas opuścił i co doprowadziło do jej śmierci w Hygryll? Gdybym ją odnalazł w krainie Umarłych na Wrzosowisku Duszorośli, mógłbym ją o to zapytać. Ale jej nie znalazłem i w tej chwili nie wybierałem się tam z powrotem. Musiałem sprowadzić Cecilie do krainy żywych.

Najpierw jednak potrzebowałem odpoczynku. Wszystko we mnie osłabło, wyczerpane nadnaturalnym wysiłkiem. Wyjąłem z kieszeni sześć groszy i wręczyłem je Gackowi.

— Masz. Znajdź jaką chatę albo coś, kup chleba i sera, a potem przynieś je tutaj.

Gdy tylko wypowiedziałem te słowa, zapadłem w sen. Leżałem na szlaku między urwiskiem a polaną, na której jasnowłose młodzienczak zakończył życie, wierzgając nogami w powietrzu. Z pewnością przespałem cały dzień, bo kiedy się obudziłem, znowu było popołudnie, blask słońca padał na świeże liście, a Gacek zniknął.

Na ziemi przy mnie leżał bochenek chleba, oblastry już mrówkami. Bukłak z koziej skóry napełniono wodą. Gacek zadbał o moje potrzeby, nim uciekł przed panem czarownikiem, który w każdej chwili mógł go wysłać z powrotem do swego kraju. Nie miałem do niego pretensji. Strzepnąłem

mrówki z chleba i zjadłem połowę, zmuszając się do zachowania reszty na później.

Potem znalazłem potok, wykapałem się i wyprałem ubranie, żałując, że nie mam mocnego mydła z pralni Joan Campford. Wartki, spływający z gór strumień był tak zimny, że wrzasnąłem głośno w chwili, gdy zanurzyłem się w nim i lodowata woda dotknęła moich części intymnych. Nie zważając na to, wyszorowałem się żwirem, aż moja skóra zrobiła się czerwona. Chciałem być czysty dla Cecylii.

Gdy już się wysuszyłem w ciepłym słońcu i moje ubranie również, przygładziłem włosy palcami i ogoliłem się nożykiem. Zaciąłem się i musiałem powstrzymać krwawienie. Uporawszy się z tym wszystkim, zebrałem bukiet wiosennych kwiatów oraz garść poziomek, a potem wróciłem do chaty na polanie i przeszedłem na drugą stronę.

Przez długą, straszliwą chwilę sądziłem, że wróciłem na miejsce katastrofy „Frances Ormund”.

Twarz siekł mi deszcz, tak gęsty i gwałtowny, że prawie nic nie widziałem. Deszcz w krainie Umarłych! Wichura zdmuchnęła mnie w bok, zwałała z nóg. Podniosłem się i ruszyłem naprzód, wymacując sobie drogę rękami.

— Cecilio! Cecilio! — wołałem.

Drzewo runęło na ziemię tuż obok mnie. „Nie mogłem jej znaleźć”. Moje krzyki umykały na zawodzącym przeraźliwie wicherze, gdy tylko wyrywały mi się z ust. Po co właściwie ją wołałem? Nie usłyszy mnie, nie odpowie... Gdzie się podziała? Co, jeśli kraina się rozciągnęła, co zdarzało się często, i polana była teraz odległa o wiele mil... w tej straszliwej ulewie... Trach! Piorun uderzył kilka mil stąd, ogłuszając mnie.

Ta burza, podobnie jak w krainie żywych, była raz silniejsza, raz słabsza. Podczas spokojniejszego okresu, gdy wiatr i deszcz uspokajały się



nieważnie, a pioruny się oddalały, widziałem lepiej. Umarli nadal tu byli. Siedzieli albo leżeli na trzęsącej się ziemi, zachowując spokój wśród szalejącego chaosu. Potknąłem się o starca, który ocknął się na chwilę, warknął coś do mnie w niezrozumiałym języku, a potem znowu zapadł w niesamowite odrętwienie. Tam, przede mną... Nie, to była jakaś inna dziewczyna ubrana na zielono, siedząca obok małego dziecka...

Wreszcie ją ujrzałem.

Siedziała spokojnie na samej krawędzi nadmorskiego urwiska. Nie mogła się ruszyć z miejsca, z pewnością więc to urwisko się przemieściło. Jej zielony strój był tak samo mokry, jak ongiś suknia pani Conyers, zupełnie jakby Cecilia również była ofiarą katastrofy statku. Jej bujne włosy łopotały na wietrze, ich długie kosmyki wiły się jak węże. Dowlokłem się do dziewczyny i porwałem ją znad urwiska.

Morze w dole kipiało. Skały zniknęły, zakryte przez przybój, bryzgi i ulewę. Jeśli na plaży byli jacyś Umarli — Hartah, kapitan James Conyers, ciotka Jo — nie widziałem ich. Nie chciałem ich zobaczyć. Ugryzłem się mocno w język, aż popłynęła krew, i przeszedłem na drugą stronę.

To przejście również ciągnęło się bez końca. Ziemia wypełniała mi usta i oczodoły, przez co nie widziałem miękkiego ciała, które tak kurczowo przytulałem. Teraz jednak nie było miękkie, podobnie jak moje przerodziło się w szkielet. Oboje byliśmy na zawsze uwięzieni w grobie.

Potem znalazłem się po drugiej stronie i Cecilia była ze mną.

Leżeliśmy na szczycie urwiska nad plażą, wśród wiosennego zielska. Cecilia znieruchomiała w moich ramionach. Mrugnęła raz, a potem drugi. Zdziwiona mina zastygła na jej twarzy niczym mgiełka na szybie. Nagle się poderwała, rozejrzała wkoło i zaczęła krzyczeć.

— Cecilio, nie! Wszystko w porządku, wszystko w porządku! Cecilio!

Umilkła, ale odsunęła się ode mnie, ściskając wilgotne spódnice. Otworzyła szeroko oczy z przerażenia.

— Roger! Gdzie jestem! Co mi zrobiłeś?

I wtedy jej wspomnienia powróciły. Zobaczyłem to w jej oczach.

Co ujrzała? Okrągłe pomieszczenie o kamiennych ścianach, które pamiętałem z Hygryll? A może zamordowali ją gdzie indziej? W jaki sposób to zrobili?

Oczy dziewczyny zapadły się nagle w głąb głowy. Osunęła się na ziemię.

Nie zdążyłem jej pochwycić. Runęła twarzą w dół i przez długą, straszliwą chwilę byłem przekonany, że znowu ją straciłem. Oddychała jednak. Przetoczyłem Cecilie na plecy, ułożyłem jej głowę na swych kolanach i zacząłem pocierać jej policzki. Otworzyła oczy.

— Roger? — odezwała się tak cicho, że ledwie ją słyszałem. — Umarłam — dodała.

Nie potrafiłem znieść wyrazu jej oczu. Ból, oszołomienie — była jak małe zwierzątko, skrzywdzone dla zabawy przez okrutnych chłopców, miauczący kotek, który błaga: „Niech to się skończy. Proszę, niech to się skończy”.

— To był tylko sen, pani — skłamałem. — Miałaś zły sen.

Przez jej twarz przemknął twardy wyraz, wizja Cecilii, jakiej nigdy dotąd nie widziałem. Potem uczepliła się tego, co jej oferowałem.

— Tak, oczywiście, sen! Zły, durny, sen! Jaka jestem głupia. I jesteśmy tu bo... bo... — Rozglądała się gorączkowo po polanie. — Piknik! Tak jest, oczywiście, teraz pamiętam, piknik, zły sen! Doprawdy, Roger, co ty wyrabiasz? Nie możesz mnie tak obejmować! Niegrzeczny Roger!

Zerwała się na nogi i odsunęła ode mnie o kilka kroków. Histeria i zalotność tworzyły na jej twarzy straszliwą mieszankę.

— Cecilio...

— Nie możesz zapominać, kim jesteś! — Pogroziła mi palcem, ale zatrzymała ten gest w połowie drogi. Na jej twarzy znowu pojawiła się panika, ale dziewczyna szybko ją przegnała kokieterią, naiwnością i twardą jak granit wolą. — Nie możesz zapominać, kim jestem! No wiesz, nie uchodzi, żebyś mnie dotykał, nawet na pikniku!

Czarujący uśmiech maskujący przerażenie.

— Pani...

— Chyba chcę już stąd iść, Roger. Och, kwiaty! Czy to dla mnie? Och, ty niegrzeczny chłopcze, nie powinieneś! Ale są takie ładne...

Wyrwała mi z ręki kwiaty, które dla niej zebrałem, i przycisnęła je do przemoczonego gorsecika sukni, uśmiechając się do mnie jak zdesperowane dziecko.

Przez moją głowę przemknęła niepożądana myśl. Maggie miałyby odwagę, by stawić czoło prawdzie.

Ale Maggie nigdy nie umarła, nigdy nie była w tej drugiej krainie. A jeśli nawet Cecilia była dzieckiem, pozostawała równie urocza, jak zawsze. Łatwo — tak bardzo łatwo! — było mi wrócić do roli pokornego sługi, jaką odgrywałem przed nią w pałacu. Ukląkłem przed nią.

— Te kwiaty nie są nawet w przybliżeniu tak ładne jak ty, pani.

Roześmiała się.

— Och, posuwasz się za daleko! Cóż za dworzanin się z ciebie zrobił, Roger... Chyba jednak jestem głodna. Cóż za piękne miejsce na piknik, nad tym słodkim morzem!

Dałem jej to, co miałem: czerstwy chleb i poziomki. Rozłożyłem dla niej płaszcz na trawie. Podałem bukłak. Nie przestawała trajkotać, próbując zamaskować niezwykłość sytuacji głupią gadaniną. Nie miała innych środków obrony. Wiedziałem już, że nigdy nie wspomni ani słowem o tym,

co spotkało ją na Wrzosowisku Duszorośli, ani o tym, jakie to dziwne, że nagle znalazła się razem ze mną w odległym zakątku Reginokracji. Poprzez całą nędzę i cierpienia, jakie nas czekały, będzie się śmiać i szczebiotać, nic nie powie i całkowicie zda się na moją opiekę, udając, że wszystko to jest normalne, ponieważ alternatywa byłaby zbyt straszliwa, by mogła o niej myśleć.

Była dzieckiem.

Gdy piękne wiosenne popołudnie wreszcie się skończyło, odprowadziłem Cecilię od urwiska, tym razem nie biorąc jej za rękę. Spaliśmy na polanie — ona bez słowa przykryła się moim płaszczem, ja drżałem z zimna na gołej ziemi. Płaszcz wystarczyłby dla dwojga, ale dla Cecylii nie było to możliwe. W tym przeklętym miejscu dręczyły mnie straszliwe sny, ale nic nikomu o nich nie mówiłem — ani wtedy, ani nigdy. Cecilia nie potrafiłaby mnie pocieszyć, nawet gdyby pociecha była możliwa dla kogoś, kto widział i uczynił to, co ja, i był tym, kim ja byłem.

Kochać dziecko w pełnym wygod pałacu to jedno, a kochać je na pustkowiach, gdzie ciągle trzeba się zastanawiać, dokąd teraz pójść, to coś całkiem innego.

Z pieniędzy od Matki Chilton zostały mi trzy srebrniki i siedemnaście groszy. Pomysł Maggie, która chciała wynająć chatę i założyć w niej garkuchnię, nadal mógł być realny, gdybym tylko zdołał zarobić trochę więcej pieniędzy. Trudno mi jednak było sobie wyobrazić Cecilię jako dziewczkę służebną. Potem musiałem wydać dwa srebrniki na osła, ponieważ Cecilia nie mogła iść zbyt szybko ani zejść bardzo daleko. Zostawiłem ją ukrytą w gaju i ruszyłem na poszukiwania. Tłuste zwierzę kosztowało mnie więcej czasu i pieniędzy, niż się spodziewałem. Kiedy wróciłem, dziewczyna leżała pod moim płaszczem, zwinięta w drżący ze strachu kłębek. Minęło kilka godzin, nim zdołałem ją uspokoić.

Nie skarżyła się jednak. Nigdy tego nie robiła. Była tak słaba i bezradna, że wydałem większość pieniędzy na lepsze jedzenie, kilka noclegów w gospodzie, emaliowany grzebień dla niej oraz kubek, by nie musiała pić z bukłaka. Tego, co zostało, nie wystarczyłoby na wynajęcie żadnej chaty.

Dotarliśmy do granicy Reginokracji, gdzie wybrzeże było bardziej płaskie i pojawiły się wioski rybackie. Czy mógłbym znaleźć tu jakąś pracę? Nie miałem jednak pojęcia o rybołówstwie, a poza tym, jak mógłbym wytłumaczyć obecność Cecylii? Gdyby trzymała usta zamknięte, mógłbym ją podać za swoją siostrę, albo nawet żonę. Ale ona nie potrafiła siedzieć cicho. Nieustanna, zdesperowana gadanina pozwalała jej utrzymać

wspomnienia poza fortyfikacjami umysłu, a każde z jej słów świadczyło, że wychowywała się na dworze królowej.

— Pani, kim był Hemfree? — zapytałem.

Przez jej twarz przemknął wyraz totalnego przerażenia, ale zniknął szybko jak błyskawica.

— Nie pamiętam tego imienia — odpowiedziała za szybko i zbyt głośno.

Uwierzyłem jej. Jej pamięć natychmiast odrzucała wszystkie wspomnienia, których nie mogła znieść. Spróbowałem czegoś łatwiejszego.

— Kiedy pierwszy raz przybyłaś do pałacu?

— Och, bardzo dawno! Byłam jeszcze małą dziewczynką. Wysłała po mnie sama królowa. Znała moją matkę. — Coś jednak najwyraźniej wynurzyło się na powierzchnię jej umysłu, bo obdarzyła mnie desperackim, łobuzerskim uśmiechem, a potem roześmiała się w głos. — Och, Roger, czyżbyś pytał, ile mam lat? Nie wiesz, że damie nie wolno zadawać takich pytań? Wstydź się, niegrzeczny błaznie!

Gdyby miała wachlarz, mogłaby mnie nim zdzielić. Ale ja nie byłem już błaznem. Odwróciłem się. I wtedy mnie zaskoczyła.

— Chyba mogłabym pracować jako służka damy — oznajmiła.

Poruszyłem nagle głową, spoglądając na Cecilie.

— Służka... Pani, tu nie ma dworzan.

— Och, nie tutaj, nie w wiosce rybackiej! — Roześmiała się. — W jakimś lepszym miejscu... Myślę, że bym mogła, gdzieś, gdzie potrzebują...

Na jej twarzy znowu pojawił się wyraz zdziwienia. Pamięć, a przynajmniej zrozumienie sytuacji, było blisko. Odepchnęła je.

— Och, jaka jestem głupia! Pewnie, że nie mogłabym! Doprawdy, nie powinieś mi pozwolić gadać od rzeczy, niegrzeczny chłopcze!

— Nie jestem już chłopcem, lady Cecilio — odpowiedziałem cicho.

A ona nie była damą. Nie w tym miejscu. Nie mogłem też zaprowadzić jej tam, gdzie znowu by się nią stała, bo królowa Caroline kazałaby ją aresztować, poddać torturom i zabić, mimo że na dworze nadal rządził lord Solek. Dowiedziałem się o tym z podsłuchanych strzępów rozmowy, gdy kupowałem Cecilii grzebień, żywność, dach nad głową oraz osła. Zapewne nie powinniśmy zatrzymywać się zbyt długo nawet w takich odległych od stolicy wioskach rybackich. Przyciągały one wędrowców — zarówno morskich, jak i lądowych — a wędrowcy przynosili wieści. Prędzej czy później ktoś zauważy obecność pięknej kobiety, zupełnie niepasującej do tych okolic, wspomni gdzieś o tym fakcie i wiadomość stopniowo dotrze do królowej.

Co miałem więc uczynić ze swą panią, swą miłością? Jak będziemy żyć?

Jeśli powędrujemy w głąb lądu, ale nie w stronę Glorii, lecz ku odległym wioskom, gdzie szanse rozpoznania nas były mniejsze, a dawne zwyczaje silniejsze, mógłbym robić to samo co kiedyś Hartah. Sprzedawać swe usługi jako gościa odwiedzającego Umarłych, przynosić fałszywą pociechę na letnich jarmarkach, które wkrótce się zaczną. Na myśl o tym przechodziły mnie ciarki, ale nie miałem lepszego pomysłu. Pieniądze się kończyły. Zostało mi tylko kilka groszy. Musieliśmy jeść.

Pogrążony w posepnym nastroju wlokłem się kamienistą plażą. Był wczesny ranek i łodzie rybackie wypływały na otwartą wodę. Cecilia spała w jedynej gospodzie w wiosce, przytulnym drewnianym domu, gdzie na dole była wspólna sala, a na górze sypialnie. Zarówno na dole, jak i na piętrze pachniało rybami. Dzieliliśmy ze sobą jedną z izb. Cecilia spała na

łóżku, a ja na podłodze. Żona oberżysty, prowadząca interes, gdy mąż wypływał na połów, była znacznie młodsza od niego i wyraźnie nami zaciekawiona. Nie zadawała jednak żadnych pytań. Tolerancja i kompetencja, z jakimi kierowała lokalem, przywodziły mi na myśl Maggie.

Łodzie rybackie zniknęły za horyzontem. Pojawiło się żółte, oślepiające słońce. Puściłem od niechcienia kilka kaczek, rzucając kamienie na gładką taflę, a potem wróciłem do gospody i zapłaciłem cenny grosz za kufel ale. Było jeszcze za wcześnie, żeby pić, ale potrzebowałem tego. Żona oberżysty przyniosła mi kufel, a potem usiadła nieproszona za ustawionym na kozłach stołem naprzeciwko mnie, wspierając na blacie szorstkie łokcie.

— Skąd przybywasz, przyjacielu?

— Z wielu miejsc — odrzekłem znużonym tonem. Nie miałem ochoty na pogawędki.

— A dokąd się wybierasz?

Nie odpowiedziałem.

Przyjrzała mi się z uwagą. Nie była ładna, ale dostrzegałem w niej zdrową witalność, jak u młodego, silnego zwierzęcia. Jej małe brązowe oczka lśniły żywą inteligencją.

— Pytam, bo o tak wczesnej porze roku nie mamy tu wielu gości.

— Wyobrażam sobie.

Zostaw mnie.

— Zastanawiam się, czy znałeś tego, który był tu ledwie przed dwoma dniami.

— Nie.

— Wielka szkoda. Muszę komuś oddać jego rzeczy.



Popijałem ale, ostentacyjnie odwracając wzrok. Miałem dość babskiego gadania.

— Zaczekaj, pokażę ci je.

Wstała nagle, otworzyła stojący w kącie kufer i wyjęła z niego stertę łachmanów. Na jej wierzchu leżał nóż o krzywym ostrzu i rękojeści ukształtowanej na podobieństwo ryby o otwartej paszczy.

Nóż Gacka.

— Ach, widzę, że jednak go znalazłeś — stwierdziła kobieta.

— Być może. Co się z nim stało?

Wzruszyła ramionami.

— Nikt nie wie. Dostał pokój na górze, ten sam, w którym wy mieszkacie. Chciał poczekać, aż wróci flota. To było kilka dni temu. A potem nie zszedł na dół. W końcu otworzyłam drzwi, ale jego nie było. Ubranie leżało na łóżku, a nóż pod poduszką.

— Ubranie?

— Tak. Jedyne, jakie miał. I nic nie ukradziono. Drzwi wciąż były zaryglowane od wewnątrz. Po prostu zniknął. Ktoś nadal jest mi winien za ten pokój. Ale... jak mógł odejść nagi? Dokąd poszedł?

Celne pytania. Sałę wypełnił nagły chłód. Ale utraciło smak. Poczuję ucisk w żołądku. Gacek nie zdołałby się przecisnąć przez jedyne okno w izbie. Kobieta przed chwilą powiedziała, że drzwi były zamknięte od środka. Jak więc...

Gdyby w jakiś sposób wrócił do krainy Umarłych — albo właściwie co?, uprowadzono go tam? — ubranie i nóż zniknęłyby razem z nim. Umarli nie przechodzili na drugą stronę nago.

Nie, cała ta opowieść była kłamstwem, podstępem mającym wyłudzić z nieznajomego pieniądze niezapłacone przez Gacka. Ucisk w żołądku ustąpił.

— Znałem go tylko przelotnie — oznajmiłem. — Nie jestem ci nic winien.

Wstałem jednak, pozostawiając na stole niedopity kufel, i wróciłem do sypialni.

Cecilia jeszcze spała. Przyjrzałem się maleńkiemu okienku i masywnym drzwiom. Kobieta powiedziała „dwa dni temu”. Gacek przebywał w krainie żywych od... ilu dni? Straciłem rachubę czasu.

Maggie by to wiedziała.

Nie miało to jednak właściwie znaczenia. Usiadłem na jedynym krześle w izbie i obserwowałem Cecilie. Wieczorem umyła włosy. To było skomplikowane zadanie, wymagające garnków wrzątku, które musiałem dźwigać na górę. Jej rozpuszczone włosy lśniły pięknie na bawełnianej pościeli. Poruszyła półprzezroczystymi niebieskawymi powiekami. Jej młode silne gardło było odsłonięte, a jedna mała pierś wystawała nad koszulę nocną. Nigdy nie dotknąłem tej piersi i nigdy tego nie zrobię. Cecilia była piękniejsza niż kiedykolwiek i w pełni godna pożądania. Ja jednak jej nie pożądałem.

Co mam z tobą zrobić?

Patrzyłem na śpiącą dziewczynę bardzo długo, nim wreszcie ją obudziłem. Nie miałem już pieniędzy, by opłacić następny nocleg. Ledwie starczy mi na śniadanie. Cecilia nie skarżyła się, ale jej piękna twarz miała naburmuszony wyraz. Potem poszedłem do stajni, by napoić i oporządzić osła. On się skarżył. Po skromnym, spożytym bez słowa śniadaniu pomogłem Cecilii dosiąść zwierzęcia i ruszyliśmy w głąb łądu zarośniętym przez zielsko szlakiem. Żona oberżysty powiedziała, że kilkanaście mil na północny zachód stąd znajdziemy wioskę zwaną Ablington. Urządzano tam jarmark.

— Roger, nie słuchasz, co mówię!

Miała rację. Myślałem jednak o niej i o Gacku. Byłem przekonany, że żona oberżysty kłamała, ale jej opowieść nie zniknęła z mojej pamięci. Sprowadziłem Cecilię z krainy Umarłych dzień po tym, jak zrobiłem to z marynarzem. Czy to miało znaczenie? Co się stało Gackowi?

— Nie słuchasz!

— Przepraszam, pani.

Wlokłem się przed siebie, zmierzając na jarmark. Posadzę Cecilię w jakimś cienistym zagajniku albo na ławce na błoniach, a potem spróbuję uczynić to, czego przysiągłem już nigdy więcej nie robić. Stać się tym, kim uczynił mnie Hartah: kłamcą i oszustem w dwóch krainach, w tej i w tamtej.

Ale nie dotarliśmy z Cecilią do Ablington. Ani tam, ani nigdzie.

To zdarzyło się o zmierzchu następnego dnia, przy ognisku, nad którym piekłem resztki chleba, żałując, że to nie królik upolowany przez Jee. Cecilia siedziała obok i czesała włosy emaliowanym grzebieniem, który jej kupiłem. Lśniły w blasku ognia setkami odcieni miodu, cynamonu, złota, brązu, bursztynu, miedzi i kasztanów. W półmroku jej zielone oczy miały kolor szmaragdów.

— Dlaczego tak na mnie patrzysz? — zapytała, rozciągając usta w bledziutkim uśmiechu.

— Dlatego, że nigdy nie widziałem piękniejszej dziewczyny, Cecilio.

— Powinieneś mówić do mnie „pani”. Nie spoufalaj się, Roger!

To nie był żart. Migotliwy blask ognia padał na grzebień, na który nie mogłem sobie pozwolić, na chleb, którego większą część zamierzałem jej oddać, choć burczało mi w brzuchu z głodu, oraz na mój podszyty futrem płaszcz, na którym siedziała. Wypełnił mnie gniew, którego dotąd sobie nie

uświadamiałem, a nawet nie wiedziałem, że potrafię go czuć. Nie na nią się gniewałem.

— Być może okoliczności usprawiedliwiają moją poufałość — rzekłem cichym, przepojonym ostrożnością głosem.

— Nie — zaprzeczyła ze słodką pewnością. — To nie może się stać, Roger. Wiesz o tym. Ja jestem damą, a ty błaznem królowej.

— Tutaj nie ma błazna ani królowej.

Żyjesz wyłącznie dzięki mnie. To ja przywróciłem ją do życia i dzięki mnie mogła je zachować.

— Ale oni istnieją.

Potrząsnęła figlarnie głową. Jej pięknie błyszczące włosy zatańczyły w blasku ogniska.

— Wszystko może się zmienić.

— Ale po co? Zresztą to jedno się nie zmienia.

— Czemu nie? Dlaczego różnice rangi miałyby być niezmiennie, choć wszystko się zmieniło, w Reginokracji i na całym świecie? Dlaczego akurat one?

— Tak po prostu jest.

Uśmiechnęła się do mnie jak dama do błazna i wróciła do czesania włosów.

— Nie — odezwałem się.

— Co „nie”?

— Nie, Cecilio.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

— Jesteś bezczelny, Roger — oznajmiła zimnym tonem. — Przepróż mnie natychmiast.

Zerwałem się na nogi. Dlaczego? Nie miałem pojęcia. Spojrzałem z góry na widoczną w blasku ognia Cecilie: piękną i brudną, irytującą i pożądaną, czarującą i głupią.

— Nie przepraszę — odparłem.

Jej twarz zaczęła się rozpadać. Przez króciutką chwilę myślałem, że spowodowały to moje słowa, że dziewczyna po prostu krzywi się w grymasie gniewu. Tak jednak nie było.

— Cecilio!

Skóra na jej twarzy miękła. Usta otworzyły się w bezgłośnym krzyku. Jej nos, wargi i policzki czerniały. Gniły. Ciało dziewczyny osunęło się na bok, gdy kości się załamały. W nocnym powietrzu uniósł się straszliwy smród. Jej wpatrzone we mnie oczy rozpląnęły się, a po chwili nie pozostało nic poza stertą ubrań.

— Cecilio! Pani!

Rzuciłem się na ziemię i przeszukałem płaszcz, suknię, a nawet buty dziewczyny, jakbym mógł w nich odnaleźć jakieś jej ślady. Nie było tam nic, nawet kosmyka włosów o barwie miodu albo paznokcia. Wszystko odeszło razem z nią. Dokąd?

Wyłem jak zwierzę, ale nie wahałem się ani chwili. Najbliżej było ognisko i je właśnie wykorzystałem. Wepchnąłem dłoń w węgielki, nie przestając wykrzykiwać imienia Cecylii, i przeszedłem na drugą stronę.

Nie było jej tam.

Na niebie huczały gromy. Przeszywały je błyskawice. W krainie Umarłych padał ulewny deszcz. Ziemia się trzęsła. Umarli siedzieli spokojnie pośród tego chaosu. Cecylii jednak nie znalazłem. Budziłem staruszki i potrząsałem nimi, domagając się odpowiedzi. Potykałem się o kamienie, krzaki i ciała, nie przestając szukać wśród wichru i burzy.

Zaglądałem w zarośla, do gajów i do żlebów, których ściany mogły się w każdej chwili osunąć i mnie zmiażdżyć. Nigdzie jej nie było.

Ani wśród żywych, ani wśród Umarłych.

Żona oberżysty mówiła, że Gacek po prostu zniknął.

Zawyłem. Mój głos wznosił się ku burzowym chmurom. Tłukłem pięściami w głaz. Sprowadziłem ją z powrotem, byłem tak blisko uratowania jej! A teraz...

Nie można oszukać śmierci. Nie dłużej niż na kilka tygodni, czas, o jakim nie warto nawet wspominać. Śmierć zawsze zwycięża.

Gdy wreszcie wróciłem do krainy żywych, w Reginokracji nastał już poranek. Ptaki śpiewały w złocistym blasku świtu. Ognisko dawno wygasło. Usiadłem przy nim, zbyt zrozpaczony, by zająć się oparzoną ręką, a nawet by płakać.

Cecilia zniknęła. Nie istniała nigdzie, pod żadną postacią. Czymkolwiek było to, na co czekali spokojni Umarli, ona nigdy tego nie znajdzie. Oto, dlaczego hisafowie nigdy nie sprowadzali z powrotem tych, których kochali. Zabiłem Cecilię skuteczniej niż kanibale z Wrzosowiska Duszorośli. Ja, Roger Kilbourne, hisaf.

Rober Kilbourne, głupiec nad głupcami.

## 29

Nie wiedziałem dotąd, że może istnieć los gorszy od śmierci albo miejsca gorsze od krainy Umarłych. Ale teraz się o tym dowiedziałem.

Trudno mi sobie przypomnieć, jak spędziłem ów pełen rozpacz poranek. I popołudnie. I wieczór. Wiem, że nic nie jadłem, bo i nic nie miałem do jedzenia. Wiem, że nie opatrzyłem oparzonej dłoni, ponieważ moje osmalone palce poczerniały i pokryły się pęcherzami, które pękały, spływając ropą i krwią. Czy przez wszystkie te długie godziny siedziałem przy wygasłym ognisku, nie zważając na nic? Czy krzyczałem albo płakałem? Nie wiem i być może nigdy się tego nie dowiem. Te chwile zniknęły dla mnie podobnie jak Cecilia, pochłonęło je to samo mroczne miejsce pełne bólu i pozbawione nadziei.

Zabiłem ją. Musiałem umrzeć, by za to odpokutować.

Ta myśl przywróciła mi życie, jeśli można to było tak nazwać. Uczepiłem się jej, jakby mogła mnie ocalić. Umrę i w krainie Umarłych odnajdę zapomnienie. Jak wszyscy jej mieszkańcy stanę się pogodny, bezmyślny i wolny od bólu. Będę sobie siedział spokojnie w tej spokojnej krainie...

Ale ona nie była już spokojna. I nie wszyscy Umarli czekali na coś, pogodnie i bezmyślnie. Żołnierze Niebieskich. Cat Starling. Oni nie uwierzyli, że nie żyją, i dzięki temu zachowali dawną osobowość. Ja również wiedziałem, że śmierć nie jest ostateczna, że za grobem można było poruszać się, myśleć i żyć. Czy więc jako hisaf również zachowam świadomość — być może przez całą wieczność?

Wieczność pamiętania o tym, co uczyniłem Cecilii. Mogłem o tym pamiętać tutaj albo tam. Bez różnicy.

Śmierć nie była drogą wyjścia. Nie dla mnie.

Niemniej chyba mogłem to uczynić, po to tylko, by zrobić cokolwiek, by wreszcie uwolnić się do nieznośnej rozpacz. Czułem, że jelita i wątroba poruszają się wewnątrz, szukając drogi wyjścia z mojego ciała. Moje oczy płonęły, nienawidząc faktu, że muszą żyć we mnie. Dłonie, ta poparzona i ta zdrowa, zacisnęły się w pięści, pragnąc zbić moje ciało do nieprzytomności. Nie potrafiłem utrzymać się w całości, nie mogłem ze sobą żyć, nie byłem już w stanie znieść ani jednej chwili tej grozy...

Ale chwila nadeszła.

A po niej następna.

I następna...

— Roger!

I następna...

— Roger! Przestań!

I następna. Atakowałem swego wroga, którym byłem ja sam. Okładałem go, uderzałem ze śmiercionośną celnością...

Nagły kopniak w oparzoną dłoń sprawił, że zawyłem z bólu. Z mojej drugiej ręki wysunął się nóż. Odciągnięto ją od popiołów ogniska. Smród, kolejny kopniak, a potem głos:

— Roger! Przestań! Co ty wyprawiasz?

To był Jee. Jego postać wyłoniła się z wieczornego półmroku. Jak to możliwe, że znowu był wieczór? Trzymał się na bezpieczny dystans. Kiedy znieruchomiałem, podkradł się bliżej.

— Co ty wyprawiasz? Przestań!

— Jee...



— To ja. Słyszałem cię milę stąd.

— Jee.

— To ja! Twoja ręka...

Nagle poczułem, że moją oparzoną dłoń ogarnął ogień. Ból był nieznośny. Myślę, że to on przywołał mnie z powrotem do rzeczywistości. Nie było miejsca na nic poza nim oraz tym, co Jee powiedział mi później.

Przykucnął obok mnie, spoglądając mi prosto w oczy. Na jego twarzy malował się ból porównywalny z moim. Nie wiedziałem dotąd, że cierpienie innych może nam pomóc zapomnieć o własnym. Nie do końca — z pewnością nie — ale w wystarczającym stopniu, by przetrwać. Jee cierpiał. Gdyby nie to, wątpię, by zdołał do mnie dotrzeć.

— Chodzi o Maggie — oznajmił. — Żołnierze ją zabrali.

— Zabrali ją? Jacy żołnierze? Dokąd?

— Wielcy źli żołnierze — wyjaśnił chłopczyk i rozplakał się. — Mieli zielone ubrania i pióra. Zabrali ją.

Żołnierze królowej.

— Będą ciebie szukać — ciągnął łkający Jee. — Pytali Maggie o ciebie. Zabrali ją do królowej-dziwki!

Chodziło im o mnie. Zabrali Maggie dlatego, że królowa szukała Rogera Kilbourne'a. Albo ona, albo lord Solec, podejrzewałem jednak, że chodziło o Jej Miłość. Zdesperowana królowa Caroline dowiedziała się, że opuściłem stolicę z Maggie, i chciała, żebym wrócił, bo potrzebowała mnie, by podjąć ostatnią, rozpaczliwą próbę odzyskania władzy. A gdy królowa zdecydowała, że czegoś chce, nic nie mogło jej powstrzymać przed zdobyciem tego. Jeśli Maggie nie powie, gdzie mnie ostatnio widziała, Caroline wydobędzie to z niej torturami. A nawet jeśli Maggie jej powie, królowa może i tak kazać ją torturować, by sprawdzić, czy dziewczyna nie wie czegoś jeszcze.

Maggie poddana działaniu zadających ból instrumentów. Słyszałem o ich istnieniu, ale nigdy dotąd nie odważyłem się ich sobie wyobrazić. Łoże tortur, gwoździe, rozżarzone do czerwoności szczypce...

Powoli usiadłem. Maggie zawsze była dla mnie lepszą przyjaciółką, niż na to zasługiwałem. Nie chciałem jej zawieść.

— Przestań płakać — rozkazałem Jee tonem ostrzejszym, niżby należało w przypadku zrozpaczonego dziecka. — Natychmiast. Musimy uwolnić Maggie.

Chłopiec — wychowywany przez brutalnego ojca na dzikiej Ziemi Niczyjej — uspokoił się w jednej chwili. Otwierał szeroko oczy, a twarz miał mokrą od łez.

— Uwolnić Maggie? My dwaj?

— Tak — odpowiedziałem z nieustępliwością w głosie. — My dwaj.

Wszystko, co wydarzyło się w kilku ostatnich miesiącach, przemknęło mi przez umysł, przybierając inną postać. Jak kamienie widziane pod wodą, przeobrażające się wraz ze zmianą oświetlenia.

— J... jak?

— Zostaw to mnie.

Jee nie byłby sobą, gdyby to zrobił.

— Masz plan?

— Tak — odpowiedziałem, uświadamiając sobie ze zdumieniem, że rzeczywiście mam plan. By go zrealizować, byłem gotowy zniszczyć dwa państwa.

Umyłem i obandażowałem rękę. Jee zaopatrywał nas w żywność i spożywaliśmy ją, by odzyskać siły. Wędrowaliśmy nocą. Obaj jechaliśmy na osłe Cecilii. Drobne ciało chłopczyka prawie wcale nie zwiększało ciężaru, jaki musiało dźwigać zwierzę, ale osioł, jak to osioł, zapierał się

i nie chciał ruszyć z miejsca. Walnąłem go kijem w nos tak mocno, że poderwał się nagle i pokłusował przed siebie. Nigdy przedtem nie uderzyłem zwierzęcia.

Jechaliśmy przez całą noc. Księżyc ubywało, ale gwiazdy świeciły jasno. Ponieważ nie znałem okolicy, byłem zmuszony zawrócić do wioski rybackiej, w której usłyszałem o Gacku, a potem ruszyć przybrzeżnym szlakiem w stronę ujścia Thymaru. W tej płaskiej, łagodniejszej okolicy droga była dobrze oznakowana. Osioł włókł się przed siebie, godzina za godziną. Jee obejmował mnie w pasie, nie odzywając się ani słowem. Być może spał. Dopóki nie spadł, nie zamierzałem mu się przyglądać.

Oparzona dłoń przeszywała mnie odpryskami bólu, układającymi się w odrębny rytm, niezharmonizowany ze stukotem kopyt. Oba te rytmy tworzyły też dysonans z obrazami, które rozbłyskiwały w moim mózgu jeden po drugim, jasne, potężne i przerażające.

Cecilia, czesząca włosy w blasku ognia na chwilę przed...

Maggie, ugniatająca chleb i uśmiechająca się do mnie w kuchni dla służby...

Moja matka w lawendowej sukni...

Cecilia...

Maggie...

Stopniowo w moim bólu coś się zmieniło. W bólu, żalobie i poczuciu winy. Przestały wysyłać mi obrazy i skurczyły się wewnątrz mnie, stając się coraz twardsze i ostrzejsze, aż wreszcie znieruchomiały w mojej piersi niczym kolczasta metalowa kula kończąca żołnierski buzdygan. Wiedziałem, że ta kula nie zniknie nigdy, ale odkąd się skurczyła, mogłem jakoś sobie poradzić, a przecież czekała mnie bitwa.

Jechaliśmy nocą, a za dnia spaliśmy. Zmuszaliśmy biednego, opierającego się osła do maksymalnego wysiłku. Trakt był ruchliwy i nie odważaliśmy się zapalać ognisk, ale noce zrobiły się już cieplejsze. Bez Jee nie miałbym szans tego dokonać. Nie mieliśmy czasu, by się zatrzymać i zastawić sidła na króliki, których zresztą i tak nie moglibyśmy upiec, ale chłopiec potrafił znaleźć orzechy, wiosenne jagody i jadalne korzonki. Cały czas byłem głodny. Wreszcie jednak dotarliśmy do zagajnika położonego nieco w dół rzeki od stolicy. Widziałem wieżę, na której szczycie zamknięto mnie na całą noc po moim „ataku”.

— Maggie tam jest? — zapytał Jee.

— Tak.

— Na górze?

— Nie.

Zapewne przebywała na dole, w lochach. Nigdy ich nie widziałem, ale tam właśnie stracono doradców i oficerów, którzy dochowali wierności starej królowej. A może królowa Caroline trzymała Maggie w swych komnatach, licząc na to, że oczaruje ją i skłoni do współpracy, jak kiedyś zrobiła to ze mną? Miałem taką nadzieję. To by znaczyło, że Maggie jest cała i zdrowa. Będzie wiedziała, jak się zachować, jeśli królowa spróbuje podstępów i słodkich obietnic zamiast tortur.

Jee wsunął brudną rączkę w moją dłoń. Nigdy przedtem tego nie robił. Musiał być przerażony, jeśli potrzebował podobnej pociechy.

— Patrzysz i patrzysz... — poskarżył się.

Miał rację. Gapiłem się na Glorię, jakby rzeczywiście rzucono na mnie czar. Słońce weszło zaledwie kilka minut temu, pozostawiając na wschodnim niebie długie złoto-różowe palce, wyciągające się ku wyspie, jakby chciały ją objąć. Pogodny letni poranek wypełniały woń kwiatów i śpiew ptaków.

— Patrzysz, a tu trzeba coś robić.

— Masz rację, Jee. Trzeba coś robić. — Oderwałem spojrzenie od wieży, klęknąłem i wsparłem obie dłonie na kościstych ramionach chłopca. — Wysłuchaj mnie. Bardzo uważnie. Będę robił rzeczy, które wydadzą ci się dziwne i przerażające, ale wszystko to pomoże nam uratować Maggie. Bez względu na to, co zrobię, nie możesz się ruszyć z miejsca. Nie wolno ci uciekać, krzyczeć ani nic w tym rodzaju. Musisz czekać bardzo spokojnie. Rozumiesz?

— To pomoże nam uratować Maggie.

Uczepił się jedynych słów, które miały dla niego znaczenie.

— Musisz się schować, Jee. I siedzieć cicho.

— To pomoże nam uratować Maggie.

Ufał mi bez zastrzeżeń — być może dlatego, że nie miał innego wyboru. Wiedziałem, jak się czuje. Zaprowadziłem chłopca w gęste chaszczce odległe pół mili od rzeki, gdzie nikt go nie zobaczy. Potem zacisnąłem prawą dłoń na lewej, oparzonej i obandażowanej, krzyknąłem z bólu i nakazałem sobie przejść na drugą stronę.

Burza chyba jeszcze się nasiliła. Błyskawice przeszywały niebo ponad straszliwie wartką, cuchnącą rzeką. Ziemia trzęsła się tak bardzo, że trudno mi było utrzymać się na nogach. Deszcz spływał mi po twarzy. Ubranie w kilka chwil przemokło doszczętnie. Pojawiłem się nieopodal kapitała Niebieskich, który znajdował się teraz po tej stronie rzeki.

— Jeniec czarownicy! — zawołał, podbiegając do mnie. — Wróciłeś, chłopcze! Jakie wieści przynosisz?

Pokiwałem głową. Wiatr zawodził tak głośno, że prawie nic nie słyszałem. Przez strugi deszczu dostrzegłem, że armia Niebieskich powiększyła się do wielu setek ludzi. Czyżby lord Solek zabił wszystkich,

którzy próbowali się buntować? Najprawdopodobniej tak, ale nie miałem czasu o to pytać.

— Najlepsze wieści — zawołałem, przysuwając usta do ucha kapitana — brzmią tak, że wracamy do Reginokracji, by stanąć do walki i odzyskać to, co nasze.

Zlana strugami deszczu twarz mężczyzny rozpromieniła się radośnie. Obnażył gniewnie zęby. Omal nie wzdrygnąłem się przed gwałtownym blaskiem nienawiści w jego oczach.

— Tak jest! Najwyższy czas, chłopcze! Przygotowaliśmy plan bitwy. Ale Krainie Czarowników coś zaszkoziło.

Zatoczył krąg ręką, wskazując na całą krainę: wzburzoną, targaną wstrząsami, nękaną piorunami, więdnącą i rozpadającą się na fragmenty.

Nie wiedział, że to ja zaszkoziłem Krainie Czarowników. Zaburzyłem porządek życia i śmierci. Przekonałem wielu nieżyjących mężczyzn, że wcale nie umarli, uniemożliwiając im zapadnięcie w pogodny trans oczekiwania, będący następnym etapem ich naturalnego bytowania. Co gorsza, sprowadziłem Gacka i Cecilie z powrotem do krainy żywych. Hisaf mógł odbyć taką podróż, ale nikt inny nie powinien tego robić. Zabierając z krainy Umarłych jej obywateli, rozerwałem tkaninę tego świętego miejsca.

A teraz zamierzałem rozerwać ją jeszcze bardziej.

— Kapitanie, zbierz wszystkich swoich ludzi... — Przerwałem, próbując przypomnieć sobie wojskowe określenie, które słyszałem od królowej. — ...w zwartym szyku. Natychmiast. Musimy się śpieszyć!

— Masz amulet?

Amulet? Jaki amulet? Nagle sobie przypomniałem: ten, dzięki któremu uratowałem Cat Starling. Kazałem żołnierzom zrobić takie same. Kapitan

zawiesił swój amulet na szyi. Niezliczone kłamstwa — a wszystkie z nich konieczne.

— Tak — zawołałem, przekrzykując wicher. — Przynoszę wam amulet, a także coś więcej! Zbierz ludzi!

Wystarczyło parę okrzyków, by kilkuset mężczyzn ustawiło się w równych szeregach na trzęsącej się ziemi.

— Muszą wszyscy jednocześnie objąć się w pasie — oznajmiłem.

Kapitan wlepił we mnie spojrzenie. W jego oczach rozbłysnął gniew pomieszany z nagłym zwątpieniem.

— To są żołnierze, chłopcze! Nie mogą walczyć w ten sposób!

— Nie mają walczyć, tylko opuścić Krainę Czarowników. W przeciwnym razie będą musieli zostać tu na zawsze.

Nie przestawał się na mnie gapić. Przez chwilę myślałem, że mnie nie posłucha, ale w końcu odwrócił się i wydał rozkaz. Jego oszołomieni ludzie popatrzyli na siebie, skrzywili się, wymamrotali coś, łypnęli na mnie groźnie, a potem wszyscy się objęli. Równe dotąd szeregi przerodziły się w zbitą, chaotyczną masę.

— Ty też! — zawołałem do kapitana.

— Nie.

Wzruszyłem ramionami.

— W takim razie zostaniesz tutaj.

Zaklął i złapał stojącego najbliżej żołnierza. Ja objąłem jego, ugryzłem się w język tak mocno, że krew wypełniła mi usta, i nakazałem sobie wrócić do krainy żywych. Kilkuset mężczyzn zwisało ze mnie na podobieństwo ciężarków albo pijawek.

Niebo rozszczepiło się z przeraźliwym trzaskiem. Z rozdarcia z donośnym hukiem wyłoniło się coś świetlistego i straszliwego. Ziemia

zniknęła mi spod stóp. Spadałem. Pożerała mnie promienna okropność, która wyłoniła się z nieba...

A potem znalazłem się w grobie, w miejscu między światami. Usta wypełniała mi ziemia, a oczy robaki, byłem uwięziony żywcem w gnijącym ciele. Ale tym razem nie mogłem się uwolnić. Wlokłem za sobą ciężar setek trzymających się mnie kurczowo ludzi. Wszyscy zostaniemy tu na zawsze, uwięzieni, ani żywi, ani martwi. Wieczność w grobie, z robakami w oczach i zimnem na kościach...

Och, cóż uczyniłem?!

Nadal więziła nas ziemia, bariera między krainą żywych a krainą Umarłych. Grób nie wypuści mojego gnijącego ciała, aż wreszcie przywitam z radością prawdziwą śmierć. Dam za wygraną, skapituluję, pozwolę sobie umrzeć...

Nie zrobię tego. Muszę uratować Maggie.

Ostatnim, strasliwym wysiłkiem woli skupiłem się na dotarciu do niej. Przejdź na drugą stronę, przejdź, przejdź, przejdź dla Maggie.

Osunąłem się na trawę na brzegu spokojnej błękitnej rzeki.

Wciągałem rozpaczliwie powietrze w płuca. Żołnierze dyszeli i jęczeli tuż obok. Czucie powróciło: moje ręce składały się z ciała, nie z gnijących kości, oczy wypełniały obrazy, nie czerwie, język mógł się poruszać, wolny od cuchnącej ziemi. Ciała Niebieskich już mnie nie obciążały. Odnosiłem teraz wrażenie, że nawet jeden dodatkowy żołnierz uniemożliwiłby mi przejście. Nigdy więcej!

Gdy już mogłem wstać, rozejrzałem się wkoło w poszukiwaniu Jee. Nie zauważyłem go. Ukrył się, jak mu kazałem. Kapitan wrócił do równowagi i natychmiast zaczął wykrzykiwać rozkazy. Wkrótce armia ustawiła się w szereg bojowy. Żołnierze wyciągnęli miecze i przygotowali tarcze. Zerknął na mnie przelotnie.



— Dziękuję, chłopcze. Idź już.

Jedno spojrzenie wystarczy, by zmienić świat. Nim kapitan przeniósł wzrok na swoich ludzi, wdzięczność w jego oczach zmieniła się w niesmak, a potem w niechęć. Sprowadziłem go z powrotem z Kraju Czarowników, ale to znaczyło, że sam byłem czarownikiem i w związku z tym należało się mnie bać. Polować na mnie. Spalić mnie. Kapitan nie chciał stawiać czoła owej sprzeczności. Wolał, żebym zniknął, uwalniając go od konieczności wypływania na to zdradliwe moralnie morze.

Oddaliłem się między drzewa, aż wreszcie miałem za plecami chaszczę, w których ukrywał się Jee. Niebiescy pomaszerowali w stronę rzeki. Usłyszałem jakiś dźwięk. Mógł to być Jee, szepczący: „Roger!”, ale mógł to też być królik bądź lis. Albo szczur.

Wszyscy ci żołnierze umrą po raz drugi. Podobnie jak Gacek i Cecilia, otrzymali tylko iluzoryczne, ulotne życie. Za dwa tygodnie — w końcu udało mi się policzyć minione dni — znikną w straszliwy sposób niczym płonące drewno, które zmienia się w rozpraszający się w powietrzu dym. Dymu nie można z powrotem zmienić w drewno dębu, klonu albo wiśni, którym był ongiś. Co jednak stałoby się z owymi żołnierzami w krainie Umarłych, gdybym nie popełnił tego straszliwego czynu? Nie zamieszkiwali jej, tak jak reszta Umarłych, oczekujących w spokojnym transie. Robili się już niespokojni, znudzeni i zdesperowani. Czym by się stali za dziesięć lat, za dwadzieścia, za sto? Widywałem Umarłych w strojach wywodzących się ze znacznie dawniejszych epok. A tymczasem obecność niespokojnych żołnierzy — czy to żywych, czy umarłych — nadal zakłócałaby spokój leżącej za grobem krainy.

Moja wina. Wszystko to była moja wina. Ten ostatni uczynek nie był gorszy od poprzednich. Podążyłem za maszerującymi ku stolicy żołnierzami.

Na murach pojawili się zieloni łucznicy, a potem wojownicy lorda Soleka, uzbrojeni w strzelby. Widziałem ich wyraźnie w łagodnym blasku letniego słońca. Wyglądali jak małe zabawki wystrugane z drewna i przeznaczone dla dzieci.

— Prawa flank! — zawołał kapitan maszerujących naprzód Niebieskich. Jeden pododdział żołnierzy uniósł tarcze i przesunął się w prawo. Domyślałem się, że zaatakują od wschodu. Główna część armii maszerowała przed siebie.

Usłyszałem odgłos opuszczanej bramy miasta, głośny zgrzyt metalu trącego o metal. Jak Niebiescy wejdą do Glorii? Nawet tarany oblężnicze nie rozbiłyby tej bramy. A wszyscy żołnierze po prostu szli naprzód. Niebiescy nie mogli się przedostać do środka, było ich za mało, a do tego nie mogli tu unosić się w powietrzu, jak w krainie Umarłych.

— Zdjąć buty! — zawołał kapitan.

Zdjąć buty? Wszyscy żołnierze oparli tarcze o ziemię i zrzucili ciężkie buciory. Dopiero teraz zauważyłem, że nie zawiązali sznurowadeł.

Główna część armii złamała szyk i zerwała się do biegu, podążając za małym oddziałem, który przedtem ruszył na wschód. W jednej chwili zrozumiałem plan kapitana. We wschodniej części miasta znajdowały się pralnie i łaźnie. Zbudowano je nad rzeką, by czysta woda mogła wpływać do środka i wypływać na zewnątrz, unosząc mydło oraz brud ku morzu. To była pierwsza część pałacu, którą ujrzałem na własne oczy, gdy szorowałem się do czysta po przybyciu tu z Kitem Beale'em. Atakujący żołnierze znali pałac jak własne ciała. Przepłyną pod murami i znajdą się wewnątrz. Solek rozmieścił swych wojowników oraz Zielonych królowej na murach, spodziewając się bardziej konwencjonalnego ataku. Minie trochę czasu, nim zdołają dotrzeć do pralni i łaźni, z ich niezliczonymi pomieszczeniami

przeznaczonymi dla wszystkich rang mieszkańców pałacu. Do tej pory pralni będą broniły jedynie pracujące tam nieuzbrojone kobiety.

Od strony zamku dobiegł gniewny krzyk. Zieloni łucznicy wypuścili strzały. Wojownicy wystrzelili ze strzelb. Zapadła cisza znamionująca głębokie zdumienie, pełne przerażenia niedowierzanie. Podnosiłem właśnie z ziemi porzucony but, ale znieruchomiałem nagle, skuliłem się bezgłośnie, tak samo jak wszyscy. Odebrało nam mowę.

Strzały i kule ze strzelb przeszły ciała Niebieskich niczym powietrze.

Zastanawiałem się gorączkowo. Czy kiedykolwiek widziałem, żeby Cecilia się przewróciła, skaleczyła, czy choćby uderzyła się w nogę o stół w gospodzie? Nie widziałem. Strzegłem jej, nie odstępowałem ani na krok, dbałem o jej bezpieczeństwo. Jej ciało było dotykalne, tak jest, ale przecież w krainie Umarłych było tak samo, gdy leżała nieświadoma w moich objęciach. Ciała zabitych Niebieskich również były dotykalne, jeśli zaś chodzi o Umarłych wojowników, widziałem, jak walczyli ze sobą i broń przechodziła przez nich bez szkody. Ale to było po drugiej stronie! Tutaj Niebiescy wrócili do życia...

Nie. Nadal byli martwi, tyle że przeszli na drugą stronę, do Reginokracji żywych.

Atakujący żołnierze wydali z siebie chóralny krzyk strachu połączonego ze zdumieniem. Potem usłyszałem szmer ich głosów. Byłem za daleko, by zrozumieć słowa, widziałem jednak, że wymachują rękami i uśmiechają się szeroko. Usłyszałem słowo „czarownik”. Połowa mężczyzn odwróciła się, spoglądając na mnie.

Niektórzy wręcz padli na kolana — podczas bitwy, gdy strzały i kule przenikały ich na wylot! „Amulet, a także coś więcej”. Tak powiedziałem kapitanowi Niebieskich. Pomyśleli, że to właśnie jest owo „coś więcej”. Że uczyniłem ich niewyciężonymi.

Chwila ciszy, hołdu złożonego pośród gradu pocisków, minęła jednak szybko. Niebiescy wznowili bieg ku wyspie. Niektórzy odrzucili tarcze. Zieloni i wojownicy zniknęli z murów, zapewne pobiegli kamiennymi schodami ku wschodniej części pałacu. Pochwyciłem jedną z tarcz i ruszyłem za nimi. Moje ciało nie było odporne na ciosy jak ciała Niebieskich. Można je było zranić. Mogłem zginąć. Gdy dotarłem do rzeki, na zewnątrz została już tylko garstka żołnierzy tworzących tylną straż. Zauważyłem, że dwaj z nich raz po raz przesywali się nawzajem mieczami, nie przestając się zdumiewać brakiem krwi, bólu i śmierci.

Padli na kolana na mój widok. Nie mogłem na nich patrzeć. Zniknięcie przed nadejściem pełni.

Na brzegu rzeki naprzeciwko pralni stali kolejni żołnierze. Oni również klękali przede mną. Minąłem ich, rzucając na ziemię ciężką tarczę oraz bucior. Po co mi był jeden but? W której chwili go podniosłem? Nie pamiętałem tego. Rozwiązałem własne buty. Żołnierze, składający tak niezasłużony hołd komuś, kogo błędnie uważali za swego zbawcę, byli strażnikami albo po prostu nie umieli pływać. Ja umiałem. Wszedłem do szerokiej spokojnej rzeki i popłynąłem w stronę pałacu.

Nieopodal wyspy znalazłem się na obszarze pełnym rozplywającego się stopniowo mydła. Zaszczypało mnie w oczy. Jeszcze bliżej ujrzałem wąską stróżkę czerwieni płynącą ku mnie od strony murów. W pierwszej chwili pomyślałem, że to barwnik, taki sam jak czerwień na twarzy śpiewaka dzikusów albo żółć na mojej w czasach, gdy byłem błaznem królowej. Potem stróżka stała się szersza i zrozumiałem, że to krew. Przedzierałem się przez lepłą, tłustą wodę, która z każdą chwilą stawała się jeszcze bardziej czerwona i mydliła się coraz silniej, aż wreszcie przepłynąłem pod murem i znalazłem się w pomieszczeniu, gdzie kiedyś, w innym życiu, pracowałem jako praczka.

Wyłoniwszy się z wody pełnej brudnej mydlanej piany i krwi, ujrzałem Joan Crawford. Stała w kącie, a trzy dziewczęta kryły się za jej plecami. Wszystkie krzyknęły przeraźliwie na mój widok, ale Joan mnie poznała, nawet pokrytego zakrwawionymi mydlinami.

— Roger! Skąd... Jak...

Podszedłem do kobiety i złapałem ją za ramiona. Ciała Zielonych oraz dzikusów wspierały się o gary i kadzie z barwnikami, pływały w wodzie albo leżały przy paleniskach. Jeden z zabitych wpadł w połowie do ognia, czy może ciśnięto go tam, i w gorącym powietrzu unosił się smród spalonego mięsa.

— Joan! Gdzie jest Maggie?!

Pierwszy raz w życiu ujrzałem, że Joan Campford zaniemówiła.

— Maggie Hawthorne! — Nie ustępowałem. — Dziewczyna, z którą opuściłem pałac. Wiem, że o tym słyszałaś!

Maggie powiedziała mi kiedyś, że tu wszyscy wszystko wiedzą. Wymieniane przez służbę plotki tworzyły pajęczą sieć informacji

— Jest z królową — odparła Joan cichym głosem, jakby zmarli mogli ją podsłuchać. — W jej komnatach...

Nie trzymano jej w lochach. Nie poddano torturom. Jeszcze nie.

Wybiegłem z pomieszczenia i popędziłem przez znajome dziedzińce. Wszędzie walały się ciała i żadne z nich nie należało do Niebieskiego. Widziałem tylko Zielonych albo dzikusów. Tych drugich było znacznie więcej. Czyżby wielu Zielonych zdradziło w ostatniej chwili, przyłączając się do walczących z królową Niebieskich? To wydawało się możliwe. Wielu walczących po obu stronach mężczyzn łączyły więzy pokrewieństwa, jak Maggie i jej nieżyjącego brata Richarda, a żaden z nich nie darzył miłością lorda Soleka.

Zbliżając się do komnat królowej, natknąłem się na oddział wojowników, stojący na dziedzińcu i broniący ogromnych rzeźbionych drzwi prowadzących do komnaty audiencyjnej. Był wśród nich lord Solek.

— Za królową Eleanor! — zawołał kapitan Niebieskich. Jego i jego ludzi, sześciu, podczas gdy dzikusów lorda Soleka było dziesięciu, pokrywały schnące mydliny. Wyciągnęli miecze i rzucili się do szarży. Wojownicy unieśli strzelby i wystrzelili. Kule przeszły Niebieskich i uderzyły w mury z głośnym dźwiękiem przypominającym bicie w dzwon. Jeden z odbitych od ścian pocisków przemknął obok mojego ucha. Skoczyłem za niski murek zdobnej fontanny. Tryskająca w górę woda spływała mi po głowie, zmywając część zakrwawionych mydlin.

Dzikusy walczyły zawzięcie. Strzelali ze strzelb, osłaniali się skórzanymi tarczami przed ciosami mieczy, a w walce z bliska raz po raz uderzali zakrzywionymi nożami w ciała żołnierzy. Gdy tylko nóż zagłębiał się w ciało i wychodził na zewnątrz, nie pozostawiając śladów, Niebiescy uśmiechali się albo wrzeszczeli, a wojownicy odpowiadali im krzykami w swym gardłowym języku. Dzikusy zadawały więcej śmiertelnych ciosów, ale słowo „śmiertelny” utraciło swe dawne znaczenie. Sens wszystkich słów się zmienił, jakby wszechświat był jedynie niedopasowaną tuniką bądź suknią. Dzicy wojownicy padali jeden po drugim, gdy miecze wbijały się w ich brzuchy, oczy lub szyje. Jakiś Niebieski zatłukł przeciwnika kolbą jego własnej strzelby. W końcu przy życiu pozostał tylko lord Solek. Uświadomiłem sobie, że kapitan Niebieskich z pewnością tak to zaplanował, wydał rozkazy zabraniające jego ludziom zabicia lub zranienia uzurpatora.

— Wasza lordowska mość — odezwał się dowódca Niebieskich z szyderczym uśmiechem. Jego sześciu ludzi zebrało się z boku. Żaden nie

odniósł obrażeń. Z pozostałych części pałacu dobiegały krzyki. To niezwycięzeni żołnierze wycinali w pień armię dzikusów.

Lord Solek ignorował kapitana. Spojrzenie wodza odnalazło mnie, mimo że skryłem się częściowo za murkiem fontanny. Wstałem. Nie będę się krył przed jego wzgardliwym wzrokiem.

Dzikus powiedział coś we własnym języku. Potem roześmiał się, przyprawiając mnie o szok.

— Chłopcze, wygrałeś, tak? — rzekł. — Wygrałeś. Chłopcze.

Znowu ten śmiech. Szybciej, niż mogłem za nim nadążyć spojrzeniem, uniósł swój krótki nóż i rzucił nim we mnie, nie wprawiając go w ruch wirowy ani nie zmieniając postawy.

Uniosłem prawą rękę — po co? Żeby osłonić się przed jego spojrzeniem? A może chciałem uderzyć go z odległości dwudziestu stóp? Ten gest miał jakiś sens, ale moja kończyzna wędrowała już w górę, gdy Solek rzucił nożem i jego ostrze trafiło w mój prawy nadgarstek. Na zielone płytki dziedzińca królowej trysnęła moja czerwona krew.

Ziemia w moich ustach, robaki w oczach... Przechodziłem na drugą stronę. Mimowolnie, bez takiego zamiaru. To nie przytrafiło mi się od wczesnego dzieciństwa. Czy traaciłem panowanie nad swym umysłem, czy umierałem? Nie, nie, nie — wrzeszczała jakaś część mojej jaźni. Nie chciałem umierać, nie teraz, nie w tej chwili.

Maggie! Chciałem Maggie. Silniej niż czegokolwiek w życiu pragnąłem przeżyć wystarczająco długo, żeby ją uratować. To była dla mnie jedyna nadzieja odkupienia.

Byłem gotowy na to, że z chwilą śmierci ujrzę drżącą ziemię i burzliwe niebo, jakie stworzyłem w krainie Umarłych. Zamiast tego zobaczyłem krajobraz tak samo spokojny i łagodny jak wtedy, gdy znalazłem się tu po raz pierwszy. Nie było burz ani trzęsień ziemi, a nieba nie rozdzierało

straszliwe złociste światło, które pożarło... co? Niczego tu nie pożarto. Pogodną, niezmienną krainę zamieszkiwali pogodni, niezmienni Umarli. Truciznę stąd usunięto, przyczyna zaburzeń zniknęła, gdy armia Niebieskich odeszła, zabierając ze sobą swą niewiarę, przejściowy stan Umarłych, którzy nie zaakceptowali faktu śmierci. Gdy przestałem się wtrącać, spokój powrócił.

Dlaczego? Jak?

Ujrzałem nieopodal królową Eleanor. Siedziała spokojnie na trawie, składając ręce na kolanach, w miejscu, gdzie po drugiej stronie stał jej tron. Jej pozbawione wyrazu oczy nie widziały mnie. Nic nie widziały.

Nagle wróciłem na pałacowy dziedziniec. Padając na zielone płytki, zauważyłem, że ciało lorda Soleka poszatkowało na plasterki sześć mieczy. Jego krew płynęła ku drzwiom komnaty królowej.

Niebiescy załomotali w nie. Drzwi nie ustąpiły, ale pięknie wykonane zielone kafelki, którymi je ozdobiono, posypały się na ziemię. Na dziedzińcu pojawiło się kolejnych dwóch Niebieskich. Poznałem człowieka, którego ze sobą przywlekli. To był pałacowy zarządca. U jego pasa wisały klucze.

Sięgnął po nie, gdy przystawiono mu miecz do szyi. Potem jego sylwetka się rozpuściła, mężczyzna zniknął, a ja ponownie znalazłem się w spokojnej krainie Umarłych. Po chwili jednak znowu leżałem na dziedzińcu, nie mogąc się zmusić do tego, by ruszyć się z miejsca.

Nie mogąc się zmusić. Lady Margaret powiedziała mi kiedyś, że noże dzikusów są zatrute. Niektóre trucizny działały nie tylko na ciało, lecz również na umysł. Czy właśnie dlatego dwukrotnie przeniosłem się wbrew własnej woli do krainy Umarłych? W tej samej chwili, gdy pojawiła się ta ostatnia spójna myśl, znowu zamglilo mi się przed oczami. Oczyściło się, zamglilo i znowu oczyściło.



Zarządca wreszcie znalazł odpowiedni klucz. Nim zdążył włożyć go w dziurkę, drzwi otworzyły się nagle od wewnątrz. Królowa Caroline wyszła z komnaty, unosząc wysoko głowę. Miała na głowie Koronę Glorii i każdy szczegół jej dumnej postawy świadczył, że nie pozwoli się zawlec do niewoli, lecz raczej pójdzie do niej na własnych nogach. Gdy przechodziła nad ciałem lorda Soleka, klejnoty jej wielkiej korony zaśniły w blasku słońca.

Zza pleców królowej wybiegła Maggie. Nic się jej nie stało. To było ostatnie, co zobaczyłem, nim wszystko pochłonęła ciemność.

# 30

Obudziłem się w miejscu, gdzie najmniej spodziewałem się znaleźć. Nie na zbroczonym krwią dziedzińcu, nie w krainie Umarłych, nie w lochu i nie z Maggie, lecz w małej izbie o kamiennych ścianach, której nigdy dotąd nie widziałem. Leżałem na słomie. Byłem sam.

Po wszystkich tych zabójstwach i wrzaskach cisza.

Po oślepiającym blasku wiosennego słońca i jasnych błyskach mieczy szarawe światło wpadające do środka przez małe okienko umieszczone nad drewnianymi drzwiami.

Po krwi i poranionych ciałach, w tym również moim, kompresy na prawej dłoni. Nie czułem tam bólu, tylko łagodny chłód. W izbie pachniało leczniczymi ziołami oraz jabłkami.

Spróbowałem usiąść, ale okazało się to błędem. Moją prawą rękę przeszył ostry ból. Gdy westchnąłem głośno, nasilił się jeszcze. Osunąłem się ostrożnie na słomę i rozejrzałem wkoło, poruszając głową powoli i ostrożnie.

Izba była jeszcze ciasniejsza, niż mi się z początku zdawało. Jej długość ledwie wystarczała, bym mógł się wyciągnąć prosto, a szerokość była nawet mniejsza. Kamienna posadzka była czysta, podobnie jak słoma, ale pod przeciwległą ścianą widziałem szcurze odchody. Ta, pod którą leżałem, była chłodna w dotyku i lekko wilgotna. Znajdowałem się pod ziemią. Nie było tu żadnych jabłek.

— Halo? — zawołałem, ale nikt mi nie odpowiedział. Nie byłem pewien, czy chcę, żeby ktoś to zrobił. Czy przebywałem w lochu? Doszedłem do wniosku, że nie. W takim miejscu śmierdzi szczykami, krwią

i rozpaczą. Na murach nie było tu plam ani śladów wydrapanych przez zdesperowanych więźniów. To nie był loch.

Uniosłem do twarzy lewą rękę, tę oparzoną, i przyjrzałem się jej uważnie. Zagoiła się niemal całkowicie. Widziałem tylko plamę nowej skóry, miękkiej i różowej. Pod skórą wyraźnie uwidaczniały się żyły i kości, a nadgarstek był chudy i słaby. Musiałem leżeć tu długo, ale w takim przypadku dlaczego nie byłem głodny ani spragniony? I gdzie się znajdowałem?

Czas mijał. Raz czy dwa spróbowałem kogoś zawołać, ale nikt nie odpowiedział.

Wreszcie, nie mając nic innego do roboty, zdjąłem bandażę i kompresy z prawej dłoni, by się przekonać, jak poważne obrażenia zadał mi nóż rzucony przez lorda Soleka w ostatnich chwilach jego życia. Pamiętałem, że trucizna pozbawiła mnie woli, odnosiłem jednak wrażenie, że mój umysł funkcjonuje teraz prawidłowo. Ale co z ręką? Zdarłem ostatni bandaż.

Dłoni nie było.

Gapilem się na kikut nadgarstka. Skórę zawinięto i zaszyto, jakbym nie był człowiekiem, a belą tkaniny. Wokół szwu ciało było zaczerwienione i obrzękłe, ale wolne od czarnozielonej zgnilizny, która zabija. Nie miałem palców. Nie miałem palców, paznokci ani dłoni, niczego, w co mógłbym ująć broń albo kobiecą pierś, niczego...

Zacząłem krzyczeć i nie uciszyłem się dopóty, dopóki drzwi się nie otworzyły.

— Cicho, Roger — zabrzmiał głos o surowej intonacji. — Uspokój się, natychmiast.

To była Matka Chilton.

Jej sylwetka zasłaniała całe drzwi. Dopiero gdy kobieta uklękła przy mnie, w izbie zrobiło się jaśniej. Nie zamknęła za sobą drzwi. Jej staro-

młoda twarz zawisła nade mną, bezbarwne oczy odbijały wszelkie światło.

— Musisz być cicho.

— Moja ręka...

— Wiem. Przykro mi. Umarłbyś, gdybym jej nie ucięła.

— Ty ją ucięłaś? Ale...

— To było konieczne. Wdała się czarna zgnilizna. Nóż lorda Soleka był zatruty.

— Ale... Moja ręka! — zawyłem jak sześciolatek. Zmarszczyła brwi.

— To była tylko jedna ręka — stwierdziła z surowością w głosie. — Masz drugą.

Umilkłem, wstrząśnięty tymi brutalnymi, nieczułymi słowami. Tylko jedna ręka?

— Zastanów się nad tym, kim jesteś, Roger. A teraz bądź cicho. Muszę już iść.

Wstała.

— Zaczekaj! Gdzie jestem? Co się dzieje? Maggie...

— Dobrze — odparła łagodniejszym tonem. — Potrafisz myśleć o kimś oprócz siebie. Przyślę tu Maggie, ale do tej pory bądź cicho.

— Zaczekaj!

Nie posłuchała mnie. Na pożegnanie powiedziała mi coś, co nie miało sensu:

— Nie wolno ci szukać matki. Nigdy.

Drzwi zamknęły się za nią. Usłyszałem dźwięk obracającego się w zamku klucza.

Nie wolno mi szukać matki? Co ta czarownica wiedziała o mojej matce?

Czarownica. To słowo pojawiło się nieproszone w moim umyśle. Tak jest, oczywiście. Matka Chilton była czymś, w czego istnienie dotąd nie wierzyłem. Czarownicą. Nie musiała nią być, by przyrządzać posset szlachcianki, a być może nawet po to, by uciąć mi rękę i podać lekarstwa, dzięki którym nie czułem bólu, co jednak z moją matką? A także z innymi słowami, jakie od niej usłyszałem. Ledwie je pamiętałem, ale z pewnością świadczyły, że wiedziała więcej, niż mógłby wiedzieć ktoś zwyczajny.

„Czasami nikt z nas nie wie, kim jest. Albo gdzie się znajduje”.

„Spowodowałaś już wystarczająco wiele zaburzeń w krainie Umarłych”.

„Wiesz wiele, więcej, niż ci się zdaje, ale nie masz pojęcia, kim jest Cecilia. Ładnym, pustogłowym krzesiwem, które podpali wszystko”.

Tym właśnie była i zginęła z tego powodu. Dwa razy. Gapiłem się na kikut swej ręki i czekałem na Maggie, a gdy się nie zjawiała, nadal nie spuszczałem z niego wzroku, aż wreszcie się rozplakałem — po cichu, jak mi kazano.

\*

Gdy w końcu się zjawiała, po wielu godzinach, łyzy już wyschły. Działanie lekarstw Matki Chilton — czymkolwiek mogły być — również się kończyło i poczułem w kikucie lekkie pulsowanie. Jak dotąd nie dokuczało mi zbyt, ale stanowiło zapowiedź prawdziwego bólu, który wkrótce nadejdzie. Byłem głodny i chciało mi się lać. Wstałem ostrożnie w półmroku, opróżniłem pęcherz w kącie izby, a na wilgotną plamę rzuciłem trochę słomy. Gdy noc zapadła na dobre, siedziałem w zupełnej ciemności, wsparty plecami o ścianę, i tuliłem kikut w zdrowej dłoni. Wydawało mi się, że minęło całe życie, nim w końcu usłyszałem szcęk klucza. Drzwi się otworzyły.

— Roger?

Maggie przyniosła lampę i mały woreczek. W blasku ognia pojawiły się cienie padające na kamienną ścianę, na drewniane drzwi i na dziewczynę. Miała na sobie czystą suknię z niebieskiej wełny. Niebieskiej. Nigdy jej nie widziałem w stroju, który nie byłby zielony. Jasne włosy, ostrzyżone krótko, by mogła udawać mojego brata, opadały jej na twarz. Po lewej stronie twarzy miała wielki siniak koloru wszelkich możliwych jarzyn. Opuchlizna zamknęła jej lewe oko.

— Jesteś ranna! — zawołałem. To było pierwsze, co przyszło mi na myśl. — Czy cię...

— Torturowano? Nie. To nic. — Postawiła lampę na podłodze i usiadła obok niej, przyglądając mi się niespokojnie otwartym, szarym okiem. — Boli cię ręka?

— Nie — odparłem z goryczą. — Nie może mnie boleć, bo już jej nie mam.

— A czy nadgarstek cię boli?

— Tak.

— Przyniosłam ci jeszcze trochę lekarstwa od Matki Chilton. I coś do jedzenia.

Otworzyła woreczek.

Odrąciłem go na bok, zniecierpliwiony jej głupotą.

— Nie chcę jedzenia! Co się wydarzyło? Ta przeklęta czarownica ucięła mi rękę...

— Ona nie jest czarownicą — sprzeciwiła się ze spokojem Maggie. — To ty jesteś czarownikiem.

Jej słowa mnie powstrzymały. Maggie patrzyła na mnie z surową dezaprobatą, którą tak świetnie pamiętałem z dawnych czasów, wzbogaconą

teraz nutą strachu. Czy po to sprowadziłem całą armię z krainy Zmarłych? Żeby uratować dziewczynę, która zwała mnie teraz czarownikiem?

— Nie jestem czarownikiem. Jestem hisafem.

Oczywiście, nie znała tego słowa.

— Matka Chilton uratowała ci życie — oznajmiła, choć nie opuszczała jej strach przede mną.

— Może wolałbym, żeby tego nie robiła.

— Nie mów tak. Czy... Roger, czy to ty...

— Tak — odpowiedziałem po prostu. — Na wszystkie pytania odpowiedź brzmi tak.

Splotła mocno dłonie — swe dwie zdrowe dłonie — leżące na kolanach i kazała sobie mówić dalej.

— Sprowadziłeś Niebieskich z powrotem z Kraju Czarowników! Tak przynajmniej mówią żołnierze. „Kraj Czarowników”, do którego wysłała ich królowa, żeby wszyscy uwierzyli w ich śmierć. Ciało, które pochowaliśmy, były tylko fałszywą czarodziejską iluzją. Ale nie Richarda. Jego nie było wśród tych, którzy wrócili stamtąd. — Jej głos się załamał. — Żołnierze mówią, że królowa to czarownica, a ty jesteś taki sam. Ale ja...

— Co ty?

Nie zamierzałem ułatwiać jej zadania. Ona nie ułatwiała mojego.

Zacisnęła dłonie jeszcze mocniej, aż krew odpłynęła z nich całkowicie.

— Ja... nie wierzę, że sprowadziłeś ich z Kraju Czarowników. Myślę, że... powiedziałeś mi kiedyś, w kuchni... Myślę, że sprowadziłeś ich z krainy Umarłych.

Wreszcie powiedziała to na głos. Przyjrzałem się jej w migotliwym blasku lampy. W jednym miejscu jasne światło, a kilka cali dalej głęboki cień. Nieposiniaczona połowa jej twarzy zrobiła się równie biała jak dłonie.

Niemniej zdołała to powiedzieć. Dezaprobata, tak jest, lecz również odwaga. Zawsze miała w sobie tyle odwagi, że wystarczyłoby jej dla całego oddziału wojska.

— Tak — przyznałem po prostu. — Sprowadziłem Niebieskich z powrotem z krainy Umarłych.

— I... i Cecilię też?

— Nie.

Nigdy nikomu nie opowiem, co spotkało Cecilię. W mojej piersi poruszyła się kolczasta metalowa kula. Tych kolców żadna Matka Chilton nie zdoła usunąć.

Maggie odwróciła ode mnie wzrok.

— Jee jest bezpieczny — oznajmiła nagle.

Zapomniałem o chłopcu. Matka Chilton powiedziała, że potrafię myśleć o kimś oprócz siebie, ale ja nie pomyślałem o Jee.

— Zamieszkał ze mną w kuchni — ciągnęła dziewczyna. — Śpi pod stołem, tam, gdzie kiedyś ty.

— To Jee powiedział mi, że zabrali cię żołnierze. Czy szukali mnie?

— Tak. Królowa chciała cię odzyskać. Nie wiem dlaczego, ale jeśli rzeczywiście jesteś... tym czymś, co wymieniłeś... Tym czymś, co podróżuje do krainy Umarłych...

— Tak, jestem nim. Ale nie czarownikiem.

Skinęła głową, nie spoglądając na mnie. Rozluźniła nieco spoczywające na kolanach dłonie.

— Skąd masz ten siniak na twarzy? — zapytałem.

— Zielony uderzył mnie, kiedy próbowałam uciekać. Rozkazano im sprowadzić mnie do pałacu, jeśli nie znajdą ciebie. Królowa wiedziała, że uciekliśmy razem. Powiedziałam jej, że chciałeś odszukać matkę...



— Matkę!

— Wołałeś ją przez sen, kilka razy, kiedy wędrowaliśmy po Ziemi Niczyjej.

Krzyczałem, gdy dręczyły mnie niespokojne sny. To był mój dawny problem, ten sam, który przyciągnął do mnie uwagę. To jednak odpowiadało na pytanie, skąd Matka Chilton wiedziała, że szukam matki. Na pewno usłyszała o tym od Maggie. Chciałem w to wierzyć, tak samo jak w to, że Matka Chilton to po prostu zdolna uzdrowicielka.

— Królowa trzymała mnie blisko siebie — ciągnęła Maggie. — Chciała ze mnie zrobić swoją sojuszniczkę. Kiedy się przekonała, że to się nie uda, zagroziła mi torturami, ale nie wysłała mnie do lochów, do chwili, gdy przybyli twoi Niebiescy. Chyba nadal liczyła na to, że przekupi mnie jedwabnymi sukniami i zielonymi klejnotami — zakończyła z pogardą w głosie.

— Boli cię twarz?

— Już nie. Po prostu okropnie wygląda.

Spróbowała się uśmiechnąć, ale jej nie wyszło.

— Gdzie jest teraz królowa?

— W lochu. Nad zamkiem panują Niebiescy.

Dotknęła sukni. Zauważyłem, że zabarwiono ją pośpiesznie i niewprawnie. Na obrąbku i przy wycięciu nadal uwidaczały się zielone smużki.

— Kiedy się tu obudziłem, pomyślałem, że jestem w lochu — oznajmiłem.

Tym razem uśmiechnęła się naprawdę.

— Jesteś w piwnicy na suszone jabłka, Roger.

— Nie widzę żadnych jabłek.

— Dopiero zaczęło się lato. Wszystkie jabłka zjedzono zimą. Po to właśnie się je suszy.

— W jaki sposób tu trafiłem?

— Przyniosłam cię z Joan Campford.

— Joan? Praczką? Ona tu była?

— Przyszła za tobą z pralni. Potem obie odciągnęłyśmy cię stamtąd. Twoja ręka... było tam mnóstwo krwi... tak czy inaczej, kapitan Niebieskich kazał nam zabrać cię stamtąd i gdzieś ukryć. Nie rozumiałam tego. Nadal nie rozumiem. To ty sprowadziłeś Niebieskich z powrotem. Dlaczego widziałam w jego twarzy tyle nienawiści do ciebie?

Ja to rozumiałem. U żołnierzy strach objawia się jako nienawiść, a wdzięczność jako pozwolenie na ucieczkę.

— Byłeś pokryty krwią i mydłem — ciągnęła Maggie. — Wszędzie panował chaos, trwały walki i zabójstwa, ludzie wrzeszczeli... — Zadrżała. — Tak czy inaczej, zaciągnęłyśmy cię z Joan za nogi do tej piwnicy. Krwawiącą rękę owinęłam ci w swoją halkę. Potem pobiegłam po Matkę Chilton.

— A królowa. Czy ją...

Znałem już odpowiedź.

— Spalą ją jako czarownicę.

— Kiedy?

— Jutro w południe. Roger, czy ona jest czarownicą?

— Nie wiem. Królowa poznała... wiedziała, że... Myślisz, że Matka Chilton jest czarownicą?

— Nie! — zawołała wstrząśnięta dziewczyna. — To tylko uzdrowicielka. Poza tym jest dobra. Nie taka, jak królowa!

Królowa nie była dobra. Otruła własną matkę, mordowała wrogów, groziła torturami bezbronnym sługom, takim jak Maggie i ja. Pamiętałem też jednak o tym, że nieraz okazywała mi życzliwość, choć nie musiała tego robić, że rozpaczliwie pragnęła ocalić Reginokrację dla małej księżniczki Stephanie, a także o tym, jak pięknie wyglądała w blasku świateł. Jutro w południe jej urodę strawi ogień, jej białe ciało upiecze się, tak samo jak ciało Cecylia na Wrzosowisku Duszorośli...

Nie myśl o tym.

— Co się stało? — zapytała przestraszona Maggie. — Przez chwilę wyglądałeś... Czy ręka znowu cię rozboleła?

— Nie.

Dziewczyna umilkła na dłuższą chwilę.

— Zmieniłeś się, kiedy wspomniałam o królowej — odezwała się wreszcie. — Czy aż tak bardzo ją kochałeś?

— Królową?!

— Nie bądź głupi — odparła ostrym tonem. — Królowa to potwór. Mówię o lady Cecylia. Czy aż tak bardzo ją kochałeś?

— Tak — przyznałem. — Kiedyś ją kochałem.

— Kiedyś? A teraz już jej nie kochasz?

— Cecilia nie żyje.

— Nie o to pytałam. Moja matka kochała ojca długo po jego śmierci, aż do chwili, gdy ją też pochowano. Czy nadal kochasz Cecylię?

Maggie była nieustępliwa. Co więcej, brakowało jej doświadczenia. Nie wiedziała, że miłość może ustąpić pola poczuciu winy, gniewowi, dziecinnemu samolubstwu ukochanej osoby, a mimo to nadal istnieć, jak węgielki w pojemniku na popiół. Już się nie świecą i nie dają ciepła, ale nie przestają się tlić. Widziałem kiedyś, jak przepaliły drewnianą ściankę pojemnika i spowodowały pożar, który strawił całą chatę. Nie okłamałem

Maggie. Kiedyś kochałem Cecilię, ale ten ogień zgasł. Nie powiedziałem też jednak całej prawdy.

Nie mogłem jej powiedzieć. Maggie by tego nie zrozumiała. Na całym świecie były tylko dwie osoby, które mogłyby zrozumieć. Jedną była Matka Chilton. Podejrzewałem, że drugą była moja matka, choć nie mogłem być tego pewien.

Postanowiłem spróbować raz jeszcze.

— Maggie, to nie dla Cecylii sprowadziłem tu armię, która zdobyła pałac.

Poruszyła lekko ustami, których różową barwę maskowała potężna opuchlizna.

— Naprawdę?

— Tak.

— Myślałam, że pragnąłeś zemsty za nią. Za Cecilię.

— Nie. Zrobiłem to dla ciebie. Dlatego, że Jee mi powiedział, że cię zabrali.

Maggie znieruchomiała. Przez chwilę obawiałem się, że przestała oddychać, ale potem zauważyłem, że jej opuszczone rzęsy drżą. Ich cienie padały na lśniąca w blasku ognia skórę policzka po zdrowszej stronie twarzy. Kiedy otworzyła oczy, były wilgotne od łez. Pochyliła się i pocałowała mnie w usta.

Pocałunek był delikatny, słodki i zatrzymał upływ czasu.

Gdy jednak wpiła się mocniej w moje usta i zaczęła pieścić moje biodro, odepchnąłem ją.

— Nic nie rozumiesz! Mam tylko jedną rękę!

— I co z tego?

— To, że nie jestem już mężczyzną! — odpowiedziałem, czując powracającą gorycz.

Maggie wydała z siebie gardłowy chichot, tak zaskakujący, że spojrzałem na nią z oburzeniem. Czy nie rozumiała, co to znaczy stracić rękę? Czy aż tak bardzo brakowało jej wrażliwości? Nie byłem już w pełni sprawnym mężczyzną, nie byłem kompletny...

— To nie twoja ręka mnie interesuje, Roger.

Położyła na mnie dłoń i moje ciało zareagowało natychmiast. Wstrząsnęło to mną równie mocno, co lubieżne słowa dziewczyny. To była Maggie!

Nie rozbierała mnie powoli ani ostrożnie. Kiedy zdjęła przez głowę niebieską suknię i rozwiązała sznurki koszuli, wciągnąłem nagle powietrze. Była taka piękna w swej nagości.

Reszta poranka jest dla mnie tylko zamazaną plamą, lecz z drugiej strony wyryła się w mojej pamięci tak mocno, że nadal widzę każdą krzywiznę ciała Maggie, czuję każde wrażenie w swoim. Unikaliśmy dotykania mojej obandażowanej ręki oraz jej posiniaczonego policzka, byliśmy dla siebie czuli, pełni wahania i radości. Razem odkryliśmy mroczną tajemną słodycz, a gdy było po wszystkim, zasnęliśmy w swych objęciach na czystej słomie w klitce o kamiennych ścianach pachnącej dawno zjedzonymi jabłkami.

Obudziłem się pierwszy. Maggie spała, wtulając zdrową część twarzy w moją zdrową rękę. Lampa zgasła, ale przez małe okienko do środka napływało światło. Przespaliśmy całą noc, było już długo po świcie. Za zakratowanym okienkiem świeciło jasno słońce. Maggie mówiła, że królową spałą w południe.

Gapiąc się na kamienny sufit, uświadomiłem sobie, że brak mi jednej informacji o kluczowym znaczeniu.

— Maggie, obudź się!

Wyszeptała coś i wtuliła się mocniej w mój bok. Ruch jej nagich piersi muskających moją skórę na chwilę rozniecił we mnie ogień, ale nie było na to czasu.

— Maggie? Który dziś dzień?

Uniosła głowę. Oczy miała zaspane, a na czoło opadały jej jedwabiste loki.

— Dzień?

— Tak! Który dziś dzień? Jak długo leżałem w tej piwnicy?

Na jej twarzy pojawiło się zdziwienie, a potem uraza.

— Dlaczego pytasz?

— Jak długo!

— Dwa tygodnie. Matka Chilton dawała ci lekarstwa, a ja cię karmiłam, kiedy majaczyłeś w malignie. To były nonsensowne sylaby, ale brzmiały strasznie. I ta okropna piosenka. „Umrzyj, dziecko, umrzyj, umrzyj, moje maleństwo, umrzyj, umrzyj...”.

Dwa tygodnie. A ja przyprowadziłem Niebieskich późnym rankiem. A więc teraz...

— Dlaczego pozwolono jej żyć tak długo?

Wszyscy ci rozgniewani żołnierze, których wskrzesiłem z martwych, pragnęli krwi Jej Miłości...

Maggie odsłoniła zęby.

— Kapitan zachował ją przy życiu, bo pragnął ją zmusić, by sprowadziła starą królową z Kraju Czarowników. Ale ona nie chciała tego zrobić. Tak mi przynajmniej powiedziano. A potem...

— Ubieraj się. Natychmiast. I pomóż mi!

Szarpałem się z bluzą i spodniami. Przy każdym ruchu kikut przeszywał mi ból. Moja mina najwyraźniej przestraszyła dziewczynę.

— O co chodzi? Roger, co się stało?

— Coś się wkrótce wydarzy. Wysłuchaj mnie. Czy niektórzy z Zielonych, którzy przeszli na drugą stronę, nadal są potajemnie wierni królowej?

Znowu odsłoniła zęby.

— Oczywiście. Nie wszyscy są na sprzedaż, nawet jeśli muszą chwilowo ugiąć karku przed obecną władzą.

— Musimy opuścić pałac. Opuścić Glorię. Natychmiast!

— Ale dlaczego? Jesteś za słaby, żeby odejść!

To była prawda. Akt miłosny, w połączeniu z amputacją i działaniem leków, osłabił mnie znacznie. Nawet wciągnięcie spodni zdrową ręką sprawiało mi trudności. Uporałem się z tym jednak.

— Nikt nie wie, że tu jesteś — ciągnęła dziewczyna. — Walki się skończyły. Potem, gdy już odzyskasz siły, a królowa nie będzie żyła, możemy z Joan...

— Walki się nie skończyły!

Gapiała się na mnie, na wpół ubrana i — jak na Maggie — wyjątkowo mało bystra. Być może to, co zrobiliśmy, wpłynęło również na nią.

— Walki się nie skończyły — powtórzyłem. — Mamy tylko kilka godzin na ucieczkę. Kiedy Zieloni odzyskają tron, zajrzą pod każdy kamień w pałacu, by mnie odnaleźć. To ja przyprowadziłem armię, która zabiła ich królową.

— Zieloni odzyskają tron? Królowa za chwilę umrze.

— Ale księżniczka Stephanie będzie żyła. Posadzą ją na tronie i będą sprawować rządy w jej imieniu...

— Roger, ocalałych Zielonych jest za mało, żeby pokonać Niebieskich, których przyprowadziłeś!

— Nie mam czasu ci tego tłumaczyć. Pomóż mi, Maggie! Ubieraj się! Musimy uciec teraz, gdy wszyscy będą patrzyli na śmierć królowej.

— Gadasz od rzeczy! Armii Niebieskich nie można pokonać... Oni są... Jeśli to, co mi powiedziałeś...

Wstałem chwiejnie, opierając się zdrową ręką o ścianę. Sufit był tu tak blisko, że musiałem się schylać, choć Maggie, niższa ode mnie, mogła stać prosto.

— Uwierz mi, Maggie! W której części pałacu jesteśmy? Pod kuchniami?

Przez dłuższą chwilę przeżuwała dolną wargę, nim wreszcie ustąpiła.

— Nie jesteśmy pod kuchniami. One leżą za blisko rzeki, by można tam było kopać podziemne magazyny. Znajdujemy się dalej w głąb pałacu, pod kwaterami dla służby. Jest tu korytarz z drzwiami prowadzącymi do komnat dworzan.

Jedno z tych fascynujących tajnych przejść, których nie zdołałem znaleźć, tyle że nie było tajne, a ja nie czułem fascynacji, tylko strach. Jeśli nas złapią...

Jeśli nas złapią Zieloni, z pewnością czeka nas śmierć po długich torturach. Niebiescy chcieli się tylko mnie pozbyć, ale oni... Gdy sobie wyobraziłem nasz los w ich rękach, całym moim ciałem targnął dreszcz. Gdyby do tego doszło, to czy będę w stanie umknąć przed straszliwym bólem, zabierając ze sobą Maggie do krainy Umarłych, tak jak wyprowadziłem z niej Cecilię? Ale cena, jaką za to zapłaciła...



Opuściliśmy pokoię i ruszyliśmy przed siebie korytarzem. Ściany były tu z grubo ciosanych kamieni, ale w powietrzu unosił się zapach wilgotnej ziemi. Sufit był jeszcze niższy niż w schowku na jabłka i cały czas ugiinałem nogi. Przejście było przy tym tak wąskie, że musiałem iść za trzymającą lampę Maggie. Kręciło mi się w głowie, a moją rękę wypełniał ból. Co kilka jardów opierałem się na chwilę o wilgotną ścianę, żeby odpocząć. Potem nakazywałem sobie iść dalej.

W korytarzu były też inne drzwi, wszystkie zamknięte. Czulem zapach zboża i wina. Następnie tunel zakręcił, stał się szerszy, a wreszcie zakończył się niskim pokojem. Znajdowały się w nim proste drewniane schody prowadzące do zapadni. W pomieszczeniu walało się mnóstwo skórzanych butów, szpicrut oraz brudnych dziewczęcych koszul. W kącie leżała słoma, znacznie mniej czysta od tej, na której spałem w schowku.

Maggie obejrzała się przez ramię.

— Dworzanie i dziewczyny z kuchni czasem przychodzą tu, żeby... No wiesz.

Nie musiałem pytać, czy ona też czasem tu „nowiedziała”. Miałem pewność, że tak nie było. Byłem dla niej pierwszy, tak samo jak ona dla mnie.

— Roger, pozwól, że pójde przodem. Muszę sprawdzić, kto tam jest.

Skinąłem głową. Postawiła lampę na podłodze, weszła na schody, uniosła zapadnię i zniknęła mi z oczu.

Kiedy zostałem sam, zwałem się na słomę. Oddychałem ciężko i głęboko. Kikut rozbolał mnie na dobre, ale to było nic w porównaniu z paniką wypełniającą mój umysł. Jak mamy się stąd wydostać? I dokąd się udamy po opuszczeniu pałacu?

Całe moje życie składało się z desperackich prób ucieczki. Od Hartaha, od żołnierzy, którzy powiesili jasnowłosego młodzieńca, od królowej, od

ludzi lorda Soleka, z Hygryll. Pragnąłem odnaleźć miejsce, z którego nie będę musiał uciekać, miejsce, gdzie odnajdę spokój...

Ale jedynym takim miejscem była kraina Umarłych.

Gdy podniosłem się z wysiłkiem i podszedłem do schodów, nagle kłapa otworzyła się. Ujrzałem nad sobą twarz Maggie. Jasne włosy zakrywały jej podbite oko, a zdrowa połowa twarzy zbieła pod wpływem szoku.

— Prowadzą królową na stos — oznajmiła. — A armia lorda Roberta pojawiła się na horyzoncie i pędzi ku nam!

Lord Robert Hopewell. Zapomniałem o nim. Ostatnio widziałem go przed kilkoma miesiącami, gdy kopał w drzwi sypialni królowej, rycząc: „Caroline!”. A potem królowa mu otworzyła, bosa i odziana tylko w krótką koszulę. Ciemne włosy opadały jej na ramiona, a lord Solek zdążył już opuścić komnatę. A teraz lord Robert zmierzał tu na czele armii, którą zdołał jakoś zebrać wśród wieśniaków, cudzoziemców czy nie wiadomo kogo.

Czy nadal ją kochał, tę zmienną, bezlitosną królową o delikatnej urodzie, mimo że zdradzała go z wodzem dzikusów? Z pewnością tak, skoro zdecydował się rzucić wyzwanie Niebieskim starej królowej, by uratować życie Caroline.

Uniosłem spojrzenie ku Maggie.

— Gdzie będą ją palić? — zapytałem z niecierpliwością w głosie.

— Tuż za zachodnim mostem! Żeby wieśniacy mogli to zobaczyć. Stos jest już gotowy. Chodź szybko, nie było tu nikogo poza sługą, który mi o tym powiedział, a on też poszedł... Chodź!

Nie byłem w stanie wspiąć się na schody. Maggie musiała zejść na dół i na wół zanieść mnie na górę. Była niewiarygodnie silna. Znaleźliśmy się w pokoju pełnym sienników, wiader, niebieskiej liberii oraz uzd. Wypełniał go silny odór jeżdżących konno ludzi żyjących w grupie. Drzwi na drugim końcu pomieszczenia wychodziły na skąpany w blasku słońca dziedziniec. Pokuśtykałem ku niemu, wspierając się na Maggie.

— Którędy można najszybciej wyjść z pałacu?

— Przez kuchnie.

Tą samą trasą wychodziłem kiedyś do miasta. Poznałem ją, gdy tylko opuściliśmy dziedziniec dla dworzan. Nie mogliśmy jednak tędy iść. Korytarze nagle wypełniły się ludźmi — sługami o poszarzałych twarzach oraz garstką wykrzykujących rozkazy żołnierzy. Maggie zaciągnęła mnie do bocznego korytarza, a potem do następnego, by uniknąć zauważenia. Cały czas oddalaliśmy się od kuchni. Wreszcie znaleźliśmy się na dziedzińcu pod salą tronową i spotkaliśmy tam Matkę Chilton.

— Roger — przywitała mnie cicho, nawet w najmniejszym stopniu niezaskoczona moim widokiem. — Nie powinieneś jeszcze wstawać.

— Niebiescy — wydyszałem. — Bitwa...

— Tak. Wiem. Chodź ze mną.

— Nie mogę... Muszę...

— Musisz uciekać. Tak. Ale jeszcze nie w tej chwili.

Podeszła do mnie z drugiej strony, naprzeciwko Maggie. Dziewczyna skuliła się nieco, ale nie przestała podtrzymywać mojego ciężaru. Niemniej Matka Chilton przejęła jego większą część na siebie. Ona również była znacznie silniejsza, niż się zdawało. Czy z kobietami zawsze tak było?

Nie. Cecilia taka nie była.

— Wypij to — poleciła Matka Chilton. Posłuchałem jej.

Skutki były natychmiastowe. Nie tylko ból zniknął, lecz również wypełniła mnie siła. Wyprostowałem się, kolana przestały mi drżeć, zawroty głowy minęły, a wzrok odzyskał ostrość.

— Efekt nie utrzyma się długo, a potem za to zapłacisz — wyjaśniła uzdrowicielka. — Za wszystko trzeba płacić. Ale przecież ty wiesz o tym lepiej niż większość ludzi, Rogerze Kilbourne. Mam rację? Chodź.

Wielkie drzwi sali tronowej otworzyły się — w jaki sposób? — i przeszliśmy przez nie. Z moim umysłem stało się coś jeszcze. Unosił się teraz nad moją głową i obserwował wszystko byстрыm wzrokiem, ale

z jakiegoś powodu nie był w stanie sformułować klarownych myśli. Widziałem i rozumiałem wszystko, ale nie byłem w stanie podjąć żadnej decyzji. Matka Chilton decydowała za mnie, a ja z zadowoleniem jej słuchałem, nie zadając żadnych pytań, jak roślina zwracająca liście ku słońcu. To przez ten napój... coś mi w nim podała.

Przeprowadziła nas przez ogromną salę tronową, gdzie kiedyś ludzie lorda Soleka śpiewali na jego cześć tuż po przybyciu do Reginokracji:

*Ay-la ay-la mechel ah!*

*Ay-la ay-la mechel ah!*

*Bee-la kor-so tarel ah!*

*Ay-la ay-la mechel ah!*

To było tak, jakby pieśń dzikusów nadal wypełniała mi uszy, choć gigantyczna sala opustoszała i panowała w niej cisza. Matka Chilton zatrzymała się przed gładkim fragmentem ściany na lewo od podwyższenia i dotknęła szybko palcami jednego z kamieni, najpierw wysoko, potem nisko, a później znowu wysoko. Kamień odsunął się na bok.

Maggie wciągnęła powietrze z wrażenia, ale ja uśmiechnąłem się tylko. Wszystko było w porządku. Było w porządku od chwili, gdy wypłem eliksir. To oczywiste, że w pałacu są tajne przejścia. Czyż nie wiedziałem o tym od początku? Dziewczyna była głupia, że się temu dziwiła. Królowa potrzebowała... Czego potrzebowała królowa? Było coś, co powinienem o niej pamiętać, ale nie byłem w stanie sobie tego przypomnieć. Pamiętałem tylko, jak w swej prywatnej komnacie pochyliła się nade mną w blasku świateł, piękniejsza od wszystkich obrazów, i wręczyła mi kielich wina. Właśnie wróciłem z podróży... Jakiej? Dokąd? Nie potrafiłem sobie tego przypomnieć, ale to skrywało się gdzieś w moim umyśle. Jakiś fakt dotyczący królowej.

— Chodź — rozkazała Matka Chilton.

Kolejne schody. Tym razem wspiąłem się na nie swobodnie i bez trudu. Czemu by nie? Wszystko było w porządku, wszystko zawsze było i zawsze będzie w porządku. Uśmiechnąłem się do Maggie, która łypała na mnie gniewnie, gdy wstępowaliśmy na kręte schody.

Wieża. Wchodziliśmy na wieżę. W Glorii była tylko jedna wieża. Czy już kiedyś na nią nie wchodziłem? Nie potrafiłem sobie tego przypomnieć.

Kolejne drzwi zaprowadziły nas do maleńkiej izdebki, jeszcze mniejszej od składziku na jabłka. Dwie pionowe szczeliny w kamiennej ścianie wpuszczały do środka blask słońca. Matka Chilton zamknęła za sobą drzwi.

— Co za napój mu podałaś? — zapytała gniewnym tonem Maggie.

— To nie twoja sprawa, dziecko.

— Jeśli wiedziałaś o tym tajnym pokoju, dlaczego musiałam ukrywać go w piwnicy, gdzie ryzyko, że go znajdą, było większe?

— Ten pokój nie jest tajny, dopóki żyje królowa.

Królowa. Było coś, co powinienem o niej pamiętać...

— Czuję dym — stwierdziłem leniwym tonem.

Maggie podbiegła z krzykiem do jednej z pionowych szczelin w ścianie. Co tam mogło się dziać? Uśmiechnąłem się na myśl o jej ciekawości i podszedłem do drugiej szczeliny.

— Uważaj, Roger — ostrzegła mnie cicho Matka Chilton. — Elik sir wkrótce przestanie działać.

— Aha — odparłem bez zainteresowania i przystawiłem oko do szczeliny.

Pokoik znajdował się nad jednym z mostów łączących pałac z otaczającymi go terenami. W pierwszej chwili nie rozumiałem, co widzę. Ognisko — czyżby nadszedł już dzień środka lata? Wtedy zawsze palono

ogniska. Nie mogłem sobie przypomnieć daty, ale czy nie było jeszcze za wcześnie? A może za późno? Zresztą ogniska paliło się nocą, a dzień trwał w najlepsze. Ludzie, bardzo liczni, uciekali. Wieśniacy i słudzy pałacowi rozbiegali się z wrzaskiem na wszystkie strony. Cóż za hałas! Inni ludzie próbowali się zbliżyć do ogniska. Wyglądali na żołnierzy, inni żołnierze próbowali zaś ich powstrzymać... Nic z tego nie miało sensu.

Dlaczego Maggie tak się rozpłakała?

Z żołnierzami działo się coś dziwnego. Większość z nich była ubrana na niebiesko. Nieprawda, tylko ci, którzy byli bliżej... Zauważyłem też jeźdźców w zielonych strojach oraz jednego mężczyznę na wielkim karym rumaku. Wydawał mi się znajomy. Wszystko widziałem bardzo wyraźnie, wyraźniej niż zwykle na tę odległość, powietrze musiało być wyjątkowo czyste...

Powietrze...

Dym...

Walka...

— Uważaj — powtórzyła Matka Chilton.

Krzyki...

Coś zapaliło się w mojej głowie i wszystko zrozumiałem.

Królowa Caroline szarpała się z wrzaskiem, przywiązana do pala pośrodku stosu. Płomienie ogarnęły już jej zieloną jedwabną suknię. Również czarnych włosów, miotających się szaleńczo z boku na bok, dotknął już ogień. Wokół stosu ustawili się w krąg Niebiescy, ci sami, których sprowadziłem z krainy Umarłych. Zabijali każdego, kto próbował ich atakować. Armia lorda Roberta miała znaczną przewagę liczebną nad kilkoma setkami przeciwników, ale Niebieskich żadna broń się nie miała. Miecze przechodziły przez nich bez szkody, maczugi nie rozbiły im czaszek. Nie zawracali sobie głowy tarczami. Ciała atakujących pokrywały

ziemię, gdzieś w warstwach po dwóch albo trzech. Z ich rąk, piersi i ust tryskała krew. Widziałem wykrzywające się z bólu twarze konających.

Królowa nie przestawała krzyczeć wysokim niehumanicznym głosem. Jej ciało trawił już ogień.

Lord Robert przedarł się przez walczących na swym rumaku i zdołał jakoś dotrzeć do stosu. Zeskoczył z wierzchowca. Biedne zwierzę runęło na śliską od krwi ziemię. Z jego ciała sterczały trzy albo cztery miecze. Lord Robert wszedł na stos, odskoczył do tyłu i znowu skoczył w ogień. Ciął mieczem sznury krępujące płonącą królową.

Jeden z Niebieskich zaszedł go od tyłu i uniósł miecz, gotowy wbić go w plecy wroga.

Maggie krzyknęła. Ja jednak tego nie zrobiłem. Nie byłem w stanie. Obraz przed moimi oczami zamigotał. Gdyby nie Matka Chilton mógłbym paść na podłogę. Kobieta podtrzymała mnie i oparła o kamienną ścianę. Dzięki temu mogłem ujrzeć to, co wydarzyło się później. Wiedziałem, że to się stanie, od chwili, gdy Maggie powiedziała mi w schowku, jaką mamy dziś datę.

Niebieski żołnierz atakujący lorda Roberta zniknął. To wydarzyło się szybko. Jego ciało rozpuściło się i spłynęło. Przez moment widziałem groteskową maskę, w jaką zmieniała się jego twarz. Następnie ciało obróciło się w kości, a kości w pył. Po chwili została tylko sterta niebieskiego ubrania i zardzewiałej zbroi. Żołnierza już nie było.

Ten sam los spotkał całą armię, którą przyprowadziłem zza grobu.

Żołnierze lorda Roberta — ci, którzy przeżyli — padli na kolana i zasłonili oczy. Niektórzy krzyczeli, ale strach i odległość czyniły ich słowa niezrozumiałymi. Hałas był przerażający. Pośród wrzasków, modlitw i przekleństw brakowało jednak jednego głosu.

Królowa już nie krzyczała.



Osunąłem się w objęciach Matki Chilton. Kobieta położyła mnie na podłodze i spojrzała na mnie z góry. Jej twarz była stara i spokojna.

— Caroline nie żyje — oznajmiła. — Ale to jeszcze nie koniec.

— Nieprawda — zdołałem wykrztusić, pomimo słabości, która nagle zaatakowała wszystkie części mojego ciała, jakby przygnieciono je masywnymi kamieniami. — To... to koniec.

— Ach, Roger, nic nie rozumiesz. — Potem dodała coś jeszcze, ostatnie słowa, jakie od niej usłyszałem, a także najdziwniejsze. W jej głosie pobrzmiwała rozpacz. — Będiesz szukał matki. Nic, co mogłabym powiedzieć, nie skłoni cię do zmiany zdania.

Przyciągał mnie sen. Powstrzymałem go, ugryzłem się w język i ogromnym wysiłkiem woli przeszedłem na drugą stronę po raz ostatni.

\*

W krainie Umarłych panował niczym niezmacony spokój. Szeroka rzeka leniwie toczyła swe wody, niebo lśniło jednolitym szarym blaskiem, a Umarli wpatrywali się w pustkę. Widziałem wielu ludzi lorda Soleka odzianych w kosmate futra. Wszyscy siedzieli spokojnie na ziemi z twarzami pozbawionymi wyrazu. Ich strzelby umilkły. Ujrzałem też bardzo wielu Zielonych. Niektórzy polegli w pierwszej bitwie z umarłymi Niebieskimi, stoczonej przed dwoma tygodniami w pałacu, gdy nieprzyjaciel wtargnął do środka przez pralnię. Inni przeszli na stronę nieprzyjaciela — tacy zawsze się znajdują — i zginęli w bitwie pod stosem, broniąc królowej, której nie uważali za swoją. Wśród nich siedzieli też niedawno zabici żołnierze lorda Roberta, tak samo spokojni jak wszyscy. Z bliska zauważyłem, że jest wśród nich wielu chłopców i starców. Zdesperowany lord Robert werbował każdego, kogo znalazł — posługując

się siłą, przekupstwem, a w niektórych przypadkach być może nawet odwołując się do wierności wobec królowej Caroline.

Wśród Umarłych nie było Niebieskich. Zadbalem o to.

Na rozległej, spokojnej równinie poruszała się tylko jedna postać. Podbiegła do mnie. Jej piękna twarz wykrzywiała się w grymasie furii i żałoby.

— Roger! Gdzie jestem?

— Umarłaś, Wasza Miłość.

Wspomnienia powróciły.

— Tak. Tak... Spalili mnie jako czarownicę.

— To prawda.

Potem wypowiedziałem najbardziej daremne słowa w życiu. Były one prawdą, a zarazem nią nie były.

— Przykro mi, Wasza Miłość.

Jej wściekłość skupiła się na mnie.

— To twoja wina. Twoja.

— Tak.

— Odebrałeś mi Reginokrację. Spaliłeś mnie.

— Nie, Wasza Miłość. Uczyniłem wiele, ale nie te dwie rzeczy. Sama je na siebie ściągnęłaś.

Królowa Caroline rzuciła się na mnie z wrzaskiem. Nie była jednak żołnierzem ani nie miała broni. Schwytałem w ramiona jej wyrywające się ciało. Po chwili znowu znalazłem się w tajnym pokoju nad zachodnim mostem zwodzonym. Matka Chilton zniknęła. Jedynym, co pozostało po mojej ostatniej podróży, była pamięć dotyku ciała królowej Caroline, które uspokajało się już i popadało w bezruch.

— Żegnaj, Wasza Miłość — wyszeptałem do niej tuż przed powrotem, nie sądzę jednak, by mnie usłyszała. Zawładnął ją już niesamowity spokój Umarłych.

Niepostrzeżenie opuściliśmy z Maggie pałac. Dziewczyna szła pierwsza, kierując się wskazówkami otrzymanymi od Matki Chilton. Tajne przejścia zaprowadziły nas do wewnętrznych murów. Znajdował się w nich niski tunel prowadzący do namiotu uzdrowicielki, który okazał się całkowicie opustoszały. Elixiry, pióra, woreczki z ziołami oraz tyczki, na których wisały, piecyk i jedyne krzesło — wszystko to zniknęło. Tunel był tak niski, że musieliśmy przeczołgać się przezeń na rękach i kolanach. Mur zamknął się potem za nami i w żaden sposób nie mogliśmy otworzyć go ponownie.

Z pewnością tak właśnie Matka Chilton pomogła Cecilii uciec z pałacu. Tędy również szła do królowej, gdy ta ją wezwała. Łączyła je ze sobą jakaś więź, której nie rozumiałem i nie chciałem rozumieć. Matka Chilton powiedziała mi kiedyś, że Caroline studiowała sztuki duszy, ale brakowało jej talentu. Dlatego królowa postanowiła wykorzystać mój talent.

Zostaliśmy z Maggie w porzuconym namiocie przez kilka dni. Ja odpoczywałem, podczas gdy ona wychodziła na zewnątrz po żywność i informacje. Z początku trudno było zdobyć coś do jedzenia. Nie chodzi o to, że nie mieliśmy pieniędzy; Matka Chilton ponownie zostawiła mi stos miedziaków i srebrników, a nawet jedną złotą monetę. Nie rozumiałem, dlaczego mi pomaga. Była równie wielką zagadką jak królowa i podobnie jak ona prowadziła własne, ukryte gierki. Żywności nie było, ponieważ nikt jej nie sprzedawał. Wieśniacy uciekli ze stolicy, gdy Niebiescy żołnierze umarli po raz drugi. Większość służby również zwiłała. Czary! — krzyczeli ludzie. Magia! Uciekajcie! Uciekajcie! Ratujcie się!

Nie musieli się jednak przed niczym ratować. Nie było już więcej czarów ani walk. Niedobitki armii obdartusów zwołanej przez lorda Roberta oraz Zielonych królowej byli jedynymi żołnierzami pozostałymi w stolicy. Nie byli czarownikami, z nikim nie walczyli i również musieli jeść. Sprzedawcy wrócili jeden po drugim do stolicy, przekonali się, że jest bezpiecznie, i zawiadomili o tym następnych, którzy podążyli w ich ślady.

Lord Robert postąpił rozsądnie, grzebiąc potajemnie ciało Caroline. Tylko nieliczni wiedzieli, gdzie spoczywa „królowa-wiedźma”.

Ukoronował księżniczkę Stephanie. Dziewczynka wydawała się mała i przerażona w blasku wielobarwnych klejnotów Korony Glorii. Lord Robert będzie władał jako regent, dopóki księżniczka nie osiągnie pełnoletności.

Gdy już mogłem ruszyć w drogę, opuściliśmy z Maggie miasto. Przebrałem się za wieśniaka, który za dużo wypił, ale bardzo schudłem i wyglądałem niezdrowo, a do tego meszek na mojej twarzy ustąpił nagle miejsca szczeciniastej, niestrzyżonej brodzie, więc wszelkie przebrania mogły się okazać daremne. Wyglądałem teraz na więcej niż swoje piętnaście lat. No i nikt mnie nie szukał. Krążyły pogłoski, że ponieważ sprowadziłem armię Niebieskich z martwych, zniknąłem razem z nimi. Może Matka Chilton miała coś wspólnego z pojawieniem się tych spekulacji. A może nie.

Ostatnim, co zobaczyłem, gdy odwróciłem się raz jeszcze na grzbiecie osła, by spojrzeć za siebie, była jedyna wieża pałacu wznosząca się pośród mgły. Powiewała na niej fioletowa chorągiew księżniczki Stephanie, samotna i odległa na tle szarego, zamglonego nieba.

Mieszkamy teraz w osadzie zwanej Applebridge, położonej daleko na zachodzie, w górę rzeki od stolicy, poza miejscem, gdzie płaska dolina

przechodzi we wzgórze, a blisko punktu, w którym wzgórze staje się górami. Gdzieś za nimi leży kraj dzikusów lorda Soleka. Thymar jest tu wartki i płytki, a barki i promy nie radzą sobie z jego szalonym nurtem. Zbudowano tu jednak kamienny most łączący zachodni brzeg rzeki ze wschodnim. Dzięki niemu Applebridge stało się miasteczkiem targowym i zjeżdżają się do niego okoliczni wieśniacy. Oprócz jabłek uprawia się tu też inne owoce oraz zboże i w piwiarni, którą kupiliśmy za pieniądze od Matki Chilton, nie brakuje klientów.

Podajemy się za brata i siostrę. Nie spaliśmy ze sobą od owego słodkiego popołudnia w pałacowej piwnicy. Wiem, że Maggie tego pragnie, ale jest zbyt dumna, by prosić, a ja jej nie tknąłem przez wszystkie długie miesiące, które tu spędziliśmy. Z powodu snów.

Nie chcę o nich myśleć.

Piwiarnia nie wygląda zbyt imponująco: prosta sala główna, kuchnia, magazyn, w którym śpię, i trzy małe izby na górze — jedna przeznaczona dla Maggie i dwie dla wędrowców. Większość pieniędzy wydaliśmy na chatę, która jest toporna, ale przytulna i solidnie zbudowana. Za resztę kupiliśmy zapas ale. Maggie podaje je do posiłków, które sama przyrządza. Jest znakomitą kucharką, ciężko pracującą współpracowniczką i oszczędnym zarządcą. Gdy spogląda na mnie z wyrzutem w oczach, nazywam siebie głupcem, za to, że nie przyjąłem tego, co chciała mi dać, i nie ożeniłem się z nią. A gdy nadchodzą późnoletnie noce, ciepłe i pogodne, a na pełnych piersiach Maggie i na czole pod jasnymi lokami tworzą się maleńkie kropelki wilgoci, przeklinam siebie jako podwójnego, potrójnego, poczwórnego głupca.

Są jednak sny.

Nie chcę o nich myśleć.

— Peter — mówi do mnie Jee wysokim głosem dziecka. — Maggie powiedziała, że masz przyjść na kolację.

— Powiedz jej, że już idę — odpowiadam i chłopiec ucieka. Podnoszę wiadro zdrową kończyną. Nauczyłem się już żyć z jedną ręką, dokonywać napraw w chacie i nalewać ale. Dzieci z wioski nazywają mnie „Peterem Jednorękim”. Tak się teraz nazywam. „Peter Forest”. Wybrałem to nazwisko przypadkowo. To jako Peter Jednoręki noszę pomyje świni, którą niedawno kupiliśmy, i przyglądam się, jak ryje ochoczo w drewnianej zagrodzie w poszukiwaniu czegoś lepszego.

„Czegoś lepszego niż to, co zna”.

Słyszę w głowie pełen rozpaczony głos Matki Chilton: „To jeszcze nie koniec”.

Oraz: „Będziesz szukał matki. Nic, co mogłabym powiedzieć, nie skłoni cię do zmiany zdania”.

A wcześniej, dużo wcześniej, gdy ujrzałem ją po raz pierwszy: „Czy przychodzisz z Wrzosowiska Duszorośli? To znaczy, że są gotowi?”.

— Peter! Możesz iść!

To znowu był Jee, równie uparty jak Maggie. Oboje też tak samo cieszyli się, że dotarliśmy do tej wioski, nawet jeśli dziewczyna gryzła się z mojego powodu. Panował tu pokój, nie brakowało jedzenia i nie było niszczących życie niespodzianek. W gruncie rzeczy, miałem tu wszystko, czego pragnąłem za czasów Hartaha.

Do czego mieli być gotowi na Wrzosowisku Duszorośli?

Ruszyłem w stronę chaty, gdzie czekała na mnie kolejna ze znakomitych zup Maggie. Po posiłku, gdy zapadnie długi letni wieczór, wybiorę się na spacer. Przejdę wiele mil, by zmęczyć się tak bardzo, że zapadnę w głęboki sen i nic mi się nie przyśni. Już teraz wiem, że to się nie uda.

*Płaskie wyżynne wrzosowisko i okrągły kamienny budynek. Czuję w ustach smak pieczonego mięsa, soczystego i tłustego. Duszorośl. W cieniach poza kręgiem światła mojej pochodni wyczuwam jakieś niewidoczne stworzenia. Nieludzkie stworzenia, jakich nigdy nie spotkałem w tej krainie, ani nawet w tej drugiej, która leży za grobem. Wędruje wśród nich jakaś kobieta i to kobiety głos dobiega mnie z mroku. Dostrzegam błysk ozdobionej klejnotami korony:*

*— Roger. Hisaf.*

*— Przecież nie żyjesz — odpowiadam.*

*— Już od dziewięciu lat — odpowiada ze śmiechem, od którego dreszcz wnika mi aż do kości.*

Królowa Caroline nie umarła dziewięć lat temu, lecz zaledwie przed trzema, teraz blisko czterema miesiącami. Słyszałem tylko o jednej nieżyjącej od dziewięciu lat osobie. Jest nią moja matka, ale ona nie jest królową.

Żadnej krainy, którą znam.

— Peter! — woła mnie niecierpliwie Maggie.

Idę na kolację, wiedząc, że nocą powróci ten sam sen, by wciągnąć mnie po raz kolejny. Wiedząc, że Matka Chilton miała rację. To jeszcze nie koniec.



Tytuł oryginału  
CROSSING OVER

Copyright © Anna Kendall 2010  
All rights reserved

Copyright © 2014 for the Polish translation by  
Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań

Redaktor  
Robert Cichowlas

Projekt graficzny okładki  
Maciej Szajkowski

ISBN 978-83-7785-563-8

Zysk i S-ka Wydawnictwo  
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań  
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67, faks 61 852 63 26  
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90

[sklep@zysk.com.pl](mailto:sklep@zysk.com.pl)

[www.zysk.com.pl](http://www.zysk.com.pl)

Plik opracował i przygotował Woblink

